JOANNA OPIAT-BOJARSKA

NIEBEZPIECZNA GRA

Dynamiczna i wciągająca. Opiat-Bojarska w szczytowej formie
Katarzyna Puzyńska

NIEBEZPIECZNA GRA

JOANNA OPIAT-BOJARSKA

NIEBEZPIECZNA GRA

CZWARTA STRONA

Copyright © Joanna Opiat-Bojarska, 2016
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Sylwia Smoluch
Redakcja: Dawid Wiktorski
Korekta: Joanna Pawłowska
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Maciej Majchrzak
Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN
www.panczakiewicz.pl
Fotografia na okładce: www.fotolia.com / Adrian Costea
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-497-6

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

I
czwartek

– Ka jeden! Na ulicy, uraz: potrącenie, oddycha, nieprzytomny, czterdzieści lat, NN.

Krzysiek nie zdążył nawet odczytać treści SMS-a, gdy alarm na podstacji oznajmił konieczność wyjazdu. Kod pilności K1 oznaczał, że karetka ma minutę na wyjazd. Sześćdziesiąt sekund pełnej mobilizacji w środku nocy.

– Do kasty! – krzyknął pierwszy ratownik, Tomek.

To on w tym zespole był osobą decyzyjną. Andrzej, drugi ratownik, wskoczył na miejsce kierowcy. Uruchomił silnik i czekał na ostatnie trzaśnięcie drzwiami. Sekundę później usłyszał je, obejrzał się za siebie, żeby upewnić się, że Krzysiek siedzi w karetce, i ruszył.

– E zero jeden zero cztery wyjazd! – dokładnie w tym samym momencie pierwszy ratownik zgłosił dyspozytorowi fakt opuszczenia podstacji.

– Na miejscu za pięć… Nie, za cztery minuty! – zameldował Andrzej.

Cztery minuty. Tylko tyle dzieliło Krzyśka od jego pierwszej prawdziwej interwencji. Był żółtodziobem. Studentem, który w ramach praktyki zawodowej przygotowywał się do pracy na ulicy. Nie zdążył nawet zastanowić się nad tym, co powinien zrobić zaraz po przyjeździe na miejsce, kiedy usłyszał kolejny komunikat.

– Trzy.

Wziął głęboki oddech, by pozbyć się nieprzyjemnego napięcia. Nie skakał nigdy ze spadochronem, ale mógłby się założyć, że wszyscy spadochronowi debiutanci czuli się tak samo jak on obecnie.

Wiedział, że za mniej niż trzy minuty otworzą się drzwi, a on będzie musiał skoczyć. To, czy przeżyje, zależeć będzie tylko od niego. Czy był do tego gotowy? Czy dobrze wybrał? Czy wystarczająco dużo trenował „na sucho”?

Pytania go przytłaczały, jednak towarzyszyła mu świadomość, że nie było już odwrotu. Samolot znajdował się w powietrzu, a jeden błąd mógł kosztować życie. Nie jego, ale tego czterdziestolatka, który nieprzytomny czeka na pomoc. To nie był dobry czas na szczeniackie dylematy.

Łagodne hamowanie sprawiło, że Krzysiek zerknął za okno. Wjeżdżali właśnie na skrzyżowanie na czerwonym świetle. Nieliczne samochody, które mijali,

zwalniały i zjeżdżały na bok, robiąc im miejsce. Krzysiek nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak taki przejazd wygląda w środku dnia, podczas komunikacyjnego szczytu.

Nagle czarne BMW usiłujące wymusić pierwszeństwo wyskoczyło z prawej strony. Andrzej odbił gwałtownie w lewo i wjechał na przeciwny pas ruchu. Kanapka, którą Krzysiek zjadł godzinę wcześniej, podeszła mu do gardła.

Wyjąca syrena utrudniała koncentrację, a poziom adrenaliny rósł z sekundy na sekundę. Krótkie komendy ratowników potęgowały stres. Świadomość, że od reakcji zespołu zależy życie człowieka, stawała się trudna do zniesienia. Ekscytowała i paraliżowała jednocześnie.

– Minuta!

Krzysiek spiął wszystkie mięśnie i omiótł wzrokiem karetkę. Wszystko było na swoim miejscu, gotowe do użycia. Nie wiedział, co zastanie na miejscu. Serce człowieka, który pięć minut temu jeszcze oddychał, mogło właśnie się zatrzymać.

– Ja plecak i opatrunki, Andrzej kołnierz i deska, Krzysiek szyny! – zarządził pierwszy ratownik.

– Szyny – powtórzył Krzysiek i upewnił się, że wie, gdzie leżą.

„W karetce liczy się logiczne myślenie i jednocześnie jego brak" – tak powtarzał jeden z wykładowców, ale dopiero teraz do Krzyśka dotarł sens pozornie absurdalnego stwierdzenia.

Ratownik musiał myśleć logicznie, by po przybyciu na miejsce prawidłowo ocenić sytuację. Prawidłowa ocena była niezbędna do podjęcia decyzji, co zrobić. Potem następował etap instynktownego działania – etap, na którym nie było już czasu na myślenie. Czasem sekundy decydowały o tym, czy ktoś przeżyje.

– E zero jeden zero cztery u pacjenta – zameldował przez radio Tomek.

Krzysiek złapał szyny. Drzwi od karetki otworzyły się, a on zobaczył za nimi przerażającą ciemność. Zrobił pierwszy krok, potem drugi. Jak zahipnotyzowany podążał za głosami ratowników. Światła karetki oświetlały poszkodowanego. Dopiero jego widok otrzeźwił Krzyśka.

– Halo, słyszy mnie pan? – Pierwszy ratownik rozpoczął realizację schematu ABC.

Akronim mnemotechniczny ABC ułatwiał nowicjuszom zapamiętanie najważniejszych czynności, które należy wykonać podczas udzielania pierwszej pomocy. ABC. A jak „Airways", czyli udrożnienie dróg oddechowych. B jak „Breath", czyli sztuczne oddychanie. C jak „Circulation", czyli sprawdzenie oznak krążenia. Krzysiek wiedział, co trzeba zrobić, czuł jednak, że nie jest w stanie się ruszyć.

Na poboczu leżał mężczyzna. Prawdziwy mężczyzna, nie fantom do ćwiczeń. Prawdziwa była też krew spływająca po opuchniętej twarzy. Nie odpowiadał na

próby nawiązania z nim kontaktu.

– Krzysiek! Podejdź do głowy i zluksuj żuchwę.

Zluksuj żuchwę. Słyszał to tyle razy, jednak nigdy nie zrobił tego człowiekowi. Ręce mu się trzęsły. Starał się wyłączyć myślenie. Musiał działać.

Podszedł do pacjenta. Czołówka oświetliła jego twarz. Za uchem zauważył tatuaż. Wziął głęboki oddech, przesunął żuchwę poszkodowanego do przodu i ku górze, a w momencie, w którym zęby dolne znalazły się przed przednimi, zaczął liczyć, błagalnie wpatrując się w klatkę piersiową poszkodowanego.

– Jeden. Dwa. Trzy.

Bardzo chciał zobaczyć ruch. Chciał, żeby mężczyzna zaczął oddychać. Żeby jego pierwszy pacjent przeżył.

*

Długi korytarz, nijaka podłoga i drzwi jako motyw powtarzający się z dużą częstotliwością. Oddział psychiatryczny nie różnił się wyglądem od innych szpitalnych oddziałów: chirurgii, kardiologii czy laryngologii.

Różnił się za to od ciemnych i niepokojących wnętrz przedstawianych w filmach. Lampy sufitowe nie pulsowały hipnotycznie, ciszy nie przeszywały przeraźliwe krzyki, a pacjenci nie byli zamknięci w pokojach. Leżeli w łóżkach, rozmawiali ze sobą albo spacerowali po starających się zachować pozory obojętności korytarzach.

Nikomu się nie spieszyło, tak jakby teren ten został wyjęty spod jurysdykcji czasu. Aleksandra Wilk zawsze to czuła, kiedy zamykała za sobą drzwi oddzielające oddział od reszty świata.

Zwykle czynności tej towarzyszyło niesympatyczne poczucie obowiązku. Tym razem było inaczej. Miała okazję przyjrzeć się temu miejscu oczami gościa i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że teraz – w sierpniu – kiedy słońce rozświetlało sale i korytarze, było tu jeszcze spokojniej niż zwykle.

Minęła młodą kobietę w szlafroku. Nie kojarzyła jej twarzy, co oznaczało, że musiała zostać przyjęta na oddział w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Zwykle po przebraniu się w służbowy mundurek zapoznałaby się z kartotekami świeżaków.

– Zwykle… – mruknęła pod nosem i uśmiechnęła się do przechodzącej obok pielęgniarki.

– Dzień dobry.

– Dobry, bardzo dobry – odpowiedziała.

Z satysfakcją odnotowała zdziwione spojrzenie pielęgniarki, lecz zignorowała je. Bez pośpiechu udała się do pokoju lekarskiego. Był pusty.

Obojętnie przeszła obok szafy, w której wisiały fartuchy lekarskie, i usiadła na sofie. Czuła się dziwnie.

– Dziesięć dni wolności – wypowiedziała na głos myśl, która nie dawała jej spokoju. Cieszyła ją i przerażała jednocześnie.

– Olka? Co ty tu robisz? – Olga Brzozowska, psychiatra, weszła do pokoju i rzuciła kartotekę pacjenta na biurko.

Aleksandra nie wiedziała, skąd jej przyjaciółka czerpała energię, ale chętnie poznałaby ten sekret. Olga zawsze miała energii w nadmiarze. Nawet teraz, po kilku godzinach dyżuru.

– Co ja tu robię?

Sama nie znała odpowiedzi na to pytanie. Był środek wakacji, właśnie wyprawiła dzieci na obóz harcerski. Zamiast leżeć na plaży, obściskiwać się w łóżku z Krystianem albo oddawać się wciągającej lekturze, siedziała w pracy.

– Relaksuję się. No wiesz, zapakowanie plecaków dla dwóch małych Wilków to nie takie hop-siup…

Ostatnie słowa podkreśliła odpowiednią mimiką i gestykulacją. Uznała, że oszczędzenie przyjaciółce szczegółów będzie bardziej na miejscu niż opowieść o porannej nerwówce, niekończącej się bieganinie między pokojami a łazienką, sprawdzaniu, czy w plecakach dzieci są stroje kąpielowe, szczoteczki do zębów i majtki, a także o walce o ograniczenie liczby zabieranych słodyczy.

– Relaks na oddziale psychiatrycznym? Bardzo wyszukany sposób spędzania wolnego czasu!

Roześmiały się. Aleksandra uwielbiała Olgę i jej poczucie humoru, przydatne zwłaszcza podczas trudnych rozmów.

– Taka nowa moda. Sofa i miła rozmowa, czego chcieć więcej?

– Rozmowa z psychiatrą bez wcześniejszego umówienia terminu? – Wybucha śmiechem, a chwilę później jej twarz poważnieje. – Dobra, ty mi tu nie picuj, kobieto. Mów, po co przyszłaś! Znowu potrzebujesz recepty?

*

Przemieszczenie się między oddziałem psychiatrycznym a chirurgicznym zajęło doktorowi Sebastianowi Adamczykowi nie więcej niż pięć minut. Zjechał szpitalną windą dwa piętra niżej i znalazł chirurga, z którym przed chwilą rozmawiał przez telefon.

– Cześć, co jest?

– Przypadek dla ciebie. – Janek Nowicki trzymał w ręku kartotekę pacjenta. – Zależy mi na tym, żebyś go skonsultował. Ofiara potrącenia, mężczyzna przywieziony z ulicy. Złamane dwa żebra, problemy z oddychaniem opanowane. Rany opatrzone. Nie wiemy, jak długo był nieprzytomny. Brak świadków wypadku, równie dobrze mógł leżeć na poboczu godzinę, jak i trzy. Z pacjentem jest mocno ograniczony kontakt.

– To znaczy?

– No wiesz… – Chirurg pokręcił głową, wydając jednocześnie dziwne dźwięki. Niby cmokanie, niby siorbanie.

– No nie wiem – roześmiał się Sebastian.

Znał Janka od kilku lat i przyzwyczaił się do jego dziwnego stosunku do psychiatrów. Nie ułatwiał mu tym samym zadania i nie zadawał dodatkowych pytań. Czekał, aż kolega po fachu wytłumaczy, po co go wezwał.

– Jest przytomny. Może najlepiej będzie, jak cię do niego zaprowadzę. Sam zobaczysz.

– A co cię zaniepokoiło?

– Facet jest NN. Nie miał przy sobie nic, co pomogłoby nam go zidentyfikować. Oczywiście zgodnie z procedurami zawiadomiliśmy policję.

– Ale…?

– Nie ma żadnego ale. Próbowałem z nim rozmawiać. Dopytywałem o nazwisko, miejsce zamieszkania albo dane osoby, którą powinniśmy zawiadomić. Niczego nie pamięta. Widziałem, że stara się coś sobie przypomnieć, ale… chwilę później przestał się w ogóle odzywać.

– Wstrząśnienie mózgu?

– Nie sądzę. Myślę, że to może być amnezja. Sprawdź, to twoja działka.

– Neurolog?

– Już poprosiłem o konsultację. Gdyby to było wstrząśnienie, to facet nie pamiętałby tylko tego, co wydarzyło się przed samym wypadkiem. Wygląda na to, że jego mózg przeszedł całkowity reset. Rozmowa ze mną uświadomiła mu to i zamknęła. Zerknij na niego.

Sebastian zatarł ręce z radości – od lat pasjonował się tematem amnezji. Opublikował niedawno artykuł o amnezji organicznej, a teraz zbierał materiały do pracy na temat amnezji dysocjacyjnej. Pacjent z chirurgii spadł mu z nieba.

*

– Jestem czysta. Już nie biorę. Przecież wiesz!

Deklaracja złożona przez Aleksandrę wydała się Oldze spójna z tym, co widziała.

Blada cera przyjaciółki miała zdrowy, różowawy odcień. Niebieskie oczy były trochę zmęczone, ale zauważała w nich błysk, którego nie widywała u ludzi uzależnionych od psychotropów. Błysk sygnalizujący chęć przyjmowania niespodzianek, jakie serwuje nam życie. Bez otępienia. Bez wspomagaczy. Na żywca i na klatę.

Rude, kręcone włosy przyjaciółki jak zwykle prezentowały raczej twórczy nieład niż ułożoną fryzurę, ale to właśnie one łagodziły poważny wizerunek Aleksandry. Nie skończyła jeszcze trzydziestu sześciu lat, ale życie doświadczyło ją boleśnie nie raz i nie dwa. Zaginięcie męża i jego śmierć. Pamiątką po

tamtych wydarzeniach była skłonność Aleksandry do ubierania się jedynie w kolor czarny. Olga pomyślała, że przy pierwszej lepszej okazji musi namówić przyjaciółkę na wspólne zakupy.

– Wiem. Tylko cię sprawdzam. A właściwie i sprawdzam, i martwię się. Nikt o zdrowych zmysłach nie przychodzi do pracy w pierwszym dniu swojego urlopu. Jak długo cię nie będzie?

Olga podeszła do lodówki i wyciągnęła z niej karton soku pomarańczowego. Postawiła go na niewielkim stoliku znajdującym się blisko sofy. Aleksandra sięgnęła do szafki po dwie szklanki.

Pracowały na tym samym oddziale od kilku lat. Kiedyś spotykały się niemalże codziennie. Od czasu, kiedy Aleksandra przeszła na pół etatu, ich spotkania były coraz rzadsze.

– Długo. Udało mi się wyprosić dwa tygodnie. Jak dzieciaki wrócą z obozu, to pojedziemy z nimi jeszcze na trzy dni w góry.

– Pojedziemy? Co ja słyszę? Z informatykiem?

– Tak, z Krystianem – speszyła się Aleksandra. – Przyjaźnimy się.

– Dobra, dobra, ty mi się nie tłumacz. Dorosła jesteś, a każdy dorosły człowiek ma swoje potrzeby. Jako psychiatra powiem ci jeszcze, że jeśli nie realizujesz podstawowych potrzeb… fizjologicznych i psychicznych, to trafisz na ten oddział, prędzej lub później. I to nie w charakterze personelu medycznego!

Terapia śmiechem. W tym Olga zawsze była dobra. Być może z tego powodu Aleksandra zaprzyjaźniła się z nią w ostatniej klasie liceum, i szybko stały się nierozłączne. Nawet studia na zupełnie innych uczelniach ich nie rozdzieliły.

– Ty, jak rozumiem, realizujesz swoje potrzeby z tym… no, jak on miał na imię?

– Kobieto, jeśli nie pamiętasz imienia mojego gacha, to znaczy, że bardzo, ale to bardzo mnie zaniedbałaś!

*

Ilona Drzewiecka dobrze pamiętała dzień, w którym po raz pierwszy usiadła na bogato zdobionym wiktoriańskim fotelu w kancelarii Neumaierów. Już kiedy weszła z ulicy Roosevelta do odrestaurowanej kamienicy, w której znajdowała się kancelaria, poczuła, że wygraną ma w kieszeni. Zależało jej jednak nie tylko na wygranej. Priorytetem było zniszczenie przeciwniczki.

Przepych tego miejsca kiedyś działał na nią uspokajająco. Nadmiar ornamentyki, ogromne biurko, solidna szafa i przypominające trony fotele – to wszystko upewniało ją w podjętej decyzji. Z tak okazałym wsparciem pokonałaby każdego przeciwnika. Każdego!

Miała wykończyć zagubioną wdowę po swoim bracie i odebrać jej dzieci. Dwójkę małych Wilków, które z racji tego, że ich ojcem był brat bliźniak Ilony –

równie dobrze mogłyby być jej dziećmi.

– Rozumiem pani rozgoryczenie. – Stanisław Neumaier junior, specjalista od prawa rodzinnego i opiekuńczego, był tak samo uśmiechnięty jak wtedy, gdy przyjmował zlecenie. – Pojawiły się jednak okoliczności, które wpłynęły na decyzję sądu.

– Pan mecenas mówił, że z panem i pana kontaktami ani się nie obejrzę, a dzieci będą biegać po moim domu.

– A pani nie poinformowała mnie o wydarzeniach, które postawiły matkę w trudnej sytuacji. Proszę się jednak nie niepokoić. Sąd ustalił, że rodzina Wilków ma być pod nadzorem opieki społecznej. Odsunął jedynie podjęcie decyzji do kolejnej rozprawy.

– Ale obiecywał pan, że już na pierwszej rozprawie…

– Pani Ilono, jest pani tak mądrą kobietą. Proszę wyciszyć emocje. Mieliśmy wgląd jedynie we fragment rzeczywistości. Nieszczęśliwie rozprawa wypadła kilka dni po tym, jak miały miejsce te wszystkie wydarzenia, tak głośno rozpatrywane w mediach. Sędzia nie miał innej możliwości. Musiał uznać, że matka znajdowała się w silnie stresującej sytuacji, walczyła o życie swoje i dzieci. Teraz obserwuje ich opieka społeczna. Za trzy tygodnie odbędzie się kolejna rozprawa. Wtedy też okaże się, czy problemy matki miały charakter przejściowy, czy nie.

– Oczywiście, że nie! Obawiam się jedynie, że ona teraz się kontroluje. Udaje idealną matkę, a jak sąd oddali nasz wniosek…

– Proszę być dobrej myśli.

Ilonie daleko było do dobrych myśli. Jedyny fakt, na jakim się teraz skupiała, to ten, że honorarium Neumaiera było zbyt wysokie jak na brak oczekiwanych efektów. Junior miał świetną opinię. Wygrywał każdą sprawę, której się podejmował. Odbierał prawa rodzicielskie matkom i przekazywał kochającym ojcom. Walczył przeciwko dyskryminacji mężczyzn oraz przekonaniu, że najlepszą opiekunką dla dziecka jest zawsze matka.

Ufała mu, ale jednocześnie – gdzieś z tyłu głowy – błąkała jej się myśl, że być może sprawa sprytnej bratowej będzie pierwszą, którą słynny prawnik przegra.

– To co ja mogę teraz zrobić?

– Pani Ilono, jeśli naprawdę zależy pani na tych dzieciach, to obawiam się, że czas na prawdziwą wojnę. Nasza przeciwniczka budzi współczucie, gra na emocjach, a dzieci nie wyglądają na zaniedbane. To trudna sprawa, dlatego musimy zacząć grać ostrzej. Musi być pani czujna. Użyjemy wszystkiego, co będzie można wykorzystać przeciwko matce. Zawsze można znaleźć coś, z czego zbudujemy odpowiednią historię i przechylimy szalę na naszą stronę.

*

– Olga, masz stuprocentową rację. Biję się w piersi. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina!

Opowieść Olgi o tym, jak ostatnie tygodnie wyglądały z jej punktu widzenia, sprawiła, że zrobiłam się malutka i zdałam sobie sprawę z tego, że zaniedbałam wiele rzeczy.

Po tym wszystkim, po śmierci Gabriela, skupiłam się na dzieciach. One były dla mnie najważniejsze. Ich spokój i poczucie bezpieczeństwa. Tylko one mi wtedy zostały. Nie mogłam ich stracić. Zaniedbałam siebie i całe swoje życie.

Olgę, najlepszą przyjaciółkę, olałam. Zupełnie. Lekceważyłam ją, unikałam kontaktu, odsunęłam od siebie i zapomniałam, że przecież nasza relacja była dwustronna. Nawet jeśli w tamtej chwili nie była mi do niczego potrzebna, to być może ja mogłam jej się do czegoś przydać.

– Dobra, bez takich mi tu! Jak się ma ciężko, to się zwraca do przyjaciółki. Nie tylko po to, by wypisała receptę.

I jeszcze te psychotropy. Kolejna moja wtopa. Właściwie nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, poza tym, że miałam ostatnio trudny czas. Ale przecież ona o tym wie, i nie obraziła się na mnie, tylko w swój specyficzny sposób wylewa żale.

To dobrze. Być może dzięki temu uratujemy relację, która zawsze nas łączyła.

– Wiem, Olga, wiem. Dałam ciała, przepraszam. Właśnie dlatego tu dziś przyjechałam. Pomyślałam, że może coś razem zrobimy?

Olga przez chwilę udaje obrażoną, a później uśmiecha się tak szeroko jak kot z Cheshire, moja ulubiona postać z „Alicji w Krainie Czarów".

– Mogę zgodzić się na to, że w ramach pokuty się mną zaopiekujesz. Mój facet wyjechał, więc mam mnóstwo wolnego czasu. Zróbmy razem coś fajnego. Szalonego, jak za dawnych lat!

– Coś fajnego? – Mam wątpliwości. Na imprezę studencką jesteśmy za stare. Wyjazd nad morze odpada, spłukałam się, opłacając obóz harcerski. – Może kino? Teatr? – proponuję, ale po wykrzywionej minie Olgi widzę, że nie był to strzał w dziesiątkę.

Chcę powiedzieć coś, co zniweluje złe wrażenie. Szukam w myślach odpowiednio szalonej propozycji, ale mam pustkę. Na szczęście od dalszej konwersacji wybawia mnie dzwoniący telefon.

– Przepraszam, muszę odebrać. Może to z obozu harcerskiego – tłumaczę i sięgam do torebki.

*

– Halo? – drżący głos Aleksandry zdradzał napięcie. Bała się, że coś się stało, że autokar, którym jej dzieci jechały na obóz, miał wypadek, albo że ośmioletni Kuba wpadł w histerię i zażądał natychmiastowego powrotu do domu. To był

jego pierwszy samodzielny wyjazd. – Halo?

– Aleksandra Wilk, z domu Chmielewska?

– Tak, przy telefonie.

– To dobrze. Cześć, Rudzielcu! Poznajesz mnie? – spytał bezczelny męski głos.

Nie rozpoznawała go, co sprawiło, że zestresowała się jeszcze bardziej.

– Kto mówi?!? Co to za głupie żarty?

– Żarty? No wiesz! – Mężczyzna roześmiał się. – To chyba ty sobie stroisz żarty! Rudzielcu, obiecywałaś przecież, że nie zapomnisz mnie do końca życia!

– Ja? – spytała, by zyskać na czasie.

W słuchawce zapanowała cisza. Olga zajęła się przeglądaniem kartotek pacjentów, a Aleksandra nerwowo przeszukiwała zasoby pamięci, z nadzieją, że uda jej się odnaleźć ten bezczelny ton i zestawić go z twarzą.

– No a kto, Rudzielcu? Kto mówił: „Seba, nie zapomnę cię do końca życia"?

Nagle sobie przypomniała. Po skończeniu podstawówki tylko jedna osoba odważyła się do niej zwracać tym przezwiskiem.

– Sebastian?

Dawno nie słyszała tego cwaniackiego głosu, ale nie zapomniała złożonej obietnicy.

Sebastian Adamczyk był jednym z najzabawniejszych wspomnień z jej przeszłości. Największy podrywacz w Poznaniu, grasował nie tylko na Akademii Medycznej, ale na wszystkich imprezach studenckich, i mieszał w głowach naiwnym przyszłym germanistkom, ekonomistkom i historyczkom.

– Albo coś ci się pomyliło… – Aleksandra zrobiła długą pauzę – albo moje życie już się skończyło. W każdym razie zapomniałam. Zapomniałam twoje oczy, zapomniałam twoje usta – zanuciła stary przebój Urszuli Sipińskiej. Zawsze odpłacała mu pięknym za nadobne, teraz nie mogło być inaczej.

– Dobra, dobra! I tak w to nie wierzę. Cześć, Rudzielcu, kopę lat!

– Kopę – powtórzyła. W tej sytuacji bycie drobiazgowym oznaczałoby doliczenie do kilkunastu lat i uzmysłowienie sobie, jak mocno się zestarzeli.

– Miło cię słyszeć. Nadal brzmisz seksownie.

– Czyżbyś organizował kolejny zjazd absolwentów medycyny i zapomniał, że kumplowałam się z wami tylko na doczepkę? Ale wiesz co, jest tu obok mnie Olga, mogę ci ją przekazać.

Olga odłożyła dokumentację i spojrzała pytająco na przyjaciółkę.

– Nie – zaprotestował Sebastian. – Tym razem mam ochotę na coś bardziej intymnego!

– Starzejesz się! Zwykle musiałeś mieć spęd, żeby wybrać sobie ofiarę! – Aleksandra pamiętała ich wspólne imprezy. Przyszli lekarze i ona – studentka psychologii z Uniwersytetu Adama Mickiewicza – stanowili grupę, która potrafiła bawić się na całego.

– Jeśli znowu wypomnisz mi, że z klubu wyszedłem z dwoma cycatymi

blondynkami, to się rozłączę…

– Już o tym zapomniałam.

– To dobrze. Słuchaj, musisz przyjechać do Łodzi.

– Kiedy? – spytała bez zastanowienia.

– Teraz.

– W jakim celu?

– Ty od razu musisz mieć konkretny cel i ustalony kontrakt terapeutyczny? Być może potrzebuję twojej pomocy? A może tylko się stęskniłem?

– Słuchaj, nie mam teraz czasu na głupoty.

– To nie są głupoty. To śmiertelnie poważna sprawa. Przyjedź. O której odebrać cię z dworca?

Pewność siebie i monotematyczność starego znajomego były nie do zniesienia. Aleksandra zapragnęła zakończyć rozmowę.

– Seba, ja naprawdę nie mam ani czasu, ani ochoty. Muszę już kończyć.

– Dobra, jeśli nie dla mnie, to dla niego.

– Dla kogo? Albo powiesz mi konkretnie, o co chodzi, albo się rozłączę.

– Chodzi o pacjenta. Mamy faceta z amnezją. Nie pamięta swojego nazwiska, ale za to ciągle powtarza twoje. W kółko: Aleksandra Chmielewska. Zna cię, może i ty go rozpoznasz. Przyjedź.

– Nie mogę, prześlij mi jego zdjęcie.

– Nie sądzę, by coś ci dało. Facet miał bliskie spotkanie z samochodem. Nie wygląda… zbyt reprezentacyjnie. Jest spuchnięty i posiniaczony. W takim stanie trudno byłoby rozpoznać własnego męża… tfu, to może porównanie trochę nie na miejscu. Rudzielcu, przyjedź. Bardzo mi zależy. Prowadzę badania nad amnezją. Muszę złapać z nim kontakt. Pomożesz mi, proszę…

– Jesteś świetnym specjalistą, poradzisz sobie sam. Nie mogę dłużej…

Uprzedził ją i nie pozwolił skończyć jej zdania.

– Słuchaj! – warknął, a z jego głosu zniknęła nutka rozbawienia. – Chciałem być uprzejmy, ale trudno. Pamiętasz, że wisisz mi przysługę?

Pomyślała, że Sebastian w ogóle się nie zmienił. Nadal nie lubił przegrywać i nie umiał przyjmować odmowy.

– Po prostu bądź uprzejma, wsiądź w najbliższy pociąg do Łodzi, odbiorę cię z dworca. Nie proszę o dużo, jedynie o odrobinę empatii. Pacjent nie jest zdolny przypomnieć sobie żadnych ważnych informacji dotyczących własnej osoby. A gdzieś tam czeka na niego… żona, kochanka albo matka. Rudzielcu, no! Przyjedź, zrewanżuję ci się obiadem. No, chyba że sama poprosisz mnie o coś więcej.

*

– Kino? Teatr? Trzy godzinki i do domu? Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Chodzi mi po głowie jakieś figo-fago. Faceci, zabawa, radość i spontan.

Cała Olga. Od lat definiuje rozrywkę w ten sam sposób. Zabawne niedopowiedzenia, radosny flirt, spontaniczny seks. Nie mogę jej jednak winić, to ja się zmieniłam. Wyszłam za mąż, urodziłam dwójkę dzieci i skupiłam się na prowadzeniu idealnego domu.

– À propos facetów… nie byłaś miła dla tego, co dzwonił. Czyżby to był doktor Adamczyk? – pyta dopiero teraz, chociaż strzygła uszami, kiedy udawała, że jest zajęta przeglądaniem papierów.

Przytakuję.

– O proszę! Zadzwonił do ciebie nasz poznański Matthew McConaughey! Facet ideał! Inteligentny i przystojny jednocześnie! Czego chciał?

Nie pozostaje mi nic innego poza nieszkodliwym przeinaczeniem faktów.

– Jeśli masz ochotę na spontan, facetów i przygody, to Seba zaprasza cię do siebie.

– I dzwonił do ciebie, bo jesteś moją sekretarką?

Olga nie jest głupia i nie daje się wkręcić. Chyba bardziej niż na przygodach zależy jej na spędzeniu czasu ze mną.

– No nie, dzwonił, bo chciał, żebym przyjechała do Łodzi. Chodzi o jakiegoś pacjenta z amnezją.

– O pacjenta czy o romans? Jesteś jedyną z naszej paczki, której nie zaliczył. Może Seba ma kryzys wieku średniego i postanowił nadrobić… Nieważne, jedziemy!

W błyskawicznym tempie podejmuje decyzję. Ona, nie ja. Chociaż nie. Ja już decyzję podjęłam.

Nie ruszam się z Poznania. Mam plan na kilka najbliższych dni. Umyję okna, posprzątam w szafach, ogarnę pokoje dzieci. Potrzebuję ciszy i spokoju. Poczucia, że nic nie muszę, nic mnie nie goni i że jestem tylko dla siebie. Poleżę w łóżku, pogapię się na telewizor i poczytam książki. Jest tyle świetnych tytułów, po które nie miałam czasu sięgnąć. Teraz to nadrobię.

Moja komórka ćwierka, informując o odebraniu nowej wiadomości.

– Czyżby wiadomość od gorącego Seby?

– Olga, przestań! Jestem poważną kobietą, w dodatku wdową. I jeśli zapomniałaś, nie jestem do wzięcia, mam informatyka. Nie wymyślaj więc seksualnych podtekstów.

– Ja wymyślam? Ja? Freuda się czepiaj! Dobra, to co z tym pacjentem?

– Amnezja. Nie wie, jak się nazywa. Seba przesłał mi właśnie jego zdjęcie. Faktycznie, twarz mężczyzny jest w takim stanie, że trudno go rozpoznać. Podobno w kółko powtarza moje imię i nazwisko panieńskie. Seba chce, żebym przyjechała i spróbowała nawiązać z nim kontakt.

– I świetnie. To dobry pretekst do wyskoczenia do Łodzi na weekend.

– Olga, ja nie potrzebuję pretekstów. Zostaję tutaj.

– Dobra, złe słowo. Nie pretekst, tylko powód, żeby zobaczyć go na własne oczy.

– Nie znam go, to co będę oglądać?

– To nie znasz czy nie możesz rozpoznać? Zdecyduj się, kobieto. Poza tym nie intryguje cię to, że on zna ciebie?

– Po sensacyjnych doniesieniach mediów związanych ze śmiercią mojego męża śmiem twierdzić, że wiele osób mnie zna. Przynajmniej z imienia i nazwiska.

– Nazwiska tak, ale nie panieńskiego. Kobieto, weź! Pojedziemy razem. Niedługo kończę dyżur i jestem wolna. Autostradą mykniemy w dwie godziny. Zajrzymy do Seby, pozwiedzamy miasto. Byłaś kiedyś w Łodzi?

– Olga, o co ci chodzi?

Do pokoju lekarskiego wchodzi pielęgniarka, a Olga odwraca się do mnie i już szeptem dokańcza:

– O to, żebyśmy nadrobiły stracony czas. Musisz odzyskać radość życia. Koniec żałoby.

– Tylko zmęczymy się podróżą.

– Im bardziej jestem zmęczona, tym bardziej czuję, że żyję. Ty nie?

– Olga…

– No co? Tak się składa, że mam klucze do łódzkiego apartamentu Marka. Jego tam teraz nie ma, więc nie będzie nas krępować. Możemy zaszaleć. Dzieciaki są na obozie, a zaniedbana przyjaciółka proponuje ci weekend w Łodzi. Odmówisz?

*

Aleksandra nie miała sumienia odmówić Oldze. Dopiero później przyszło jej się zmierzyć z następstwami takiej decyzji. O ile błyskawiczne spakowanie się na wyjazd nie było takie trudne, o tyle rozmowa z Krystianem już tak.

Krystian Kamiński pojawił się w jej życiu zupełnie niezauważony. Przez wiele lat funkcjonował w jej świadomości jedynie jako informatyk pracujący w firmie prowadzonej przez jej męża. Zjawiał się czasem w ich rodzinnym domu, by skonfigurować sprzęt lub pozbyć się bieżących problemów.

Dopiero po śmierci Gabriela zbliżył się do Aleksandry, zaoferował wsparcie i pomoc. Od tamtej pory ich znajomość rozwinęła się. Obecnie znajdowali się na etapie związku o nieustalonym potencjale na przyszłość.

Ceniła w Krystianie spokój i oddanie oraz to, że dbał nie tylko o nią, ale i o jej dzieci. Kuba go uwielbiał, a Weronika nie znosiła. Według niej nie spełniał podstawowych kryteriów atrakcyjności. I nie chodziło tylko o niechlujny sposób ubierania się, nadprogramowe kilogramy i przepraszający styl bycia. Był zupełnie inny niż jej ojciec, i to Weronikę drażniło najbardziej.

Aleksandra starała się nie czepiać szczegółów, ale rzeczywiście, w wielu

sytuacjach mogłaby przyznać rację córce. Na przykład dzisiaj rano, kiedy zjawił się w ich mieszkaniu, by zawieźć dzieci na autobus, ubrany był w sprane jeansy, koszulkę polo i pomarańczową bluzę. Wyglądał raczej jak wychowawca kolonijny, a nie ceniony specjalista.

Przypomniała sobie jego ciepłe spojrzenie i to, jak mocno ją przytulił, kiedy autobus z dziećmi znikał z pola widzenia. Poczuła wtedy wyrzuty sumienia – on dawał jej wszystko, czego potrzebowała, a ona…

– Co tak milczysz? – Olga ściszyła radio.

Pokonywały właśnie kilometry dzielące Łódź od Poznania. Słońce świeciło radośnie, samochód mknął autostradą, a w jego wnętrzu panował chłód, nie tylko za sprawą dobrze działającej klimatyzacji.

– Nic. Myślę o tym i o tamtym.

– Po twojej skwaszonej minie wnoszę, że raczej o tamtym, czyli o informatyku.

– Okropnie się wkurzył, że zepsułam mu plany. Podobno mieliśmy spędzić romantyczny weekend. Świeczki, kąpiel w wannie z płatkami róż, jedzenie na telefon. Te sprawy.

– Te sprawy? No, ja ci ich nie zapewnię, ale Sebastian może się postarać. Wcale nie dziwi mnie reakcja twojego informatyka. Też się wkurzałam, gdy mnie olewałaś. Ale spoko, za trzy dni wracamy. Nie uschnie. Najwyżej nabierze na ciebie jeszcze większego apetytu.

*

Urszula Zimińska po raz pierwszy rozglądała się po pchlim targu usytuowanym w Łodzi przy ulicy Dolnej, ale czuła się, jakby przychodziła tu regularnie. Nie przeszkadzali jej przepychający się między stoiskami ludzie, dochodzące z każdej strony odgłosy targowania się ani wszechobecny chaos.

W powietrzu unosił się zapach starości i to on sprawiał, że czuła się w tym miejscu komfortowo. Tak samo pachniało w domu jej babci, która lubiła otaczać się starymi przedmiotami. Tłumaczyła, że związuje się z nimi emocjonalnie i nie może ich wyrzucić, nawet wtedy, kiedy przestają być przydatne. To przemawiało do wyobraźni małej Urszuli. Zepsute krzesło nie było zwykłym sprzętem służącym do siedzenia, ale ulubionym krzesłem zmarłego dziadka. Zaśniedziały łańcuszek – najcenniejszą pamiątką po prababce, a wyblakła wyszywana poduszka – pierwszym rękodziełem babci.

Na stoiskach mijanych przez Urszulę było mnóstwo przedmiotów, które z pewnością mogły mieć dla kogoś sentymentalną wartość. Porcelanowe lalki, świeczniki, puchary, cukierniczki, szable, zegary, gramofony, winylowe płyty, medale i wszelkiego rodzaju meble.

Kobieta nie była w stanie określić, czy były to antyki, czy jedynie starocie. Wiedziała, że jej ojciec nazwałby je wszystkie rupieciami.

Zatrzymała się przy najbardziej obleganym stoisku ze starą bronią i płytami. Jej uwagę przykuł młody chłopak zupełnie niepasujący do otoczenia. Wyglądał na wielbiciela nowoczesności – na czubku starannie wygolonej głowy sterczała grzywka w kolorze jagodowym.

– Co za smród… – narzekał głośno. – Dobrze, że jesteśmy na teoretycznie świeżym powietrzu. Ojciec, nigdy nie zaciągniesz mnie na targ staroci w zamkniętej przestrzeni.

– Ciszej! – Starszy mężczyzna był wyraźnie zawstydzony. – Nie marudź, tylko się rozglądaj. Większość z tych przedmiotów została wyciągnięta ze śmieci. Ale im bardziej śmierdzą i są zaniedbane, tym lepszy interes zrobimy.

Urszula przez chwilę przysłuchiwała się rozmowie mężczyzn, a później poszła dalej. Kręciła się po targu właściwie bez większego celu. Wiara w to, że w końcu znajdzie to, czego szukała od kilku miesięcy, graniczyłaby z rozbrajającą naiwnością.

Właściwie doszła do ściany. W marcu dostała do analizy porównawczej pięć archiwalnych spraw dotyczących zabójstw starszych osób. Miała odpowiedzieć na pytanie, czy zbrodnie były ze sobą powiązane.

Bardzo dokładnie przeanalizowała zawartość akt, zapoznała się z opisami miejsc zbrodni, obejrzała zdjęcia, przyjrzała się obrażeniom, które sprawca lub sprawcy pozostawili na ciałach denatów. Na pierwszy rzut oka wszystkie sprawy rzeczywiście wydawały się do siebie pasować. Ofiarami były osoby samotnie mieszkające w domach jednorodzinnych. Zawsze z miejsca zdarzenia ginęły cenne przedmioty, a sprawca lub sprawcy ulatniali się niczym kamfora.

Po głębszej analizie każdej z nich z osobna doszła jednak do wniosku, że jedna nie pasuje do pozostałych. Śmierć Renaty Tomaszewskiej wydawała się być przypadkowa. Na miejscu zdarzenia brakowało śladów broni czy użycia innych środków przemocy niż ciało i siła sprawcy. Nikt nie groził kobiecie, nie przykładał do jej ciała noża czy pistoletu. To kazało przypuszczać, że nieuzbrojony zabójca wszedł do domu Renaty Tomaszewskiej z zamiarem odebrania jej jedynie pieniędzy i kosztowności, a nie życia.

– Może scyzoryk dla szanownej pani?

– Dla mnie?

– Każda dama powinna mieć w torebce takie cudo. – Ani się nie obejrzała, a starszy sprzedawca prezentował jej zardzewiałe ostrza scyzoryka. – Z czasów drugiej wojny światowej, zrobiony przez Walter Broch Nachf.

– Nie, dziękuję. Tylko się przyglądam…

– To może cukierniczka, koniec dziewiętnastego wieku? – Sprzedawca uznał, że stała przy jego stoisku na tyle długo, że zdecydowała się na zakup czegokolwiek.

– Nie, właściwie chodzi mi o biżuterię. Widzę, że ma pan jeden zegarek. Miewa pan czasem biżuterię?

– Zegareczek, o to szanownej pani chodzi? Trzeba było mówić od razu!

Starszy mężczyzna sięgnął po zegarek i zaczął opowiadać o nim z pasją. Urszula nie przerywała mu. Przyglądała się prezentowanemu egzemplarzowi, co jakiś czas wydając z siebie krótkie „aha". Dopiero kiedy mężczyzna zamilkł, oczekując na jej decyzję, przeszła do meritum:

– Widzę, że swój trafił na swego. Pełno tu ludzi, którzy sprzedają śmieci, myśląc, że na tym najszybciej się dorobią. W panu rozpoznaję prawdziwego wielbiciela historii. Jest pan z tego samego pokolenia co moja, świętej pamięci, ukochana babcia. Piękne ma pan rzeczy, ale szukam czegoś innego.

– A czego? Może pomogę?

Urszula miała w kieszeni policyjną blachę, ale wiedziała, że na pchlim targu więcej zdziała jako zafiksowana kolekcjonerka. Większość rzeczy oferowanych do sprzedaży w takich miejscach była podejrzanego pochodzenia. W najgorszym wypadku zostały wykradzione lub cichaczem wyniesione z domu krewnych, w najlepszym były zwyczajnymi rupieciami. To sprzedawcy dodawali do nich bajkowe opowieści o ich historii. Blaszany puchar wygrzebany ze śmietnika, wzbogacony informacją, że korzystano z niego na dworze szlacheckim najprawdopodobniej w połowie XVIII wieku, błyskawicznie zyskiwał na wartości.

– Interesuje mnie stara biżuteria.

– Chce pani sprzedać?

– Wręcz przeciwnie. Sprzedałam jakiś czas temu broszkę po babci jakiemuś facetowi. Wie pan, potrzebowałam gotówki. Załatwiłam co miałam załatwić, odzyskałam kasę i teraz chcę ją odkupić. Być może był u pana? Chciał sprzedać? Broszka w kształcie ważki?

– Jeśli pani nie kupuje ani nie sprzedaje, to ja nie pomogę. – Kiedy mężczyzna zrozumiał, że rozmowa nie prowadzi do transakcji, błyskawicznie stracił zainteresowanie Urszulą. Wokół jego stoiska kręciło się jeszcze kilka osób, którym mógł coś wcisnąć.

– Bardzo mi zależy… Może podpytałby pan kolegów? Potrzebuję wskazówki, gdzie mogę znaleźć tego faceta. Zapłacę z nawiązką. Sumienie nie daje mi spać. Muszę odzyskać tę broszkę!

– Trzeba było nie sprzedawać.

– Wiem, ale gdybym nie spłaciła długów za mojego męża, to połamaliby mu nogi. Proszę, niech mi pan pomoże. – Urszula zawiesiła głos, obserwując sprzedawcę. Informacja o połamaniu nóg nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. – To ja może kupię ten scyzoryk, w pakiecie z informacją? – zaproponowała.

– Proszę bardzo. – Sprzedawca uśmiechnął się i w skupieniu czekał, aż Urszula przekaże mu kilka banknotów. Dopiero wtedy odezwał się konspiracyjnym tonem: – Dawno nie miałem żadnej broszki, ale bywa tu taki jeden, który na stoiskach wyszukuje ciekawą biżuterię. Ma szerokie kontakty.

Może on pani pomoże.

*

– Zaraz będziemy w Łodzi! – Prowadząca samochód Olga ekscytuje się jak dziecko. Ewidentnie trudno jej usiedzieć za kierownicą. – Czujesz smak przygody?

Zmuszam się do uśmiechu.

Zamiast przygody, czuję smak porażki. Ktoś postawił mnie dziś między młotem i kowadłem. Między zawiedzionym Krystianem i zaniedbaną przyjaciółką. Musiałam dokonać wyboru, mimo że bardzo tego nie chciałam.

Do tego dochodzi poczucie bycia złą matką. Wypchnęłam dzieci na obóz, a sama rozbijam się po Polsce. Nie mogę pozbyć się sprzed oczu obrazu, kiedy Weronika i Kuba wchodzą do autobusu.

Wyjazd dzieci na obóz to jedna z najdziwniejszych chwil w życiu matki.

Ten moment, w którym docierasz na miejsce wyjazdu. Oglądasz inne dzieci, innych rodziców i zastanawiasz się, czy twoje dzieci poradzą sobie gdzieś tam bez ciebie, twoich rad i czujnego oka.

I stoisz na parkingu, obserwujesz, jak podekscytowane dzieci biegają wokół rodziców i myślisz sobie, że tak musi wyglądać koniec świata. Chaos. Hałas. Histeria.

W końcu dzieci pakują się do metalowej puszki, zajmują miejsca, zapoznają się i otwierają plecaki, w których odkrywają zapakowane na drogę słodkości.

Rodzice wtedy uświadamiają sobie, że nie są dzieciom do niczego potrzebni. Że to im jest smutniej, że oni za chwilę wrócą do pracy i codziennych obowiązków, a dzieci przeżyją być może przygodę życia.

Autobus odjeżdża, a rodzice przestają już machać, ale i tak nadal stoją w tym samym miejscu, jakby liczyli, że za chwilę autokar wróci, a dzieci powiedzą: tylko żartowałyśmy, nie chcemy zostawiać was na tak długo samych.

– Dokładnie dwie godziny. – Olga odzywa się znowu, gdy mijamy tablicę z napisem „Łódź". – Możesz się już wyluzować.

Miasto włókiennicze wita nas słońcem i chmarą czarnych ptaków, które właśnie wzniosły się w powietrze, sprawiając, że niebo na chwilę zmieniło swój kolor.

– No nie wiem. Te kruki, wrony, czy co tam było, wyglądały dość złowrogo.

– Złowrogie to jest twoje nastawienie. Wyluzuj, kobieto. Znajdź w sobie wewnętrzne dziecko. Miałaś zostawić sztywną panią psycholog w Poznaniu.

– Próbowałam. Sztywniara nie odpuszcza, widocznie złapała się rury wydechowej i jedzie z nami – żartuję.

Jestem samotną matką, ponad dwa miesiące temu wyszłam na prostą, pokonałam nawracającą depresję i odstawiłam leki psychotropowe. Mam prawo

być trochę bardziej spięta niż Olga.

– Olej sztywniarę. Zobacz, widać już nasze apartamenty.

Olga je widzi, a ja nie, chociaż bardzo się staram. Jej ręka wskazuje jakieś stare kamienice z czerwonej cegły.

– Mamiłaś mnie obietnicą noclegu w wypasionym apartamencie. Jesteś pewna, że nie pomyliłaś adresu?

Jestem sceptyczna. Wyluzowana i sceptyczna. Skręcamy w ulicę Kopernika. Nie ma tu nic luksusowego. Jedna odnowiona elewacja budynku, który jest hotelem, mała kwiaciarnia i kamienice, które trudno posądzić o cień luksusu.

– Spoko loko. Czekaj, która to była brama? – Olga rozgląda się – Tobaco Park, to tu!

*

– Przyznaj! Głupio ci, co? Zwątpiłaś w słowa przyjaciółki?

Aleksandra musiała przyznać Oldze rację. Kiedy zobaczyła ulicę Kopernika, pomyślała, że Olga przesadziła. Że mocno podkolorowała rzeczywistość, żeby skusić przyjaciółkę na wspólny wypad do Łodzi. Dopiero teraz – po otwarciu drzwi do apartamentu – uznała, że w słowach Olgi nie było odrobiny przesady.

– Głupio mi, ale cieszę się, że spędzimy ze sobą kilka dni i nadrobimy wszystkie zaległości.

Oczywiście, nie miało znaczenia, czy będą spały w slumsach, czy w pałacu. Dla Aleksandry ważniejsze było to, że noclegi nie będą jej nic kosztowały, i że los dał jej szansę na uratowanie przyjaźni, którą przez swoje nieodpowiedzialne zachowanie przysypała kurzem, a może i nawet cegłami.

– Kim jest ten twój Marek? – musiała zadać to pytanie, bo apartament dosłownie ociekał luksusem.

Obrazy w złotych ramach. Piaskowiec na ścianach. Przepiękne balustrady. Okazałe schody prowadzące na piętro, na którym znajdowały się kolejne pomieszczenia.

– Biznesmenem. To jego drugie, a właściwie pierwsze mieszkanie. Bo wiesz, on urodził się w Łodzi, mieszkał z rodzicami niedaleko stąd. Kupił sobie ten loft z myślą o swoim miejscu na ziemi, a zaraz potem pojawiła się szansa… i wyjechał do Warszawy. Teraz większość biznesów robi w stolicy, kupił tam sobie małe mieszkanko, a tu jedynie bywa.

– I spotyka się z tobą.

– Ale teraz jest w Barcelonie, wróci dopiero za tydzień.

– W Barcelonie?

– Ma jakąś konferencję czy coś.

– Czy coś? Nie interesują cię biznesy twojego faceta?

Matczyny ton, którym Aleksandra wypowiedziała pytania, rozbawił ją samą.

Zdała sobie sprawę, że przesadziła. Nadmiar ostrożności i nieufność były następstwem jej życiowych doświadczeń. Olga była przecież jej przyjaciółką, nie córką. Miała prawo do swojej oceny świata, swoich decyzji i swoich błędów.

– Przestań, nie wszyscy faceci są jak twój mąż.

– Masz rację. Zawsze potrafiłaś się nieźle ustawić.

Roześmiały się. Olga zajęła się rozpakowywaniem walizki, a Aleksandra zwiedzaniem apartamentu. Każde kolejne pomieszczenie onieśmielało ją luksusem i uwodziło dbałością o szczegóły.

– No no, Olga. – Po zakończonym zwiedzaniu Aleksandra znalazła Olgę w sypialni. – Apartament robi wrażenie. Złote ramy, złota umywalka, nowoczesny sprzęt kuchenny… Facet ma gest i dość specyficzny gust. Jak mi powiesz, że jest jeszcze inteligentny i przystojny, to umrę z zazdrości.

Pociągła twarz Olgi rozpromieniła się. Pasowała do tego miejsca – ciemne, zadbane włosy, długi nos, idealna cera i błyszczące szare oczy, w których widniała pewność siebie.

Aleksandra zazdrościła przyjaciółce prostych włosów i odwagi w pokazywaniu swojego ciała. Kolorowa sukienka podkreślała jej kobiece krągłości. Kończyła się tuż przed kolanem, odsłaniając nieziemsko zgrabne nogi. Bolesne ukłucie zazdrości budziła też dziecięca umiejętności wchodzenia w każdy nowy związek z czystą kartą. Bez uprzedzeń, bez obaw.

– Facet powinien być przynajmniej trochę ładniejszy od diabła… ale przecież mnie znasz i wiesz, że w diabłach również gustuję. Poza tym…. przystojny czy nie, każdy facet ma wady, a ja potrzebuję dodatkowych bodźców, żeby ich nie zauważać.

– Zdobytych facetów czy ich wad?

– Złośliwa żmijo, zbieraj się! Idziemy przyjrzeć się z bliska Sebastianowi. Ciekawe jak się postarzał?

*

– Dzień dobry. Przyprowadziłem moją koleżankę po fachu. To właśnie Aleksandra Wilk, z domu Chmielewska. – Sebastian Adamczyk przyglądał się twarzy mężczyzny, którego nazwiska nie udało się do tej pory ustalić. Poszkodowany w wypadku samochodowym leżał na swoim łóżku, wpatrywał się w sufit i wydawał się nie zauważać lekarzy. – Olu, to nasz tajemniczy pacjent.

– Dzień dobry. – Aleksandra skinęła głową.

Mężczyzna ani drgnął. Szpitalny sufit, ze swoimi zaciekami, plamami i brudami, wydawał mu się ciekawszy od kobiety.

Sebastian przyjął brak reakcji pacjenta z rezygnacją. Zakładał, że bodziec w postaci Aleksandry Wilk wytrąci go z pustki chociaż na chwilę. Nie oczekiwał całkowitego odwrotu amnezji, ale przynajmniej zrobienia jednego małego kroku.

– Chyba się przeliczyłem… Pacjent powtarzał twoje imię i nazwisko przez sen. Pomyślałem… – zaczął, lecz machnął ręką. – Znacie się?

Już na progu szpitalnej sali Aleksandra mogłaby zaprzeczyć, ale podeszła bliżej. W końcu nie po to jechała kawał drogi, żeby teraz jedynie zerknąć na ofiarę wypadku. Przyjrzała się mężczyźnie uważnie, chcąc z czystym sumieniem stwierdzić, że go nie zna.

Trudno było określić, jakie miał rysy twarzy, bo opatrunek zasłaniał większą część głowy. Widoczna część była posiniaczona i spuchnięta tak mocno, że skutecznie uniemożliwiała rozpoznanie. Jedno oko było zamknięte, a drugie wpatrywało się w sufit.

Lewą dłoń miał schowaną pod kołdrę, ale prawa nie sprawiała wrażenia spracowanej. Ogólna postura człowieka, jeśli można ją oceniać w pozycji leżącej, wskazywała na to, że mężczyzna nie przesadzał ze zdrowym trybem życia, ale jednak nie stronił od sportu. Nie było widać, żeby miał wyhodowany brzuch.

Nawet gdyby był dla niej kimś bliskim, miałaby problem ze stwierdzeniem ze stuprocentową pewnością, że to jej chłopak, brat czy ojciec. Jedyną rzeczą, jaka rzuciła się jej w oczy, był tatuaż.

Piękna jaskółka, umieszczona za lewym uchem mężczyzny, stała się jedynym punktem odniesienia dla Aleksandry.

– Nigdy wcześniej go nie widziałam – odpowiedziała. – Ani tego mężczyzny, ani jego tatuażu. Rozmawiałeś z nim? Może coś pomylił? Nazwisko, imię, a może chodzi o inną Aleksandrę Chmielewską?

– Może. Pacjent jest zmęczony, ale gdy wypocznie, to na pewno się do nas odezwie. – Sebastian powiedział to na tyle głośno, by usłyszał go leżący na łóżku mężczyzna, a po chwili dodał ściszonym głosem: – Rozmawiał z nim chirurg, zadał kilka pytań i nie uzyskał na nie odpowiedzi. Facet nie wie, kim jest, co się stało i co robił na tej drodze. Podobno kiedy zdał sobie sprawę z tego, że nic nie pamięta, przestał się odzywać.

– Uraz głowy?

– Neurologicznie jest czysty. Wydaje mi się, że to może być amnezja dysocjacyjna.

– Nie rozmawiałeś z nim i stawiasz diagnozę?

– Nie stawiam, jedynie wskazuję kierunek, nieskromnie przyznam, że o amnezji wiem wszystko…

Aleksandra roześmiała się wymownie. Sebastian od zawsze wiedział wszystko o wszystkim i wszystkich. Tak przynajmniej mówił, chociaż w jej ocenie tak też myślał. Miał się za nieomylnego i wspaniałego.

– Może to amnezja wsteczna?

Sebastian odsunął się od łóżka pacjenta, odwrócił do niego plecami i odezwał się wystarczająco głośno, by stojąca obok Aleksandra mogła go usłyszeć,

a jednocześnie na tyle cicho, żeby nie słyszał go pacjent.

– We wstecznej nie pamiętałby tylko tego, co wydarzyło się przed wypadkiem. Janek mówił, że zanik pamięci jest szerszy. Wykluczono udar, Alzheimera, krew mu się nie leje do łba. Mówię ci, że to nie jest amnezja organiczna. Jeśli zaniku pamięci nie spowodował uraz fizyczny, a to założenie potwierdzają badania, to oznacza, że przyczyną może być silny uraz psychiczny.

– Psychiczny? Proszę cię! Tak bardzo przestraszył się nadjeżdżającego samochodu?

– Spójrz na to szerzej! Osoby z amnezja dysocjacyjną mają zwykle przed wystąpieniem zaburzeń poważne kłopoty. Małżeńskie, finansowe, zawodowe.

– Nie wiesz, czy je miał.

– Jeszcze nie, bo nie wiemy, jak się nazywa. Ale są cztery cechy utraty pamięci, które różnicują amnezję dysocjacyjną od organicznej. Po pierwsze, w dysocjacyjnej występuje utrata przeszłości zarówno bliskiej, jak i odległej. Pacjent nie pamięta, co zdarzyło się godzinę temu i czy ma rodzeństwo. Po drugie, co w tym wypadku jest najwyraźniejsze, osoba nie pamięta własnej tożsamości, ale nienaruszony został magazyn wiedzy ogólnej…

– Nie ucz ojca pacierza. Przypominam ci, że jestem psychologiem – spojrzała na niego wymownie i podeszła do okna.

Protest Aleksandry spowodowany był tym, że Sebastian potraktował ją jak laika. Studiowała psychologię i dobrze wiedziała, co oznaczają pojęcia, którymi się posługiwał.

– Chciałem jedynie podkreślić – podszedł do niej – że osoby z amnezją organiczną zwykle tracą zarówno wiedzę osobistą, jak i ogólną.

– Tak, i nie tylko nie wiedzą, jak się nazywają, ale również nie pamiętają, jak nazywa się obecny prezydent.

– Może to i dobrze? Nieważne. Po trzecie, osoby z amnezją psychogenną nie mają amnezji następczej…

– Czyli nasz tajemniczy pacjent jutro będzie pamiętał, że chciałeś mnie przekonać do swojego punktu widzenia.

– Jeszcze nawet nie zacząłem cię przekonywać. – Sebastian zalotnie przewrócił oczami.

– Po czwarte… o ile pozwoli mi pan, panie doktorze, kontynuować… – pozwoliła sobie na odrobinę ironii – amnezja dysocjacyjna często się cofa. Sama. Nagle.

Otworzył usta, by odpowiedzieć jej równie złośliwie, ale dokładnie w tym momencie zadzwoniła jego komórka.

– Przepraszam. Poczekaj tu na mnie – rzucił w jej stronę i wybiegł z sali.

*

Zostaliśmy razem. Sam na sam. On – facet z amnezją, i ja – kobieta z przeszłością. Nie będę gapiła się w sufit, więc odzywam się spokojnie i łagodnie, z nadzieją, że zechce mi odpowiedzieć.

– Być może banalnie to zabrzmi, ale rozumiem, co czujesz. Jakiś czas temu ocknęłam się w samochodzie i dotarło do mnie, że nie wiem, co działo się przez ostatnie kilka dni.

Nie zamierzam go diagnozować, ale nie chcę też ignorować. Jest człowiekiem, nie warzywem. Świadomie rezygnuję z formy grzecznościowej. Nie chodzi mi o budowanie dystansu i bezpiecznej strefy. Chcę go pobudzić, zaintrygować i sprawdzić jego formę intelektualną.

Oczywiście nie mam zamiaru dyskutować z Sebastianem i wynikami badań neurologicznych, ale życie nauczyło mnie ostrożności. Organizmy ofiar wypadków dostarczają niepotrzebnych zwrotów akcji. Przyrządy czasem nie wykrywają małego krwawienia albo przeoczają krwiaki. Sytuacja z powypadkowymi zwykle jest dynamiczna i zmusza lekarzy do weryfikacji pierwotnej diagnozy.

– No dobra, nie byłam aż w tak kiepskiej sytuacji jak ty. Nie miałam bliskiego spotkania z pędzącą maszyną. Wyglądałam dużo lepiej… ale mówią, że wygląd to nie wszystko.

Odwraca głowę w moją stronę. Jedno niebieskie oko wpatruje się we mnie przez chwilę, a ja zyskuję pewność, że moje słowa docierają do niego. Co więcej, on nie tylko je słyszy, ale również rozumie.

– Kim jest Aleksandra Chmielewska, którą wzywasz przez sen? Jeśli chcesz, mogę pomóc ci ją znaleźć – proponuję bez zastanowienia. Widzę, że reaguje, być może dlatego idę dalej. – To twoja dziewczyna? Żona? Siostra?

Mruga i znowu zerka na mnie. Zauważam w jego spojrzeniu nadzieję. Niewielką iskierkę, z której może powstać ogień, ale równie dobrze można ją jeszcze zdmuchnąć.

Siedzimy w ciszy, obserwując się wzajemnie. Nie wiem, czy trwa to kilka minut, czy kilka sekund.

– Nawet jeśli nie pamiętasz, to nie jest powód do tego, żeby się przejmować. Doktor Adamczyk jest świetnym specjalistą. Jeśli tylko zechcesz z nim porozmawiać, na pewno ci pomoże. Wbrew pozorom, problemy z pamięcią przytrafiają się dużo większej liczbie osób, niż myślisz.

Produkuję się, a on milczy. Przez głowę przelatuje mi myśl, że przecież to nie jest mój pacjent, nie mój szpital, nie mój problem. Przyjechałam z Olgą do Łodzi, żeby sprawdzić, czy znam faceta. Nie znam. Mogę więc wrócić do Olgi i skupić się na zwiedzaniu ulicy Piotrkowskiej.

Kiedy przed wyjazdem z Poznania starałam się wytłumaczyć Krystianowi, że nie spędzę z nim weekendu, bo jadę z przyjaciółką do Łodzi, odpowiedział oburzony, że w Łodzi nie ma nic do oglądania. Oczywiście poza Piotrkowską,

a ją można przejść w pół godziny.

– Są gorsze problemy niż chwilowy zanik pamięci. Odpoczywaj. Do widzenia.

– Chcesz mnie zostawić? – zachrypnięty męski głos dogania mnie przy drzwiach. Teraz ja się odwracam.

Nie wiem, kto jest bardziej zdziwiony tym, że się odezwał. Ja czy on? Sebastian mówił, że pacjent nie odzywa się do nikogo.

– Nie pracuję w tym szpitalu, ale masz tu bardzo dobrą opiekę. Muszę wracać do domu.

– Poznań nie zając, nie ucieknie – chrypi, a mnie wszystkie włosy stają dęba.

Poznań? Jaki Poznań? Skąd nieznajomy facet wie, gdzie mieszkam? Mam to wypisane na twarzy? Poznanianka – skąpa, zorganizowana i punktualna?

– Słucham?

– Musimy porozmawiać.

– My?

– Musisz zostać w Łodzi i mi pomóc!

II
piątek

Dobry Boże,
zgrzeszyłem. Staję jednak przed Tobą ze wszystkim, co przeżywam, i wierzę, że tylko bycie blisko Ciebie pomaga mi znaleźć w sobie siłę do opierania się pokusom i obrazom z przeszłości. Boże, dzięki Twojej miłości mogę przeżyć kolejny dzień. Dziękuję Ci za to. Postaram się uczynić moje życie jak najlepszym. Takim, żeby jak najbardziej podobało się Tobie i by było z jak największym pożytkiem dla drugiego człowieka. Wspomóż mnie, Boże, żebym wytrwał w swoim postanowieniu i, proszę, spraw, abym przestał pamiętać o tym, co złe. Obudź we mnie autentyczne pragnienie świętości i ześlij na mnie dar łaski.
Amen.

*

Zaraz po przebudzeniu Urszula Ziemińska sięgnęła po leżący na nocnej szafce wycinek z gazety.

– Zwłoki znanej aktorki Renaty Tomaszewskiej znaleziono w poniedziałek w jej mieszkaniu – czytała na głos, chociaż właściwie mogłaby recytować go z pamięci. Zerkała na kserokopię sierpniowego wydania Gazety Łódzkiej z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku każdego ranka od niemal stu dni. – Policja podejrzewa, że śmierć artystki związana jest z napadem rabunkowym na jej dom. Nie wiadomo jeszcze, co było przyczyną zgonu. Zwłoki kobiety odnalazła bliska znajoma, która przyszła odwiedzić Tomaszewską w poniedziałek po południu. Ponieważ nikt nie otwierał drzwi, poprosiła o pomoc sąsiada Tomaszewskiej. Razem weszli do środka, a w sypialni odnaleźli ciało. Policja poszukuje sprawcy lub sprawców. Wszystkich, którzy dysponują informacjami, prosimy o zgłoszenie się do redakcji gazety lub na najbliższy komisariat.

Za oknem bezchmurne niebo i promienie słoneczne zapowiadały kolejny ciepły dzień. Korony drzew poruszane wiatrem falowały delikatnie. Urszula lubiła taką pogodę. Słońce dodawało jej optymizmu, a delikatny wiatr ułatwiał

funkcjonowanie w mieście. Upały znosiła jedynie na plaży, kiedy mogła zanurzyć nogi w lodowatym morzu.

Zwykle nie oglądała prognoz pogody, bo uważała, że wiarygodność słów pogodynek była taka sama, jak przepowiednie wróżek. Wczoraj jednak do kolacji włączyła telewizor i zatrzymała się na prognozie tylko dlatego, że ładna blondynka prezentowała mapę Polski z zaznaczonymi rekordowymi sierpniowymi temperaturami. Zapamiętała, że w dziewięćdziesiątym czwartym w Słubicach odnotowano ponad 38 stopni Celsjusza, a w sześćdziesiątym czwartym w Szczecinku 0,1 stopnia na minusie.

– Policja poszukuje sprawców! – Zaśmiała się gorzko, wychodząc z łóżka.

Od publikacji tamtego artykułu minęło ponad dwadzieścia lat. Policja przestała szukać. Prokuratura umorzyła śledztwo z racji niewykrycia sprawców. Gdzieś tam, na wolności, żył morderca Renaty Tomaszewskiej, a Urszula była jedyną osobą, której jeszcze zależało na jego odnalezieniu.

Na blacie kuchennym zostawiła wczoraj zdjęcie wyjęte z policyjnych akt. Mieszkała sama, jak Tomaszewska, mogła więc przynosić pracę do domu, nie przejmując się, że zdradza sekrety śledztwa lub naraża bliskich na makabryczne widoki.

Twarz denatki była blada, a jej szyja fioletowo-sina. Broniła się, tego Urszula była pewna. O tym świadczył między innymi układ rąk denatki. Do ostatnich chwil broniła się. Wiedziała, że nikt jej nie pomoże.

– Znajdę go, pani Renato – obiecała, zerkając w niebo.

*

– Ulica Piotrkowska jest dla Łodzi tym, czym dla Nowego Jorku Piąta Aleja. Poza tym łódzkie śródmieście ma, podobnie jak Manhattan, charakter linearny. Zobacz, wszystko jest idealnie równe, jak od linijki. Ulice przecinają się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. – Olga, nie zważając na koszyk z pieczywem i talerzyk z wędlinami, położyła na stole przewodnik turystyczny, który właśnie czytała.

– Hmm. – Aleksandra zerknęła na kolorowy plan miasta, nie przerywając jedzenia.

– Ład i porządek, normalnie jestem pod wrażeniem. Rozumiem, gdyby Poznań miał taki układ. My jesteśmy dokładni i drobiazgowi… ale Łódź? No dobra, może przesadzam, w końcu to tutaj niezwykle dynamicznie rozwijał się dziewiętnastowieczny kapitalizm. Wiesz o tym, że jeszcze w tysiąc osiemset pięćdziesiątym roku Łódź była osadą rolniczo-rękodzielniczą? Miała trzy tysiące mieszkańców i, uwaga, aż siedemset drewnianych domów, a mimo to stała się spełnieniem amerykańskiego snu o potędze. Sześćdziesiąt lat później senna wioska zmieniła się w tętniącą życiem metropolię, mieszkańców było już pół

miliona, a domów czternaście tysięcy. Nieźle, co? Na przełomie XIX i XX wieku Łódź odnotowała najbardziej intensywny rozwój, w tamtych czasach tylko Chicago rozwijało się szybciej.

Olga była podekscytowana rozpoczynającym się dniem i nie mogła doczekać się, kiedy po śniadaniu wyjdą z domu i zaczną zaprzyjaźniać się z miastem. Wszystkie jej poprzednie pobyty w Łodzi zaczynały i kończyły się tak samo. Jedynymi punktami, które miała okazję zwiedzić, były luksusowa restauracja oraz apartament Marka. To w nim spędzała weekendy, oddając się cielesnym rozkoszom. Oczywiście nie miała nic przeciwko rozkoszom, ale nie lubiła monotonii. Proponowała więc wyjście na miasto, a Marek tłumaczył, że szkoda mu czasu na głupoty. On skupiał się na seksie, a ona poszukiwała nowych doznań. Także wzrokowych.

Kiedy uprawiali seks na stole w jadalni znajdującej się przy drewnianych schodach, mogła podziwiać kutą balustradę, dwie okrągłe lampy i ogromne okno ze szprosami, które kiedyś było oknem fabryki wyrobów tytoniowych. Wnętrze powstałe w obiekcie przemysłowym, w którym kiedyś pracowali ludzie, fascynowało ją i pobudzało apetyt na poznanie tego miasta.

Zamiast zwiedzać miasto, zwiedzała z Markiem kolejne pomieszczenia w Tobaco Parku i przyglądała się z bliska ceglanym ścianom w salonie, kominkowi, sprawdzała wytrzymałość kolumny, która podtrzymywała strop, miękkość materaca w biało-czarnej sypialni i pojemność kabiny prysznicowej w złoto-czarnej łazience.

– Od czego zaczniemy? Centralne Muzeum Włókiennictwa, by poczuć ducha Ziemi Obiecanej? A może pójdziemy śladami Wajdy? Księży Młyn, ceglane familoki sąsiadujące z ogromną fabryką z czerwonej cegły, w której znajdują się wieże będące przykładem „gotyku po łódzku”? A może masz ochotę na zakupy w Manufakturze?

Aleksandra siedziała wpatrzona w nieokreślony punkt, od czasu do czasu popijając sok porzeczkowy. Wyglądała, jakby ciało zostawiła przy stole, a myślami była w zupełnie innym miejscu. Otaczające jej twarz rude loki pozostawały w nocnym nieładzie.

– Cieszę się, że przyjechałyśmy tu razem, a ty?

– Co? – odezwała się dopiero po kilku minutach, kiedy zorientowała się, że zapadła cisza, a przyjaciółka wpatruje się w nią wyczekująco.

– Coś taka zamyślona? Jaram się i planuję, co zobaczymy, a ty siedzisz taka nieobecna.

– A nic. Myślę tak sobie. No wiesz. Mówiłam ci wczoraj. Odezwał się do mnie i spojrzał tym swoim jednym okiem…

– Ciągle myślisz o tym spuchniętym?

– Skąd wiedział, że mieszkam w Poznaniu? Kim jest? Jak się nazywa? No i co najważniejsze, dlaczego zamilkł, kiedy do sali wrócił Sebastian?

– Wczoraj miałyśmy ciężki dzień. – Olga nie zamierzała odpowiadać na pytania przyjaciółki. Zależało jej na jak najszybszej zmianie tematu. – Podróż. Upał. Wrażenia, stres. Może ci się wydawało? Zmęczona byłaś. Łykasz jeszcze te pigułki? Wyluzuj.

*

Wyluzuj, wyluzuj. Łatwo powiedzieć.

Oczywiście, zgadzam się z Olgą. Ciągle roztrząsanie natrętnych myśli nie sprzyja ani dobrej formie psychicznej, ani podejmowaniu odpowiednich decyzji.

Pigułki to przeszłość. Jeszcze rok temu wydawało mi się, że mnie uspokajały i eliminowały lęki. Dziś o wiele więcej energii czerpię z tego, że jestem czysta. Naprawdę, nie ma większej odwagi niż przyjmowanie życia na trzeźwo. Takim jakie jest.

– Na pierwszy rzut proponowałabym pałac Poznańskiego. Nazywają go tutaj łódzkim Luwrem.

Łódzki Luwr, łódzki Manhattan… Że też ludzie muszą tytułować tak miejsca, które są miernymi podróbkami tych prawdziwych. Widziałam kiedyś kreteńską Wenecję. Boże, od razu odechciało mi się jechać do Włoch. Po co miałabym wydać tyle pieniędzy? Żeby zobaczyć kilka kamienic położonych przy wodzie?

I jeszcze ta Piotrkowska jako łódzka Piąta Aleja. Zauważyłam w drodze do mieszkania faceta Olgi, że część łódzkich ulic nosi nazwę Aleja… Aleja Włókniarzy, Aleja Kościuszki, Aleja Mickiewicza, Aleja Piłsudzkiego. Milion alei w mieście, które chciałoby być Nowym Jorkiem.

– Zapnij pasy.

Pasy? No tak, nawet nie zauważyłam, kiedy wyszłyśmy z mieszkania, dotarłyśmy do hali garażowej i wsiadłyśmy do auta.

– Tak jest. Olga?

– No?

– Możemy najpierw podjechać na chwilę do szpitala? – zaczynam delikatnie, bo nie chcę sprawić przykrości podekscytowanej przyjaciółce. Jest już tak skoncentrowana na zwiedzaniu, że każde pięć minut zwłoki może wywołać u niej fizyczny ból.

– Nie bardzo, zamówiłam już bilety, bo w pałacu mieści się Muzeum Historii Miasta. Szpital możemy załatwić po wszystkim, jeśli nie daje ci spokoju.

Rzeczywiście nie daje i to do tego stopnia, że nie widzę sensu włóczenia się po jakimś muzeum.

– Wiesz, że ten Poznański to był śmieszny gość. – Olga trajkocze jak przekupa. – Marek opowiadał mi taką anegdotę, że kiedy Poznański zatrudnił architekta, by zaprojektował mu pałac, to ten zapytał zleceniodawcę o to, w jakim stylu ma być nieruchomość. Jak to w jakim, odpowiedział podobno Poznański. Mnie stać

na wszystkie style…

– Olga, muszę skoczyć na chwilę do szpitala. Teraz.

Na krótką chwilę przestaje mówić, ale nie patrzy mi w oczy. Atmosfera w samochodzie zagęszcza się.

– Przepraszam – dodaję, bo chcę, żeby wiedziała, że liczę się z jej uczuciami.

Kierowana wyrzutami sumienia pozwoliłam Oldze na zbyt wiele. Nasza relacja powinna wrócić do stanu równowagi, a nie przechylać się jak szala wagi, raz w stronę zaniedbywania Olgi, raz w stronę pozwalania jej na wszystko.

– Przecież ten spuchnięty ci nie ucieknie – warczy.

– Muzeum też nie.

Wyjeżdża z hali garażowej. Pokonuje puste alejki Tobaco Parku i włącza się do ruchu ulicznego.

Nie odzywa się. To dobry znak. Pewnie myśli… Ciekawe, czy to samo co ja.

Jedziemy. To trwa zbyt długo. Muszę przełamać impas.

– Proponuję kompromis. Rozdzielimy się na godzinę. Ja załatwię szpital sama, a ty pochodzisz po muzeum. Opowiesz mi wszystko, a może nawet uda mi się do ciebie dołączyć. Całą resztę dnia spędzimy razem, a ja ani słowem nie wspomnę o spuchniętym, dobra?

– Ani słowem. – Twarz przyjaciółki wzbogaca szeroki uśmiech. – Bo… bo… bo za karę pójdziesz ze mną potańczyć do klubu!

– Nadal ci się wydaje, że umiesz tańczyć?

– No pewnie! – Z Olgi uchodzi całe napięcie.

Ze mnie również. Pełna wyrzutów sumienia i zgadzająca się na wszystko Aleksandra została gdzieś z tyłu, za nami. Wróciłam do swojej starej roli. Normalnej, może trochę wrednej i sarkastycznej przyjaciółki.

Olga zatrzymuje samochód na poboczu i instruuje mnie, jak trafić do szpitala. Prosto, w prawo i…

Moja pamięć zacina się na trzeciej komendzie. Prawo, lewo, prawo? Nieważne, dopytam po drodze.

Za mniej więcej kwadrans zobaczę się z tym dziwnym pacjentem, którego tajemnicze spojrzenie mam ciągle w pamięci.

Kiedy zamykam oczy, w tym mieście nawiedzają mnie duchy przeszłości… obrazy, które dawno temu wyrzuciłam z pamięci. Ciąg skojarzeń przenoszący mnie błyskawicznie do czasów burzliwej młodości.

Owsiak w żółtej koszuli, okularach z czerwonymi oprawkami i kolczykiem w lewym uchu.

Scena najpiękniejszego festiwalu świata z dwoma wieżyczkami, na szczycie których powiewały białe flagi z czerwonymi sercami.

I bezdomne koty buszujące po śmietniku znajdującym się zaraz przy łódzkim dworcu.

*

– Królestwo: zwierzęta, typ: strunowce, podtyp: kręgowce, gromada: ssaki, rząd: drapieżne, rodzina: kotowate, gatunek: kot domowy.

Piętnastoletnia Ola siedziała na krawężniku i obserwowała scenę z życia bezdomnych kotów, jednocześnie przypominając sobie, czy pamięta coś z systematyki, której uczyła się na biologii.

Był początek sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Zwykle dziewczyna podczas wakacji nie zaprzątała sobie głowy myślami o szkole i sprawach z nią związanych, tym razem jednak wszystko było inne niż w poprzednich latach.

Od dwóch tygodni była na gigancie. Miała dość swojego domu, wiecznie skwaszonej miny matki i despotycznego ojca. Kiedy zakazali jej wyjazdu na Przystanek Woodstock, płakała przez trzy dni, aż w końcu spakowała się i zabrała ze znajomymi do Czymanowa. Festiwal muzyczny dostarczył jej mnóstwa potrzebnych doznań, a hasło: Miłość Przyjaźń Muzyka dodało jej siłę do walki z rodzicami. Zamiast wrócić do domu szesnastego lub siedemnastego lipca, ruszyła w Polskę. Mieszkała to tu, to tam. Szwendała się po miastach, rozmawiała z ludźmi i czekała, aż ojciec i matka zaczną jej szukać.

Chciała pokazać im, że jest dorosła, i ukarać za to, że nie dość, że nie obdarowali jej swoją miłością ani przyjaźnią, to jeszcze chcieli odebrać jej muzykę. Marzyła o tym, że rodzice w końcu uświadomią sobie, że jest dla nich kimś ważnym.

Niestety. Dni mijały, a ona nadal była na gigancie. Coraz bardziej głodna, brudna, zmęczona i załamana tym, że nikt jej nie szuka. Przemieszczała się po Polsce autostopem. Poznawała nowych ludzi i miejsca, do których nigdy wcześniej nie udało jej się dotrzeć.

Do Łodzi dotarła z zamiarem znalezienia skłotu, o którym słyszała na Woodstocku. Liczyła, że będzie mogła się w nim zatrzymać, być może na dłużej. Nie było to jednak łatwe. Nie znała adresu, a łodzianie zatrzymywani przez Olę, nie potrafili jej pomóc.

– Bezdomne koty domowe. – Gra słów ją rozbawiła.

Zwierzęta były tak mocno zajęte poszukiwaniem jedzenia w śmietniku, że zdawały się nie przejmować ludźmi przechodzącymi obok nich. Ola zaczęła się zastanawiać nad tym, czy futrzaki są oswojone, czy tak bardzo głodne. Matowa i miejscami wygryziona sierść oraz zapadnięte boki wskazywały raczej na drugą możliwość.

Nagle najmniejszy z gromady kotów stojący na szczycie śmietnika zanurkował w śmieciach. Po chwili wynurzył się, trzymając w pysku spory kawałek kurczaka. Nie zastanawiając się długo, zeskoczył na ziemię i zaczął rozglądać się za miejscem, w którym w spokoju mógłby skonsumować zdobycz.

Błyskawicznie dopadły go jednak inne koty. Nie pozwoliły, by tylko jeden z nich się najadł. Zjeżonymi grzbietami i przeraźliwym piskiem odstraszyły najpierw najmniejszego z nich, a później zaczęły walczyć między sobą.

– Świetnie, nawet u głupich kotów sprawdza się zasada, że pewne siebie osobniki osiągają to, co chcą, a grzeczne i nieśmiałe… mogą jedynie marzyć. Musisz być twarda, musisz być twarda, musisz być twarda – powtarzała jak mantrę.

Po czternastu dniach spędzonych na ulicy wiedziała już, że człowieka od zwierzęcia nie różni nic, poza przekonaniem, że jest lepszy… Na ulicy zamiast dziesięciu przykazań bożych obowiązywał kodeks ginącej piątki: kradnij lub zgiń, oszukuj lub zgiń, miej refleks lub zgiń, myśl tylko o sobie lub zgiń, w najgorszym wypadku zabij lub zgiń.

*

Urszula Zimińska siedziała na najbardziej niewygodnym krześle w swoim życiu. Dałaby sobie rękę uciąć za to, że pojawiło się ono w gabinecie naczelnika po wymianie osoby piastującej tę funkcję.

– Nie lubię się powtarzać, ale dla ciebie zrobię wyjątek. Zostaw sprawę zabójstwa z dziewięćdziesiątego piątego! Gdybyś nie potrafiła odróżnić tonu proszącego od rozkazującego, dopowiem, pozbawiając cię resztek złudzeń. To polecenie. Służbowe! Zrozumiano?

– Tak jest – odpowiedziała.

– Nie słyszałem?

– Tak jest! – powtórzyła głośniej.

Postać naczelnika Waldemara Baraniaka budziła w podwładnych mieszane uczucia. Jego zachowanie było karykaturalnie przerysowanym połączeniem dwóch różnych osób – wizualnie przypominał prokuratora, bohatera serialu „Gliniarz i Prokurator", a zachowywał się jak porucznik Harris z filmu „Akademia Policyjna". Był duży, łysawy, miał małego wąsa, wielki brzuch i wiecznie niezadowolony wyraz twarzy. Poruszał się powoli, być może dlatego lubił otaczać się ludźmi, którzy mu nadskakiwali i przybiegali na każde zawołanie, by okazać mu swoje oddanie.

Urszula nie okazywała Baraniakowi entuzjazmu, czym narażała się na słowne docinki przełożonego i zachowania ocierające się o mobbing. Udawała, że ich nie zauważa i że nie dociera do niej to, że jej płeć jest jednym z największych przewinień.

Zdawała sobie sprawę z tego, że jest trybikiem w ogólnopolskiej firmie zwanej policją, a zmiany personalne na stanowiskach kierowniczych trzeba akceptować, a nie oceniać. Poza tym sama sobie wybrała profesję, w której bycie kobietą automatycznie łączy się z dyskryminacją.

– Nie przekonałaś mnie.

Wzruszyła ramionami. Zajęła się sprawą zabójstwa Renaty Tomaszewskiej, bo poczuła intrygujące zauroczenie ofiarą. Z jednej strony denatka przypominała jej babcię, z drugiej była tak samo niezależna, odważna i zdystansowana do otoczenia jak Urszula. Jej ówczesny przełożony miał do niej pełne zaufanie. Dawał jej zielone światło na wszystko. Doceniał pracę, jaką wykonywała i talenty, którymi dysponowała.

– Mam coś dla ciebie. W razie gdybyś nie wiedziała, co zrobić z wolnym czasem, którego będziesz miała mnóstwo po zastosowaniu się do mojego polecenia. Służbowego! – podkreślił Baraniak. – Stara sprawa, spodoba ci się.

Z dumą wyjął spod biurka okazałą stertę akt, położył je na blacie i z szelmowskim uśmiechem przesunął w stronę policjantki.

Urszula uniosła się delikatnie z krzesła, nie po to, by zerknąć na akta, ale by zmienić pozycję. Mebel uwierał ją w tyłek.

– Chciałabym jedynie przypomnieć, że dotychczas wykazywałam się wysoką skutecznością i efektywnością. Obie te cechy spowodowane były przede wszystkim tym, że miałam wolną rękę w dobieraniu sobie spraw, którymi zajmuję się w ramach pracy specjalnej grupy.

– Specjalnej grupy? Masz na myśli to wasze Archiwum X? Przecież ja nie zamierzam wam przeszkadzać. Mówię jedynie, że właśnie w ramach specjalnej grupy macie zająć się tą sprawą. – Baraniak przesunął akta jeszcze bardziej w stronę policjantki. – Też jest stara, też nierozwiązana, a o wiele bardziej interesująca niż to twoje zabójstwo.

– To zabójstwo niedługo się przedawni. Nie możemy tak po prostu tego zostawić. W profilu sprawcy z dziewięćdziesiątego piątego roku było typowanie. Jeśli uda mi się…

– Stop! W ogóle nie chcę o tym rozmawiać. Wyraziłem się przecież jasno. Koniec gadania o zabójstwie tej starej baby. To było ponad dwadzieścia lat temu. Zabójca jest o dwadzieścia lat starszy, może nawet już nie żyje. A jeśli żyje, to pewnie siedzi za podobne przestępstwo. Ta ofiara nikogo nie interesuje. Sprawa, którą masz zbadać, dotyczy ważnej łódzkiej rodziny.

– Ta ofiara, która niby nikogo nie interesuje, była człowiekiem. Samotną starszą kobietą. Pewnie gdyby miała rodzinę, gdyby jej dziecko wisiało nad policjantami, śledztwo potoczyłoby się zupełnie inaczej. Renata Tomaszewska mogła być moją babcią, albo matką naczelnika…

Urszula znajdowała się na takim etapie śledztwa, w którym się nie odpuszcza. Na pchlim targu udało jej się ustalić adres mężczyzny, który mógł wnieść coś do sprawy. Wiedziała, że w słownej utarczce z przełożonym nie ma nic do stracenia. Tak czy tak będzie zajmowała się tą sprawą. Teraz walczyła o to, by móc się nią zajmować oficjalnie.

– Kobiety nie powinny pracować w policji, podchodzą do spraw zbyt

emocjonalnie. Moją babcią? Była zwykłą starą babą, jakich jest bez liku. Nikt nie stracił na jej śmierci!

– A wielu zyskało? – ironizowała. – Płeć nie ma tu żadnego znaczenia. Po świecie chodzi gdzieś człowiek, który nie odpowiedział za zabójstwo samotnej kobiety, ikony mody, kreatorki gustów i znanej łódzkiej aktorki teatralnej.

– Nie mam więcej czasu na czcze dyskusje z niestabilnymi emocjonalnie policjantkami. Jeśli ustalę, że nadal się tym zajmujesz… – Baraniak ścisnął usta i zacisnął pięści. – Pożałujesz. W szybkim czasie oczekuję postępów dotyczących sprawy, którą właśnie oficjalnie ci przekazałem. Żegnam.

*

Podczas energicznego marszu Aleksandra przeanalizowała w myślach wszystkie kierunki, w których mogła potoczyć się rozmowa z pacjentem bez tożsamości. Pewna siebie i gotowa na czołowe zderzenie, dotarła na szpitalny korytarz.

Chirurgia żyła swoim porannym rytmem. Oprócz chorych, pielęgniarek i lekarzy po oddziale nie kręcił się nikt obcy.

– Odwiedziny są po południu – poinformowała ją przechodząca obok brunetka w fartuchu.

– Nie jestem tu prywatnie. Psycholog Aleksandra Wilk, konsultuję pacjenta z amnezją na prośbę doktora Sebastiana Adamczyka.

Pielęgniarka burknęła jedynie coś pod nosem i poszła dalej, a Aleksandra skierowała się prosto do sali, w której leżał tajemniczy mężczyzna.

Kobieta była tak skupiona na tym, co za chwilę nastąpi, że kiedy złapała za klamkę i poczuła opór, pchnęła drzwi całym ciałem. Nie miała teraz czasu na zmaganie się ze złośliwością rzeczy martwych.

Drzwi ani drgnęły, więc Aleksandra spróbowała ponownie. Na co dzień pracowała w szpitalu i wiedziała, że nigdzie nie zamyka się drzwi na zamek, dlatego ogarnęło ją złe przeczucie.

Z determinacją nacisnęła na klamkę i ponownie zaatakowała drzwi całym ciałem, narażając tym samym bark na spotkanie z drewnianą powierzchnią.

Huk, jaki towarzyszył całej operacji, był ogromny. Drzwi otworzyły się, a Aleksandra siłą rozpędu wpadła do środka. Chciała utrzymać równowagę, ale potknęła się o stopę, której nie spodziewała się zobaczyć przy wejściu, i uderzyła o ścianę.

Zignorowała jednak ból i dość szybko wróciła do pełnej koncentracji. Skupiła wzrok na stopie, która okazała się być przedłużeniem policyjnego munduru.

– Spokojnie. – Policjant zatarasował wejście.

– Przepraszam – szepnęła, próbując przykryć zaskoczenie nerwowym uśmiechem.

Alergicznie nie cierpiała policji.

– Nic się pani nie stało?

– Nie.

Omiotła wzrokiem salę chorych. Od wczoraj nic się tu nie zmieniło. Okno było zamknięte, w pomieszczeniu panował zaduch a na jedynym łóżku leżał spuchnięty mężczyzna.

– Do widzenia. – Policjant skinął głową i wyszedł.

Aleksandra zamknęła za nim drzwi.

W tej chwili bolała ją nie tylko świadomość, że tajemniczy mężczyzna wie o niej być może zbyt wiele. Bolało ją ramię, bark i stopa, która, obuta w sandały, nie miała żadnych szans w starciu z policyjnym ciężkim butem. Zamierzała złość i ból wykorzystać w walce z wrogiem.

– Pamiętasz mnie? Byłam tu wczoraj. – Stanęła między pacjentem a oknem, w które się wpatrywał.

Nie uciekł wzrokiem. Milczał. Jego spojrzenie było puste. Jakby jej nie słyszał. Jakby nie czuł emocjonalnego tornada, które ze sobą przywiozła.

– Co to miało być? To wczoraj? Pierdolenie, że mam nie wracać do Poznania. Myślisz, że mnie znasz? Że rzucisz kilkoma szczegółami i co? Przerażę się? Świetnie! Nie stać cię na nic więcej jak milczenie? Miałam ci pomóc? Chciałeś rozmawiać. Proszę bardzo, rozmawiajmy.

*

Boże, może jednak coś mi się wczoraj przywidziało, przesłyszało, pomyliło?

Jestem wściekła. Na siebie i na niego. Nie odzywa się do mnie ani słowem. Wpatruje się na przemian to w okno, to w drzwi.

Proszę bardzo, niech mu będzie. Skorzystam z drzwi. Wyjdę, zanim wściekłość zmusi mnie do irracjonalnego działania. Olga miała rację, powinnam relaksować się, oglądając włości jakiegoś Poznańskiego, a nie gonić za… sama nie wiem za czym.

Wychodzę. Trzaskam drzwiami jak filmowa kochanka. A niech to. Przynajmniej tak sobie ulżę.

Cholera.

Na szpitalnym korytarzu stoi policjant. Właściwie to stał, bo obecnie maszeruje w moją stronę.

– Pani go zna? – odzywa się tak głośno, że spacerująca korytarzem pacjentka spogląda na niego zaciekawiona.

– Kogo? – Chcę zyskać na czasie.

– Tego mężczyznę.

– Aaa, chodzi panu o pacjenta z dwójki? – pytam, kiedy staje dwa kroki przede mną. – Nie.

Boże, powiedziałam co wiedziałam. Powinnam zamknąć mordę w kubeł

i zamilknąć na wieki. Z psami się nie rozmawia, tak mówi stara zasada… wszystkich doświadczonych przez życie ludzi.

Co go to obchodzi? Zamiast rozpracowywać sprawy, na pewno o wiele ważniejsze od ustalenia tożsamości jakiegoś pijaka, marnuje swój czas i pieniądze podatników, by czekać tu na mnie!

– To co pani tu robi?

Muszę odpowiadać uprzejmie, ale lakonicznie, by nie przedłużać tej konwersacji. Niech zada wszystkie pytania. Na pewno niczego mu nie ułatwię, no, chyba że decyzję o tym, że powinien już pójść.

– Co pani tu robi?

– Konsultuję pacjenta. Jestem psychologiem – dodaję z oburzeniem.

Lekarze tak zwykle robią. Czują się bogami na swoich oddziałach i wymagają, żeby każdy wiedział, kim są.

Chyba zbiłam go z tropu.

– Jak to?

Milczę, a on wpatruje się we mnie, oczekując ciągu dalszego. Nie zamierzam mu ułatwiać. Zerkam do torebki i sprawdzam godzinę na telefonie.

– Jak pani konsultuje?

– Normalnie, działam w zespole z psychiatrą Adamczykiem, podejrzewamy u pacjenta amnezję.

– Aha. – Notuje coś w swoim małym zeszycie, po czym prosi mnie o podanie swojego imienia i nazwiska.

– Dziwne. Takie konsultacje bez fartucha?

– To gościnne występy. Nie mój oddział, nie moja szafka, nie mój fartuch i wreszcie nie mój pacjent.

– Ciekawa terapia. Krzykiem.

Boże, czyli jednak słyszał. I jak ja mam się teraz wytłumaczyć, żeby nie wyjść na podejrzaną idiotkę?

– Próbuję go sprowokować, uruchomić, zmusić do wysiłku. Wiecie już, jak się nazywa? Naprawdę nie miał przy sobie żadnych dokumentów?

– Podjęliśmy czynności zmierzające do ustalenia jego tożsamości.

Podjęli. Czyli nadal niczego nie ustalili.

– Gdyby się do pani odezwał, proszę zapytać go o nazwisko.

Uśmiecham się i przytakuję głową. Lepsze to niż pytanie, czy ma mnie za kretynkę. Ustalenie tożsamości mężczyzny jest teraz priorytetem. Być może widok jego żony, domu lub domowego zwierzaka pobudzi mózg do pracy.

– A co się dokładnie stało? Tam na drodze? Pytam, bo może uda mi się wykorzystać tę wiedzę w pracy z pacjentem i jego pamięcią.

Mija nas pielęgniarka, którą spotkałam przed kilkoma minutami. Dobrze, że to ta, a nie inna. Przynajmniej nie muszę znów tłumaczyć, co robię na oddziale poza godzinami wyznaczonych odwiedzin.

– Jesteśmy w trakcie odtwarzania przebiegu wypadków. Pewne jest to, że poszkodowany leżał na poboczu. Nie wiadomo jak długo. Nie dotarliśmy jeszcze do żadnego świadka zdarzenia, dlatego gdyby poszkodowany zeznał…

Nie chce mi się go słuchać. Od ponad dwudziestu czterech godzin pracują nad sprawą i nie wiedzą nic. Dlaczego mnie to nie dziwi?

*

Praca z trzema monitorami jednocześnie była dla Krystiana Kamińskiego koniecznością. Dzięki kilku ekranom nie tracił czasu na przełączanie się między aplikacjami i ogarniał wszystko jednym spojrzeniem. Na dwóch pracował na bieżąco, na trzeci spoglądał kontrolnie, bo miał tam otwarty program pocztowy i komunikator, z którego korzystali inni pracownicy firmy.

Lubił środowisko, w którym pracował. W biurze panowała cisza, nie licząc oczywiście ciągłego stukania w klawiaturę. Informatycy i graficy komputerowi z którymi współpracował odzywali się wtedy, kiedy mieli ku temu bardzo ważny powód. Wszelkie dyskusje dotyczące zadań, nad którymi pracowali, czy klientów, których obsługiwali, odbywały się przez maile lub – w przypadku konieczności błyskawicznej wymiany myśli – przez komunikator.

Krystian mógł oczywiście wyjść ze swojego pokoju, spojrzeć na twarz Przemka, zadać mu pytanie i poczekać na odpowiedź. Zachowanie takie uważał jednak za zbędne. Bezpośrednie rozmowy marnowały czas. Sformułowanie tego samego pytania na komunikatorze oznaczało, że nie trzeba odrywać się od obecnej pracy. Można jedną ręką wklepać pytanie, a drugą kontrolować działanie projektowanej aplikacji.

– I jak? – Odczytał najnowszą wiadomość z komunikatora.

Radek z działu sprzedaży z coraz większą częstotliwością dopytywał o to, kiedy zakończy pracę nad programem przygotowywanym na zlecenie ogólnopolskiej firmy odzieżowej.

– W toku.

– Zdążycie?

– Tak.

Nie wdawał się w szczegóły. Na obecną chwilę nie był pewien, czy zmieszczą się w zagwarantowanym umową terminie.

Nawet gdyby miał przed sobą pięć monitorów, nie byłby w stanie wyjść z impasu. W fazie testów okazało się, że w programie, który stworzył, jest błąd uniemożliwiający pełne korzystanie z jego funkcji. Najpierw musiał zidentyfikować błędny obszar, a później go naprawić. Chwilowo nie wiedział jak. Wydawało mu się, że wyczerpał wszystkie możliwości.

Krystian zakrył twarz dłońmi i odetchnął głęboko. Tylko spokój mógł go teraz uratować. Przed oczami pojawił się obraz jego ukochanej, Aleksandry Wilk.

Uwielbiał jej bladą cerę, piegi na twarzy i prawdziwie rude loki. Kochał jej dłonie i sposób, w jaki się uśmiechała. Zawsze, kiedy był blisko niej, chłonął jej słodko-gorzki zapach, który przypominał mu trochę przekrojonego grejpfruta. Nie posiadał się ze szczęścia, że w końcu, po latach marzeń o tej kobiecie – zdobył ją. Mógł być blisko niej, głaskać jej policzki, przytulać i dawać wsparcie.

Liczył na coś więcej, ale nie chciał niczego przyspieszać. Prawdę mówiąc, mógłby się założyć, że to wydarzy się teraz, kiedy dzieci Aleksandry były na obozie letnim.

Miał wprowadzić się do mieszkania Aleksandry na kilka dni. Miał rozpieszczać ją i dostarczać romantycznych wrażeń. Miał z nią spać, ale jego ukochana zmieniła plany. Wyjechała z przyjaciółką, zbywając go gadką o tym, że szybko wróci i odwdzięczy się z nawiązką za jego cierpliwość i zrozumienie.

Tolerancyjny to on był, jednak wyłącznie w pewnych granicach. Sięgnął więc po swój telefon i odpalił na nim aplikację umożliwiającą sprawdzenie, gdzie znajduje się telefon. Nie sprawdzał oczywiście lokalizacji swojego telefonu, ale telefonu Aleksandry, na którym kilka tygodni wcześniej zainstalował program umożliwiający mu śledzenie ukochanej.

*

– Nie potrafię sobie wyobrazić, że w tak ogromnym obiekcie żyli prawdziwi i szczęśliwi ludzie. Wiesz, to na początku był murowany dom mieszkalny o ściętym narożniku, ale później, w miarę rosnącego w siłę statusu społecznego rodziny Poznańskich, zamienił się w pałacowo-ogrodowy kompleks.

Łódzki Luwr zrobił na Oldze takie wrażenie, że czuła się w obowiązku podzielenia się doznaniami z przyjaciółką. Trajkota więc jak nakręcona, odkąd spotkały się w umówionym miejscu na Piotrkowskiej.

Aleksandra intuicyjnie wybrała lokal, w którym miały zjeść obiad. Jej uwagę zwróciła reklama klubokawiarni, na której napisane było: *kawa osiem złotych; poproszę kawę siedem złotych; dzień dobry, poproszę kawę sześć złotych*. Uwielbiała takie poczucie humoru, więc wskazała Oldze kierunek, w którym trzeba podążyć, by wejść do Palety Bieli.

– Wnętrza ociekały luksusem. Płaskorzeźby, sufity, przestrzenie. Kobieto, to wszystko było niesamowite, ale czułam się przytłoczona ilością zdobień, stylów architektonicznych, malowideł, mebli. Gość musiał mieć ogromne kompleksy i zero wyczucia estetyki. Nie dziwię się, skąd wzięła się anegdota, którą ci opowiadałam. Musiał mieć wszystko co najlepsze, i wszystkiego najwięcej. Masakra. Tamte czasy w ogóle mnie przerażają. Przewodnik mówił, że budowa rezydencji służyła łódzkiej burżuazji przemysłowej do osiągnięcia prestiżu i utrwalenia swojej tożsamości.

– Olga… Nie bardzo rozumiem, co cię tak oburza. Przecież dziś jest dokładnie

tak samo. Najnowsze iPhony z diamentami, najnowocześniejsze bryki, inteligentne domy. Ludzie nadal myślą, że ilość gromadzonych dóbr zagwarantuje im szacunek, posłuch i zadowolenie.

– Oburza mnie przesada. W każdą stronę. W czasach Izraela Poznańskiego wszystko musiało być ogromne i robić wrażenie na innych. Teraz – Olga rozłożyła ręce, rozglądając się dookoła – spójrz. Totalny minimalizm. Stoły, siedziska, dekoracje… Wszystko z drewnianych palet, ściany ledwie maźnięte białą farbą.

– Bo to Paleta Bieli. – Aleksandra pokazała przyjaciółce menu z logo klubokawiarni. – Ale pachnie dobrze. Mam ochotę na łososia z puree z selera.

Olga skupiła się na menu, a Aleksandra dopiero teraz usłyszała nienachalną i przyjemną dla ucha muzykę. Kelnerka pojawiła się przy stoliku niepostrzeżenie, kobiety zauważyły ją dopiero, gdy zadała pytanie:

– Czy panie już wybrały?

– Dla mnie łosoś i sok porzeczkowy, a dla ciebie?

– Kurczak z puree z prażoną cebulką i cola. – Olga oddała menu i sięgnęła do torebki po aparat fotograficzny.

– Nie martw się, że coś cię ominęło. Wszystko udokumentowałam. Dekoracje secesyjne, eklektyczny wystrój, wypasiony i pełniący funkcje reprezentacyjne korpus główny, salę balową, na bank by ci się spodobała. A jak było w szpitalu?

– Szkoda gadać. Mogłam pójść z tobą do muzeum.

Dzwonek informujący o nadejściu SMS-a sprawił, że Aleksandra zerknęła na swój telefon.

Najchętniej uciekłbym teraz na drugi koniec świata. Koniecznie z tobą.
Ostatecznie może być też Łódź. Tęsknię. Całuję. Krystian.

– Dzieci czy twój informatyk? – spytała Olga.

– Informatyk.

– Tęskni?

– Podobno.

– To dobrze. Tęsknota utrzymuje temperaturę w związku. Podobnie jak szczypta zazdrości. A właśnie, co z Sebą?

– A co ma być?

– Czy wy… no wiesz? – Przyjaciółka kilkukrotnie uniosła brwi.

– Mówiłam ci już, że jestem z Krystianem.

– I nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym to ja zbałamuciła Sebę?

– Olga, przecież jesteś zajęta… masz faceta!

– A widzisz go tu gdzieś? Jeszcze przez kilka dni będę wolna, muszę to wykorzystać.

*

– Nasz John Doe zaczął mówić, wpadaj!

Kiedy Sebastian odebrał telefon od doktora Janka, był już po dyżurze. Właśnie dotarł na parking, stanął przy swoim samochodzie i zapalił papierosa.

– Zaraz będę – obiecał i zakończył połączenie.

W domu czekała na niego żona, a w szpitalu przypadek amnezji, o której chciał napisać artykuł. Wybór był prosty – zamknął samochód i w pośpiechu opuścił szpitalny parking. W ciągu trzech minut znalazł się przed wejściem do budynku.

Tlący się papieros nie miał w starciu z płytą chodnikową żadnych szans. Najpierw upadł na nią z dużej wysokości, a później został zdepnięty przez klasyczny model sportowego obuwia modnej marki New Balance.

Doktor włożył do ust gumę do żucia, by zapachem mięty przykryć nikotynową woń, i wszedł do środka, kierując się od razu na oddział chirurgiczny. Nie zdążył wypalić całego papierosa, ale ta niewielka dawka nikotyny, jaką dostarczył organizmowi, zapewniła mu zastrzyk energii.

Sebastian nie zamierzał tracić czasu na rozmowy z chirurgiem. Nie teraz, kiedy z pacjentem był kontakt. W pierwszej kolejności udał się do sali, w której leżał pacjent, dopiero później zamierzał sprawdzić, co ciekawego do powiedzenia miał szpitalny personel.

– Dzień dobry, jaki piękny dzień – zagadnął niezobowiązująco mężczyznę, który siedział na łóżku.

– Dobry.

Odpowiedź go ucieszyła. Odłożył na bok swoją torbę, przysunął do łóżka stojące w rogu pokoju krzesło i usiadł na nim. Musiał uważać na słowa, by nie przestraszyć pacjenta. Przedstawienie się i podanie nazwiska zazwyczaj wzbudzało w pacjentach z amnezją frustrację. Tłumaczyli ją zwykle tym, że w pierwszym odruchu chcą zachować się tak samo jak lekarz, a później zdają sobie sprawę z tego, że nie pamiętają ani swojego imienia, ani nazwiska.

Sebastian pracował już wcześniej z osobami z amnezją i wiedział, że brak pamięci działa na wszystkich tak samo. Świadomość zawieszenia w czasoprzestrzeni, utrata tożsamości i zdobytych wcześniej doświadczeń sprawia, że człowiek zachowuje się jak chore zwierzę przywiezione z buszu do ogrodu zoologicznego. Jest zagubiony i zdenerwowany do tego stopnia, że może ugryźć rękę, która ma mu pomóc.

– Jest pan w najlepszym łódzkim szpitalu.

– Wiem.

– To świetnie. Nie musi pan się denerwować, jeśli czegoś w tej chwili nie będzie mógł pan sobie przypomnieć. Muszę jednak zadać kilka pytań. Mogę?

Jestem lekarzem psychiatrą – powiedział Sebastian, ale kiedy zauważył grymas na twarzy pacjenta, wyjaśnił: – Specjalizuję się w temacie amnezji. Pomagam pacjentom w odnalezieniu drogi do swoich wspomnień.

Mężczyzna próbował przewrócić się na bok, ale jedynie uniósł się trochę na rękach, skrzywił się i przeklął.

– Trochę pana poturbowało.

– No.

– Pomóc?

– Nie.

– W takim razie przejdę do pytań, dobrze?

Pacjent kiwnął głową.

– Czy pamięta pan coś z tego, co się stało?

– Nie.

– Porę dnia? Samochód? Czy był pan tam sam?

– Nie.

– Jak wołała na pana matka?

– Nie wiem.

– Dobrze. Jak mam się do pana zwracać?

Mężczyzna wzruszył ramionami. W tym samym momencie w drzwiach sali chorych pojawił się doktor Nowicki. Dał znak ręką, że musi porozmawiać z Sebastianem i zniknął.

– Dziś może wybrać pan sobie jedną ksywę? Superman? Długi? Łysy? Szybki? – Adamczyk kontynuował monolog. – Może jest coś, co się panu podoba? Ja na przykład zawsze marzyłem o tym, żeby zwracano się do mnie „Papo". – Brak reakcji zmuszał Sebastiana do podejmowania kolejnych prób. – Proszę się nie martwić. To, że dziś nie zna pan odpowiedzi na moje pytania, nie znaczy, że nie będzie pan ich znał jutro. Uderzył pan głową w podłoże, ale na szczęście badania nie wykazały żadnych uszkodzeń mózgu. Wie pan, czasem umysł radzi sobie w taki sposób z emocjonalnie wyczerpującymi konfliktami. Amnezja dysocjacyjna często cofa się samoistnie. Wszystko będzie dobrze. Cieszę się, że jest pan świadomy. Teraz możemy spotykać się częściej i pracować nad odgruzowaniem pana pamięci.

– Nie.

Krótkie zaprzeczenie było tak kategoryczne, że Sebastian zwątpił, czy zostało wypowiedziane przez mężczyznę intencjonalnie, czy jednak wypadło z jego ust mimowolnie.

– Słucham?

– Nie – powtórzył pacjent i spojrzał obojętnie na lekarza.

– Co nie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Aleksandra Chmielewska.
– Kim jest Aleksandra Chmielewska?
– Była tu wczoraj.
– I?
– Tylko z nią będę gadać.
– Obawiam się, że to niemożliwe.
– Chuj mnie to obchodzi. Tylko Aleksandra.
– Ale ona nie pracuje na tym oddziale.
– Tylko Aleksandra.

*

Urszula miała już dość przeglądania akt. Zwykle podczas czytania tych wszystkich protokołów, raportów i przeglądania zdjęć czuła coś, co pozwalało jej stwierdzić, czy jest w stanie wgryźć się w sprawę i wyciągnąć z niej coś, co wcześniej zostało przeoczone.

Tym razem była tak wściekła na naczelnika, że nie mogła opanować emocji. Zapomniała już, jak szefowie niszczą świat ideałów i marzeń swoich podwładnych, jak odzierają z entuzjazmu i piętrzą trudności. Rozwinęła skrzydła przy poprzednim naczelniku, a teraz musiała je sobie obciąć. Obciąć i zapomnieć, że kiedykolwiek je miała. To było najtrudniejsze.

Próbowała. Wczytywała się w protokół z sekcji zwłok, protokół oględzin miejsca zdarzenia, postanowienia o powołaniu biegłych i ich opinie, notatki policyjne oraz protokoły przesłuchania świadków i podejrzanego. Przeglądała zdjęcia z miejsca zdarzenia i szkic planu sytuacyjnego. Próbowała sobie wszystko wyobrazić i czekać na „kliknięcie", które pozwoli przejść na kolejny poziom. Szukała jednego ważnego zdania, o które będzie mogła się zaczepić i rozpracować starą sprawę.

Tym razem jednak nic nie klikało. Słyszała jedynie buczenie naczelnika:

– Nie mam więcej czasu na czcze dyskusje z niestabilnymi emocjonalnie policjantkami. Jeśli ustalę, że nadal się tym zajmujesz, pożałujesz.

Być może właśnie miała ochotę na żal. Chciała postawić się szefowi, albo jeszcze sprytniej – pokazać, że to ona ma rację. Udowodnić, że jej działania przynoszą efekty.

Wystarczyłoby, gdyby znalazła zabójcę Renaty Tomaszewskiej. Zainteresowanie mediów rozwiązaną sprawą z Archiwum X sprawiłoby, że Baraniak nie miałby prawa powiedzieć jej złego słowa.

– Fuck, jestem genialna!

Wyrwało jej się, a siedzący z nią w pokoju kolega roześmiał się perfidnie.

Puściła do niego oko, z ulgą zamknęła akta narzuconej odgórnie sprawy zabójstwa córki znanego łódzkiego biznesmena i opuściła swoje miejsce pracy.

Kiedy stanęła na chodniku, a komendę policji zostawiła za swoimi plecami, poczuła ulgę. W końcu rozprostowała swoje skrępowane ego. Była skuteczna w rozwiązywaniu starych spraw, w śledzeniu nieścisłości, czarnych dziur i tego, co inni przeoczyli. Zbyt dużo czasu poświęciła na zabójstwo Tomaszewskiej, by tak po prostu odpuścić.

Został jej ostatni trop i musiała sprawdzić, czy zaprowadzi ją w ślepą uliczkę, czy może prosto do mieszkania zabójcy. Wyjęła z kieszeni karteczkę, na której sprzedawca z pchlego targu zapisał jej adres, pod którym powinna znaleźć kolekcjonera skupującego wszystkie ciekawe okazy biżuterii. Chciała porozmawiać z nim o broszce. Być może kiedyś ją widział i mógłby wskazać Urszuli kierunek dalszych poszukiwań.

Była już we wskazanym miejscu dwa razy, ale nikogo nie zastała.

Do trzech razy sztuka – pomyślała i postanowiła, że jeśli mężczyzny nie będzie w domu, przyczai się i poczeka na niego. Kiedyś przecież musiał wrócić.

Czas dotarcia do celu oszacowała na trzydzieści minut energicznego marszu. Szybciej byłoby, gdyby skorzystała z taksówki albo wsiadła do tramwaju, ale Urszula jak zwykle wolała iść pieszo. Wiedziała, że „szybciej" nie zawsze znaczy „lepiej". Poza tym przez całe życie przyświecało jej motto „powoli do celu", które do tej pory jej nie zawiodło.

*

– Cześć! – Sebastian wszedł do mieszkania, nie czekając na zaproszenie.

Zrobił jednak dwa kroki i zatrzymał się. Wąski i długi przedpokój stanowił barierę zapobiegającą przedostawaniu się do środka niecierpliwych gości lub ich ciekawskich spojrzeń.

– Szybki jesteś. – Aleksandra zamknęła drzwi.

Nie spodziewała się, że od rozmowy telefonicznej – w której Sebastian stwierdził, że musi się z nią zobaczyć – do jego wizyty minie mniej niż piętnaście minut.

– Za szybki?

– Nie – zmieszała się. Nie bardzo wiedziała, jaki jest powód jego wizyty, a dwuznaczny uśmiech, z którym ją przywitał, pozostawiał bardzo duże pole do interpretacji. – Właśnie wróciłyśmy z Olgą z obiadu. Wejdź.

Mężczyzna odłożył na stojące w przedpokoju siedzisko swoją teczkę i po kilkunastu krokach gwizdnął z zachwytu.

– Fiu, fiu, ale miejscówa!

Nie spodziewał się, że biały, ascetyczny przedpokój może prowadzić do takiego miejsca. Pierwsze co rzuciło mu się w oczy to przytłaczający nadmiar wszystkiego, co było ciemne, złote lub antyczne. Lubił czystość form i minimalizm, a pomieszanie różnych stylów urządzania wnętrz skojarzyło mu

się z wymiocinami – obrzydliwą mieszaniną pozostałości po czymś, co w umiarze byłoby nawet fascynujące.

– Podoba ci się? – spytała Olga.

– Podoba mi się ta przestrzeń – odpowiedział zgodnie z prawdą.

Akurat przestrzeń była imponująca. Pomieszczenie mieszczące w sobie aneks kuchenny, jadalnię, kącik kominkowy i salon mogło mieć z siedemdziesiąt metrów, dodatkowo tylko część z tych pomieszczeń miała sufit na normalnej wysokości. Nad kącikiem kominkowym i jadalnią widniała pustka, dzięki której można było zobaczyć, że drewniane i bogato zdobione schody usytuowane z boku jadalni prowadzą na piętro, na którym znajdowały się zapewne sypialnie.

– Usiądźmy przy stole – zdecydowała Aleksandra.

Podczas rozmowy telefonicznej z Sebastianem domyśliła się, że będzie chciał ją o coś prosić. Był tak spięty i skoncentrowany, że nie pokusił się nawet o jeden żart.

– Co jest?

– Popracuj z nim.

– Słucham?

– Proszę cię, popracuj z moim pacjentem. Skoro już przyjechałaś.

– Sebastian, jak ty to sobie wyobrażasz? Przecież on się nie odzywa do nikogo…

– Stop – przerwał jej. – Jesteś w posiadaniu nieaktualnych informacji. Zaczął dziś mówić.

– To świetnie, ale wiesz, że wiele to nie zmienia… przynajmniej w mojej ocenie sytuacji.

– Powiedział, że będzie rozmawiał tylko z tobą.

– To chore… Dlaczego ze mną? Byłam dziś u niego rano, ale nie odezwał się ani słowem. Może on w coś gra? Może jest niebezpieczny? Chce zrobić mi krzywdę?

Zagalopowała się, dlatego przed wyartykułowaniem kolejnego irracjonalnego pytania ugryzła się w język. Zamiast paplać trzy po trzy, przyniosła z kuchni karton soku i dwie szklanki.

Sebastian wpatrywał się w nią uważnie. Spuściła wzrok, ale chwilę później znowu na niego spojrzała.

– Prosiłeś mnie, żebym go zobaczyła. Zrobiłam to. Teraz chcesz więcej. Przecież dobrze wiesz, że praca z pacjentem z amnezją wymaga czasu. Sebastian – Aleksandra rozłożyła ręce – ja za dwa dni wracam do domu.

– Dwa dni to dużo. Proszę cię. I tak tu jesteś. Chcę tylko, żebyś podarowała mu godzinę, może dwie dziennie. Cztery godziny twojego życia. Błagam. Działasz na niego, pobudzasz jego mózg do pracy. Odezwał się po twojej wizycie. Dobrze mu robi twoja obecność.

– Dlaczego?

– Bo tak działasz na ludzi. – Żart odrobinę rozluźnił atmosferę. – Ja też czuję się przy tobie lepiej. Facet powiedział, że tylko do ciebie ma zaufanie. Słuchaj, może to coś, co mu się przytrafiło, blokuje jego wspomnienia? Może to nie było przypadkowe potrącenie?

– A co? Jestem niby specjalistką od wykolejeńców życiowych?

Pytanie zawisło w powietrzu.

– Nie myśl o tym palancie. – Olga pojawiła się na schodach i od razu włączyła się do rozmowy. – Zapomnij o Gabrielu. To był skurwiel, a nie mąż. – Bez pytania przysiadła się do stołu. – Dobra, skończcie ciągle gadać o tym opuchniętym facecie. Czas na przyjemności. Idziemy do pubu. Idziesz z nami, Seba?

– W sumie? – Sebastian jednym haustem wypił sok i odstawił pustą szklankę na stół. – Dobra. Jest takie jedno fajne miejsce, blisko szpitala. Aleksandra pójdzie pogadać z pacjentem, a my poczekamy na nią w pubie – zadecydował.

– Świetny pomysł, idziemy! – Olga przybiła piątkę Sebastianowi i pobiegła do łazienki poprawić makijaż.

Sebastian wstał, przeczesał włosy palcami i był gotowy do wyjścia. Tylko Aleksandra siedziała przy stole ze smętną miną.

Nie miała ochoty ani na wizytę u pacjenta, ani na piwo. Najchętniej wróciłaby do Poznania i zamknęła się w swoich czterech ścianach.

Obserwował Aleksandrę przez dłuższą chwilę, później podszedł do niej i kucnął.

– Rudzielcu, nie daj się prosić. – Zalotne spojrzenie mężczyzny nie pozostawiało wątpliwości. Był zadowolony z siebie – podjął męską decyzję i nie zakładał, że ktokolwiek może się z nią nie zgadzać. – Powiedział, że ufa tylko tobie. Popracuj z nim, daję ci wolną rękę. Otwórz go i zarekomenduj mnie.

– Dlaczego tak ci zależy?

– Mówiłem już. Piszę artykuł o amnezji dysocjacyjnej, a facet spadł mi z nieba. Bez ciebie nie dam rady.

– Nie przesadzaj. Zawsze ze wszystkim radziłeś sobie sam. Teraz też tak będzie…

– Dziękuję. – Położył dłonie na jej kolanach. – Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Próbowała protestować, ale udawał, że tego nie widzi.

– Dobra, koniec o tym – dodał, kiedy zobaczył, że Olga wyszła z łazienki. – Idziemy! – Złapał Aleksandrę za rękę.

Kiedy wstała z krzesła, podszedł do niej blisko i szepnął:

– Wiem, że z zasady mi się opierasz i robisz wszystko na przekór. Lubisz to. A ja lubię cię, dlatego nie zmuszaj mnie, żebym przypomniał ci, że nadal wisisz mi przysługę, dobra? Popracuj z nim i będziemy kwita.

*

Ludzie są jednak perfidni. Niby chcą ci pomóc, wyciągają dłoń i deklarują, że możesz na nich liczyć. Bezterminowo i bezzwrotnie. Ty w to nie wierzysz, oni robią wszystko, żebyś im zaufała. W końcu zapominasz o ryzyku i przyjmujesz to, co mają tobie do zaoferowania. Dziękujesz, mówisz, że będziesz dozgonnie wdzięczna, kupujesz dobrą flaszkę i dajesz, by za słowami szły czyny. I nagle, w najmniej oczekiwanym momencie, dowiadujesz się, że obowiązuje zasada „przysługa za przysługę", a właśnie nadszedł moment, by spłacić swój dług wdzięczności.

Zachowanie Sebastiana tak bardzo mnie wkurzyło, że nie miałam ochoty na przedłużanie konwersacji. Każdy łyk piwa wypitego w jego towarzystwie stanąłby mi w gardle. Zawsze był takim skurwielem. Niby miłym, nadskakującym i słodzącym otaczającym go kobietom, ale w gruncie rzeczy bardzo interesownym i zdeterminowanym, jeśli coś nie szło po jego myśli.

– Doktor Adamczyk poprosił mnie, żebym do ciebie zajrzała. Podobno masz mi coś do powiedzenia.

Nie będę bawić się w formy grzecznościowe. Opieprzyłam faceta rano, waląc do niego per ty. Teraz nie będę tego zmieniać. Jeśli mam być jego terapeutą, nawet przez chwilę, to muszę mieć kontrolę nad sytuacją.

– Jesteś? Dobrze.

– Dlaczego?

W tej chwili najważniejsze jest to, by wciągnąć go w rozmowę.

– Wiem, że mogę ci ufać.

Swoją drogą, gdybym to ja obudziła się w szpitalu i zdała sobie sprawę, że nie pamiętam, jak się nazywam, kim jestem i co lubię, byłabym przerażona. Unikałabym innych ludzi, zazdroszcząc im tego, że wiedzą wszystko.

Boże, gdybym to mnie spotkało, nawet nie wiedziałabym, w jakim mieście się znajduję. W szpitalach wszystko jest takie same. Odpychające ściany. Zużyte łóżka. Teoretycznie białe pościele. Szpitalne koce. Zmęczone pielęgniarki. Telewizory, do których trzeba wrzucić monetę, by zaczęły działać.

– Wiesz, że możesz mi ufać. To dobrze. Po czym to wnosisz?

– Nie wiem.

Wzrusza ramionami, jakby chciał pokazać nie tyle, że źródło pewności nie jest ważne, ale że ma wszystko w dupie. Zauważam jednak, że przygryza wargi i zaciska pięści za każdym razem, gdy go o coś pytam.

Może źle go oceniłam? Może rzeczywiście stracił pamięć, a pytania, które zmuszają go do przeglądania zawartości swojego mózgu, sprawiają mu fizyczny ból. Najgorszy z możliwych. Ból braku. Pamięci. Tożsamości. Wspomnień. Życia. Wiedzy. Doświadczeń.

– Jak się czujesz? – zadaję pytanie.

Nie interesuje mnie odpowiedź. O wiele bardziej istotny jest fakt, że w końcu będzie mógł zareagować bez poczucia winy. Zastanowi się i znajdzie odpowiedź, co teoretycznie powinno sprawić, że jego pewność siebie wzrośnie.

– Wszystko mnie napierdala. Najmocniej w piersiach.

– Ale dostajesz coś przeciwbólowego?

– Przeciwbólowego?

– Tabletki? Zastrzyki?

– Pielęgniarki dają mi kroplówki, chuj wie, co w nich jest.

– Na pewno uśmierzają ból.

– Na ból najlepsza jest wódka – zagalopował się i chyba sam zdziwił się swoją odpowiedzią.

To dobrze rokuje. Musi oswoić się sam ze sobą.

– Wypiłbyś teraz? Masz ochotę?

Znowu wzruszył ramionami.

– Myślisz, że kiedyś piłem?

– Myślę, że każdy z nas kiedyś pił… i jeszcze kiedyś wypije. To najbardziej popularna forma rozrywki. Kieliszeczek wódki albo szklaneczka innego alkoholu, piwa, whisky, szkockiej.

– Jeśli miałby teraz wybierać, chętnie spróbowałbym wszystkiego.

– Mieszanie alkoholu może mieć przykre konsekwencje.

– Czyli?

– Szybko będziesz miał odlot, no wiesz, stracisz przytomność. W skrajnych wypadkach przedawkowanie alkoholu prowadzi do śmierci.

– Myślisz, że byłem blisko śmierci?

– Nie wiem. A ty co myślisz?

– Nie pamiętam, co się stało… no wiesz, dlaczego mnie tu przywieziono.

– Ale wiesz, że cię przywieziono.

– Tak mówią lekarze i pielęgniarki. Zakładam, że nie wkręcaliby mnie wszyscy razem.

– No nie. Nie jestem specjalistką w tematach związanych ze śmiercią, ale czytałam kiedyś taką książkę, nie pamiętam jej tytułu… *Życie po życiu*, a może *Życie po śmierci…* Jakoś tak. W każdym razie opisane były tam relacje kilku osób, które przeżyły śmierć kliniczną, no wiesz… umierały, ale jednak zostały odratowane. Każda z nich wspominała o tunelu, długim, ciemnym tunelu, na końcu którego były światła.

– Ciemność i światła. Ciemność i światła….

Twarz mężczyzny zastygła a ja uświadomiłam sobie, że nie powinnam mu o tym opowiadać.

*

Mężczyzna maszerował w ciemności. Z ledwością dostrzegał swoje stopy. Majaczące w oddali latarnie cieszyły go, jak światełka na choince. Wyglądały nawet podobnie – jak sznur małych żarówek dodający raczej odświętny klimat, niż niezbędne do funkcjonowania światło.

Mężczyzna nie miał czego świętować. Był głodny, zmęczony i zły. Wściekły na ciemność, drogę i to, że zgodził się na spotkanie pod miastem.

Nagle wszechogarniająca ciemność delikatnie zaczęła zmniejszać swoje smoliste zabarwienie. Nikły strumień światła oraz odgłos pracującego silnika samochodowego dochodziły zza pleców mężczyzny.

Zatrzymał się i obejrzał.

Środek nocy nie był dobrą porą na łapanie stopa, ale musiał zaryzykować. W przeciwnym razie dotarcie do centrum miasta zajmie mu kawał czasu.

Światło stawało się coraz mocniejsze. Dzięki temu ukrywające się w czarnej mazi przydrożne drzewa zaczęły odzyskiwać kontury.

Mężczyzna upewnił się, że stoi na poboczu, a następnie wystawił rękę i uniósł kciuk. Nie miał pojęcia, czy w dzisiejszych czasach tak sygnalizowało się chęć zrezygnowania z pieszej wędrówki i prośbę o podwiezienie.

Nie zdziwiłby się, gdyby okazało się, że kierujący pojazdem się nie zatrzyma. Ostatni raz ze stopa korzystał jakieś dwadzieścia pięć lat temu. W czasach, kiedy nikt nie myślał o zagrożeniu ze strony obcego człowieka

Kiedy światła samochodu znalazły się na tyle blisko mężczyzny, że go oślepiły, zaczął machać ręką z wyciągniętym kciukiem. Nadeszła chwila prawdy. Zapewne kierowca właśnie zauważył pieszego i rozważał, czy zahamować i zabrać go ze sobą, czy przejechać obok jak gdyby nigdy nic.

Dźwięk pracującego silnika samochodowego jako pierwszy zasygnalizował autostopowiczowi, że coś idzie nie po jego myśli. Kierowca – zamiast zmniejszyć prędkość – przyspieszył i zmienił tor jazdy. Auto niespodziewanie wdarło się na pobocze i nieuchronnie zmierzało na spotkanie z mężczyzną.

*

– Światła samochodu. Zaatakowały mnie.

– Światła? – powtórzyła Aleksandra.

Pacjent był tak skupiony na przypominaniu sobie zdarzenia, że wydawał się nieobecny. Tak jakby duch zostawił ciało w szpitalnej sali. Mężczyzna nieruchomo wpatrywał się w jeden punkt.

– Nie mogłem nic zrobić.

– A o czym myślałeś? Co chciałeś zrobić?

Mężczyzna zacisnął pięści, a na jego spuchniętej twarzy pojawił się grymas bólu.

– Uciec?

Jego pytanie zawisło w powietrzu, a subtelne połączenie z przeszłością zostało zerwane. Aleksandra obserwowała pacjenta uważnie, skupiając się na szczegółach mimiki i gestykulacji. Nie miała powodu, by ufać, że wszystko, o czym przypomni sobie mężczyzna podczas terapii, zostanie jej przekazane. Musiała więc zachować dystans i kontrolę nad sytuacją.

– Świetnie – pochwaliła jego wysiłek, by miał motywację do kolejnych wypraw w przeszłość. – Widzisz, jeśli się nie denerwujesz i nie starasz się sobie czegoś przypomnieć na siłę, przypominasz sobie strzępy sytuacji. Tak to zwykle jest. Natręctwo myśli jest najgorszą strategią. Nie możesz bać się tego, że już nigdy nie będziesz wiedział tego, co wiedziałeś przed wypadkiem. Amnezja nie oznacza, że na zawsze straciłeś wszystkie zasoby wiedzy. Jeśli będziesz cierpliwy i spokojny, powinieneś do nich dotrzeć. Bo wiesz, one są tam gdzieś w twoim mózgu. Jak dobytek życia w zawalonym domu. Nie wejdziesz do niego teraz, żeby wyjąć z komody zegarek elektroniczny, który dostałeś od dziadka na komunię. Ale być może dasz radę zajrzeć przez okno, żeby sprawdzić, czy komoda stoi na swoim miejscu. Dostaniesz się do niej później, kiedy strażacy odgruzują wejście i zabezpieczą teren.

– A co, jeśli nigdy już…

– Nie wolno ci tak myśleć!

Pacjent zamyślił się, a Aleksandra zastanawiała się nad kolejnymi etapami rozmowy. Gdyby miała więcej czasu, stąpałaby powoli i ostrożnie. Dałaby pacjentowi oswoić się z tym, co odkrył. Wydobywałaby materiał z jego skojarzeń i snów, rozmawiałaby z nim o rzeczach, które pamięta. Taka metoda była skuteczna, bo powodowała najczęściej spontaniczne przypominanie sobie kolejnych szczegółów.

Właściwie mogła tak zrobić – pożegnać się i wrócić do pacjenta jutro. Zacząć od świateł, przyjąć wszystko łagodnie, bez pośpieszania, a resztę procesu przypominania zostawić Sebastianowi.

Jednak motywowały ją efekty i nastawienie mężczyzny. Mimo że proces odzyskiwania wspomnień nie był dla niego łatwy, nie uciekał od tego. Zgodnie z wcześniejszą deklaracją, dał Aleksandrze kredyt zaufania, wybrał ją sobie do współpracy i dawał jej się bez sprzeciwu prowadzić.

– Uderzył w ciebie samochód. Znaleziono cię na poboczu, to pewnie wiesz.

– Mówił mi o tym któryś z lekarzy.

– Światła samochodu i nieuchronność sytuacji to krok milowy w twoich wspomnieniach, ale powiedz mi, czy pamiętasz – zdecydowała się iść dalej – co działo się, zanim znalazłeś się na tej drodze w środku nocy?

– Nie – odpowiedział bez zastanowienia.

Aleksandra uznała, że się zagalopowała. Pacjent nawet nie próbował odszukać odpowiedzi. Postanowiła więc odrobinę zmienić temat.

– W trudnych sytuacjach uspakajam się, kiedy myślę o tym, co lubię. Lubię sok porzeczkowy. Jego smak jest taki nieoczywisty. Niby słodki, ale kwaśny. Niby przyjemny, ale trochę cierpki. Lubię leżeć na plaży i wsłuchiwać się w szum morza. Lubię swój dom, a dokładniej łóżko, w którym najlepiej odpoczywam.

– Nie lubię leżeć. Źle się czuję w tym szpitalu.

– Nie wiem, czy ktoś kiedyś prowadził badania na ten temat, ale mogłabym zaryzykować stwierdzenie, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi trafiających do szpitali czuje się tak samo jak ty.

– A dlaczego nie sto procent?

– Bo zawsze znajdą się wyjątki potwierdzające regułę. Na przykład samotne, starsze osoby, które tylko w szpitalu mają możliwość kontaktu z drugim człowiekiem.

– Chcesz mi powiedzieć, że jestem normalny?

– Za wcześnie na takie wnioski.

Roześmiał się, zbyt mocno jak na stan swojego zdrowia, bo ból przypomniał mu o złamanych żebrach.

– Czy ja wiem, że za wcześnie? Jestem przekonany, że jestem normalny. Lubię swój dom, pewnie jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent społeczeństwa.

– Wątpię, by statystyki dotyczące miejsca zamieszkania były tak optymistyczne, ale dobrze wiedzieć, że mieszkasz w miejscu, w którym czujesz się bezpiecznie. Ciekawa jestem, co zapewnia ci tam poczucie bezpieczeństwa.

Znowu zastygł w bezruchu, jakby najmniejszy gest utrudniał mu myślenie. Aleksandra czekała cierpliwie, aż sam się odezwie. Nie chciała zadawać pytań dodatkowych, musiała uniknąć sugerowania mu odpowiedzi.

Siedziała zamknięta w szpitalnej sali, z pacjentem bez tożsamości, podczas gdy w pubie nieopodal Olga zapewne flirtowała z Sebastianem. Nie zazdrościła flirtu, piwa, pubowego gwaru ani towarzystwa Sebastiana. Wspomnienie domu sprawiło, że zatęskniła za dziećmi. Po krótkim SMS-ie informującym, że dojechali bezpiecznie, miejscówka jest super, a żarcie jeszcze lepsze, nie miała z nimi kontaktu. Nie chciała być matką-kwoką, która z powodu swoich hormonalnych jazd i niewytłumaczalnych fobii dzwoni do dzieci co trzy godziny, by sprawdzić, czy nie dzieje się im krzywda. Wmawiała sobie, że tylko spokój ją uratuje, a zarówno Kuba, jak i Weronika nie są ofiarami losu. Gdyby działo się coś nie po ich myśli, dzwoniliby do niej, domagając się interwencji.

– W moim domu mam spokój. I ciszę.

– Też lubię ciszę.

– Nie pamiętam, jak ono wygląda. Moje mieszkanie. Czy jest duże, czy małe? Nie widzę go.

– To, że nie pamiętasz go dziś, nie znaczy, że jutro…

– Chwila! – przerwał jej i z wrażenia aż usiadł na łóżku. Syknął z bólu, złapał

się najpierw za klatkę piersiową, później za lewą nogę. Po chwili obiema dłońmi zakrył twarz. – Widzę niebieską teczkę z kółkiem.

– Teczka jest w domu?

– Widzę ją i wiem, że to moja teczka. Na bank. – Mężczyzna spojrzał na Aleksandrę tak, jak patrzy na rodzica dziecko, które nie dowierza, że rodzic właśnie spełnił jego marzenie i podarował mu smartfona. – Moja teczka, rozumiesz to? Naprawdę moja. Czuję, że przeglądałem ją, zanim wyszedłem z mieszkania. Moja teczka i moje mieszkanie.

– Doskonale ci idzie. W mieszkaniu masz teczkę i czujesz się bezpiecznie. Zamknij oczy i pomyśl o teczce. Wyobraź ją sobie. A teraz się oddal. Teczkę zostawiasz w mieszkaniu, a sam wychodzisz. Stajesz przed drzwiami… zamykasz… Widzisz je?

– Są ogromne, dużo większe ode mnie.

– Jest na nich jakaś tabliczka? Z nazwiskiem, z numerem?

– Są kraty. Nie ma nazwiska ani numeru.

– Kraty? – Pierwsze skojarzenie Aleksandry było oczywiste, ale starała się nie okazać zdenerwowania. – Dobrze ci idzie.

– Czekaj, jest cyfra. Siedem, ale nie na drzwiach, tylko z boku.

– Siódemka? Cudownie. A teraz wychodzisz na dwór. Co widzisz?

– Ciemność. Tam nic nie ma.

– Blok, kamienica, dom jednorodzinny?

– Nie widzę. Ta teczka i drzwi zawieszone są w czarnej dziurze. Poza nimi nie ma nic. Ani schodów, ani ścian, nie ma… Ale wydaje mi się, że teczka zawiera wszystkie odpowiedzi.

– Czyli jest ważna. Rozumiem. Świetnie ci idzie, jesteś już zmęczony? Może zrobimy przerwę?

– Chętnie. – Plecy mężczyzny opadły na poduszkę.

– W takim razie odpoczywaj i bądź spokojny. Rozumiem i szanuję to, że masz ważne powody, by nie chcieć pamiętać. Kiedy będziesz gotowy wrócić do wspomnień, zrobimy to razem – wydeklamowała wyuczoną regułkę.

Działała instynktownie, a lata praktyki sprawiały, że wiedziała, co powiedzieć, by uspokoić człowieka. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie będzie jej przy pacjencie wtedy, gdy zechce przypomnieć sobie wszystko. Nie powinna obiecywać mu, że zrobią to razem ale nie zdążyła ugryźć się w język.

– Przyjdziesz jutro?

Kiwnęła głową i skierowała się do wyjścia.

– A wiesz, że siedem to mistyczna cyfra? – Aleksandra zatrzymała się, słysząc głos mężczyzny.

– Mistyczna?

– To dlatego w domu czuję się bezpiecznie. Siedem to symbol kosmosu. Dracula chroni mnie od zewnątrz, a siedem od środka.

*

SMS, którego Olga dostała punktualnie o dwudziestej pierwszej, brzmiał „Sorry, bolała mnie głowa, wróciłam do apartamentu, bawcie się dobrze".

– To Ola.

– Skończyła już? – ucieszył się Sebastian.

Sam na sam z Olgą wydawał się spięty i co kilkadziesiąt sekund zerkał na telefon. Zamówił dla siebie sok pomarańczowy, a ona, chcąc dotrzymać mu towarzystwa, poprosiła o grejpfrutowy. Miała ogromną ochotę na piwo, ale uznała, że nie będzie piła sama… poczeka z tym do przybycia Aleksandry.

Siedzieli więc jak staruszkowie przy soku, w głośnym pubie wypełnionym rozbawionymi ludźmi, i usiłowali prowadzić niezobowiązującą rozmowę.

– Tak, ale nie przyjdzie…

– Jak to „nie przyjdzie"? – Mężczyzna nie ukrywał niezadowolenia.

– Olała nas.

Rozczarowana Olga wzruszyła ramionami. Liczyła na to, że kiedy będą w pełnym składzie, uda się jej wszystkich namówić na nostalgiczny powrót do przeszłości: piwo, słone paluszki i szczere rozmowy, balansujące na krawędzi flirtu.

– Wiesz co? – Olga postanowiła jednak ratować sytuację. – Napijmy się! Piwo czy wódka? Ja stawiam.

*

– Tęsknię – głos Olgi oderwał Marka Laskowskiego od jednej z tych czynności, od których nie lubił być odrywany. Być może w innych okolicznościach kazałby jej zadzwonić później lub zbył ją obietnicą, że się odezwie. Jednak teraz, gdy wiedział, że zajmuje jego apartament, wolał trzymać rękę na pulsie.

– Czyżby? – szepnął do słuchawki i udał się w ustronne miejsce.

Nie chciał, żeby kontrahenci, z którymi rozmawiał właśnie o interesach, usłyszeli ciepły ton głosu. Dla nich, od początku do końca, miał być chłodnym i bezdusznym biznesmenem.

– Zawsze byliśmy w Łodzi razem.

– Teraz jesteś z przyjaciółką.

– No niby tak, ale…

– Czekaj, nie mów! Podobnie jak ja, twoja przyjaciółka ma wolną wolę i nie chce robić dokładnie tego, co jej narzucisz?

– Naśmiewasz się ze mnie?

– Ja? Gdzieżbym śmiał! Po prostu też tęsknię.

– Nie wierzę. A właśnie, słuchaj skoro rozmawiamy… Nadrabiam zaległości

w zwiedzaniu Łodzi. Usłyszałam dziś o Draculi wpatrującym się w kogoś. Nie wiem, czy chodzi o posąg, czy obraz…

– Dracula? Hrabia z Transylwanii?

– Dokładnie! Gdzie to jest?

– Na pewno nie w Łodzi. Nie stawiamy pomników wampirom, ale czekaj, czekaj… Może coś pomyliłaś?

Na korytarzu pojawił się wspólnik Marka w towarzystwie trzech luksusowych dziwek. Kolega pomachał mu, a kobiety spojrzały na niego obojętnie. Rozbawiło go to. Jeszcze nie wiedziały, kim jest, dlatego go zlekceważyły. Kiedy do nich dołączy, zaczną się do niego kleić jak pszczoły do miodu.

– Może, a co? – spytała Olga.

– Jest taka kamienica w Łodzi, z wampirami. Na pewno w necie znajdziesz jej adres, muszę już kończyć. Pracuję.

*

– Ubieraj się. – Olga stoi przy sofie i próbuje zasłonić sobą telewizor.

Nie jest to łatwe, bo telewizor, jak i inne wyposażenie tego apartamentu, jest rozmiaru dużo większego niż przeciętny.

– Co?

Nie mogę dłużej jej ignorować, więc się odzywam, ale wcale nie mam ochoty na konwersacje ani ubieranie się. Leżę na sofie, umyłam zęby, przebrałam się w pidżamę i jedyna wycieczka, którą jestem w stanie dziś zaakceptować, to wycieczka do łóżka.

Olga jest wściekła, widzę to. Wypad do pubu się nie udał, podobno Sebastian zachowywał się jak gbur, nie chciał gadać, nie chciał pić i nie chciał się nią zainteresować. Kiedy wróciła do domu, trzasnęła drzwiami tak mocno, że aż podskoczyłam. Mamrotała pod nosem coś na temat starości i tego, że zeszliśmy na psy. My – czyli Sebastian i ja, nie ona. Ona chciała się bawić.

Z mojego punktu widzenia, nasze zachowanie świadczyło o czymś przeciwnym – nie zachowywaliśmy się jak psy, lecz jak dorośli ludzie. Zerwałyśmy się ze smyczy codziennych obowiązków nie po to, by pić do rana, obudzić się z bólem głowy i problemami z pamięcią.

Kiedyś takie zachowanie miało sens. Człowiek szukał po omacku drugiej połówki, potrzebował alkoholowego wsparcia pewności siebie i uczył się życia. Dzisiaj zbyt dużo wiedzieliśmy o sobie i innych, by decydować się na niepotrzebne problemy.

– Ubieraj się, jedziemy.

– Olga, dobrze się czujesz? Przecież jest środek nocy.

– Jaki środek? Nawet dwudziestej trzeciej jeszcze nie ma, nie zachowuj się jak wiekowa mamuśka. Jedziemy.

– Dokąd?

Boże, spojrzała na mnie, jakby chciała mnie udusić. Przecież to oczywiste pytanie. Jeśli mam dokądś jechać, to muszę wiedzieć dokąd i po co.

– Na Narutowicza.

– W jakim celu?

– Kobieto, przestań rozpytywać jak upierdliwa policjantka. Rusz tyłek!

– Po co w środku nocy chcesz jechać na Narutowicza?

– Bo tam mieszka ten twój opuchnięty.

Opowiedziała w skrócie, jak łatwo Marek skojarzył hrabiego Draculę z kamienicą mieszczącą się w centrum Łodzi. Adres i zdjęcia nieruchomości znalazła w internecie.

– Jak mogłaś mu powiedzieć?! – atakuję ją, zamiast podziękować. Widzę, że jest dumna ze swojego odkrycia i zadowolona z tego, że za chwilę coś się wydarzy. Dla niej to jest przygoda, a dla mnie… – Powiedziałam ci w tajemnicy!

– Nie jestem głupia. Nie powiedziałam Markowi ani słowa o twoim pacjencie. Wyluzuj, kobieto. Znasz numer mieszkania, mamy nazwę ulicy i numer kamienicy. Musimy to sprawdzić.

Sprawdzić? Tak od razu? W środku nocy? Znamy tylko numer mieszkania i prawdopodobną kamienicę.

– Zrobimy to z rana, dobra?

– Chcesz czekać do rana? – Olga zawiesza głos i wpatruje się we mnie jak zbity pies. Boże, psy prześladują mnie od rana, czyżbym musiała skończyć ten wieczór eskapadą w nieznane? – Proszę bardzo. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że tam może ktoś mieszkać. Żona opuchniętego, jego dziewczyna albo chłopak. A może małe dziecko? Ktoś, kto czeka na jego powrót, a przynajmniej na jakieś wieści od niego. Ale masz rację, niech sobie poczeka jeszcze trochę… Od czekania się nie umiera.

*

Przyjaciółki w drodze na ulicę Narutowicza przedyskutowały wszystkie możliwe warianty rozwoju sytuacji. Kamienica z wampirami mogła okazać się ślepym tropem, albo trafieniem w dziesiątkę.

W pierwszym przypadku musiałby przełknąć rozczarowanie, w drugim – zmierzyć się ze spojrzeniem osoby, której przekażą złe wieści.

– Jeśli – teoretyzowała Olga – ktoś, kto otworzy nam drzwi, potwierdzi, że jest spokrewniony z pacjentem, powiemy mu prawdę. No, chyba że to będzie dzieciak albo staruszek, wtedy nie. Nie chcemy, żeby zszedł nam na zawał serca… Czekaj, a jak stwierdzimy, że to ktoś spokrewniony, skoro nie znamy nazwiska pacjenta?

– Mam chyba jeszcze zdjęcie, które przysłał mi Sebastian – przypomniała

sobie Aleksandra i sięgnęła po komórkę, by sprawdzić, czy nie usunęła wiadomości, gdy uznała, że nie zna mężczyzny.

– Dobrze, dzięki temu będziemy wiedziały, że dobrze trafiłyśmy.

– Olga, zdajesz sobie sprawę, że uruchamiamy lawinę wydarzeń? Nikt nie zostawi tej wiadomości dla siebie do rana. Każdy, nieważne, czy żona, przyjaciel czy matka, każdy będzie chciał pojechać do szpitala i przekonać się na własne oczy.

– To nie nasz problem, tylko szpitala. Poza tym właśnie dojechałyśmy.

Samochód wjechał na chodnik. Olga wyłączyła silnik, a Aleksandra rozejrzała się dookoła. Kamienica z nietoperzami o ludzkiej twarzy słynnego hrabiego z Transylwanii znajdowała się po drugiej stronie ulicy.

– Skoro tak… to za późno na roztrząsanie sytuacji. Idziemy! – stwierdziła Aleksandra i opuściła auto, głośno trzaskając drzwiami.

Od zweryfikowania hipotezy o tym, że mężczyzna bez pamięci mieszka właśnie w tym miejscu, dzieliła ją tylko jezdnia przedzielona torowiskiem i przystankiem tramwajowym oraz kilkanaście schodów.

Oczywiście liczyła się z tym, że mężczyzna mieszkał sam, że nikt ich nie wpuści do środka. Miała jednak plan B – zamierzała wtedy zrobić przynajmniej zdjęcie drzwi, klatki schodowej oraz najbliższej okolicy. Takie obrazy mogły pomóc jej w jutrzejszej pracy z pacjentem.

Przyjaciółki spojrzały na siebie, ale żadna nie wyartykułowała pytania. W pewnych sytuacjach rozumiały się bez słów. Niemalże jednocześnie weszły na jezdnię, i po poznańsku, *na szagę,* zmierzały do celu. Przeskoczyły barierki na przystanku tramwajowym i zatrzymały się dopiero przy bramie, na której widniała biała tabliczka z nazwą ulicy i numerem trzydzieści dwa.

– Gotowa? – spytała Olga.

Aleksandra kiwnęła głową i pierwsza weszła do bramy. Drzwi na klatkę schodową znajdowały się po prawej stronie. Pchnęła je zrezygnowana, bo widniejąca z boku tablica z numerami mieszkań i przyciskami sugerowała, że domofon chroni klatkę schodową przed wizytami obcych. Na szczęście zamek albo był zepsuty, albo ktoś z lokatorów nie domknął drzwi.

Kobiety weszły do środka. Schody pokonywały w ciszy i w pełnym skupieniu. Obie nie miały pojęcia, co za chwilę nastąpi, czy znajdą drzwi z numerem siedem, czy ktoś im je otworzy. A jeśli otworzy, to jak zareaguje na informację o tym, że mężczyzna z amnezją przebywa w szpitalu?

Obie kobiety pchała ciekawość. Nieświadome pragnienie odnalezienia miejsca i poznania nazwiska mężczyzny bez tożsamości. Siła, którą nie sposób było zatrzymać. Inspirująca, pomocna, przerażająca.

Towarzysząca im cisza była jedynie pozorna, podobnie jak pozorny był ich spokój. Z mijanych mieszkań dochodziły odgłosy żyjących w nich ludzi. Kaszel, śmiech, pochrapywanie, przekleństwa i piosenka towarzysząca napisom

końcowym w popularnym serialu telewizyjnym.

Olga poruszała się powoli, z obrzydzeniem mijając ślady moczu na betonowych schodach. Klatka schodowa była zapomniana i zniszczona, ale pewne elementy świadczyły o tym, że w czasach swojej świetności była przepiękna, bogata i uczestniczyła w wystawnym życiu swoich mieszkańców.

Olbrzymie i kolorowe witraże w oknach wychodzących na podwórze, bogato zdobione tralki, przepiękne i okazałe portale, po dwa na każdym piętrze, i kolorowa mozaika podłogowa, która zachowała się na piętrach – to wszystko sprawiało, że kobiety czuły na plecach powiew pasjonującej historii. Nie tylko historii kamienicy, ale i żyjących w niej ludzi, kobiet w długich sukniach i mężczyzn w surdutach.

Na pierwszym piętrze pijacki okrzyk sprawił, że obie momentalnie wróciły do przygnębiającej rzeczywistości. Zdały sobie sprawę, że mieszkańcami kamienicy najwyraźniej nie są dobrze usytuowani i wykształceni łodzianie.

Olga podskoczyła przestraszona, a do uszu Aleksandry dotarło niepokojąco głośne bicie serca i przyspieszony oddech. Po chwili zdała sobie sprawę, że zarówno serce, jak i oddech należą do niej, a na klatce schodowej znajdują się tylko one dwie. Okrzyki dochodziły zza drzwi.

Aleksandra minęła piętro, na którym znajdowało się mieszkanie numer sześć. Za kilkanaście sekund miała zobaczyć drzwi, o których opowiadał jej pacjent. Drewniane drzwi bez wizytówki, ale za to z cyfrą porządkową.

– Siedem! – kiedy dotarły na drugie piętro, Olga zatriumfowała.

Od enigmatycznej informacji o Draculi dotarła do adresu nieruchomości, którego nie pamiętał mężczyzna z amnezją.

– Pukasz?

Aleksandra zamknęła oczy. Była pobudzona ponad miarę. Tak jak kiedyś.

To miasto działało na jej ośrodkowy układ nerwowy jak narkotyk. Paraliżowało jedne funkcje i uaktywniało inne. Kobieta czuła, że wzrastała jej skłonność do ryzyka i przekonanie, że może wszystko.

W bladym ciele kobiety walczyły dwa wcielenia. Ułożona Aleksandra – cierpliwa matka, planująca przyszłość i myśląca o konsekwencjach każdego czynu, oraz niegrzeczna Ola, spontaniczna dziewczyna wiecznie pakująca się w kłopoty, pokazująca policji środkowy palec.

Olga zapukała i odsunęła się od drzwi. Na poddaszu panowała niemalże idealna cisza.

– Nikogo nie ma?

– Może już śpią. – Aleksandra nie zamierzała odpuścić. Uderzyła w drzwi ponownie.

– I co teraz? – pytanie Olgi zawisło w powietrzu.

Aleksandra Wilk odeszłaby sprzed zamkniętych drzwi. Zrobiłaby kilka zdjęć i pokazałaby je rano pacjentowi. Niepokorna Ola kopnęłaby je z całej siły,

eliminując przeszkodę. Albo wyciągnęłaby z włosów wsuwkę i skorzystała ze sposobu otwierała drzwi, którego nauczyła się w skłocie.

– Jak to co? – Aleksandra nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią. – Chciałaś przygody życia, proszę bardzo.

*

– Nie poznaję cię.

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz…

– Ale to przecież, przecież…

– Ciii….

Najpierw do mieszkania weszła Aleksandra. Zrobiła trzy powolne i ostrożne kroki. Zatrzymała się i nasłuchiwała. Nie dotarły do niej żadne niepokojące dźwięki, kiwnęła więc na przyjaciółkę, dając jej znak, że droga wolna.

Olga postukała się palcem po głowie, ale po chwili podążyła za Aleksandrą.

– To przecież włamanie – syknęła, kiedy zamknęła za sobą drzwi wejściowe.

– Cicho. Włącz latarkę i świeć pod nogi, żebyśmy w nic nie wdepnęły.

Aleksandra nie po raz pierwszy majstrowała wsuwkami w zamkach i zwiedzała obce mieszkania. Nowością dla niej było to, że nie była sama. Obecność Olgi zmieniała wszystko, od sposobu poruszania, do konieczności komunikowania się. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie powinny robić hałasu, właściwie nie powinny wydawać z siebie żadnych odgłosów. Nie zdążyły tego omówić, bo żadnej nie przyszło do głowy, że taki wariant rozwoju sytuacji jest w ogóle możliwy.

Olga złapała przyjaciółkę za bluzkę i szła za nią, w drugiej ręce trzymając latarkę skierowaną na podłogę. Aleksandra rozświetlała ciemność, w którą właśnie weszła, umiejętnie omijając okna. Pamiętała, że kiedyś ktoś zwracał jej uwagę, że światło latarki w oknie może wzbudzić niepokój sąsiadów.

Pokój, w którym się zatrzymały, był przestronny. Na środku pomieszczenia stał stół.

Uwagę Aleksandry zwrócił jednak nie stół, który znajdował się dokładnie w miejscu, o którym wspominał mężczyzna bez tożsamości, ale biała plama na jednej ze ścian.

Podeszła bliżej. Plama okazała się być przyklejoną do ściany kartką papieru, na której widniała naszkicowana twarz.

Aleksandry nie zastanowiło prowizoryczne zamocowanie obrazka na taśmę klejącą. Skupiła się na tym, co przedstawiał. Znała wszystkie elementy składające się na portret śpiącej dziewczyny: kształt ust, brwi, piegowaty nos i czarne kręcone włosy.

– O kurwa… – syknęła spanikowana.

III

– Przecież to… – urywa Olga i zasłania usta dłonią.

– To Werka – potwierdzam.

Boże! Jak dobrze, że nie zawahałam się i weszłam do tego mieszkania! Jak dobrze, że zajrzałam do pokoju i zobaczyłam ten portret. Jak dobrze…

Nie, to nieprawda!

Nic nie jest dobrze. Jakiś popierdolony mężczyzna, któremu pomagam odzyskać pamięć, ma w swoim mieszkaniu podobiznę mojej córki. To nie może być zbieg okoliczności.

– Kim on jest? Czemu Weronika? Czemu ja?

Wypowiadanie na głos nurtujących mnie pytań w mieszkaniu wroga nie jest zbyt dobrym pomysłem. Muszę się skupić i opanować atak paniki.

– Wychodzimy! – Olga ciągnie mnie za rękę.

Czuję, że się trzęsie. Zapomniałam, że nie jestem tu sama.

– Chwilę…

Nie może mi się teraz rozsypać. Zostawiam ją przy drzwiach, a sama wracam do stołu.

Kieruję światło komórki, która służy mi teraz za latarkę, na blat. Szukam rachunków, wyciągu z konta… czegokolwiek z jego nazwiskiem.

Jedno jest pewne – muszę jak najszybciej ustalić, jak się nazywa, dowiedzieć się, kim jest, skąd pochodzi i dla kogo pracuje. Dla wierzycieli mojego zmarłego męża? Mafii farmaceutycznej? Kończą mi się pomysły.

To musi być zasadzka. Facet od początku chciał, żebym trafiła do jego mieszkania.

Nie znajduję na stole niczego, co mogłoby mi pomóc w identyfikacji mężczyzny. Kiedy spoglądam w kierunku stojącego pod ścianą regału, Olga podnosi głos:

– Spadamy.

Po raz ostatni zerkam na stół. Niebieska, plastikowa teczka na dokumenty, o której mężczyzna wspomniał, że zawiera odpowiedzi na wszystkie pytania, leży sobie grzecznie na blacie.

– Spadamy. – Daję Oldze sygnał do odwrotu i chwytam teczkę.

*

Pierwszą czynnością, którą Aleksandra wykonała po opuszczeniu kamienicy, było wybranie numeru telefonu córki. Musiała jak najszybciej potwierdzić lub wykluczyć obawy o to, że z Weroniką działo się coś złego. Wyobraźnia podsuwała makabryczne obrazy. Rozum czekał na najmniejszy sygnał, by uruchomić lawinę.

Długi sygnał. Chwila ciszy. Długi sygnał. Cisza. Długi sygnał. Bolesna cisza. Czwarty sygnał i…

– Nooo?

– Halo, to ty? – Kobieta nie była wstanie rozpoznać głosu córki. – Weronika?

– Halo. – Stłumiony głos Weroniki stanowił pożywkę dla ożywionej wyobraźni matki.

Dziewczyna została porwana z obozu i wywieziona do jakieś wiochy zabitej dechami. Trzymają ją w starej stodole, z zawiązanymi oczami. Nie dają jej nic do picia i jedzenia. Jest sama, przestraszona i nie wie, co się z nią dzieje. Ale na szczęście udało się jej przemycić komórkę. Dzięki temu Aleksandra dowie się, jak trafić do córki i ją uwolni.

– Werka, kochanie, gdzie ty jesteś?! Czy nic ci się nie stało?

– Brałaś coś?

Opryskliwa odpowiedź zadziałała na matkę jak zimny prysznic. Piętnastolatka, nawet najdzielniejsza, nie brzmiałaby tak w obliczu zagrożenia.

– Jesteś na obozie?

– A gdzie mam być?

– Dojechaliście cali i zdrowi?

– No tak, przecież wysłałam ci eskę.

Olga otworzyła samochód, a Aleksandra opadła zrezygnowana na siedzenie. Miała na dziś dosyć wszelkich wypraw i ataków paniki.

– I wszystko dobrze?

– A jak ma być?

– Świetnie. Martwiłam się. A tak w ogóle co słychać? Nikt dziwny się przy tobie nie kręci? Nie zagaduje? Nie wypytuje o ojca, o mnie?

– Co słychać? Mamo?! Jest środek nocy! Dziwne jest to, że mnie budzisz i zadajesz te wszystkie pytania!

*

Dla Olgi wszystko to, co działo się po przekroczeniu progu kamienicy na Narutowicza, było przygodą, o jakiej marzyła. Eksplozją emocji i zwrotów akcji.

Kilka godzin wcześniej, kiedy siedziała z Sebastianem w pubie, czuła się

niesamowicie stara, zużyta i bezwartościowa. Zapach alkoholu i śmiech młodych ludzi uświadamiał jej, że już tu nie pasuje. Że nie wystarczy powrót w miejsce, które dostarczało jej w młodości pozytywnych doznań, by znowu poczuć się jak kiedyś.

– Śpij, aniołku. Kocham cię. Bądź uważna i ostrożna. I proszę, miej oko na brata. – Aleksandra skończyła rozmowę i zastygła z telefonem komórkowym w dłoniach. – Boże, zrobiłam z siebie idiotkę. Wyobrażasz to sobie? Matka dzwoni do ciebie po północy i pyta, co słychać?

– Miałaś powód.

Przyjaciółka stęknęła, a Olga włączyła kierunkowskaz i ruszyła w drogę powrotną.

Na pierwszym skrzyżowaniu zawróciła, objeżdżając wysepkę tramwajową, minęła kamienicę z nietoperzami o twarzy Draculi i włączyła radio.

Nie znała zbyt dobrze Łodzi, ale zapamiętała trasę, którą przyjechały. W pierwszą stronę prowadziła je nawigacja, teraz musiały wrócić dokładnie tymi samymi ulicami: Narutowicza, Kościuszki, Strugi i Wólczańską.

Nocna jazda wydawała się Oldze przyjemna. Ulice były puste, sygnalizacja świetlna migała, zezwalając przejechać każdemu kierowcy pod warunkiem zachowania należytej uwagi, a policjanci z drogówki spali, dzięki czemu niedozwolone manewry uchodziły płazem.

– I co? Wiesz już, jak się nazywa?

– Jeszcze nie. – Aleksandra przeglądała zawartość teczki wyniesionej z mieszkania w kamienicy.

– Ale jesteś pewna, że to było mieszkanie opuchniętego?

– O nim mi opowiadał, ale czy to jego mieszkanie? Niczego już nie jestem pewna. Pewne jest tylko to, że ściągnął mnie do Łodzi w jakimś określonym celu… Zbyt dużo zbiegów okoliczności, bym mogła uwierzyć w przypadek.

– Cholera! – Olga uświadomiła sobie, że właśnie dzieje się kolejny zbieg okoliczności. Zerknęła w lusterko wsteczne, ale przez ostatnie pięć sekund nic się nie zmieniło. Nadal podążał za nimi jakiś samochód. . – Wydaje mi się, że ktoś nas śledzi.

– Że co?

– Nie odwracaj się, spójrz w lusterko. Srebrna taksówka.

– Nocą po mieście jeździ dużo taksówek.

– Oczywiście. I to tylko zbieg okoliczności, że taksówka jedzie za nami już od Narutowicza? Skręciła dokładnie tak samo jak my. I to dwa razy.

Aleksandra pochowała dokumenty do teczki i wrzuciła ją na tylne siedzenie.

– Nadal jedzie?

– Tak.

– Może wpadamy w paranoję, co? Przecież kilkanaście minut po północy ludzie nadal żyją, wracają z imprez…

– Chcesz przekonać siebie czy mnie? Wpadamy w paranoję, bo kilkanaście minut temu włamałyśmy się do mieszkania faceta, który w salonie powiesił podobiznę twojej córki.

Zbliżały się do kolejnego skrzyżowania.

– Skręć tu w prawo!

– Ale my mamy jechać w lewo! – Olga próbowała protestować, ale spojrzenie przyjaciółki i jej ręka zmierzająca właśnie ku kierownicy sugerowały problemy.

– Rób, co mówię! W prawo!

Olga zwolniła, pokręciła kierownicą w prawo, a kiedy samochód znalazł się na właściwym torze jazdy, zerknęła w lusterko. Taksówka nadal za nimi jechała.

– Dobrze, i w następną znowu w prawo. A potem jeszcze dwa razy w prawo. Powoli, nie spiesz się.

– Mam jechać wolno? Myślałam, że chcemy im uciec.

– Najpierw musimy upewnić się, czy rzeczywiście nas śledzą.

– Mamy jeździć w kółko?

– A znasz lepszy sposób na to, żeby sprawdzić, czy śledzi nas ktoś konkretny, czy tylko twoja wybujała wyobraźnia?

*

Po drugim zakręcie taksówka pojechała prosto, a kobiety odetchnęły z ulgą. Wybujałą wyobraźnię Aleksandra zamierzała oczyścić prysznicem, a Olga piwem. Nie chciało im się już nawet ze sobą rozmawiać. Zdały sobie sprawę z tego, że zupełnie niepotrzebnie wzajemnie się nakręcają.

Były gotowe oskarżyć Bogu ducha winnego kierowcę taksówki o to, że je śledził, tylko dlatego, że przez kilka minut jechał za nimi. Jakby zapomniały, że w Łodzi żyje około siedmiuset tysięcy ludzi, którzy mają takie samo prawo jak one przemieszczać się głównymi ulicami w centrum miasta.

Kobiety w złowrogiej ciszy dotarły do apartamentu. Olga zrzuciła z siebie buty i udała się prosto do lodówki. Otworzyła ją i wyjęła z niej puszkę piwa.

– Chcesz? – spytała, ale nie oczekiwała towarzystwa.

Dzień, a właściwie późny wieczór dostarczył jej tylu wrażeń, że myśl o tym, że samotne picie nie przystoi kobiecie, odeszła na dalszy plan. Musiała się napić, zasnąć i obudzić się rano, by świeżym spojrzeniem ogarnąć wszystko, co się właśnie wydarzyło.

– Zajmuję łazienkę – z przedpokoju dotarł głos Aleksandry.

– Spoko! – odkrzyknęła i wzięła kilka łyków piwa.

Zamykanie się w dekadenckiej łazience, z czarnym sedesem, czarnym brodzikiem i czarnymi szafkami, nie wydawało się Oldze dobrym pomysłem na relaks. W łazience dopadały ją czarne myśli – tak samo czarne, jak jej wystrój.

Przeładowana barwami smutku i złotymi elementami łazienka stanowiła

luksusowe tło, kiedy uprawiała w niej seks. Kiedy jednak zerkała na swoje odbicie w okrągłym lustrze w złotej ramie – czuła się przytłoczona.

Odgłosy wody uderzającej o szyby kabiny prysznicowej dość szybko ucichły, a z łazienki wybiegła Aleksandra zawinięta w ręcznik.

– Teczka! Zostawiłam ją w samochodzie. Daj mi kluczyki, zejdę do garażu.

– Czekaj, chyba nie pójdziesz nago?

*

Macieja Nowosada obudziło skomlenie psa. Oksford kręcił się przy drzwiach. To siadał, to wstawał, to chodził w kółko. Ewidentnie chciał wyjść na dwór.

Maciej wiedział, że tak to się skończy. Że dzieci, które nalegały na psa, zgodzą się na wszystkie ustalenia, a później wycofają się z nich rakiem i to na niego – na głowę rodziny – spadnie obowiązek wychodzenia z futrzakiem. Niezależnie od pory dnia i nocy.

Kiedy skomlenie psa stało się głośniejsze, mężczyzna wciągnął na siebie spodnie od dresu, zarzucił bluzę, włożył klapki i złapał za smycz.

Oksford zamerdał ogonem i ustawił się nosem przy drzwiach, sygnalizując gotowość do wyjścia.

Maciej otworzył drzwi i podążył za psem. Usiadł na ławeczce pod blokiem z zamiarem przeczekania, aż pupil załatwi wszystkie swoje potrzeby. Poczuł jednak ogromną ochotę na papierosa. W domu udawał, że nie pali, a nawet, że gardzi swoim poprzednim nałogiem, ale podczas podróży służbowych się nie ograniczał. Kopcił jak lokomotywa i teraz zamierzał dostarczyć sobie solidną dawkę nikotyny.

Sprawdził, czy w kieszeni spodni ma kluczyki do samochodu, zawołał psa i zszedł do garażu. Rozpoczętą paczkę papierosów trzymał ukrytą na dnie schowka po stronie pasażera. Otworzył więc samochód, przyklęknął na siedzeniu pasażera i sięgnął po upragnionego papierosa.

Nie zdążył go jednak zapalić, bo jego uwagę przykuła rudowłosa kobieta, która próbowała dostać się do wnętrza pojazdu zaparkowanego w rzędzie obok. Mierzyła do auta z trzymanego w ręku breloczka kluczy i naciskała na coś, co ewidentnie działało zupełnie inaczej, niż tego oczekiwała.

Zamiast jednego piknięcia, odblokowującego zamek centralny, rozległ się głośny sygnał przypominający klakson. Kobieta podskoczyła przestraszona i rozejrzała się dookoła.

Maciej uniósł rękę na przywitanie i rzucił krótką wskazówkę:

– Już jest otwarty!

Jego auto reagowało identycznie, kiedy korzystając z przycisku na kluczyku, usiłował odblokować otwarty samochód.

– Dziękuję! – odkrzyknęła mu i zniknęła w środku.

Przez głowę Macieja przemknęła niepokojąca myśl, że być może obserwuje właśnie ekscentryczną złodziejkę samochodów, która korzysta z modyfikacji klasycznej strategii „na śpiocha".

Kobieta ubrana była w dwuczęściową pidżamę, przez co założył, że jest mieszkanką tego bloku. Nikt obcy nie chodziłby po garażu w pidżamie… Nikt przy zdrowych zmysłach. Nikt bez niecnych zamiarów.

Maciej starał się skoncentrować i zapamiętać jak najwięcej szczegółów, by w razie konieczności złożenia zeznań móc wnieść coś do śledztwa. Od razu jednak zauważył, że najtrudniej będzie mu się wytłumaczyć żonie… Co robił w środku nocy w podziemnym garażu?

Kobieta nie uruchomiła silnika, ale zabrała z samochodu niebieską teczkę i zniknęła w drzwiach prowadzących na klatkę schodową.

– Jesteśmy uratowani, Oksford. To jednak nie kradzież. Wracamy do domu.

*

Jezu, dziękuję Ci za to, że dziś znowu wstało słońce, a ja wraz z nim. Że mogę na nowo zmagać się ze swoimi słabościami, że mogę podziwiać świat przez ciebie stworzony i Ciebie wielbić.

Panie Boże, Ty widzisz moje słabości. Wiesz o mnie więcej niż inni, a nadal mnie kochasz. Dzięki temu jestem w stanie zauważyć promyk nadziei w moim parszywym życiu. Ty dałeś mi szansę, więc może i ja powinienem ją sobie dać i zaakceptować to, co się wydarzyło.

Nie mogę jednak zapomnieć tych oczu. Spojrzenia, które krzyczy, że nie spocznie, póki nie dosięgnie mnie kara. Musiałem sprawić, że się zamkną. Musiałem. To była samoobrona. Ono chciało, żebym zgnił w piekle. Chciało, żeby uczyniono mi to, co jemu byłoby niemiłe. Nie tylko ja złamałem przykazanie.

Boże, Ty widzisz, że ostatnio zawładnęła mną nerwowość. Obserwujesz, jak często denerwują mnie różne sytuacje. Proszę Cię, udziel mi dziś daru cierpliwości, abym umiał patrzeć na siebie i innych z większą wyrozumiałością. Daj mi też spokój. Spokój duszy.

Amen.

*

Policjant Kajetan Gulczyński maszerował przez oddział chirurgiczny i rozmyślał o najpiękniejszym motylu świata. Morpho Menelaus można było podziwiać na żywo w Wenezueli, Brazylii i lasach deszczowych Ameryki Południowej.

Kajetan widział go kilkukrotnie w ogrodach zoologicznych, ale marzył o tym, że w końcu uda mu się wybrać do Ameryki i zobaczyć ulubieńca w naturalnym

środowisku. Chciał podziwiać, jak niebieskie skrzydła o metalicznym połysku unoszą się między drzewami, jak na tle nieba motyl dostojnie wzbija się w górę i szybko leci w stronę interesującej go samicy.

Najpierw chciał go zobaczyć, a później kupić wypreparowany egzemplarz do swojej kolekcji. Kolekcjonował nie tylko motyle, ale i wspomnienia z nimi związane. Wspomnienia podróży i środowiska naturalnego, w którym żyły konkretne okazy, były wartość dodaną do nich samych.

Od kilku miesięcy zbierał pieniądze na wyprawę do Ameryki Południowej i kiedy powoli zaczął tracić motywację, los dał mu pstryczka w nos. Przełożony wysłał go do szpitala celem sprawdzenia, czy mężczyzna o nieustalonej tożsamości widnieje w bazach danych Ogólnopolskiego Systemu Automatycznej Identyfikacji Daktyloskopijnej AFIS.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że urządzenie do szybkiej identyfikacji daktyloskopijnej nosiło nazwę Morpho RapId. „Morpho" jak motyl, którego miał zobaczyć.

– Dzień dobry. Aspirant Gulczyński – dopełnił formalności, kiedy dotarł do celu dzisiejszej podróży.

Nie miał ochoty na dłuższe przedstawianie się, tłumaczenia ani pogawędki. Musiał przyłożyć dwa palce klienta do sprzętu, wcisnąć odpowiednie przyciski, wrócić do komisariatu i poinformować przełożonego o efekcie podjętych przez niego działania. Poinformować pisemnie, by w aktach sprawy pozostał ślad. Tego nie lubił najbardziej.

Gdyby sam był motylem, nie musiałby pisać.

– Wyciągnie pan dłoń.

– Po co?

Po jajco – miał ochotę odpowiedzieć Gulczyński. Dzielił ludzi, z którymi się spotykał, na dwie grupy: tych niewinnych i reagujących na mundurowych z entuzjazmem, nadzieją i oczekiwaniami, zwykle wygórowanymi, ale jednak, oraz tych, którzy udają, że są obojętni albo wręcz demonstrują swoją niechęć do policji. Klient, którym się właśnie zajmował, należał do drugiej grupy – udawał obojętność. Gulczyński mógł się założyć, że w przeszłości facet miał do czynienia z policją, siedział w więzieniu albo przynajmniej był o coś oskarżany. A to oznaczało, że po przyłożeniu jego palców do czytnika linii papilarnych powinno pojawić się nazwisko delikwenta.

*

Wpadłam do Niebieskich migdałów – herbaciarni – spóźniona, a Sebastian nie dał mi nawet pół minuty na wyrównanie oddechu. Zamówił dla mnie herbatę i od razu przeszedł do rzeczy.

– Zdajesz sobie sprawę, że ten stół z teczką i drzwi to może być jedyne, co ten

facet pamięta? Jedyne, co można z niego wydobyć? Czytałem w branżowym piśmie o pochodzącym z Nowego Jorku nastolatku, który miał problemu w szkole i w domu. Pewnego wiosennego dnia wrócił ze szkoły całkowicie przybity i ze wstrętem rzucił książki na ganek.

Amnezja, amnezja, amnezja. Sebastian jest monotematyczny, a mnie trudno się skupić. Moja świadomość została jeszcze na Placu Wolności.

Plac Wolności. Kiedy usłyszałam, że spotkamy się w kawiarni przy Placu Wolności, pomyślałam, że to brzmi tak swojsko. W Poznaniu też umawiam się ze znajomymi przy Placu Wolności. A później przyszłam tu i zobaczyłam ten malutki placyk. Każdy budynek z innej epoki, innej kultury, z innego świata. Już miałam uznać wyższość Poznania nad Łodzią, kiedy usłyszałam dźwięk trąbki. Wybiła dwunasta, z wieży rozległ się hejnał, który rozłożył mnie na łopatki. Wiatr niósł po centrum włókienniczego miasta „Prząśniczki" Moniuszki. To było cudowne doświadczenie.

Być może Łódź nie jest najpiękniejszym polskim miastem, ale ludzie, którzy tu mieszkają, posiadają coś, czego nie ma nikt inny. Uwielbiam ich. Są inteligentni, kreatywni i wyróżniają się nieszablonowym podejściem do życia.

– Od tamtej chwili stał się ofiarą amnezji i zniknął.

– Ale jednak ktoś opisał ten przypadek… – zmuszam się do skupienia na rozmowie.

– Tak, po ponad roku do szpitala trafił młody żołnierz. Zgłaszał ból brzucha i zatrzymano go na oddziale. Następnego dnia czuł się już dobrze, ale nie potrafił powiedzieć, skąd przyszedł ani jak się nazywa. Nie wiedział także, gdzie się znajduje. Jedyne co pamiętał, to wiosenny dzień, kiedy ze wstrętem rzuca książkami na ganku. Najprawdopodobniej wyruszył z domu i zaczął nowe życie jako żołnierz. Stan fugi dysocjacyjnej to mało znane albo bardzo barwne zjawisko.

Sebastian żywo gestykuluje, opowiadając o amnezji. Naprawdę go to kręci. Dobrze, że zgodziłam się na przedpołudniową kawę w jego towarzystwie. Przynajmniej wiem, że kieruje nim niezdrowa ciekawość, wynikająca z trawiącej go pasji poznania zjawiska.

– Świetny temat na kolejny artykuł, co?

Oczywiście, nie jestem naiwna. Wiem, że jego pasja związana jest z chęcią zaistnienia, pokazania światu ciekawego zagadnienia i jednocześnie siebie. Sebastian zawsze był skupiony tylko na własnej osobie. Z powierzchownego egocentryka zajmującego się swoim wyglądem i ubiorem zmienił się w egocentryka, który za wszelką cenę zgłębi najciemniejsze zakątki duszy ludzkiej, by pokazać światu swoją przenikliwość i inteligencję.

– Świetny. Ale to później. Najpierw amnezja dysocjacyjna.

– Czyli twój John Doe.

– Nasz John Doe, Rudzielcu. To ty z nim pracujesz i jesteś skuteczna.

– Czyżbyś planował umieścić moje nazwisko obok swojego w informacjach o autorach artykułu?

– Na pewno znajdziesz swoje nazwisko w podziękowaniach.

Tak, w podziękowaniach. Cwaniak, jak zwykle. Dla niego to tylko kolejny temat i kolejny artykuł. Gratulacje, uściski dłoni, zazdrosne spojrzenia, prelekcje, pieniądze.

Dla mnie to coś więcej.

Portret Weroniki uświadomił mi, że być może niektóre sprawy z przeszłości nadal nie zostały zamknięte. Być może ten pieprzony John Doe jest członkiem mafii, która chce mnie rozliczyć za winy mojego męża? A może to ktoś zatrudniony przez Ilonę, znienawidzoną szwagierkę? Nie zdołała odebrać mi dzieci przy pierwszym podejściu i zrobi wszystko, by drugie było skuteczne. Może to ona zaplanowała to wszystko? Udającego zanik pamięci faceta, Łódź i całą tę atmosferę pętli zaciskającej się wokół mojej szyi?

Jeśli Ilona myśli, że się załamię, że znowu sięgnę po psychotropy, to bardzo się myli. Jestem silna. Silna. Tak, muszę to sobie powtarzać. Dam radę zmierzyć się ze wszystkim, co dla mnie przygotowała.

Najłatwiej byłoby teraz odpuścić. Wrócić do Poznania, usiąść przed telewizorem i udawać, że nic się nie stało. Nie mogę jednak chować głowy w piasek. Muszę spotkać się z tym facetem jeszcze raz i ustalić, dla kogo pracuje.

Sebastian opowiada o amnezji i jest tak zafascynowany sobą, że nawet nie wymaga mojej uwagi.

On ma swoje wyzwanie – artykuł. Ja swoje. Boję się – ale nie okażę strachu. Wygram z Iloną, albo z duchami przeszłości. Wygram, bo jestem silna. I mam dwójkę dzieci, którymi muszę się opiekować.

– Powrót wspomnień zaczyna się zwykle od małych kroczków, rozbłysków. Z moich obserwacji wynika, że jakiś przedmiot, czasem bardzo banalny… no nie wiem, szczoteczka do zębów czy kolorowa spinka, posuwają nas do przodu. Pacjent zaczyna kojarzyć, że ma przeszłość. Oswaja się z tym i zaczyna delikatnie sam, kierowany ciekawością, a nie przymusem czy naciskami zewnętrznymi, podglądać swoją przeszłość przez dziurkę od klucza. Sama świadomość, że coś wie, dodaje mu pewności siebie, dzięki czemu zwiększa jego motywację i siłę do dalszej pracy.

Dalszej pracy? Jutro wyjeżdżam, ale wiem, co będę robić z pacjentem dziś. Teczka. Widział ją we wspomnieniach. Dziś zobaczy ją naprawdę.

*

Janusz Faber, właściciel najbardziej znanych w Polsce galerii sztuki i domu aukcyjnego, prowadził swój interes, kierując się własną intuicją. Zgadzał się ze

słowami Sarah Thorton, że świat sztuki jest różnorodny, nieprzejrzysty i wręcz sekretny. Znalazł je w książce zatytułowanej „Siedem dni w świecie sztuki", zapamiętał i powtarzał przy każdej nadarzającej się okazji.

Codziennie, kiedy wchodził do pomieszczeń, w których podłogi i ściany wyłożone były luksusową wykładziną podłogową w kolorze stonowanego granatu, kiedy słyszał skrzypiące schody i czuł ten specyficzny zapach wiszących na ścianach dzieł sztuki, uzmysławiał sobie, że wchodzi niczym Alicja do swojej Krainy Czarów.

Mimo że dla wielu miłośników sztuki pewne aspekty świata, w którym się obracał, wydawały się być wstrętne i niezrozumiałe, on wracał do pracy zawsze z taką samą energią i zaangażowaniem. Znajdował tu wystarczającą ilość wykształconych, anachronicznych i anarchicznych ludzi, by czuć się szczęśliwym. A że przy tym zarabiał pieniądze? Nikt nie powinien mieć do niego o to pretensji.

To co zawsze pozwalało mu utrzymać się na powierzchni, to towarzyszące mu przekonanie graniczące z pewnością, że w świecie sztuki tak naprawdę nie chodzi o posiadanie czy władzę, lecz o kontrolę. Cichą kontrolę realizowaną za pomocą zaufania. Władza według Fabera bywała prostacka, a kontrola dużo bardziej inteligentna i sprecyzowana.

Kontrolował więc wszystko – każdego pracownika i każdy element procesu sprzedaży dzieł sztuki. Kontrolował nawet siebie. Właśnie usiadł do komputera z zamiarem dokładnego przeanalizowania przebiegu ostatniej aukcji sztuki dawnej.

Faber miał się za świetnego aukcjonera. Potrafił panować nad sobą jak nikt inny w tej branży, miał wrodzony urok i umiejętność dopasowywania tempa aukcji do nastrojów licytujących. Wiedział jednak, że jego świetność i świeżość są w dużej mierze efektem zamierzonej strategii, podpatrzonej w londyńskim domu aukcyjnym.

Cała armia instruktorów i trenerów głosu obserwowała tam przebieg nagranej aukcji i poddawała krytyce, by pozbyć się słownych potknięć, nadmiernej gestykulacji czy innych tego typu przyzwyczajeń.

– Dobry wieczór, panie i panowie. Witam w Domu Aukcyjnym Faber na dzisiejszej aukcji sztuki dawnej! – Janusz uruchomił film.

Przygotował sobie długopis i kartkę, by móc zapisywać uwagi na bieżąco. Od pracy oderwał go jednak telefon.

– Halo? – odezwał się tonem jasno sugerującym, że nie ma czasu na żadne rozmowy.

– Jak mogłeś mi to zrobić?

Agresja w głosie dzwoniącego sprawiła, że Faber błyskawicznie dostosował się do sytuacji. Był aukcjonerem. Profesjonalistą. Prezenterem i aktorem w jednym. Człowiekiem, który niby tylko prowadził licytacje, a w rzeczywistości podkręcał

emocje i robił wszystko, by wycisnąć z publiczności kolejne podbicia ceny. W jednej chwili pozbył się zniecierpliwienia z głosu i odezwał się tonem uwielbianym przez kolekcjonerów. Oficjalnym, odrobinę służalczym i jednocześnie ściszonym, jakby rozmowa odbywała się w najwyższym zaufaniu.

– Witam serdecznie szanownego…

Nie zdążył wypowiedzieć nazwiska kolekcjonera, bo ten mu przerwał:

– Przecież ona musi trafić do mnie.

– Dobrze wiesz, że takie mamy procedury. Nowa rzecz trafia najpierw do katalogu i dopiero później pojawia się na aukcji.

– Od kiedy tak kurczowo trzymasz się procedur, co?

Faber został potraktowany obcesowo, ale postanowił nie wchodzić w polemikę. O pewnych rzeczach nie powinien rozmawiać z nikim. Nigdy. Zwłaszcza przez telefon. Poza tym w tej formie komunikacji brakowało mu kontaktu wzrokowego.

Kontakt wzrokowy był kluczowy podczas każdej aukcji. Każdy z licytujących musiał czuć się tak, jakby był jedyną osobą na sali. Faber potrafił odczytać z twarzy licytujących ich zamiary.

Gdyby widział obecnego rozmówcę, mógłby zareagować adekwatnie do sytuacji. Teraz poruszał się po omacku.

– Zapłaciłbym każdą cenę – kontynuował kolekcjoner. – Nie chodzi o pieniądze.

– Rozumiem twoją ekscytację. Rzeczywiście jest piękna. Ale jeśli nie chodzi o pieniądze, to o co?

– O być albo nie być. O kompletność. O poczucie przynależności. I estetyki.

– Rozumiem…

– Gówno rozumiesz.

– Jak bardzo ci na niej zależy?

– Bardzo. – Mężczyzna zawiesił głos, jakby zastanawiał się, czy na tym skończyć, czy dodać coś jeszcze.

– Rozumiem.

– I bardzo dobrze. Ona musi być moja! Nie zmuszaj mnie do tego, żebym zachował się irracjonalnie.

*

Jeżeli wydaje ci się, że wszystko jest w porządku – na pewno coś przeoczyłeś. To moje ulubione prawo Murphy'ego. Dzisiaj uzupełnię je jeszcze aksjomatem Wilk: jeśli idziesz właśnie długim korytarzem, na którym znajduje się mnóstwo ludzi i tylko jeden policjant, i jeśli organicznie nienawidzisz policji, to możesz być pewny, że ten policjant odezwie się właśnie do ciebie.

– Idzie pani do pacjenta z wypadku, prawda?

A nie mówiłam? Czekał na mnie czy co? A może wyczytał z moich oczu, że nie mam ochoty z nim gadać? Podszedł specjalnie do mnie, żeby zrobić mi na złość. Pokazać swoją wyższość.

Niebieski mundur i pieprzona oznaka nie robią na mnie wrażenia…

Skłamałam. Robią, ale przeciwne do zamierzonego.

– O co chodzi?

– Pani wydusza z niego wspomnienia?

– Wydusza wspomnienia? Nie ma pan pojęcia o pracy psychologa!

Rozkręcam się z reprymendą, ale widzę, że do niego nic nie dociera. Nie słucha mnie. Jest skoncentrowany na mojej twarzy, ale nie obejmuje wzrokiem ust. Nie patrzy też w oczy. Jego spojrzenie wwierca się w mój nos i policzki.

Świetnie. Czuję się jak eksponat w muzeum. Albo nie, nie w muzeum. Jak wyjątkowy okaz w ogrodzie zoologicznym. Gatunek żyrafy, której nikt jeszcze nie widział na żywo.

W co on się tak wpatruje?

– Pójdę już – informuję go, bo przecież nie będę dawała się tak oglądać i odpowiadać na niepotrzebne pytania.

– Chwileczkę. – Policjant zastępuje mi drogę. – Przepraszam, ale ma pani „motyle" ułożenie kropek.

– Kropek?

– Na twarzy. Piegów.

Zahipnotyzowałam go piegami? Policjanta? W jaką stronę zmierza ten świat?

– Zatrzymałem panią, bo mam informacje, które pomogą pani w pracy.

– Tak?

– Znamy już jego nazwisko.

– Ooo.

Czyli są krok przede mną.

– Wiemy też, gdzie mieszka.

– Przypomniał sobie? – Nagle zdaję sobie sprawę, że nasza wczorajsza sesja terapeutyczna mogła uruchomić u pacjenta lawinę wspomnień.

Być może wszystko sobie przypomniał i rano wyśpiewał policjantowi.

– Nie, nadal nie chce ze mną gadać. Prawdę mówiąc… wcale mu się nie dziwię.

– Skoro to nie on wam powiedział… to skąd wiecie?

– Mamy swoje sposoby. – Policjant macha mi przed nosem urządzeniem przypominającym małą kasę fiskalną.

Nie wiem po co? Mam się zachwycić facetem, elektronicznym gadżetem czy skutecznością policji?

– Czy ja też mogę poznać te dane? Ułatwi mi to pracę.

– Oczywiście. Piotr Wróblewski, zamieszkały w Łodzi przy ulicy Narutowicza…

Znam ten adres nie tylko ze słyszenia. Byłyśmy w tym mieszkaniu wczoraj.

Ha, jesteśmy z Olgą szybsze niż policja.

Wróblewski? Nigdy nie spotkałam nikogo o takim nazwisku.

– Rozumiem, że znaleźliście go w swoich bazach danych?

Muszę delikatnie ustalić, czy facet był notowany, z jaką grupą przestępczą jest związany i dlaczego w mieszkaniu zawiesił portret mojej córki.

– Ustaliliśmy tożsamość dzięki liniom papilarnym.

– Recydywista?

– Nie. Mieliśmy jego paluchy, bo był kiedyś obecny na miejscu zdarzenia. Ale nie postawiono mu zarzutów.

– O jaką sprawę chodziło? Jakie miejsce zdarzenia?

– Ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła.

Facet próbuje mnie straszyć piekłem? Muszę wyglądać jak naiwna panienka. Może to i dobrze? Przecież nie musi wiedzieć, że w piekle czuję się jak w domu.

– Dla dalszej pracy terapeutycznej, a zakładam, że chciałby pan zamknąć tę sprawę i zająć się czymś ciekawszym, ważne jest to, w jakim kontekście mamy się obracać. Ja oczywiście mogę poruszać się po omacku… ale to zajmie dużo więcej czasu. Bardzo istotne, z mojego punktu widzenia, byłoby potwierdzenie, czy pracuję z normalnym Kowalskim…

– Wróblewskim – wtrącił, jakby nie wyczuł znaczenia metafory.

– …Kowalskim, który przypadkowo został potrącony przez samochód, czy z Kowalskim, który współpracuje z grupą przestępczą i postępuje według zupełnie innych norm społecznych.

– Myśli pani, że może być członkiem grupy przestępczej?

– Nie myślę, lecz pytam.

– A pyta pani o jakąś konkretną?

Boże, niech mnie ktoś trzyma, bo zaraz nie wytrzymam i skoczę mu do gardła. Gdybym miała na myśli konkretną grupę, to sama zabrałabym się za sprawdzenie, czy nasz John Doe, to znaczy Piotr Wróblewski, jest jej członkiem.

*

Ciągły stukot klawiszy dochodzący do uszu Krystiana doprowadzał go do szału. Od ponad pół godziny stał w miejscu. Zidentyfikował błąd, który sprawiał, że przygotowywany przez niego program szwankował, ale w tej chwili nie potrafił go zlikwidować.

Mateusz siedział obok i zawzięcie uderzał w klawiaturę palcami, z prędkością sprintera. Stuk, stuk, stuk. Bez przerwy. Bez jednej, krótkiej chwili zastanowienia. Bez kilku sekund na rozprostowanie palców. Stukał. Jak dzięcioł lub stenotypistka.

Krystiana irytowała świadomość, że koledze tak dobrze idzie, że pracuje bez zająknięcia, że nie trafia na problemy, że za mocno uderza w klawiaturę, że

klawiatura jest zbyt głośna, że warunki pracy nie sprzyjają skupieniu, że może powinien zmienić pracę. On albo Mateusz, który był denerwujący również wtedy, kiedy nie siedział przy komputerze.

– Telefon. – Stukanie na chwilę umilkło. – Telefon ci dzwoni!

Krystian zorientował się, że wylogował się z rzeczywistości i nie zauważył, że dzwoni do niego Aleksandra. Widok jej imienia na ekranie komórki przypomniał mu, że od ponad godziny nie zaglądał do aplikacji, dzięki której wiedział dokładnie, gdzie znajduje się jego ukochana.

– Cześć! Miło, że dzwonisz. Wracasz już?

– Już się pakuję. W Poznaniu będę jutro. Co u ciebie?

Aleksandra zadała pytanie, ale obojętny ton głosu wskazywał na to, że nie była ciekawa odpowiedzi. Raczej chciała nawiązać rozmowę i sprawiać pozory tego, że o nim pamięta.

Znał ją i wiedział, jak bardzo angażuje się w rozwiązywanie zagadek ludzkich umysłów. Wolałby, żeby siedziała obok niego, ale jej głos brzmiący w słuchawce chociaż na chwilę ukoił jego tęsknotę.

Opowiedział jej pokrótce o pogodzie w Poznaniu, o zleceniu, nad którym pracował i o matce, która wymyśliła, że pojedzie do sanatorium.

– Aha.

– A co u ciebie? – odwdzięczył się tym samym pytaniem.

– Dziękuję, są postępy. Wiem już, jak nazywa się ten pacjent.

– Ooo. Rozpoznałaś go w końcu?

– Nie. Policja ustaliła jego dane.

– A twój kumpel ze studiów cię podrywa?

Krystian zmienił temat. Nie interesował go jakiś połamany facet ze szpitala, ale przystojniak chronicznie skupiony na podrywaniu kobiet.

– Sebastian? Przecież on ma żonę i dzieci…

– Nie pytam co ma, tylko czy cię podrywa.

– Krystian, wyluzuj. Nie podrywa. Nie widuję się z nim za często. Masz ciężki dzień?

– Nie – burknął.

– Na pewno? Słuchaj, mam do ciebie prośbę.

– Prośbę? – Wcale go to nie zdziwiło. Ciągle go o coś prosiła, a teraz jeszcze potwierdziła, że nie dzwoni dlatego, że się stęskniła.

– Możesz dla mnie sprawdzić tego pacjenta? Nazywa się Piotr Wróblewski.

– Pod jakim kątem?

– Tak jak tylko ty to potrafisz! – W jej głosie odnalazł ciepłą nutę. Mógłby się założyć, że właśnie się uśmiechała. – Pod każdym, ma się rozumieć, zwłaszcza mrocznym. Czym się zajmuje, czy gdzieś się udziela, gdzie pracuje… Chciałabym wiedzieć wszystko.

– Dlaczego?

– Muszę mieć przewagę. On może być moim wrogiem.
– Przyjadę…
– Nie! – zaprotestowała błyskawicznie. – Sprawdź tylko, dobrze?

*

Mocne uderzenie na początek. Mocne, ale pozbawione agresji. Z zerowym ładunkiem emocjonalnym.

Taki plan miała Aleksandra. Przekraczała właśnie próg szpitalnej jedynki, w której leżał John Doe. Musiała zostawić emocje za drzwiami, obawy schować do kieszeni, a hipotezy wyrzucić za okno.

– W co ze mną pogrywasz, Piotrze Wróblewski?

Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, jej nastrój błyskawicznie dostosował się do otoczenia. Była jak kameleon.

Nijaka jak ściany pomalowane na kolor, który trudno byłoby odnaleźć w palecie barw. Zupełnie jakby budowlańcy używali brudnych pędzli, którymi kiedyś malowali inne wnętrze. Może niebieskie, może zielone, a może oba.

Surowa jak szpitalny personel, który bez zbędnych uśmiechów wykonuje swoje obowiązki. Umieszcza wenflony w żyłach, wbija w ciała pacjentów igły.

Obojętna jak szpitalne szafki, które w ciągu kilkunastu minut po śmierci pacjenta gotowe są do przyjęcie przedmiotów kolejnego chorego, któremu wydaje się, że trafił do szpitala przypadkiem.

– Dzień dobry. Widzę, że rozmawiałaś z policjantem.

– W co ze mną pogrywasz? – Nie zamierzała zaczynać terapii, zanim nie uzyska odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

– Nie rozumiem.
– Chciałeś, żebym poszła do twojego mieszkania i to zobaczyła.
– Mojego mieszkania? Policja dała ci adres?
– Skąd masz portret mojej córki?
– Jaki portret? Byłaś tam?
– Kto ci go dał?
– O czym ty mówisz?
– Znałeś Gabriela?
– Nie wiem.
– Dlaczego chciałeś rozmawiać tylko ze mną?
– Nie wiem. Znam cię.
– Co o mnie wiesz?

Mężczyzna, który do tej pory na wszystkie pytania odpowiadał automatycznie, spuścił głowę. Na tle szpitalnej ściany, z podwieszoną kroplówką i opuchniętą twarzą, wyglądał, jakby czekał na śmierć. Jakby lekarz poinformował go właśnie o diagnozie i zerowych szansach na przeżycie.

– Jesteś dobra – odpowiedział po chwili zastanowienia. – Nie skrzywdzisz mnie. Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem.

– Co jeszcze?

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko. Inaczej kontynuowanie tej rozmowy i terapii nie ma sensu. Szczerość to podstawa. Jeśli nie w życiu, to przynajmniej w mojej pracy.

– Wiem, że muszę się o ciebie zatroszczyć.

– Zatroszczyć? – Aleksandrze coraz trudniej przychodziło kontrolowanie emocji.

– Żeby nie stała ci się krzywda.

– Co to za pierdolenie?! Jaka krzywda? Jak możesz troszczyć się o kogoś, kogo nie znasz?!

– Nie wiem. Nie wiem. Niczego nie pamiętam! – Mężczyzna rozpłakał się.

Aleksandra zdała sobie sprawę, że przekroczyła granicę, do której nie powinna się nawet zbliżać. Jeśli czuła się zagrożona, powinna przekazać pacjenta innemu lekarzowi. Mogła też najpierw porozmawiać o wszystkim ze swoim superwizorem.

– Jeśli czujesz, że płacz cię oczyszcza, to płacz do woli. Nie musisz się mnie wstydzić.

– Nie. – Otarł twarz rogiem kołdry. – Co się ze mną dzieje? Faceci przecież nigdy nie płaczą.

– Nigdy nie mów nigdy. – Aleksandra postanowiła odłożyć na bok swoje prywatne lęki i przejść do terapii. – Chciałam cię pochwalić. Nasza wczorajsza sesja przyniosła dużo prawdziwych informacji. Twoja pamięć cię nie myli. Mieszkasz pod siódemką, a na stole w jednym z pokoi leży teczka.

– Naprawdę?

Wyjęła z torebki teczkę, którą zabrała wczoraj z mieszkania. Na jej widok Piotrowi coś rozbłysnęło w oczach. Sięgnął po nią zachłannie, omal nie wyrywając sobie podłączonej do żyły kroplówki.

*

Facet jest niebezpieczny dla samego siebie. Nie kontroluje się. Najpierw płacz, a teraz zamach na swoje żyły.

– Powoli! – upominam go.

Spogląda z pretensją na rurkę, która wtłacza do jego krwi niezbędne substancje.

– Cholera! – gani Bogu ducha winną kroplówkę i ponownie koncentruje się na teczce.

– Proszę.

Przekazuję mu ją, a on zachowuje się, jakbym wręczyła mu rękopis Galla

Anonima, czy coś innego, równie cennego. Ostrożnie ogląda przedmiot z każdej strony i jednocześnie jest dumny. Tak, rozpiera go duma.

– To naprawdę moja teczka. Rozumiesz? Nie jestem pewien, czy to prawda, że nazywam się Wróblewski, ale wiem, że to moja teczka! – Zbliża do niej nos. – Pachnie jak moja.

– Bo jest twoja. Z twojego mieszkania.

– Dziękuję, bez ciebie bym sobie nie poradził, nie dotarłbym do tych wspomnień. Jesteś niesamowita.

Dobra, dobra, nie słucham tego. To, że z nim gadam, nie znaczy, że pozbyłam się obaw. Jestem profesjonalistką. Pracuję z nim terapeutycznie. Jest tylko on i jego luki w pamięci. Mnie w tej relacji nie ma. Nie ma miejsca na osobistą sympatię czy antypatię, przyjmowanie komplementów i zaprzyjaźnianie się.

– Poczekaj!

Muszę go przystopować. Nie może tak po prostu jej otworzyć i zajrzeć do środka.

– Dlaczego?

– Pośpiech nie jest wskazany…

Sama nie wierzę, że to mówię. W jednej chwili przyciskam go do ściany, by dowiedzieć się wszystkiego tu i teraz, a w drugiej chcę celebrować moment otwarcia teczki.

To nie jest element strategii. Nie wiąże się ani z psychologią, ani tym bardziej z amnezją. To dostosowywanie się do rzeczywistości i panujących w niej trudnych warunków. Kiedy późnym wieczorem przeglądałam teczkę w samochodzie, była pełna papierów: kolorowych rysunków, szkiców ołówkiem i zdjęć.

– Co jest w środku?

– A co spodziewasz się tam zobaczyć?

Ja spodziewałam się, że w końcu przyjrzę się tym wszystkim papierzyskom, bo wczoraj w samochodzie było zbyt ciemno, żeby coś z nich wyczytać. Szukałam wtedy dokumentów, na których mogłoby widnieć jego nazwisko. Nie interesowały mnie rysunki. Kiedy jednak zajrzałam do niej rano, okazała się pusta.

Przeprowadziłam więc prywatne śledztwo. Teczka leżała w samochodzie najwyżej pół godziny, a potem całą noc na blacie w kuchni. Ani samochód, ani apartament nie nosiły śladów włamania. Nie zginęło z nich nic innego poza zawartością teczki, co kazało mi wyeliminować hipotezę z włamaniem. Kto wchodziłby do mieszkania ociekającego luksusem i zabierał z niego jedynie kilka kartek papieru? No, chyba że nie wchodził, a już w nim był.

Podejrzenie padło na Olgę, ale ta, zapytana o to, czy dotykała teczki, postukała się palcem po głowie i zarzuciła mi wpadanie w paranoję. Odpuściłam więc, zatrzymując dla siebie wniosek, że wpakowałam się w coś

znacznie większego, niż na ten moment jestem wstanie zrozumieć.

– Spodziewam się, że znajdę tam odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

– W takim razie ją otwórz. Ale powoli, nie spiesz się. Chodzi o to, by twoja pamięć nadążyła za twoimi dłońmi. Najlepiej, żeby to dłonie podążały za pamięcią…

– Czyste kartki?!

Spogląda na mnie zdziwiony i rozczarowany jednocześnie. Ewidentnie czeka na ciąg dalszy. Sorry, nie byłam w stanie wymyślić nic innego. Z dwojga złego lepsza jest teczka wypełniona czystymi kartkami, niż pustką.

– Na razie są białe, ale możesz wypełnić je swoimi wspomnieniami.

Przerażenie w jego oczach jest chyba jeszcze większe niż moje, kiedy dowiedziałam się, że nie mam dla niego nic oprócz niebieskiej obwoluty zamykanej na gumkę. Zapamiętałam jakieś szkice i zdjęcia owadów – obstawiałabym, że może jest biologiem, malarzem, a może to jedynie jego hobby.

– Wypełnić wspomnieniami, których nie mam?

Boże, dzięki, że właśnie w tej chwili dzwoni mój telefon. Mogę uniknąć udzielenia odpowiedzi na pytanie, które jest mi nie na rękę.

– Muszę już lecieć. Wpadnę do ciebie później. Pracuj z teczką i kartkami!

*

Ilona Drzewiecka siedziała przy filiżance kawy i obserwowała ludzi, którzy wchodzili do kawiarni. Zmęczone matki, na których uwieszone były dzieci, podstarzałych mężczyzn oraz pryszczate nastolatki. Wszyscy oni mogliby dla niej pracować. Gdyby tylko zechciała, gdyby dała im szansę. Mogliby sprzątać jej dom lub dbać o ogród i uczyć się od niej tego, jak radzić sobie z przeciwnościami losu.

– Halo?

W komórce, którą trzymała przy uchu, w końcu odezwała się Aleksandra.

– No nareszcie – jęknęła Ilona. – Myślałam, że nigdy nie odbierzesz. Jutro niedziela, jedziesz do dzieci?

– Na obóz?

– A niby dokąd? Są na obozie i trzeba je odwiedzić.

– Nie jadę i tobie też nie radzę!

Ruda cwaniara brzmiała na zbyt pewną siebie. Ilona musiała pokazać jej, kto tu rządzi… podczas tej rozmowy telefonicznej, w życiu rodziny Wilków i w ogóle w całym najbliższym otoczeniu. Kto rządzi lub mógłby rządzić, gdyby chciał.

– Chyba zapominasz, moja droga szwagierko, że finansuję część tego obozu, więc mam prawo…

– Nie masz wiele praw po tym, jak usiłowałaś odebrać mi moje dzieci!

Ilona chciała uniknąć unoszenia głosu w miejscu publicznym. Czekając, aż się uspokoi, zerknęła na salę.

Do stolika, przy którym siedziała gruba kobieta, kelnerka przyniosła deser lodowy. Kobieta rzuciła się na bitą śmietanę, nie czekając nawet na to, aż kelnerka zabierze rękę.

– To również moje dzieci – odpowiedziała, panując nad emocjami.

– Jesteś tylko ich ciotką, to ja jestem matką. Nie zapominaj o tym, że to ja decyduję, co jest dla nich najlepsze.

Była czymś więcej niż ciotką! Z powodzeniem mogłaby zastąpić dzieciom i ojca, i matkę. Była kopią Gabriela, tak samo jak jego dzieci!

– Rozumiem, że jesteś zbyt zajęta, by odwiedzić SWOJE tęskniące dzieci?! Powiedz, co takiego ciekawego robisz? Gzisz się z tym swoim nowym gachem? Wyjechaliście za granicę? Ty? Ta, która podobno tak mocno kochała mojego brata? Która nie widziała sensu w życiu bez niego?

– Ilona, proszę cię. Emocje nikomu nie pomagają. Ani nam, ani dzieciom. Jestem w stanie wszystko zrozumieć. Gabriel był twoim bratem bliźniakiem. Łączyło was coś niezwykłego. Ostatni rok obfitował w stresujące sytuacje, także dla ciebie. Rozstroiłaś się emocjonalnie, a fakt, że nie masz swoich dzieci, wcale nie pomaga, ale…

– Dzieci nie są statuetkami, które można kolekcjonować, ustawiać na półkach i czekać, aż zarosną kurzem!

– Kuba i Weronika są na obozie. Zadowoleni i bezpieczni. Jestem z nimi w kontakcie. Ilona, jeśli tam pojedziesz… jeśli Kuba cię zobaczy, przypomni sobie dom, mnie, swój pokój i łóżko, i zacznie tęsknić. Zepsujesz mu zabawę. Chcesz tego?!

*

Samolot wzniósł się na wysokość przelotową, a Marek Laskowski i Radek Hinczewski szybko omówili bieżące sprawy biznesowe i przeszli do rozmów na wyższym poziomie.

– Ale to nie chodzi tylko o eksperymentowanie i szalone pomysły. We współczesnej sztuce liczy się doskonałość i wykluczenie. Wykluczenie, czujesz? W dzisiejszym świecie i społeczeństwie, w którym każdy chce się wyróżniać, wykluczenie jest kluczowe, że się tak wyrażę. To mieszkanka wybuchowa.

– Wykluczenie? Co za bzdura. – Marek wzruszył ramionami i zwilżył usta whiskey. – Chodzi o coś przeciwnego. Poczucie połączenia. Jestem w stanie zgodzić się z twierdzeniem, że sztuka współczesna jest rodzajem alternatywnej religii dla ateistów.

– Bogatych ateistów.

– Zasobność portfela nie ma tak dużego znaczenia jak…

– A właśnie, że ma. Nie czujesz tego? Jesteś członkiem sekty. Elitarnej i dyskretnej sekty.

– Czy ja wiem?

Laskowski nie czuł przynależności do żadnej grupy społecznej. Był indywidualistą. Zapracowaną jednostką, która obracała się w świecie niedostępnym dla innych. Ale tylko z powodu tego, że pieniądze, które zarabiał, mu na to pozwalały.

– Błagam. Nie znam bardziej zamkniętej społeczności! Artyści, marszandzi, kuratorzy, krytycy, kolekcjonerzy i specjaliści w domach aukcyjnych! Jak często widzisz w ich szeregach kogoś nowego?

Marek zawahał się. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego partner biznesowy, Radek, miał rację. Nowe twarze widywał tylko wtedy, kiedy któraś dojrzała kobieta zrobiła sobie operację plastyczną.

– Raz na tysiąc lat – zażartował.

– No widzisz! Tu nie wystarczy polecenie jednego członka, ani kasa, ani gust. Dla miłośników sztuka jest czymś, co kanalizuje ich życie. Nadaje egzystencji człowieka większego sensu. Wymaga wiary, nagradza wierzącego poczuciem doniosłości. To gra, dzięki której człowiek odwraca swoją uwagę od idiotów w polityce, konfliktów na świecie, bezdomnego pod sklepem i napompowanej silikonem żony.

– Mówisz jak spekulant, który widzi w sztuce jedynie źródło dochodów.

– Jestem spekulantem – roześmiał się Radek. – Każdy z nas ma swoją definicję sztuki, nie możesz się z tego powodu wkurzać.

Marka nie denerwowały obiektywne prawdy. Zdawał sobie sprawę z tego, że dla właścicieli domu aukcyjnego sztuka jest inwestycją i dobrem luksusowym. Dla odwiedzających muzea – muzealną atrakcją o nieważne jak dużej wartości; atrakcją, której nie można dotknąć. Dla spekulantów takich jak Radek wartość eksponatów miała o wiele mniejsze znaczenie niż to, ile można było na nich zarobić i w jakim czasie. Dla nich liczyły się stopa i okres zwrotu, pojęcia ekonomiczne średnio harmonizujące ze sztuką.

Dla kształcących się na artystycznych uczelniach studentów sztuka była ich przyszłym zawodem i stylem życia, bo bycie artystą wydawało się im szczytem marzeń. Dla odwiedzających Biennale była zwykle pretekstem do nawiązywania znajomości.

Dla niego, zwykłego kolekcjonera, sztuka była materialnym tworem zastępującym słowa, wyrażającym emocje, wątpliwości i obawy. Była trójwymiarową fotografią. Wspomnieniem czasu, który minął. Wczoraj lub sto lat temu. Aż wreszcie była czymś, co dotykały ręce ludzi żyjących dawno, dawno temu.

– Nie wkurzam się na ciebie, nie na to, co mówisz.

– A na co? Na to, że czerpię dochody tam, gdzie ty widzisz jedynie emocje?

– Jesteś jak hiena.

– Marek, widzę, że Barcelona działała na ciebie jakoś zbyt melancholijnie. Muszę ściągnąć cię na ziemię i przypomnieć ci, że być może jestem hieną w świecie sztuki, ale ty jesteś hieną w innej dziedzinie.

Nie można zarabiać niewyobrażalnych pieniędzy i nie być jednocześnie hieną. Dysproporcje w zarobkach pomagają pozbywać się empatii, a im mniej empatyczny jesteś, tym więcej zarabiasz – tę myśl Marek zachował dla siebie. Nie chciał przeciągać rozmowy w nieskończoność.

– Dobra, dzięki. A teraz, jeśli pozwolisz, skupię się na mojej dochodowej robocie. – Marek wskazał na leżący na jego kolanach tablet.

Siedzący w fotelu naprzeciwko Radek kiwnął głową, przesiadł się do tyłu na potrójne siedzenia i przez chwilę szukał wygodnej pozycji do drzemki.

Prywatny samolot, za wynajem którego płacili tysiąc euro za godzinę, zapewniał im nie tylko oszczędność czasu, spokój i intymność, ale przede wszystkim wygodę, na którą zasługiwali.

Marek zerknął na skrzynkę mailową, gdzie czekało na niego kilka nieprzeczytanych wiadomości. Nadawcą jednej z nich była jego obecna dziewczyna, Olga Brzozowska.

Drogi Marku,

nasz pobyt w Łodzi dobiega końca. Jutro wracamy do Poznania. Zostawimy Ci pewnie odrobinę rozgardiaszu w apartamencie, mam nadzieję, że to nie problem. Przyznaję, miałeś rację – sypianie w Twoim apartamencie bez Ciebie było zupełnie bezsensowne. Co prawda jestem może tym razem bardziej wyspana, ale przecież nie o to chodzi w życiu.

Nie mogę się doczekać, kiedy wrócisz. Nadrobimy wtedy stracone noce, mam nadzieję…

Daj znać, jak się udały zakupy w Barcelonie. Czy upragniony eksponat wzbogaci Twoją kolekcję? I czy chociaż trochę tęsknisz za moimi ustami?

Całuję gorąco,

Twoja Olga

– Gorąco całuję – powtórzył pod nosem i zabrał się do pisania odpowiedzi.

Słowa jednak nie chciały przyjść, a pilot poinformował, że wlecieli w strefę turbulencji.

Marek zapiął pasy, wziął kolejny łyk alkoholu i wrócił myślami do Olgi. Musiał jak najszybciej się do niej odezwać. Nie chciał budzić jej podejrzeń. Przeczytał jeszcze raz jej wiadomość, po czym, korzystając z biznesowych przyzwyczajeń, ustosunkował się do wszystkich poruszonych przez nią kwestii:

Skarbie,

O bałagan się nie martw. Jak przyjdzie pani Grażynka, to posprząta. Zakupy udane. Wszystko, jak zwykle, idzie po mojej myśli. Do Polski wrócę w piątek. Jak tylko wyląduję – zadzwonię.
P.S. Gdyby nie twoje nagie zdjęcia, które mam w komórce, dawno usechłbym z tęsknoty.

– Panie Marku – z kokpitu wychylił się drugi pilot – za godzinę wylądujemy w Warszawie.

– Świetnie, w Warszawie wysadzimy Radka, a później polecimy do Łodzi.

*

Kulki mięsa polane czerwoną mazią nazwane przez salową pulpetami w sosie pomidorowym smakowały dziwnie. Piotr Wróblewski nie miał porównania – nie pamiętał, jak smakowały domowe pulpety, domyślał się jednak, że jedzenie powinno sprawiać człowiekowi przyjemność. Szpitalne pulpety nie miały nic wspólnego z przyjemnością. Przeżuwał je powoli, podobnie jak nijakie w smaku ziemniaki.

Miał nadzieję, że zaserwowana mu porcja wystarczy, by przeżyć do kolacji. Niestety, już po dwóch godzinach poczuł ssanie w żołądku. Najpierw delikatne, a później coraz mocniejsze. Dokładnie piętnaście minut przed siedemnastą żołądek przyćmił ból w klatce piersiowej i nodze. Zamiast skupiać się na swojej mglistej przeszłości, myślał o tych pulpetach. Magicznych kulkach, które wraz z upływem czasu zyskiwały na smaku. Zjadłby je znowu. Najchętniej podwójną porcję.

– I jak? – W drzwiach pojawiła się psycholog.

Jej piegowata i delikatnie uśmiechnięta twarz otoczona rudą burzą loków zawsze wnosiła do szpitalnej sali nadzieję.

– Zajebiście. Zaraz będzie kolacja.

– Widziałam, idąc tutaj. Dopiero się szykują, zdążymy jeszcze porozmawiać.

Wolałby jeść, a nie rozmawiać. Ale wiedział, że w obecnej chwili nie ma wpływu na swoje życie.

– Rozmawiaj.

– Piotr… Mogę tak się do ciebie zwracać?

– Podobno tak mam na imię. Nie przypominam sobie, żeby ktoś tak do mnie mówił, ale, jak wiesz, niewiele sobie przypominam, więc zgodnie z twoimi wytycznymi, daję się zaskakiwać.

– I dobrze. Przyszedł dziś do ciebie policjant, dzięki któremu wiemy, jak się nazywasz. Co poczułeś, gdy go zobaczyłeś?

– Miał głupi wyraz twarzy i beznadziejny strój. Dobra, nie będę ukrywać. Nie zapałałem do niego ciepłym uczuciem. Kazał mi wyciągnąć rękę i położyć palec

na jakimś urządzeniu. Miałem obawy, że zrobi mi coś złego.

– Nie lubisz policji?

– Chyba nie. To źle?

– Teoretycznie to oni stoją na straży porządku… Ale wyznam ci w tajemnicy, że też ich nie lubię. Skoro jesteśmy już przy czasowniku „lubić”… Powiedz mi, co lubisz?

– Chyba lubię pulpety. Nie lubię szpitala i tego, że wszyscy się na mnie dziwnie patrzą.

– Skupmy się na tym, co lubisz.

– Lubię rozmawiać z tobą.

Odgłosy dochodzące z korytarza świadczyły o tym, że salowe rozpoczęły rozwożenie ostatniego tego dnia posiłku.

– Co we mnie lubisz? Pomyśl, może kogoś ci przypominam? Czasem pacjenci wychwytują u lekarzy kolor lub kształt oczu, fryzurę, i przenoszą pozytywne uczucia, bo na przykład terapeuta przypomina im matkę, siostrę albo dawno niewidzianą przyjaciółkę.

– Wszystko – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Lubisz kobiety?

– Bywają bardzo ładne.

– Masz kobietę? Dziewczynę, żonę, może byłą?

– Co to znaczy „byłą”?

– Żonę, z którą się rozwiodłeś.

Głośne burczenie w brzuchu Wróblewskiego sprawiło, że poczuł się nieswojo. Z jednej strony wiedział, że Aleksandra może mu pomóc, z drugiej krępowała go jej obecność. Była kobietą, a on siedział na łóżku, ubrany w szpitalną pidżamę.

– Nie pamiętam, żeby łączyło mnie z kobietą coś… dużego, no wiesz. Myślisz, że mam rodzinę?

– Nie sądzę. Mieszkasz sam. Jedna szczoteczka do zębów w łazience i bałagan w przedpokoju może świadczyć o tym, że jesteś kawalerem, rozwodnikiem, wdowcem.

Nie znał używanych przez psycholog pojęć. Nie dopytywał jednak o nie. Wózek z kolacją był coraz bliżej. Głos salowej był coraz wyraźniejszy.

– Dobra, jeśli nie kobieta, to może zwierzę? Coś musiałeś kochać?

– Zwierzę?

– Pies, kot, chomik?

– Koty… – zaciął się.

Zbliżający się wózek z kolacją, burczący brzuch i łaszące się koty sprawiły, że jego świadomość poszybowała gdzieś daleko wstecz.

– Lubisz koty?

– Przepraszam, mam dość na dzisiaj… Boli mnie głowa.

Chciał jak najszybciej pozbyć się Aleksandry. Psycholog jednym słowem

uruchomiła lawinę skojarzeń. Zwierzę. Kot. Dużo kotów.

Piotr przeniósł się do przeszłości, bardzo wyraźnej i odległej… i nie mógł o niej opowiedzieć psycholożce. Najpierw musiał upewnić się, czy to, co właśnie sobie przypomina, nie sprawi, że kobieta zamiast mu pomóc, ucieknie.

*

Koty są wszędzie.

Zwłaszcza o tej porze, kiedy ludzie znikają w swoich domach, na dworze zapada zmrok, a z otwartych okien dochodzą dźwięki rozpoczynającego się programu rozrywkowego. MdM czyli Mann do Materny, Materna do Manna. Piotr rozpoznałby tę melodyjkę nawet na końcu świata.

Tak samo jak dźwięk skrzypiących kółek.

Zgarbiona kobieta o wyglądzie starej Indianki ciągnie za sobą wózek pełen jedzenia. Pojawia się zawsze o tej samej godzinie i rozmawia z tabunem zapchlonych sierściuchów.

Piotr obserwuje z ukrycia, jak koty łaszą się do kobiety, jak puste miski wypełniają się jedzeniem, jak kobieta mówi coś pod nosem.

Kiedyś lubił koty. Czuł z nimi wątłą nić porozumienia. Cenił sobie to, że chodzą własnymi ścieżkami i niezbyt łatwo dają się oswoić. Są dumne, ostrożne i o wiele bardziej inteligentne niż psy.

Dziś im zazdrości. Niby są bezdomne, ale mają lepiej niż on.

Stara dziwaczka z kitką sterczącą na środku głowy codziennie kupuje w pobliskim sklepie pięć kilogramów dorsza i pięć litrów mleka. Wie, bo rozmawiał z ekspedientką. Dziwaczka ma mnóstwo pieniędzy. Za te prawie trzydzieści tysięcy złotych, jakie wydaje na samo mleko, Piotr mógłby kupić sobie Dziesięć i pół, piwo, które przypasowało mu smakiem.

Piotr nigdy nie spotkał jej w sklepie, ale mógłby się założyć, że dziwaczka nadal operuje milionami i tysiącami, tak jak zdecydowana większość starszych ludzi.

Od pierwszego stycznia wszyscy trąbią o denominacji złotego, w sklepach widnieją ceny w złotych i nowych złotych, a oni nawet nie próbują zmienić swojego sposobu liczenia.

On zmienił go od razu. Być może dlatego, że niewiele miał do liczenia. Rzadko kiedy zarabiał. Pewnie dlatego był głodny. Dużo bardziej niż te pieprzone koty, które dokarmiane przez dziwaczkę co wieczór, straciły chęć do polowania na myszy.

*

– Jedzie pani na dół czy na górę?

Pytanie zadane przez kobietę w szlafroku wyrwało Aleksandrę z zamyślenia. Nawet nie zauważyła, kiedy doszła do szpitalnej windy.

Zmęczenie pacjenta wypędziło Aleksandrę z jego pokoju. Nie wróciła jednak prosto do apartamentu, w którym czekała na nią Olga. Podejrzewała, że jeśli pojawi się w domu zbyt wcześnie, przyjaciółka znajdzie jeszcze kilka miejsc, które mogłyby razem odwiedzić. Puby, restauracje, kluby muzyczne – tego w Łodzi nie brakowało, a Olga głośno informowała o deficycie wrażeń.

Napięcie emocjonalne z kilku ostatnich dni sprawiało, że Aleksandra marzyła jedynie o tym, by opaść na kanapę i bez większego sensu wpatrywać się w poruszające się na ekranie telewizyjnym postacie. Tęskniła za swoim mieszkaniem i swobodą. Nie miała siły ani na nocne imprezy, ani na tłumaczenie Oldze, dlaczego tak bardzo nie liczy się z jej potrzebami.

Szukając kompromisu między kanapą a zwiedzaniem Łodzi, zajrzała na oddział psychiatryczny, na którym pracował Sebastian. Akurat miał dyżur, więc wprosiła się na kawę.

– Na parter. Dziękuję – odpowiedziała z uśmiechem, kiedy kobieta wcisnęła zamiast niej odpowiedni przycisk.

Sebastian na oddziale zachowywał się zupełnie inaczej niż poza szpitalem. Zupełnie jakby w towarzystwie starych koleżanek ze studiów starał się na siłę udowodnić, że się nie zmienił, że ciągle jest złakniony życia i kobiet.

W szpitalu zachowywał się jak dojrzały mężczyzna, w stu procentach oddany swojej pracy. Poza nią niewiele go interesowało. Rozmawiali więc o Wróblewskim, o amnezji i o tym, że to nadal tak mało zbadany temat, że nawet profesjonaliści muszą poruszać się po omacku.

– Do widzenia. – Kobieta w szlafroku wyszła z windy.

Aleksandra spojrzała na wyświetlacz. Dotarła na parter.

– Do widzenia – odpowiedziała.

Po raz przedostatni opuszczała mury łódzkiego szpitala. Ustaliła z Sebastianem, że jutro rano, przed jej wyjazdem, pójdą razem do Wróblewskiego i postarają się, by na Sebastiana przeszedł efekt aureoli Aleksandry.

Odwróciła się za siebie, by spojrzeć na budynek, i dopiero teraz zauważyła, że zmierzchało. Nadal jednak było ciepło. Musiała spędzić na oddziale psychiatrycznym nie tylko popołudnie, ale i część wieczoru.

– Zapraszam. – Obcy męski głos dotarł do niej dokładnie w tej samej chwili, w której poczuła bolesny uścisk na ramieniu.

Obejrzała się, próbując przyjrzeć się mężczyźnie. Bezskutecznie. Stał dokładnie za nią i właśnie popchnął ją w stronę samochodu zaparkowanego przy ulicy.

– Pójdziesz ze mną – usłyszała.

– Ale… – chciała zaprotestować, wyrwać się albo przynajmniej uderzyć

napastnika, lecz każdy ruch sprawiał, że ramię bolało coraz mocniej.

– Spokojnie. – Owłosiona ręka przeszukała Aleksandrę, a później otworzyła tylnie drzwi i wepchnęła ją do środka starego BMW.

IV
niedziela

– Puść mnie! Co to znaczy? Kim jesteś?

Robert Staszak nie odpowiadał na słowne zaczepki kobiety. Miał tylko odebrać ją sprzed szpitala i zawieźć w umówione miejsce.

– Puść mnie! – Poziom agresji u kobiety wzrastał w miarę jak zbliżali się do miejsca przeznaczenia.

– Uspokój się, bo będę musiał cię uciszyć – warknął.

– Kim jesteś? Dla kogo pracujesz?

– Zamknij się.

– Dla kogo pracujesz?!

Zanim zaparkował samochód, kobieta powtórzyła to pytanie kilkanaście razy, na zmianę grożąc mu i oferując nagrodę, jeśli puści ją wolno. Nie robiło to na nim wrażenia.

– Dobry wieczór, Aleksandro Wilk. – Urszula czekała na miejscu.

Opuszczona hala drukarni sprawiała przygnębiające wrażenie. Pamiętał, jak budowano ją w czasach PRL-u, a później zachwycano się „nowoczesnym" klocem z charakterystycznymi dla tamtego okresu ogromnymi oknami.

Teraz nie było się czym zachwycać. Kilka lat temu drukarnię zlikwidowano, a na budynku pojawił się napis „sprzedaż – wynajem". Po wejściu do środka Robert uznał, że obiekt nadaje się jedynie do wyburzenia.

Wyburzenia i straszenia przesłuchiwanych osób, do takiego wniosku musiała dojść Urszula, na której prośbę robił dziś za kierowcę. Nie umawiali się na nic więcej. Miał przywieźć przesyłkę na miejsce i się zmyć, ale postanowił zostać.

Zrobił kilka kroków wstecz i stanął tyłem do okna, by mieć oko na całą halę.

– Siadaj! – Urszula pchnęła kobietę w stronę krzesła.

– Zabij mnie, bo przysięgam, że jeśli tego nie zrobisz, wyczołgam się z tej rudery i pójdę na policję! – Kobieta wrzeszczała, wymachiwała rękoma i szczerzyła zęby jak wilk.

– Uspokój się, bo będę musiała skrępować ci ręce.

– Policja, rozumiesz?! Pójdziesz siedzieć!

– Wiesz co? Zaoszczędzę ci kłopotów. Chcesz gadać z policją, to gadaj! Jestem policjantką.

– Policjantką? Nawet małe dziecko nie uwierzy w taką ściemę. Policja nie zatrzymuje ludzi w taki sposób!

– Sposób dostosowujemy zawsze do potencjalnego zatrzymanego. Dla ciebie przedsięwzięłam specjalne środki.

Urszula mignęła odznaką przed oczami kobiety.

Robert nie wiedział, czego miało dotyczyć przesłuchanie, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że przywieziona przez niego kobieta miała coś na sumieniu. Nie była bezbronną i niewinną niewiastą, która z przyjemnością rozpocznie współpracę z policją.

Po kilku minutach wzajemnej obserwacji kobieta odezwała się odrobinę ciszej, ale nadal tonem pełnym pretensji:

– Pójdę do twojego przełożonego… Łamiesz procedury. Pożałujesz…

– Dość! – Urszula splunęła. – Im szybciej skupisz się na sobie, zamiast skupiać się na mnie, tym szybciej skończymy naszą pogawędkę. Chcesz iść do mojego przełożonego? Proszę bardzo, możemy załatwić to oficjalnie, jak Pan Bóg przykazał. Jeśli tylko tego chcesz…

– Ale…

– Włamanie na Narutowicza trzydzieści dwa. Artykuł dwa siedem dziewięć paragraf pierwszy kodeksu karnego. Zabór rzeczy ruchomej celem jej przywłaszczania po uprzednim pokonaniu zabezpieczenia. Kara pozbawienia wolności od roku do dziesięciu lat. Pomyślałam, że wolałabyś porozmawiać o tym nieoficjalnie. Co robiłaś na Narutowicza?

– Zwiedzałam kamienicę z wampirami.

– W nocy?

– Późnym popołudniem. Nie było jeszcze nocy.

– Dwudziesta trzecia trzydzieści to popołudnie?

– Czego chcesz?

– Dlaczego włamałaś się do tego mieszkania?

– Skąd wiesz, że to zrobiłam?

– Wiem. Mam dowody, więc daruj sobie kłamstwa. Po co tam poszłaś?

– Musiałam.

– Bo?

– Jestem psychologiem. Pacjent z amnezją powiedział, że tam mieszka. Prosił mnie, żebym tam poszła. To nie było włamanie.

– Miałaś klucz?

– Tak… to znaczy nie. Poradziłam sobie bez…

– Weszłaś i co dalej?

– Rozejrzałam się, upewniłam, że wygląda tak, jak zapamiętał to pacjent. Wyszłam.

– Jak nazywa się ten pacjent?

– Piotr Wróblewski. Tak przynajmniej ustaliliście, to znaczy policjant, która

prowadzi jego sprawę. Pacjenta przywieziono z ulicy, jako NN i ofiarę wypadku komunikacyjnego. Kiedy wchodziłam do mieszkania, jeszcze nie znałam jego nazwiska.

– Zabrałaś coś ze sobą?

– Jedynie nadzieję, że skoro pacjent przypomniał sobie swoje mieszkanie, to teraz lawinowo zacznie przypominać sobie kolejne szczegóły ze swojego życia.

– Jedynie?

– Jedynie.

– A teczka?

– Jaka teczka?

– Nie udawaj. Niebieska. Zabrałaś ją ze sobą.

– Widziałaś mnie?

– Dlaczego wzięłaś ją ze sobą?

– Pacjent o niej mówił. Był przekonany, że zawiera odpowiedzi na wszystkie pytania. Uznałam, że będzie dobrym elementem dalszej terapii. Nie mogłam przywieźć go do jego domu, więc zabrałam przedmiot, który pobudził jego pamięć. Skąd wiesz, że tam byłam? Śledziłaś mnie?

– Gdzie znajdę Wróblewskiego? Na jakim oddziale?

– Chirurgicznym, ale nie sądzę, by chciał z tobą rozmawiać. O co chodzi? Rozpracowujesz go? Jest w coś zamieszany? Jest członkiem grupy przestępczej?

*

– Nigdy nie przestajesz mnie zaskakiwać. – Twarz Roberta nabrała miłego wyrazu dopiero wtedy, gdy Aleksandra Wilk opuściła budynek.

– Dziękuję. Za wszystko. – Urszula poklepała kolegę po plecach. – Bez ciebie…

– Wiem, wiem i jednocześnie nie chcę wiedzieć.

Za to go ceniła. Miał do niej zaufanie. Dzięki jego pomocy mogła zorganizować poza komisariatem spotkanie z kobietą, która włamała się do obserwowanego przez nią mieszkania.

Nie mogła rozmawiać z nią tak po prostu na ulicy. Nie mogła też zaprosić do siebie.

W pierwszym wariancie obawiała się, że włamywaczka obróci się na pięcie i odejdzie, kiedy usłyszy pierwsze niewygodne pytanie. Przed realizacją drugiego wariantu powstrzymywała ją myśl o naczelniku. Gdyby dowiedział się, że nie zastosowała się do jego rozkazów, pociągnąłby ją do odpowiedzialności zawodowej. Zawiesiłby, lub w najlepszym razie dał naganę.

Musiała kombinować i pójść na kompromis. Opuszczona drukarnia stanowiła świetny anturaż. Mogłaby stanowić tło dla mafijnych porachunków. Większość ludzi zgarnięta z zaskoczenia z ulicy i przywieziona do takiego miejsca traciła

pewność siebie.

– Naczelnik nie daje mi żyć.

– Twarda jesteś. Przeżyjesz rządy jego i jeszcze kilku innych. Podwieźć cię? – spytał, kiedy wyszli na zewnątrz.

– Nie, dziękuję. Mam do załatwienia jeszcze jedną sprawę na mieście.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem, jakby po północy nie można było zajmować się swoimi sprawami. Nie na mieście.

– Na pewno?

– Tak, możesz wracać do domu.

– No dobra. Nara.

– Nara.

Robert wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i odjechał, a Urszula stała jeszcze przez chwilę w miejscu, po czym ruszyła przed siebie.

Do domu miała jakieś dwadzieścia minut szybkiego marszu. Starała się jednak nie myśleć o tym, że nie chce jej się spacerować w środku nocy po Łodzi. Wiedziała, co dzieje się z jej organizmem, kiedy jeździ samochodem. Nie mogła sobie tego fundować. Nie teraz. Nie w momencie, gdy jest tak blisko Piotra Wróblewskiego.

*

Panie Jezu, dziś znowu w snach zaprowadziłeś mnie do tamtego domu. Znowu kazałeś wybierać. Wybrałem życie. I odebrałem życie. Nie wiem, dlaczego mnie tak dręczysz wspomnieniami. Czyżbyś chciał mi powiedzieć, że tak miało być, że wyręczyłeś się mną? Że osobie, którą zabiłem, należała się kara?

Boże, Ty powiedziałeś swoim uczniom „kto nie bierze swojego krzyża i nie idzie za mną, nie może być uczniem moim". Od lat dźwigam swój krzyż. Dobrze wiesz, że nie jestem przekonany, czy krzyż byłby cięższy, gdybym wtedy przyznał się do zabójstwa. Ufam Tobie i tłumaczę sobie, że niezbadane są Twoje wyroki. Gdybym się przyznał, nie zrobiłbym tak dużo dobrego dla Ciebie i dla bliźnich.

Pokornie wypełniam Twoją wolę, więc proszę Ciebie, zerknij na mnie, swojego ucznia, łaskawszym wzrokiem. Ześlij na mnie łaskę spokoju i cierpliwości. Pozwól mi w końcu zapomnieć o tym, czego pamiętać nie chcę, i spraw, żebym nie zapominał o tym, co powinien pamiętać. Daj przeżyć mi kolejny dzień w spokoju. Zapal we mnie entuzjazm Bożej Miłości i łaski. Niech to będzie dobry dzień.

Amen.

*

– Wstawaj! Za pół godziny musisz być gotowa do drogi!

– Drogi? – Donośny głos Olgi wyrwał Aleksandrę z objęć Morfeusza. Usiadła na łóżku, otworzyła oczy i przez chwilę nie mogła zorientować się, gdzie jest.

Olga stała w drzwiach, przez które do sypialni wdzierało się światło W sypialni nie było okien ani zapalonych lamp. Srebrne szafki nocne, czarna tapeta w srebrne wzory i rząd czarnych pustych ramek wiszących na jedynej jasnej ścianie przypomniały jej, że spać kładła się w ociekającym luksusem łódzkim apartamencie.

– Do Poznania.

– Dobrze, już się budzę, już się budzę. – Aleksandra wstała z łóżka, uderzając się o stolik nocny. Nadal była nieprzytomna, ale za wszelką cenę chciała zastosować się do zaleceń przyjaciółki. Zdjęła nawet górę od pidżamy i zaczęła się ubierać. Na srebrnym biurku stojącym przy ścianie leżały ubrania, które zdjęła z siebie poprzedniego dnia. – A co się stało, że wyjeżdżamy?

– Mówiłam ci wczoraj, że najpóźniej o dziewiątej zero zero musimy wyjeżdżać.

– Wyjeżdżać skąd?

– Jak to skąd? Z Łodzi.

– Aaa… – Przetarła oczy i opadła z powrotem na łóżko. – Czyli to było zaplanowane? Z Łodzi do Poznania? To luz. Myślałam, że coś się dzieje.

– Nie wiem, co dzieje ci się w tej głowie, ale jako lekarz psychiatra doradzałabym ci jogę. Musisz nauczyć się relaksować, bo inaczej zwariujesz. – Olga wyszła z sypialni i skierowała się do jadalni, gdzie czekała świeża kawa.

– Ja i joga? Dobra, nieważne. Muszę jeszcze skoczyć do szpitala.

– Do tego opuchniętego? – odkrzyknęła z dołu. – Miałaś odpuścić.

– Wiem, ale umówiłam się.

– Z kim?

– Yyy… z Sebastianem. Muszę przekazać mu pacjenta. Zostaniesz ze mną? Potrzebuję godzinę, maksymalnie dwie. – Ubrana Aleksandra pojawiła się na antresoli.

– Odpada. Punkt dwunasta muszę być na mszy za rodziców, pamiętasz? Czy myślisz tylko o tym opuchniętym? Czterdziesta rocznica ślubu. Msza i rodzinny obiad, podczas którego z milion razy padnie oskarżenie w moją stronę, bo przecież jestem czarną owcą, wypasającą się samotnie bez męża i gromadki dzieci.

– No nie, takiej okazji nie możesz przepuścić. Przecież lubisz uchodzić za czarną i odważną owcę. Dobra, jedź. Załatwię, co muszę i wrócę pociągiem.

Deklaracja przyjaciółki obudziła w Oldze podejrzliwość. Aleksandra zbyt łatwo odpuściła. Nie namawiała na małe spóźnienie, nie negocjowała czasu, który chciała spędzić w szpitalu. Przyznała Oldze rację i bez zastanowienia przyznała, że zostanie w Łodzi sama. Zupełnie jakby właśnie na tym jej zależało.

Olga domyślała się jednak, że powód takiego zachowania może być tylko jeden

– czarujący mężczyzna.

– Widziałaś się z nim wczoraj? – zapytała, chociaż domyślała się odpowiedzi. Chciała jednak zobaczyć, jak przyjaciółka się rumieni.

– Z kim?

– Z kim, z kim? No z Sebą, nie udawaj…

– Wpadłam do niego na oddział. Chciałam się pożegnać.

– To już wszystko jest jasne. Wpadłaś na chwilę, a wróciłaś do domu po północy. Nooo, czyli było grubo. Dobra, nie zazdroszczę i nie dopytuję o szczegóły. Co prawda mnie przystojniak nie dał się poderwać, ale to tylko o nim dobrze świadczy, skoro czaił się na ciebie. Dobra, dobra, nic nie mów. Tylko się wykąp i zmień ciuchy. Klucze zostawię ci w drzwiach. Masz wolną chatę, jakbyście chcieli zaszaleć na wygodnym łóżku. Aha, pamiętaj, że Marek wróci w piątek, do tego czasu musisz stąd zniknąć.

*

Cisza panująca w domu przypominała Krystianowi, że była niedziela.

Dokładnie ta, którą bardzo dokładnie sobie zaplanował. Miał otworzyć oczy u boku zaspanej Aleksandry. Przygotować dla niej śniadanie i nie wychodzić z łóżka przez pół dnia. Pragnął bliskości fizycznej, leniwych rozmów i czasu na rozkoszowanie się sobą.

Zamiast tego spędzał kolejny samotny weekend. Szybkie śniadanie dla jednej osoby, pustka w łóżku i namiastka bliskości – poranna wymiana SMS-ów. Nawet matka, do której przyjechał, go olała.

Pomyślał, że ucieszy się, że zapracowany syn znalazł dla niej czas, że zada mu kilka standardowych pytań: „co u ciebie?", „jak się czujesz?", „co w pracy?" i wróci do oglądania telewizji.

Z zapartym tchem śledziła perypetie bohaterów „Wspaniałego stulecia", „M jak miłość", „Na Wspólnej", urozmaicając sobie je migawkami z prawdziwego życia. Wielbiła telenowele dokumentalne. „Szpital", „Szkoła", „Ukryta prawda", „Zdrady" – wszystkie dostarczały jej codziennej dawki emocji. Doradzała, przestrzegała, denerwowała się. Żyła życiem fikcyjnych bohaterów.

– Dobrze, że jesteś, ale ja teraz idę do kościoła – usłyszał, gdy rodzicielka otworzyła mu drzwi.

– Poczekam – stwierdził zrezygnowany.

Nawet tak banalny plan, jak spędzenie dnia w towarzystwie matki, spalił na panewce. Liczył, że ona będzie oglądała telewizję, on zajmie się grą w wirtualne zarządzanie hotelem i w ten sposób przetrwają wspólnie kolejny dzień.

Cisza, która towarzyszyła mu podczas oczekiwania na powrót matki, była nie do wytrzymania. Dzisiaj Krystian nie miałby nic przeciwko głośnemu stukaniu w klawiaturę. Włączył telewizor, by zagłuszyć samotność i sięgnął po laptopa.

Nie miał ochoty nawet na granie, przypomniał sobie jednak, że Aleksandra prosiła go o sprawdzenie informacji na temat jakiegoś faceta.

– Piotr Wróblewski – odczytał na głos zanotowane w komórce imię i nazwisko.

Wpisał dane w wyszukiwarkę wraz z nazwą miasta, w której znajdował się mężczyzna i przejrzał kilka stron wyników. Nie znalazł niczego, co mogłoby go zainteresować. Wyszukiwarka przejrzała sieć pod kątem zawartości przynajmniej jednego z podanych słów.

Krystian ponowił więc wyszukiwanie, tym razem wpisując „Piotr Wróblewski Łódź".

– Podana fraza nie została znaleziona? – zdziwił się.

Sprawdził jeszcze kilka możliwości, ale żadna nie przyniosła efektów.

W ostatnim akcie desperacji zajrzał też na portale społecznościowe. Miliony ludzi zostawiały tam informacje niezbędne do odtworzenia ich stylu życia, ustalenia miejsca zamieszkania czy miejsca pracy. Słyszał kiedyś u fryzjera, że często zaglądają tam policjanci, którzy muszą szybko kogoś namierzyć.

Ani na Facebooku, ani na Twitterze, ani na Instagramie nie udało mu się znaleźć mężczyzny, który odpowiadałby rysopisowi i wiekowi przekazanemu mu przez Aleksandrę.

Piotr Wróblewski z Łodzi wydawał się nie istnieć. Przynajmniej w internecie. Taki wniosek wydał się Krystianowi mocno niepokojący. Obecnie o każdym można znaleźć coś w sieci, no, chyba że się ukrywa albo ma ważne powody, by być niewidocznym… Jest prokuratorem, policjantem albo…

Ostatniego skojarzenia nie zamierzał wypowiadać nawet w myślach. Chwycił jednak telefon komórkowy i wybrał numer Aleksandry.

– Krystian? Jak miło, że dzwonisz.

– Bądź ostrożna. – Nigdy nie był zbyt dobry w udawaniu.

Powinien rozpocząć rozmowę od luźnego tematu, by później miłym tonem poprosić o to, by Ola uważała na siebie.

– Sprawdziłeś go? – momentalnie spoważniała.

– Próbowałem.

– Znalazłeś coś?

– Nie. Ale to raczej może świadczyć na jego niekorzyść. Musiałbym mieć dostęp do jego komputera, żeby dowiedzieć się więcej. Być może facet używa pseudonimu albo fałszywego nazwiska. Twój Piotr Wróblewski z Łodzi nie istnieje.

– Dobra, dzięki.

– Gdyby udało ci się wypożyczyć jego komputer…

– Nie, Krystian, odpuśćmy. Dziś wracam do domu. Odbierzesz mnie z dworca?

*

Dokładnie o godzinie dziesiątej Aleksandra wyszła z windy i stanęła przed wejściem na oddział chirurgiczny. Policjantka już na nią czekała. W dziennym świetle i szpitalnym otoczeniu nie wyglądała już tak groźnie, jak poprzedniego wieczoru.

– Co za punktualność! – warknęła.

Ziemista cera, krótkie, ciemne włosy i bojówki idealnie współgrały z jej męskim usposobieniem.

– Co za spostrzegawczość! – Aleksandra nie pozostawała dłużna.

– Skoro wymieniłyśmy się już uprzejmościami, to przejdźmy do konkretów.

– Oczywiście. Jestem, tak jak ustaliłyśmy wczoraj, do twojej dyspozycji. Mogę zadać pacjentowi wszystkie pytania, jakie chcesz, ale powtarzam, jeśli naprawdę zależy ci na tym, by poznać na nie odpowiedzi, lepiej, żeby pacjent cię nie widział.

– Daj mi swoją torebkę – zażądała policjantka i zaczęła szukać czegoś w kieszeni swoich spodni.

– Słucham?

– Torebka…

Urszula wstała dziś wcześnie rano i poczyniła odpowiednie starania, by spotkanie z podejrzanym przyniosło jak najwięcej szczegółów.

Najpierw zweryfikowała informacje uzyskane od przesłuchanej kobiety. Wszystkie okazały się prawdziwe. Policja rzeczywiście przyjęła zgłoszenie o mężczyźnie nieznanej tożsamości, najprawdopodobniej ofierze wypadku samochodowego, a następnie na podstawie linii papilarnych ustaliła jego tożsamość. Policjant prowadzący tę sprawę potwierdził, że lekarze zdiagnozowali amnezję, a psycholog z Poznania jest jedyną osobą, z którą ofiara się komunikuje.

Uwagę Urszuli przykuło jednak nie to, że Wróblewski zamknął się na świat, lecz to, że uległ wypadkowi samochodowemu, którego sprawcy do tej pory nie udało się ustalić. Dla niej nie wyglądało to na nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Zaciekawiona, wypożyczyła z firmy odpowiedni sprzęt i zainstalowała w torebce Aleksandry małą kamerę.

– Wejdziesz do niego sama, a ja sobie wszystko obejrzę na korytarzu.

– Dobra decyzja. – Kobieta złapała klamkę drzwi oddzielających korytarz od oddziału chirurgicznego.

– Poczekaj – zatrzymała ją jeszcze, łapiąc za ramię.

– Auć! – Aleksandra odskoczyła zdenerwowana. – Nie dotykaj mnie!

– Daj mu to.

Plik kartek, które ukrywała za swoimi plecami, trafił do rąk psycholożki.

– Co to jest? – spytała, ale nie czekała na odpowiedź. Zaczęła je przeglądać. Na piątej zatrzymała się i przeklęła. Głośno i siarczyście. – W co ty, kurwa, grasz?!

– To ja powinnam zapytać o to samo. Przemilczałaś fakt, że dokumenty, które

wyniosłaś z mieszkania podejrzanego, zniknęły.

– Zniknęły, bo je ukradłaś! Włamałaś się do samochodu?!

– Ciszej! Wypożyczyłam, tak jak ty.

– O co on jest podejrzany?

Urszula nie zamierzała się tłumaczyć. Zresztą co miałaby powiedzieć? Że obserwowała mieszkanie, do którego włamała się Aleksandra? Że widziała, jak wynosi teczkę i poczuła, że to musi być coś ważnego? Że śledziła kobiety, a później wykorzystała sytuację i wyjęła dokumenty z niezamkniętego samochodu?

Przejrzała szkice i znalazła w nich to coś, co sprawiło, że utwierdziła się w przekonaniu, że jest na dobrej drodze. Teraz musiała się tylko dowiedzieć, skąd wzięły się w teczce Wróblewskiego.

– Pokaż mu je – warknęła.

– To kserokopie?

– Myślisz, że jestem tak głupia, żeby dać ci oryginały?

*

Co za wredna baba! Ukradła dokumenty, a wczoraj nawet nie zająknęła się na ten temat.

Tak mi się wydawało, że z tym samochodem w hali garażowej było coś nie tak. Użyłam pilota do odblokowania zamków, a on nadal był zamknięty. To znaczy myślałam, że jest zamknięty, a teraz jestem przekonana, że był otwarty i zamknął się dopiero wtedy, gdy użyłam pilota.

Dobra, było minęło. Teraz muszę skupić się na tym, co stanie się za chwilę. Nie mogę zapomnieć, że w torebce mam minikamerę. Muszę mieć się na baczności i trzymać język za zębami. Jeśli przestanę się pilnować i powiem dwa słowa za dużo, to ta policjantka nie da mi spokoju.

– Dzień dobry, Piotrze.

To ostatnie spotkanie z Wróblewskim. Dam radę. A potem wsiądę do pociągu i wrócę do swojego spokojnego życia.

– Czekałem…

– Cieszę się. To nasza ostatnia sesja. Bardzo ważna. Mam coś dla ciebie.

Czy od razu rozpozna, że to dokumenty pochodzące z jego teczki? Swoją drogą ciekawa jestem, kim on jest? Policjantka nazywała go podejrzanym, a Krystian nie znalazł o nim nic w internecie. Boże, znowu gryzie mnie ciekawość, która prowadzi jedynie do piekła.

Wróblewski to sympatyczny facet. Facet z problemami.

Nie! Wróblewski to podejrzany typ. Facet, w którego mieszkaniu wisi portret mojej córki. To ktoś, kto ma nas na celowniku i tylko udaje, że jest sympatyczny, a w rzeczywistości chce nam wyrządzić krzywdę.

A może wpadłam w paranoję? Może przesadzam? Może ta cała sytuacja nie ma nic wspólnego z moim zmarłym mężem? Może na portrecie widnieje jakaś inna młoda kobieta? Przypadkowo odrobinę podobna?

– To przecież… To moje. To mój szkic. Masz więcej?

Wróblewski zachłannie spogląda w kierunku mojej torebki. Policjantka prosiła, żebym zaczęła od jednego konkretnego szkicu.

– Powoli, spokojnie. Najpierw ten. Jesteś pewien, że jest twój? Ty to rysowałeś?

– Mój, to moja kreska. Znam ten kształt. Skąd go masz?

– Z teczki.

– Tej, w której wczoraj były białe kartki?!

Aż poczerwieniał na twarzy. Opuchlizna powoli schodziła, a siniaki zaczęły zmieniać kolor.

– Odpowiedz! – domaga się.

W ciągu kilku sekund z miłego faceta zamienia się w nieobliczalną bestię. Jego oczy nabierają zwierzęcego wyrazu. Zrzuca maskę uprzejmości.

– Bawisz się, kurwa, moim kosztem? – Wyciąga rękę, jakby chciał się przygotować do uderzenia.

Nie wiem, Piotrze Wróblewski, czym się zajmujesz na co dzień, ale wiem, że masz problem z agresją. Dziś mnie nie przestraszysz. Mam kamerę, więc mogę być spokojna. W razie czego policjantka zainterweniuje.

– Technika białej kartki uruchamia wyobraźnię – wymyślam na bieżąco.

Nie mogę wyznać mu prawdy, więc kłamię. Kaliber kłamstwa nie ma w tej chwili żadnego znaczenia.

– W dupie mam te techniki! Pokaż mi wszystkie! Masz wszystkie kartki, które trzymałem w teczce, oddaj mi je!

– Co spodziewasz się tam zobaczyć?

– Gówno. Oddaj mi je. Należą do mnie.

– Oddam, jeśli powiesz, dlaczego to narysowałeś.

Sapie ciężko i ociera dłonią o dłoń. Swędzi go skóra czy może agresja domaga się wyjścia na zewnątrz?

Albo będziemy grać według moich zasad, albo wcale. Zabieram mu szkic z rąk. Niech nie ma żadnego. Niech znowu postara się o to, by go zdobyć. Niech skupi się na czymś innym, zamiast na narastającej agresji.

– Nie jestem znawczynią, ale według mnie to całkiem ładne. – Liczę, że komplement, nawet nieszczery, pomoże mi w osiągnięciu założonego celu. – Dlaczego szkicujesz?

– Bo dobrze mi to wychodzi.

– To twój zawód?

– Nie wiem.

– Dlaczego to narysowałeś? – Rzucam mu szkic na łóżko. Ten sam co

wcześniej, ten sam, który z jakiegoś powodu jest ważny również dla policjantki.

Przedstawia dużą ważkę, która w rzeczywistości musiała okropnie wyglądać. Odwłok złożony z segmentów, ogromne oczy i dwie pary skrzydełek wywołują we mnie chęć rozejrzenia się za jakimś kapciem. Nienawidzę owadów, zwłaszcza latających.

– Bo jest piękna.

– Nie widzę nic pięknego w owadach.

– To nie owad, tylko broszka.

*

– Cześć, Aniołku! – Aleksandra odebrała telefon od córki na szpitalnym korytarzu.

– Cześć, mamo. Słuchaj, jest problem.

– Problem? – powtórzyła, bo nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Przez jej myśli w ciągu ostatnich dni słowo „problem" przemykało tyle razy, że kiedy je w końcu usłyszała, aż ją sparaliżowało. – Problem? Zachowaj spokój, proszę cię.

Bezradnym spojrzeniem omiotła najbliższe otoczenie.

Po korytarzu przemieszczali się ludzie. Przemieszczali, a nie spacerowali.

Gdyby spacerowali, poprosiłaby kogoś o pomoc. Pacjenci przemykali jednak szpitalnymi korytarzami, przytłoczeni własnymi problemami.

Gdzieś na drugim planie Aleksandrze mignęła postać policjantki, a w głowie pojawiła się myśl, że w najgorszym wypadku poprosi kobietę o pomoc w odnalezieniu porwanej córki.

– Weronika, spokojnie, skup się proszę i przekaż mi jak najwięcej informacji. Gdzie jesteś? Co widzisz z okna? Masz tam okno?

– Dwa okna, z których widać drzewa. Nie mów mi mamo, że mam się powiesić na jednym z nich.

– Werka, nie opowiadaj głupot. Gdzie jesteś?

– Jak to gdzie? Na obozie – zniecierpliwienie w głosie córki sprawiło, że Aleksandra uświadomiła sobie, że scenariusz porwania rozgrywał się jedynie w jej paranoicznym mózgu.

– Ale mówiłaś, że jest problem…

– No tak, bo Kuba ryczy i chce wracać do domu.

– Uff… – Wraz z powietrzem wyrzuciła z siebie nagromadzony stres. Oparła się o ścianę i osunęła na ziemię. – Kuba płacze? To dobrze. Yyy, to znaczy źle, że płacze… Ale dobrze, że to tylko tęsknota. – Potrzebowała chwili, żeby zebrać myśli i uświadomić sobie, że paranoja ponownie wzięła nad nią górę. – Dobrze, że dzwonisz. Ale dlaczego chce wracać? Pokłócił się z kolegą? Myślałam, że się wam tam podoba.

– Bo się podoba, ale wczoraj po wyjeździe ciotki całkiem się rozkleił. Ryczał i ryczał, nie mogliśmy go uspokoić. Ani opiekunka, ani ja.

– Ciocia Ilona was odwiedziła? – Aleksandra nie wierzyła w to, co właśnie usłyszała.

– No.

– Cholera, mówiłam jej przecież… – Rozsądek kazał jej zapanować nad złością. Nastoletnia córka nie była kimś, komu powinna żalić się na Ilonę. – Nieważne. Kochanie, czy przez przyjazdem cioci wszystko było dobrze?

– Tak. Kuba ma fajnych kolegów, razem urzędują… ale ciotka przypomniała mu o domu.

– Wiem, kochanie, wiem. Nie powinna była was odwiedzać. Ciotka nie przemyślała tego, ona nie ma dzieci, nie wie, że tak się nie robi. Dobrze, masz tam gdzieś Kubusia? Muszę z nim porozmawiać.

– Nie ma go przy mnie. Chłopcy bawią się teraz w podchody.

– Czyli się bawi?

– Bawi i płacze, tak na zmianę.

– W takim razie zrobimy tak, że jak wróci, to zadzwońcie do mnie, porozmawiam z nim i go uspokoję. Nie przerywaj mu jednak zabawy. I proszę cię, miej go na oku, ale tak dyskretnie. Wiesz, żeby nie robić mu obciachu przy kolegach. Jeśli po rozmowie nadal będzie przygnębiony albo zapłakany, to dzwońcie do mnie. Jeśli będzie trzeba, to przyjadę po niego.

*

– I co potem?

Na szpitalnym korytarzu panował wzmożony ruch. Pomiędzy pielęgniarkami zmierzającymi zawsze w dobrze sobie znanym kierunku zaczęli kręcić się odwiedzający. Ludzie, którzy w niebieskich ochraniaczach zakładanych na buty, pojawiali się na oddziale chirurgicznym albo z reklamówkami wypełnionymi jedzeniem, albo bez reklamówek, ale ze zmartwionym spojrzeniem. Niektórzy z nich – zapewne codzienni bywalcy – znikali w pomieszczeniach, w których ich bliscy czekali na odwiedziny. Inni – zagubieni – zaczepiali pielęgniarki, pytali o to, gdzie kto leży, a później po omacku szukali sali o odpowiednim oznaczeniu.

– Tak jak widziałaś, zamknął się w sobie i zbył mnie stwierdzeniem, że jest zmęczony. – Aleksandra rozłożyła ręce.

Po telefonie od córki wróciła do Wróblewskiego, ale nie chciał już z nią rozmawiać. Nie martwiło jej to zbytnio, ponieważ wszystkie jej myśli odpłynęły w stronę Ilony. Skoro odwiedziła Weronikę i Kubę na obozie, mimo wyraźnego zakazu, znaczyło to, że nadal kombinuje, jak odebrać jej dzieci.

– Wszystko przez ciebie! Mogłaś nie odbierać telefonu, nie wychodzić, nie

przerywać w najciekawszym momencie! – Urszula była wściekła i nie zamierzała tego ukrywać.

Kiedy w papierach ukradzionych z samochodu znalazła szkic broszki, wiedziała, że Wróblewski jest tym, kogo szuka. Dokładnie o tę broszkę jej chodziło. Musiała ją znaleźć i ustalić, co działo się z nią przez te wszystkie lata, a przede wszystkim dojść do tego, jak trafiła do rąk mężczyzny.

– Wrócisz tam i dopytasz, czy ma tę broszkę – zażądała. – A jeśli nie ma, to gdzie ją widział. Muszę do niej dotrzeć, rozumiesz?! Ta sprawa ma najwyższy priorytet.

– Przez chwilę wydawało mi się, że może zajmuje się owadami, stąd te rysunki ważek, motyli i much, ale ta broszka? Kim on jest? Czym się zajmuje?

– Nie musisz tego wiedzieć.

– Nie?

Przechodząca obok starsza kobieta w koszuli nocnej i szlafroku sprawiła, że Aleksandra zamilkła. Nie zamierzała się awanturować. Nie w szpitalu. Chciała jak najszybciej stąd wyjść.

– Ta ściema z białymi kartkami była dobra. Powiedz mu, że to kolejny element terapii, że musi dotknąć tej ważki, którą naszkicował. Niech ci powie, gdzie ona jest, a ty mu ją przywieziesz.

– Sama mu to powiedz.

– Słucham?

– Nie znam tego faceta, nie znam ciebie. Nie mam wobec was żadnych zobowiązań. Nawet nie jestem z Łodzi! Pomogłam, ile mogłam, a teraz wybacz, wracam do swojego życia i swoich problemów!

*

– Doktora Adamczyka już znasz… – Aleksandra zamilkła.

Spodziewała się, że po wejściu do sali, w której leży pacjent, wszystko będzie tak samo jak przed godziną, kiedy go opuściła. Myliła się jednak.

Na łóżku pacjenta i podłodze leżały porozkładane kartki. Wróblewski stał zgarbiony przy łóżku i nerwowo poruszał głową. Przyglądając się kolejnym szkicom, co chwilę łapał się za czoło, jakby obrazy sprawiały mu ból.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek wyglądał na człowieka, któremu potrzebna jest pomoc psychiatryczna.

– Skąd je masz? – spytała Aleksandra, wskazując na leżące wszędzie kartki.

Zostawiała mu przecież tylko jeden szkic, ten przedstawiający ważkę. Reszty nawet nie zdążyła mu pokazać, bo zadzwoniła do niej Weronika.

– Dostałem.

– Od kobiety? Od tej policjantki?

To było pytanie retoryczne. Kiedy kilkadziesiąt minut wcześniej, w teatralnym

stylu, Aleksandra opuszczała szpitalny korytarz i stojącą na nim zdziwioną policjantkę, oddała jej plik kartek, o których miała rozmawiać z pacjentem.

– Nie będę gadał. Ani z nią, ani z nim, ani z nikim innym! Tylko z tobą!

– Doktor Adamczyk to bardzo dobry specjalista. Mój przyjaciel. Ufam mu. Jestem przekonana, że ci pomoże.

– Nie będę z nim gadał!

– Dlaczego? – do rozmowy włączył się trzymający się do tej pory z tyłu Sebastian.

– Nie będę go słuchał! – Wróblewski zatkał uszy jak trzylatek spierający się z mamą.

– A ja z chęcią posłuchałbym pana, panie Piotrze. Być może uzna mnie pan za nieskromnego, ale trudno. Prawda jest taka, że jestem najlepszym łódzkim specjalistą od leczenia amnezji. Jeśli chce pozbyć się pan tego okropnego uczucia walki z własną pamięcią, pomogę panu. Najskuteczniej i najszybciej, jak tylko się da.

– Nie zostawiaj mnie! – Wróblewski oderwał wzrok od rysunków i spojrzał Aleksandrze w oczy. – Proszę, nie zostawiaj mnie. Nie teraz.

Gwałtowna zmiana nastrojów nie uszła uwadze lekarzy. W ciągu kilku sekund agresywny i zamknięty w sobie mężczyzna stał się bezbronną sierotą. Wygiął usta w podkowę, jakby miał się rozpłakać.

– Nie zostawiam cię samego. – Aleksandra podeszła do Sebastiana i objęła go ramieniem. Pomyślała, że jeśli słowa nie przemawiają do pacjenta, to może skuteczniejsze będą obrazy. – Zostajesz z doktorem Adamczykiem. To dobry lekarz.

– Teraz ja będę się panem opiekował. Jestem przekonany…

– Olka, nie możesz wyjechać. Jesteś w niebezpieczeństwie…

Kolejna zmiana nastroju. Pogróżki, ściśnięte pięści, przymknięte oczy. Aleksandra miała tego dość. Nie mogła dać się wciągnąć w manipulacje chorego człowieka.

– Dobra, wychodzę. Zostawiam was razem – powiedziała oschle, po czym uśmiechnęła się do Sebastiana i szepnęła w jego stronę: – Powodzenia.

Adamczyk uniósł dłoń na pożegnanie. Oczywiście wolałby odprowadzić kobietę do drzwi, albo najlepiej odwieźć na dworzec. Jednak nie mógł zrezygnować z podjęcia próby pracy z pacjentem. Nie teraz, kiedy ten był wzburzony, przerażony, ale i zagubiony. Psychiatra musiał wykorzystać sytuację. Widział, jakie wrażenie wywołują na mężczyźnie rozłożone wszędzie kartki. Musiał kuć żelazo, póki gorące. Artykuł o amnezji sam się przecież nie napisze.

– Olka, czekaj! – Aleksandra nie zdążyła opuścić sali chorych. Wróblewski podbiegł do niej, sycząc z bólu. – Pytałaś mnie ostatnio o mój stosunek do policji. Już wiem. Przypomniałem sobie. Ona nigdy nie była naszym

sprzymierzeńcem… Nie powiesz mi, że o tym zapomniałaś. Byłaś w Łodzi już wcześniej, pamiętasz?

*

– Olka!!!

Wróblewskiego słychać nawet na korytarzu. Ma donośny i przerażający głos.

Jestem już w windzie, a nadal go słyszę. To niemożliwe. Chyba że jego głos wwiercił mi się w uszy, tak samo jak w pamięć wwierciła mi się jego twarz. Kwintesencja okrucieństwa. Wykrzywiona w spazmie agresji, z szeroko otwartymi ustami odsłaniającymi krzywe zęby, z językiem wduszonym w dolne podniebienie, z rozszerzonym nosem i okiem. Jednym okiem, z którego wygląda wściekłość. Drugie – na szczęście – było zbyt spuchnięte, bym mogła dojrzeć źrenicę.

Założę się, że gdybym się nie cofnęła, gdybym stała w zasięgu jego ręki, to uderzyłby mnie. Mój sprzeciw spotęgował tylko jego agresję.

– Aleksandra Wilk, pan czeka na mnie?

Kierowca taksówki przytakuje, więc wsiadam. Ładuję do środka walizkę. Czas wrócić do siebie, do Poznania.

– Dworzec PKP, proszę.

„Byłaś w Łodzi", krzyczał jak oszalały. Może to i dobrze? Nikt mu w to nie uwierzy.

Byłam w Łodzi. Lata temu. Nikt, naprawdę nikt o tym nie wie. Nie może wiedzieć.

Sama prawie o tym zapomniałam. Pytanie dnia brzmi: „czy Piotr Wróblewski wie o tym, że tu byłam, czy coś mu się pomieszało?". I kim on tak naprawdę jest? Przez chwilę myślałam, że naukowcem zajmującym się owadami. Potem, że artystą malarzem. Teraz sama już nie wiem.

– Chwileczkę. – Ulica, którą przejeżdżamy, wydaje mi się znajoma. – Czy to Kilińskiego?

– Tak.

– To proszę nie skręcać, tylko jechać prosto.

– Chciała pani na dworzec…

– Nadal chcę, ale najpierw muszę zerknąć na coś na Kilińskiego.

– Kilińskiego ile?

– Dwieście dziesięć.

Pewnych rzeczy się nie zapomina. Kiedy usłyszałam podczas Przystanku Woodstock, że w Łodzi na Kilińskiego dwieście dziesięć funkcjonuje najlepszy skłot w Polsce, wiedziałam, że to będzie kolejny cel mojej podróży. Dwieście dziesięć, dwieście dziesięć – powtarzałam w kółko. Nie mogłam zapomnieć numeru. Nie mogłam nie trafić. Dwieście dziesięć skojarzyłam z dwadzieścia

jeden. Oczko.

Taksówkarz mierzy mnie wzrokiem. Widzę jego spojrzenie w lusterku wstecznym. Ma mnie za wariatkę. Gdyby wiedział, że pracuję na oddziale psychiatrycznym, powiedziałby pewnie „kto z kim przestaje, takim się staje".

– To tutaj.

– Tutaj?

– Dwieście dziesięć to tu.

– Dobrze, niech pan zjedzie na bok. Muszę na chwilę wyjść. – Znowu spogląda na mnie zaniepokojony. – Zaraz wrócę, proszę poczekać.

– Na pewno pani wróci?

Nie będę odpowiadała na głupie pytania. Skoro to tu, muszę wyjść z samochodu. Stacja benzynowa. Obdrapane ściany sąsiedniej kamienicy.

Nie ma. Ani moich wspomnień, ani budynku, w którym mieszkałam. Wymazałam z pamięci to doświadczenie. Czas przykrył kurzem jego pozostałości. Eksplozję emocji, tych dobrych i złych. Kamienica naprzeciwko jest jednak taka sama, i to okno…

Okno pamiętam. To przez nie wyglądała taka mała blondyneczka.

*

Mała dziewczynka siedzi w oknie. Zastygła. Pewnie wpatruje się w coś ciekawego.

Olka próbuje ustalić w co. Jest jednak na straconej pozycji. Stoi na chodniku, podczas kiedy dziewczynka znajduje się na drugim piętrze i patrzy przed siebie.

Na wprost kamienicy znajduje się posesja numer dwieście dziesięć. Cel jej podróży.

Olka jest z siebie dumna. Bez kasy i bez wiedzy rodziców dotarła tutaj. Do jednego z pierwszych skłotów w Łodzi. Do miejsca, w którym panują zasady miłość, przyjaźń i muzyka. Do skłotu, który już jest kultowy, a ona będzie mogła chwalić się kiedyś, że w nim mieszkała. Ona – dziewczynka z dobrego domu. Dobrego z wierzchu, zepsutego od środka.

– Dzień dobry – uśmiecha się do kobiety, która wyjeżdża właśnie z budynku z wózkiem.

Zagląda do środka. Maleństwo śpi.

– Chłopiec czy dziewczynka? – zagaduje.

Kobieta traktuje ją jak powietrze. Przyspiesza kroku i odjeżdża.

Na tyłach posesji Olka zauważa parterowy budynek. Wytwórnia Filmów Oświatowych – odczytuje szyld.

– Basia! Baśka! – Z okna, w którym siedzi dziewczynka, dochodzi kobiecy krzyk. – Co ty tu znowu robisz? Mówiłam ci, że masz tam nie patrzeć!

– Ale mamo! Ała!

Dziewczynka znika z okna, a Ola bierze głęboki wdech. Zaraz wejdzie do skłotu i ma nadzieję, że będzie mogła zatrzymać się tu na dłużej. Nie zajmie przecież dużo miejsca, a być może spotka swojego księcia z bajki.

*

Marcin Gajek i jego sto pięćdziesiąt koni mechanicznych stało w miejscu i czekało na ciąg dalszy. Wokół toczyło się życie. Kobieta w wałkach trzepała przez okno ciemny materiał. Dziewczynka spacerowała z masywnym psem, który wyglądał jak mieszanka amstaffa i pitbulla. Mężczyzna siedział na murku i popijał piwo w puszki.

Marcin wcale mu nie zazdrościł. Miał w schowku butelkę z colą. Mógł napić się w każdej chwili, a kofeina i cukier dawały mu kopa lepszego niż alkohol.

Liczby zmieniające się na taksometrze uzmysławiały kierowcy, że czas to pieniądz. Mimo że za czekanie też mu płacono, bardzo nie lubił tego uczucia, kiedy on i jego maszyna stali w miejscu. Bycie w stanie gotowości śniło mu się często, a wydźwięk tego snu bliższy był koszmarowi niż sielance.

Od lat jeździł po mieście. Lubił mierzyć się z brakiem czasu, korkami i zatroskanymi klientami. Czasem któryś opowiadał mu historię swojego życia, czasem z tyłu taksówki działy się rzeczy miłe do podglądania w lusterku. Wszystko zależało od pory dnia i nocy.

Kiedy rudowłosa klientka wsiadła do środka i poprosiła, by zawiózł ją na dworzec, przez chwilę poczuł przypływ adrenaliny. Skupiona twarz kobiety sugerowała, że się spieszy, że może za chwilę zażąda, by jechał szybciej, i jeszcze szybciej, bo jej pociąg odjedzie za pięć minut.

Niestety. Zamiast slalomu między ciągnącymi się jak żółwie samochodami czekał na ulicy Kilińskiego i zastanawiał się, czy rudowłosa klientka wróci.

Wiózł kiedyś faceta, który nagle poprosił o postój. Stateczny pan w średnim wieku nie budził żadnych podejrzeń, więc Marcin się zatrzymał.... I tyle go widział.

– Pani, jedziemy dalej, czy pani tu zostaje? – krzyknął, kiedy ruda wyszła z kamienicy.

– Jedziemy.

Nadal wyglądała na skupioną, ale w jej oczach było coś niepokojącego. Coś jak nuta szaleństwa. A może obłędu?

– Ale ma pani pieniądze? – wolał się upewnić.

– Słucham?

– Na taksometrze jest już dwadzieścia siedem złotych.

– Jedźmy w takim razie.

– Dokąd teraz?

– Do domu. To znaczy na dworzec.

*

Klimat poznańskiego dworca budził w Krystianie odrazę. Niby nowoczesny budynek zaprojektowany z rozmachem, obłe kształty, stal i szkło, niby wierność europejskim modom, niby część Zintegrowanego Centrum Komunikacyjnego… ale dworzec nadal został dworcem.

Zwłaszcza z tej drugiej, bliższej ulicy Głogowskiej strony torów. Tu nikt nie pomyślałby o Poznaniu jako nowoczesnym mieście.

Być może na tym polegała złożoność świata, że z jednej strony wyglądał pięknie i zachęcająco, zupełnie jak Poznań City Center od strony Wildy, a z drugiej był ponury, czarny, brudny, śmierdzący i niebezpieczny. Czyli dokładnie taki sam, jak przed nadejściem tej całej nowoczesności.

To właśnie na peron znajdujący się po tej drugiej, ciemnej stronie dworca miał przyjechać pociąg z Łodzi. Oczekiwanie na powrót ukochanej było najradośniejszą czynnością, którą Krystian wykonywał w ciągu tego weekendu.

– Przepraszam, czy czeka pan na pociąg do Wrocławia? – Dziewczyna uginająca się pod ciężarem ogromnego plecaka zaczepiała po kolei wszystkich ludzi oczekujących na peronie. Tym razem podeszła do Krystiana.

– Nie.

– Ale przyjedzie tu ten do Wrocławia?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami.

Dotarł na miejsce z trzygodzinnym wyprzedzeniem. Po pierwsze, nie lubił się spóźniać, po drugie, chciał uniknąć nerwowego biegania związanego z poszukiwaniem odpowiedniego peronu, po trzecie – i najważniejsze – nie miał nic innego do roboty. Siedział na ławce i spokojnie czekał, obserwując panującą wokół nerwowość. Ludzie przestępowali z nogi na nogę, spoglądali na tablicę odjazdów, na zegarki, na siebie.

– Pociąg Intercity Gwarek z Katowic do Gdyni Głównej przez Chodzież, Piłę i Koszalin wjedzie na tor drugi przy peronie piątym.

Komunikat wzmógł ruch na peronie. Z podziemnego przejścia dotarła kolejna fala podróżnych. Wszyscy przygotowywali się do szturmu na pociąg, jakby to była walka na śmierć i życie. Jakby w Poznaniu zapanowała epidemia cholery i tylko ci, którym uda się wejść do wagonu, zostaną uratowani.

Krystian wyjął z kieszeni komórkę. Skoro znajdował się na peronie, na którym miał pojawić się pociąg z Łodzi, postanowił przenieść swoje myśli do czegoś przyjemniejszego niż nerwowe podróże. Na liście aplikacji kliknął na ikonę tej, dzięki której w każdej chwili mógł ustalić, gdzie znajduje się Aleksandra.

Zanim połączył się z darmowym Wi-Fi, pociąg do Gdyni odjechał, a na peronie zapanował względny spokój. Oprócz niego została jedynie dziewczyna, która chciała pojechać do Wrocławia.

– Dworzec Łódź Kaliska – odczytał wskazania lokalizacji i odetchnął z ulgą.

Wszystko szło zgodnie z planem. Aleksandra siedziała już pewnie w pociągu i czekała, by za mniej niż trzy godziny paść mu w ramiona na obskurnym peronie numer pięć.

*

Wydawać by się mogło, że wszystkie dworce są takie same – mają kasy, tablice przyjazdów i odjazdów, poczekalnie, niewielkie sklepy i perony. Kiedy jednak człowiek wchodzi do budynku dworca po raz pierwszy, zawsze czuje się zagubiony.

Aleksandra trzymała torebkę pod pachą, świadoma, że jest spóźniona. Za sobą ciągnęła walizkę i wspomnienia z Kilińskiego dwieście dziesięć.

Nie wracała do nich od lat. Wydawało jej się nawet, że wyparła je całkowicie z pamięci. Kiedy jednak zobaczyła kamienicę i jej najbliższe otoczenie, poczuła coś dziwnego. Jakby rozdwojenie jaźni? Dotknięcie czarodziejskiej różdżki? Znała ten obraz. Widziała go kiedyś i była przekonana, że jeśli poszpera w pamięci, to dotrze do wspomnień z nim związanych.

Sprawdziła, że pociąg do Poznania odjedzie z peronu drugiego, teraz musiała jedynie ustalić, gdzie znajduje się ten peron.

W skupieniu przeszkadzała jej komórka, która wydawała z siebie melodyjne dźwięki. Uznała, że odbierze i szybko spławi rozmówcę.

– Halo?

– Rudzielcu, słuchaj, jest problem.

– Halo, Sebastian? Kiepsko cię słyszę. Jestem na dworcu. Oddzwonię później, dobrze?

– On uciekł.

– Co?

– Wróblewski uciekł!

– Kiedy?

– Nie wiem. Pielęgniarki przeszukały cały oddział. Nigdzie go nie ma.

– Pociąg Intercity Barbakan z Przemyśla Głównego do Szczecina Głównego przez Poznań Główny wjedzie na tor pierwszy przy peronie drugim.

Komunikat nadawany przez megafony sprawił, że Aleksandra wrzuciła komórkę do torebki i ruszyła w stronę peronu. Nie wiedziała, ile czasu zajmie jej przemieszczenie się między budynkiem a peronem. Nie mogła teraz stracić ani minuty. Priorytetem było znalezienie się w odpowiednim wagonie, w odpowiednim czasie. Do Sebastiana mogła oddzwonić później.

*

Nigdy nie lubiła dworców kolejowych. Nie czuła się tu bezpiecznie. Być może dlatego, że zwykle jeździła pociągami na gapę.

– Pociąg z Przemyśla do Szczecina przez Poznań Główny, Wronki, Stargard Szczeciński, planowy przyjazd o godzinie trzynastej osiem, jest opóźniony o piętnaście minut. Za opóźnienie pociągu przepraszamy i informujemy, że może ulec zmianie.

Informacja o tym, że spędzi w Łodzi kwadrans dłużej, była dla Oli jak zrządzenie niebios. Mogła spróbować przekonać chłopaka, który ją przyprowadził, żeby zmienił zdanie.

– Tu masz bilet. Wysiądziesz w Poznaniu i wrócisz do chaty. Obiecujesz? Ruda, obiecaj mi.

– Po co?

Pikaso robił jej pranie mózgu. Czasem udawał starszego brata, który się nią opiekował. Tłumaczył wtedy, że jest za młoda i zbyt mądra na takie akcje, że powinna ułożyć jakoś swoje stosunki z rodzicami, pójść na kompromis, bo życie to ciągłe pasmo kompromisów.

– Nie zachowuj się jak obrażona księżniczka, nie teraz. To dla twojego dobra.

– Pieprzysz jak mój stary.

– Chcę, żebyś była bezpieczna!

– W skłocie jestem bezpieczna. Z tobą i z Szajbusem.

– Masz wrócić do domu!

– Pikaso, proszę, zrozum mnie… Nie chcę wracać!

– Mało mnie to obchodzi.

Pikaso całym sobą mówił jej „won!". Ton jego głosu, pozycja ciała i groźne spojrzenie. Nie znała go takiego.

– Opóźniony pociąg do Szczecina wjedzie na tor pierwszy przy peronie pierwszym.

– Pikaso, błagam! – grała *va banque*.

Przestała udawać twardą, oczy zaszły jej łzami. Nawet nie musiała mocno zmuszać się do płaczu. Chciało jej się wyć.

– Odpuść, Ruda. Dla ciebie jeszcze nie jest za późno. Rodzice powitają cię z otwartymi ramionami. Jakoś dojdziecie do porozumienia. Kiedyś będziesz mi za to dziękować.

Prychnęła z pogardą. Takie bajki mógł opowiadać trzyletnim dziewczynkom. Ona miała piętnaście lat i wystarczająco dużo wyobraźni, by ujrzeć scenę, kiedy po prawie trzech tygodniach nieobecności wraca do domu.

– Nie znasz ich! Uciekłam, nigdy mi tego nie zapomną. Myślałam, że mnie lubisz, że mogę na ciebie liczyć!

Przełknęła łzy i próbowała się do niego przytulić, ale odepchnął ją.

– Znam cię i wiem, co jest dla ciebie najlepsze. Wsiadaj.

Szczerze nienawidziła teraz Pikasa – chłoptasia, który myślał, że pożarł

wszystkie rozumy tylko dlatego, że był od niej kilka lat starszy. Szczycił się swoją pełnoletniością i odpowiedzialnymi i przemyślanymi decyzjami.

– Wsiadaj! – Wręczył jej bilet i wepchnął ją do wagonu.

Nie mogła uciec. Nie mogła krzyczeć. Po peronie spacerował właśnie patrol policji. Zwrócenie na siebie uwagi funkcjonariuszy skończyłoby się tak samo – wysłaliby ją do domu.

– Pikaso, proszę.

– Żegnaj, Ruda. I pamiętaj, uważaj na siebie! – Zamknął drzwi i pomachał jej.

Nie odmachała. Nawet na niego nie spojrzała, kiedy pociąg ruszył. Nienawidziła go i całej tej pieprzonej Łodzi. Miasta marzeń, które właśnie się skończyły.

Znalazła miejsce w przedziale, usiadła i zamknęła oczy. Zamiast ciemnej pustki zobaczyła ponownie ostatnią scenę. Wykrzywioną twarz Pikasa, wyciągniętą rękę, w której trzymał bilet i szwy sterczące z jego uszkodzonego kciuka. Nigdy wcześniej nie widziała palca bez paznokcia.

*

Wagon czterdzieści dwa znalazłam, ale gdzie jest miejsce trzydzieści osiem?

Jeszcze dalej? O, jest trzydzieści pięć… trzydzieści osiem.

– Dzień dobry.

Przedział jest pełen ludzi. Patrzą na mnie jak na intruza, bo zajmę za chwilę jedyne wolne miejsce. O przepraszam, nie jest wolne. Tłusta baba trzyma na nim swoją torebkę, gazetę i pół tyłka.

– Przepraszam, to moje miejsce.

W sumie nawet nie wiem czemu przepraszam, w końcu za nie zapłaciłam.

Baba, stękając, zbiera wszystkie swoje rzeczy. Siedzący naprzeciwko niej mężczyzna z niezadowoleniem marudzi coś pod nosem. Trzy młode dziewczyny wpatrują się w swoje komórki. Obok nich siedzi student ekonomii, bo chyba nikt inny będący przy zdrowych zmysłach nie zajmuje się podczas podróży lekturą bardzo grubej książki zatytułowanej *Organizacja i Zarządzanie*.

– Przepraszam…

Oczywiście musiałam nadepnąć drzemiącego przy wejściu staruszka, jedyną osobę, która nie patrzyła na mnie wilkiem.

Zaraz usiądę, muszę jeszcze przetransportować swoją walizkę z korytarza na półkę w przedziale. Jak mam to zrobić, nie depcząc współpasażerów?

– Przepraszam, ciasno tu – tłumaczę się dziewczynie, którą właśnie uderzyłam walizką.

W skłocie też było ciasno. Ale to było dwadzieścia lat temu. Miałam wtedy mniejsze wymagania i sama byłam mniejsza. A jeśli nie mniejsza, to na pewno lżejsza.

Pociąg. Łódź. Skłot. Teraźniejszość miesza mi się z przeszłością. Być może niepotrzebnie jechałam oglądać stare śmieci.

Nie, nie mogę udawać, że nic się nie stało. Otworzyłam puszkę Pandory. Muszę do niej zajrzeć, a później ją wyrzucę. Zniszczę i wyrzucę. Obiecuję.

Skłot to była szkoła życia. Egzamin ze zbliżającej się dorosłości. Ciekawe, co byłoby ze mną, gdyby Pikaso nie wpakował mnie do pociągu?

Pikaso. Mój przyjaciel i wróg. Człowiek, który mnie zdradził. Wciąż pamiętam tą jego wyciągniętą dłoń, bilet i palec bez paznokcia.

Kciuk bez paznokcia! Wcześniej nie zwróciłam na to uwagi. Wróblewski nie miał paznokcia. Skrzętnie to ukrywał, chowając kciuk za resztą palców, ale parę razy mignął mi ten widok. Palec bez paznokcia i zdeformowany kciuk.

Boże, czy to możliwe, że Wróblewski to podstarzały Pikaso? Zapamiętałam jedynie miły uśmiech i ostre rysy. To za mało, by rozpoznać go po dwudziestu latach…

Cholera, znowu dzwoni telefon, a pociąg stoi. Będziemy mieli spóźnienie. Muszę dać znać Krystianowi.

– Halo?

– Kurwa, Olka! Zalewasz sąsiadów.

To Olga. Jej pełen pretensji głos rozpoznałabym zawsze, nawet obudzona z najgłębszego snu.

– Ja? Przecież nie ma mnie w domu od kilku dni.

– Brałaś rano prysznic? Zakręciłaś wodę? Marek dzwonił z pretensjami, podobno sąsiadka z dołu chce rozwalać drzwi do jego apartamentu, bo jej się leje na głowę.

Prysznic. Apartament. Łódź?

Pociąg stoi. Zdążę. Walizka w jedną rękę, drugą rozsuwam drzwi. Uderzam kogoś, ktoś syczy. I dobrze.

Sprint po korytarzu. Drzwi są jeszcze otwarte. Wysiadam.

– Halo! Olga, już jestem.

– Kurwa, kobieto! Udostępniam ci wypasioną miejscówkę, a ty nie dość, że ją zalałaś, to jeszcze rozłączasz się, kiedy do ciebie dzwonię?!

– Miałam sekundę, żeby wysiąść z pociągu. Jestem nadal w Łodzi. Biorę taksówkę i jadę tam. Olguś, przepraszam! Wszystko ogarnę, pokryję straty, jakoś to wytłumaczę temu twojemu. Powiedz mu, żeby o nic się nie martwił. Za kwadrans będę na miejscu!

*

– Zaraz!

Pukanie do drzwi zastało Aleksandrę w pozycji na kolanach. Właśnie wycierała podłogę ręcznikiem i wykręcała go nad wiadrem. Nie miała czasu na

szukanie szmat, poza tym frotowy ręcznik idealnie wchłaniał wodę rozlewającą się po łazience.

Wody tak naprawdę wcale nie było dużo. Owszem, w ogóle nie powinno być jej na płytkach podłogowych, ale pełen pretensji głos Olgi sprawił, że Aleksandra przygotowana była do tego, że kiedy otworzy drzwi, to strumień wody co najmniej ją przewróci.

Sprawcą całego zamieszania był ręcznik, w który rano Aleksandra wycierała włosy. Rzuciła go w stronę wieszaka, ale widocznie musiał spaść na umywalkę i zatkać odpływ. Pośpiech, w którym opuszczała mieszkanie, sprawił, że nawet nie zauważyła, że nie zakręciła kurka po myciu zębów. Efekt był opłakany – woda wylewała się z brodzika i trafiała na czarne kafelki, a z nich na sufit mieszkania znajdującego się piętro niżej.

– Chwila!

Aleksandra próbowała odwlec konieczność wyjścia z łazienki, ale pukanie stało się uciążliwe. Znajdująca się po drugiej stronie drzwi osoba darowała sobie wszelkie zasady dobrego wychowania. Waliła w drzwi pięścią bez przerwy.

Ręcznik trafił na podłogę, a pełniąca tymczasową funkcję gospodarza Aleksandra wytarła ręce i podeszła do drzwi. Spodziewała się w nich zobaczyć sąsiadkę.

Ich pierwsze starcie, gdy wbiegła na klatkę schodową, ciągnąc za sobą walizkę i poczucie winy, było pełne emocji, ale nie aż tak, jak to sobie wyobrażała. Kobieta nie kryła niezadowolenia, ale bardziej z powodu braku natychmiastowej reakcji na jej pretensje, niż z powodu szkód.

Aleksandra przeprosiła kobietę i obiecała, że się wszystkim zajmie, po czym zamknęła jej drzwi przed nosem, tłumacząc, że najważniejsze jest teraz zablokowanie źródła wody.

– Żywioł opanowany. – Otworzyła drzwi i wyrzuciła z siebie najradośniej jak tylko potrafiła, licząc, że zbije tym z tropu awanturującą się sąsiadkę.

Na korytarzu zamiast kobiety o wściekłym wyrazie twarzy stał Wróblewski. Miał na sobie domowe kapcie i szpitalną pidżamę.

V
poniedziałek

– To ty?

Piotr Wróblewski? W pidżamie? Na progu mieszkania? Pyta, czy to ja?

– To ty?

Odpowiadam tym samym. Najbardziej bezsensownym pytaniem. Czy to ty, czy to ja? Brakuje mi słów. Chociaż nie, właściwie nie słów, a siły, by wypowiedzieć je na głos. Nogi uginają mi się w kolanach. Dobrze, że trzymam się kurczowo drzwi.

– Co ty tu robisz?

– Mieszkam, a ty? Powinieneś przecież leżeć w szpitalu – stwierdzam, ale po chwili kojarzę, że przecież Sebastian poinformował mnie, że pacjent uciekł.

– Jesteś jego panienką? – odpowiada pytaniem na pytanie i krzywi się.

Z bólu? Z odrazy? Z wysiłku?

Zaraz, zaraz. Jakiego „jego”? Czyżby Piotr Wróblewski pamiętał więcej, niż chciał wyjawić?

– Czyją panienką? – Szykuję się do szybkiego zamknięcia drzwi przed jego nosem.

Nie muszę z nim rozmawiać. Nie jest moim pacjentem. Nawet gdyby był, nie przyjmowałabym go w domu.

– Marka. – On również przygotowuje się do kolejnego ruchu. Łapie drzwi i nogą blokuje możliwość ich zamknięcia.

Kciuk. Zwracam uwagę na jego kciuk. Nie rzuca się w oczy, ale rzeczywiście nie ma na nim paznokcia, a na palcu widoczna jest blizna.

Ilu jest w Łodzi mężczyzn z takim uszkodzeniem palca? Ilu wie, że byłam już kiedyś w tym mieście? Wszystko układa się w jedną całość. Piotr Wróblewski, tak musiał nazywać się Pikaso. Przez *k* i przez jedno *s*, jak zawsze powtarzał, tłumacząc, że nie miał ojca, który mógłby odkryć jego talent malarski, dlatego jest jedynie marną podróbką Pabla Picassa.

– Marka? – Muszę opanować nerwowość. – Nie, znam go tylko ze słyszenia. To facet mojej przyjaciółki, a co?

Muszę usztywnić twarz, zapanować nad mimiką i okiełznać emocje. Z jednej strony chciałabym rzucić mu się na szyję. Jest moim znajomym z przeszłości.

Przeżyliśmy razem tyle dobrego. Z drugiej nie był ze mną szczery… Od początku wie, kim jestem i próbuje grać ze mną w kotka i myszkę.

– Wpuścisz mnie?

– A co? Czujesz się niezbyt komfortowo na klatce schodowej w tym szpitalnym wdzianku?

Sarkazmem najłatwiej jest mi przykryć zdenerwowanie.

– W dupie mam to, co o mnie myślą inni.

Wcale mnie to nie dziwi. Pikaso zawsze miał wszystko w dupie. Także mnie, kiedy zaprowadził mnie na dworzec i kazał spieprzać. Myślałam, że jest mi życzliwy, a wyrzucił mnie jak psa. Nigdy mu tego nie zapomnę.

– Powinieneś wrócić do szpitala. – Gram w jego grę. Udaję naiwną panią psycholog, która nie zauważyła podwójnego dna.

– Wrócę, ale muszę z tobą porozmawiać. Słabo mi, mogę wejść?

Zżera mnie ciekawość. Co nim kieruje? Przecież przyszedł tu i spodziewał się zastać kogoś innego. Teraz udaje, że chciał tylko ze mną porozmawiać. Oszukuje, ale dlaczego mnie? Do czego jestem mu potrzebna?

– Mogę? – Wpycha się do mieszkania, kiedy na klatce pojawia się sąsiadka z naprzeciwka. Też jest w pidżamie i wykrzykuje coś na temat ciszy nocnej.

Zamykam za nim drzwi i sprawdzam, czy mam przy sobie komórkę. Tak na wszelki wypadek.

– Musisz mi pomóc przypomnieć sobie jedną rzecz.

– Jedną?

Świetnie, już wszystko jasne. Wie, że dzięki pracy ze mną może dotrzeć do niedostępnych miejsc w swojej pamięci. Skoro on nie gra fair, to ja też nie będę. Koniec z relacją terapeuta-pacjent.

– Te szkice, które mi zostawiłyście… Ty i ta policjantka… Trochę mi rozjaśniły. Chcę iść dalej…

– Dalej?

Powtarzam jego ostatnie słowo i obserwuję, z jaką pewnością porusza się po apartamencie Marka. Był tu kiedyś. Był i pamięta, gdzie znajduje się kuchnia, gdzie jadalnia, a gdzie salon. Siada na fotelu.

Ja naiwna dałam się nabrać na ten całkowity zanik pamięci! Boże, widzisz i nie grzmisz?!

– Pytałaś, dlaczego… dlaczego chciałem rozmawiać akurat z tobą?

– Wody? – Chcę zyskać na czasie.

– Poproszę.

Zostawiam go w salonie i idę do kuchni. Otwieram lodówkę i chłonę uciekające z niej zimno. Szklanki, gdzie są szklanki? Butelka z wodą mineralną?

Nie wiem, dlaczego, ale w uszach rozbrzmiewa mi piosenka Justyny Steczkowskiej

„Już znam twą grą. Przejrzałam cię. Wybrałeś to sam. Zacząłeś więc graj. Chcę bawić się pochlebstwami i kłamstwami. Włóż maskę na twarz".

Słowa, muzyka i rytm idealnie oddają sytuację, w której się znalazłam. Wkładam maskę na twarz.

– Twoja woda. – Stawiam pełną szklankę przy kłamczuchu Pikasie. – O czym to rozmawialiśmy?

Po raz kolejny Łódź działa na mnie tak samo. Przed tym nie da się uciec. Uruchamia zwierzęcy instynkt przeżycia. Świadomość tego, że albo ja kogoś pożrę, albo ktoś pożre mnie, sprawia, że wraca dawna Olka.

– Chciałem wytłumaczyć ci, dlaczego to właśnie z tobą chciałem rozmawiać.

– No tak. Zamieniam się w słuch.

– Kochałem cię kiedyś.

Zakrztusiłam się. Dobrze, że zdążyłam usiąść, bo upadłabym na ziemię. Wyznanie odbija się od ciemnych ścian luksusowego apartamentu i wraca do mnie.

Kochałem cię kiedyś. Nigdy nie słyszałam tak beznamiętnego i obojętnego wyznania miłości. Pikaso wpatruje się we mnie i chyba oczekuje jakiejś reakcji.

„Włóż maskę na twarz" – Steczkowska nadal rozbrzmiewa w moich uszach. Niech myśli, że podążam wyznaczoną przez niego ścieżką. Jestem mistrzynią kłamstw i wiem, że to, w jaki sposób człowiek kłamie, na jaki temat i kiedy… to wszystko mówi o nim dużo więcej, niż krótkie stwierdzenie prawdy.

Przyczaję się, dotrę do jego słabości i sekretów, a potem powalę go na łopatki i sprawię, że pożałuje, że chciał zabawić się moim kosztem.

– Przepraszam, ale… nie rozumiem. Jak to „kochałeś"? Jak to „kiedyś"?

– Obserwowałem, jak sobie radzisz w skłocie. Dziewczyna z dobrego domu… młoda, rezolutna i twarda. Podziwiałem cię. Z dnia na dzień coraz bardziej. Wyznałbym ci co czuję, gdybyś była pełnoletnia… Gdybyś nie była pod moją opieką. Nie chciałem, żebyś wdzięczność wzięła za uczucie…

– W skłocie? – udaję, że coś sobie przypominam.

„Zacząłeś, więc graj". Mam nad nim przewagę. Niech próbuje odwrócić moją uwagę, ja nie dam się omamić. Mieszkaliśmy razem raptem kilka dni, nie mógł się zakochać, nie był wrażliwą nastolatką szukającą miłości. „Chcę bawić się pochlebstwami i kłamstwami".

– Miałem dwadzieścia lat i zbyt dużo wiedziałem o świecie, a ty pojawiłaś się w moim skłocie niczym anioł. Z zupełnie innego wymiaru, z energią godną pozazdroszczenia i z wiarą, że jesteś w stanie zmienić cały świat. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie…

Zaczyna kaszleć i łapie się za klatkę piersiową. Nie wiem, ile godzin minęło od jego ucieczki ze szpitala, ale podejrzewam, że zwykle wieczorem dostawał kroplówkę z kolejną dawką środków przeciwbólowych. To dzięki nim uwierzył w iluzję, że prawie nic mu nie jest.

– Powinieneś wrócić do szpitala.

– Nie, nic mi nie będzie. To tylko zbyt dużo jak na jeden raz. Za dużo ruchu, tlenu i wrażeń. Muszę zapalić.

*

Dym papierosowy otaczał ją z każdej strony, podobnie jak ramię mężczyzny, który zaprosił ją do środka. Nowy kolega wydawał się być miły. Przynajmniej wtedy, kiedy zagadała go na klatce schodowej. Powiedziała, że uciekła z domu i chciałaby zamieszkać we skłocie. Objął ją ręką i od tamtego czasu nie puszczał.

– Czacha, a co to za nowa lalunia?

– Panowie, poznajcie Rudą. Będzie z nami mieszkała przez jakiś czas.

– Z nami? Czyli podzielisz się?

– Wypierdalaj, Bambo! – warknął.

Nawet nie ruszył się z kanapy, na której siedzieli. Przycisnął tylko dziewczynę mocniej do siebie, uśmiechnął się tryumfująco i wlał w siebie kolejną porcję piwa.

Dziewczyna puściła uwagę mimo uszu, bo cieszyła się, że poznaje innych członków skłoterskiej społeczności. Musiała zapracować na ich zaufanie, by pozwolili jej zostać tu na zawsze.

– Nie przedstawisz mnie? Dobrze, żebym poznała imiona wszystkich.

– Później – burknął, odstawiając butelkę z piwem. – Najpierw musimy się lepiej poznać. – Wolną dłonią odchylił dekolt jej bluzki.

– Zostaw! – Próbowała się odsunąć, ale nadal tkwiła w stalowym uścisku.

– Ej no, przyprowadziłem cię tutaj, mamy razem mieszkać. To komuna, każdy każdego musi dobrze znać. A ja na razie znam tylko twoją twarz. A co jeśli pod bluzką masz spluwę albo policyjną odznakę?

– Za młoda jestem…

– Jesteś idealnie młoda. Pokaż mi cycki.

– Teraz, przy wszystkich?

W pokoju siedziało kilkanaście osób. Pili wino, palili papierosy i każdy zajmował się tym, czym chciał. Jakaś para się ze sobą całowała, ktoś inny grał w kości, jeszcze inni bawili się nożem.

– Kurwa, mała, tu nikt nikomu nie wadzi. Dobra, skoro nie cycki to… – Ręka jedynego znajomego Rudej wylądowała na jej kolanie i zaczęła podążać ku górze. – Jesteś dziewicą?

– Przestań!

– Czyli jesteś! Kurwa, jak to mnie jara! Uwielbiam wpychać się w dziewice. Rozpaliłaś mnie do czerwoności. Nie chcesz przy wszystkich, trudno, kilka dni i się oswoisz. Chodźmy w takim razie na bok. Do kibla. – Wstał i pociągnął ją za

sobą.

– Poczekaj.

– Co?

– Dopiero się poznaliśmy, czy możemy … – zabrakło jej słów. Chciała grać na czas. Wiedziała, że ostra reakcja może zaowocować wywaleniem jej na ulicę.

– Czy możemy co? – przerwał jej. – Powiedz to! Ciekawy jestem, jakiego określenia używa taka grzeczna dziewczynka jak ty. Ruchać się, kochać czy pieprzyć? No, powiedz to!

– Czy możemy poczekać?

– Poczekać? Lubisz droczyć się z napalonymi facetami? To niezbyt bezpieczne zajęcie, wiesz? Nie udawaj, chcesz mnie tak bardzo, jak ja ciebie.

Nie czekał na potwierdzenie. Przywarł do niej całym ciałem i oboje upadli na kanapę, z której dopiero co wstali. Czacha wepchnął dziewczynie język do ust.

Nie mogła ani protestować, ani wołać o pomoc. Spojrzała w bok, próbując odnaleźć sprzymierzeńca. Nie była w pokoju sama, miała nadzieję, że ktoś zareaguje. Niestety, nikt nie zwracał na nich uwagi.

– Uznajmy, że grę wstępną mamy już za sobą – jęknął i uniósł się na tyle, by móc sięgnąć ręką do rozporka. – Zresztą rude są zawsze napalone i nie potrzebują rozgrzewki.

– Czacha! – Niski męski głos dochodził gdzieś z tyłu.

– Nie teraz, Szajbus, nie teraz! – Mężczyzna był gotowy do rozdziewiczenia kolejnej panienki. Nie mógł tracić ani sekundy.

– Czacha!

– Czego, kurwa?

– Czy ty usiłujesz właśnie przelecieć moją najbliższą kuzynkę?

*

– Pamiętasz? Szajbus stanął w twojej obronie, wcisnął wszystkim kit o pokrewieństwie i zabrał cię do naszej części skłotu. Wtedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Byłaś przerażona, jak zwierzątko. Wiedziałem, że muszę się tobą zaopiekować.

Siedzieli na balkonie, na metalowych krzesłach. Pikaso zaciągał się papierosem, a popiół strząsał do popielniczki, którą zlokalizował w mieszkaniu Marka równie bezbłędnie, jak paczkę papierosów i zapalniczkę.

Dawno minęła pierwsza w nocy. Na horyzoncie nie było już żywego ducha. Ciemność szczelnie otulała poprzemysłowe tereny, zarówno te na nowo zagospodarowane, jak i te zapomniane i zniszczone, znajdujące się za płotem osiedla.

– To chyba ja jestem tu od zadawania pytań, pamiętasz? – wyszeptała Aleksandra.

Nie chciała naruszać ciszy nocnej. Nocą głos niósł się na pół osiedla. Poza tym szept był bardziej neutralny, pomagał ukryć jej drżenie głosu lub zbyt obcesowy ton. Szept sprawiał wrażenie intymności. To było jej na rękę. Grała w grę rozpoczęta przez Pikasa. Chciał wrócić do tamtych czasów? Nie mogła tego nie wykorzystać.

– Pewnych rzeczy się nie zapomina. – Spojrzał na nią tak, jakby chciał oczami przekazać o wiele więcej treści niż za pomocą słów.

Albo przyzwyczaiła się do widoku jego opuchniętej powieki, albo opuchlizna powoli zaczęła ustępować. Oczy Pikasa nadal były nierówne, ale szpara, przez którą zerkał na świat, wydawała się coraz bardziej przypominać oko.

– Już późno. – Odwróciła wzrok. – Musisz iść.

Pikaso zaciągnął się papierosem, po czym wypuścił z siebie dym, formując go w kółeczka. Nie spieszył się.

– Do szpitala czy do domu?

– Jesteś dorosłym człowiekiem. Sam podejmujesz takie decyzje.

– Ale ty jesteś moim terapeutą.

Wzdrygnęła się.

– Gdybyś liczył się z moim zdaniem, to nie uciekałbyś ze szpitala, tylko współpracowałbyś z doktorem Adamczykiem.

– Pójdę do domu.

– Oczywiście. Przecież pamiętasz, gdzie mieszkasz. – Uniesione brwi kobiety nie pozostawiały wątpliwości. To było stwierdzenie pełne złośliwej ironii.

– Dzięki za troskę – odpowiedział równie złośliwie. – Policjant przypomniał mi adres.

Nie zareagowała. Zgasił więc papierosa i opuścił balkon. Wyszła za nim i zamknęła drzwi.

– Przepraszam – powiedział już normalnym tonem. Zmęczyła go konieczność szeptania. – Nie powinienem być z tobą nieszczery. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że nie widzieliśmy się ponad dwadzieścia lat. Nie wiedziałem, czy nadal mogę ci ufać. Teraz już wiem i proszę cię, musisz mi pomóc przypomnieć sobie…

– Ja muszę? Po tym, jak zabawiłeś się moim kosztem? Jak mam się do ciebie zwracać? Piotrze czy Pikaso? A może jeszcze jakoś inaczej, co? Jak ty to sobie wyobrażasz? Naszą dalszą współpracę?

– Nie możesz o tym zapomnieć?

– Nie mogę współpracować z pacjentem, który nie chce współpracować ze mną.

– Ja chcę.

– Chcesz, ale dostać, nie dając nic w zamian. Szczerość to podstawa w mojej pracy, w efektywności podejmowanych działań. Nie widzę sensu. – Skierowała się do drzwi.

Pikaso nie chciał jednak wychodzić. Usiadł na podłodze, oparł się o ścianę i zakrył twarz rękoma.

– Na początku pobytu w szpitalu rzeczywiście nie potrafiłem odpowiedzieć na żadne pytanie. Nie pamiętałem niczego i to mnie śmiertelnie przeraziło – wyznał. – Dzięki tobie wszystko zaczęło powoli wracać. Kiedy zobaczyłem twoją twarz, wiedziałem, że to ty, miłość mojego życia. Twoja obecność sprawiła, że wyluzowałem, a rozmowy z tobą odświeżyły mi pamięć. Przepraszam, powinienem wtedy powiedzieć ci całą prawdę. Zamiast tego filtrowałem wspomnienia. Wybacz, nie chciałem działać przeciw tobie. Być może jestem zbyt ostrożny, nieważne. Nadal mam dziury w pamięci i musisz mi pomóc. Uratowaliśmy cię przed Czachą, pamiętasz, więc może przez wzgląd na stare czasy…

– Żegnam – przerwała mu. – Tam jest wyjście. – Wskazała korytarz prowadzący na klatkę schodową.

– Od początku traktujesz mnie jak wroga. Jak miałem powiedzieć ci prawdę? Kiedy wróciłaś z mojego mieszkania i powiedziałaś o portrecie, o śpiącej dziewczynie w lokach, przypomniałem sobie, co do ciebie czułem. Ruda, to był twój portret, narysowałem cię chwilę po tym, jak wyjechałaś ze skłotu. Tak cię zapamiętałem. Nie mogłem pozwolić, żebyś uciekła z mojej pamięci. Zawstydziła mnie myśl, że go znalazłaś, że mnie przejrzałaś… Chciałem coś powiedzieć, ale wtedy zaczęłaś mnie oskarżać o to, że napalam się na twoją córkę!

Otworzyła drzwi, a on – nie czekając na ponowne wyproszenie – wyszedł bez słowa. Stanął na wycieraczce i oparł się ręką o ścianę. Wytatuowana jaskółka za jego uchem ukazała się Aleksandrze w pełni.

Nie pasował do tej idealnej przestrzeni dla akuratnych i bogatych ludzi. Zawsze był alternatywny i zawsze chciał się wyróżniać.

– Dlaczego tu przyszedłeś? – spytała, ale nie spodziewała się usłyszeć odpowiedzi. – Do Marka?

Kiwnął głową.

Pikaso znajdował się na krawędzi. W każdej chwili drzwi oddzielające go od Aleksandry mogły się zamknąć. Jeśli chciał podtrzymać rozmowę, musiał odpowiadać na pytania.

– To mój znajomy. Czasem robimy wspólnie biznesy.

– Jakie?

– Obydwaj lubimy sztukę. Ja ją tworzę, a on kupuje.

– I po wyjściu ze szpitala przyszedłeś prosto do niego? – w jej głosie znów pojawiła się ironia.

Musiał się bardziej postarać, żeby mu uwierzyła.

– Potrzebuję pieniędzy, a on ma ich w nadmiarze.

– Masz długi?

Grali w pytania i odpowiedzi jak w ping-ponga. Odbicie, stół, odbicie, stół,

odbicie. W końcu uznał, że nadeszła pora na zmianę rytmu gry.

– Nie. Ruda, trafiłem do szpitala, bo ktoś chciał mnie zabić.

*

Groźba utarty życia działa jak magiczna różdżka. Wpuszczam go z powrotem do mieszkania. Tym razem jednak nie pozwalam, żeby rozsiadał się na fotelu. Zostajemy w jadalni. Dzieli nas stół, dzięki czemu mogę z dystansu obserwować jego reakcje.

– Kto?

– Nie wiem i to mnie najbardziej przeraża. Nie pamiętam nic ani z tamtego zdarzenia, ani z całego dnia. Policja mówiła coś o samochodzie… Nie wiem. Mam dziurę. Ogromną, czarną dziurę i tylko ty możesz mi pomóc ją zapełnić.

– Nie pamiętasz kto, nie pamiętasz jak, ale wiesz, że chciał cię zabić?

– Pamiętam ostatnie myśli przed utratą przytomności. I światła samochodu. Wiedziałem, że to on, że w końcu mnie dopadł.

Boże, w końcu? To czym on się zajmuje? Ten tatuaż za uchem i cwaniacki uśmiech nie wróżą dobrze.

– Nie uważasz, że poszukiwanie sprawcy powinieneś zostawić policji?

Sprawdzam go.

– Nie rozśmieszaj mnie. Widziałaś kiedyś, żeby policja pomogła komuś takiemu jak ja?

– Jak ty?

– No wiesz, od lat funkcjonującemu poza systemem.

Poza systemem. W końcu. Pikaso odpowiadał tak, żebym nie mogła zarzucić mu braku chęci, ale jednocześnie, mimo że używa wielu słów, nie mówi zbyt dużo.

– Czym się zajmuje człowiek taki jak ty?

– Życiem. Przeżyciem. To trudne w naszych czasach. Pomożesz mi? Nie w przeżyciu, tylko w przypomnieniu sobie…

Przez kilka minut trzymam go w napięciu, a potem udaję, że podjęta decyzja kosztuje mnie wiele:

– Dobrze, pomogę. Pod warunkiem, że odbędzie się to na moich zasadach.

– Zrobię wszystko, co trzeba – deklaruje tak szybko, jakby bał się, że zmienię zdanie.

Złapał przynętę. To dobrze.

– W takim razie najpierw musisz się wyspać i dać odpocząć swojemu mózgowi. Wpadnę do ciebie rano.

Wygląda na niezadowolonego. W końcu jednak unosi się z krzesła i grzecznie zmierza do drzwi. Mam już dość wrażeń na dziś. Chcę położyć się już do łóżka i zasnąć. Muszę mieć też czas na obmyślenie strategii działania.

– Jesteś na mnie zła? – pyta w momencie, w którym powinien złapać za klamkę i wyjść.

– Zła?

– Za to, że wtedy kazałem ci wracać do domu?

Nie, proszę, nie. Nie zaczynajmy nowego tematu. Nie tego. Nie teraz.

– To było tak dawno, że już o tym zapomniałam. – Chcę wierzyć, że kłamstwo zamknie mu usta.

– Czytałaś list?

– Jaki list?

– Ode mnie. Wysłałem go do ciebie dwa tygodnie po twoim wyjeździe. Czytałaś?

– Nie.

– To dobrze.

Gubię się. Jest zbyt późno. Nie jestem w stanie przeanalizować wszystkich docierających do mnie danych. Skoro wysłał list, to chyba chciał, żebym go przeczytała? Jeśli nie chciał, to po co go wysyłał?

– To znaczy, że przynajmniej ty jesteś bezpieczna.

– Skąd miałeś mój adres?

– Z legitymacji szkolnej, którą znalazłem w twoich rzeczach.

Dwadzieścia lat temu przeszukiwał moje rzeczy bez pozwolenia? Czy taka sytuacja kwalifikuje się jako powód do awantury, czy nastąpiło już przedawnienie?

To dziwne, że pyta o list teraz. Przypomniał sobie o nim zaraz po rozmowie na temat tego, że ktoś chce go zabić. I jeszcze stwierdził, że jeśli go nie czytałam, to znaczy, że jestem bezpieczna. Muszę go przeczytać!

– Pikaso, co było w tym liście?

– Nic ważnego. – Wykrzywia twarz w grymasie przypominającym wymuszony uśmiech. – Tylko szczenięce wyznanie miłości. Do jutra!

*

Dobry Boże, dziękuję Ci za te wszystkie dni, które mi dajesz. U progu nowego dnia dziękuję Ci, że pozwoliłeś mi wypocząć i wstać z łóżka z nowymi siłami. Przychodzę też prosić Cię o pokój, mądrość i siłę. Chcę patrzeć dziś na świat oczami przepełnionymi miłością. Chcę być cierpliwy, wyrozumiały, cichy i mądry. Chcę widzieć innych ludzi takimi, jak Ty ich widzisz, i dostrzegać w nich to, co dobre. Chcę zapomnieć o wyrzutach sumienia, o podejrzliwych spojrzeniach ludzi mijanych na ulicy.

Chcę, ale nie mogę. Zasypiam zmęczony sobą i czuję się tak samo jak wtedy. Jej ciało przestało stawiać mi opór. Jej ręce opadły, a z ust wydostał się ostatni jęk. Z jednej strony byłem szczęśliwy – mogłem w końcu odpocząć. Z drugiej –

wiedziałem, że za kilka godzin nadejdzie nowy dzień. I bałem się go jak cholera.

Teraz też się boję. Nie o siebie. Jezu Chryste, pomóż mi pogodzić się z tym, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Proszę Cię, uchroń moich bliskich przed błędami, których nie powinni popełniać i nie wódź ich na pokuszenie.

Pragnę, abyś wysłuchał mojej modlitwy, by dzień ten upłynął mi bez grzechu. Pozwól mi być dobrym chrześcijaninem.

Amen.

*

"We are the champions – my friend
And we'll keep on fighting till the end."

Kultowy utwór zespołu Queen rozbrzmiewał z komórki leżącej obok łóżka.

Krystian nie musiał otwierać oczu ani wysilać umysłu. Wiedział, że dziś jest poniedziałek, dzięki sprytnemu ustawieniu sobie różnych dzwonków na różne dni tygodnia. W poniedziałek motywacji do wstania dostarczał mu Queen, we wtorek Bon Jovi wyśpiewujący „It's my life", w środy – czyli w dniu, w którym po pracy zmuszał się do wizyty na siłowni – budził go Right Said Fred, mobilizujący go do nucenia „I'm too sexy". W czwartki, kiedy zwykle odwlekał wstanie z łóżka, Alice in Chains uspakajało go i powtarzało „No excuses", a w piątki dawkę niezbędnej energii dostarczał The Cure ze swoim „Friday I'm in love".

– „We are the champions, we are the champions…"

Dziś tekst o byciu zwycięzcami wkurzał go, zamiast motywować. Ruszył się z łóżka i z wściekłością wyłączył budzik.

Daleko było mu do bycia zwycięzcą. Czuł się jak ostatnia ciota. Pół niedzieli spędził na dworcu w oczekiwaniu na kobietę, którą kochał. Znosił niewygody, smród, zaczepki obcych ludzi i szwankujące dworcowe Wi–Fi. Wszystko na nic. Pociąg z Łodzi dotarł na peron zgodnie z rozkładem, ale nie było w nim Aleksandry.

Nie uprzedziła go, że nie przyjedzie. Nie wysłała nawet SMS-a. Zapomniała o nim tak, jak zapominała już wiele razy. Tak, jakby on nie miał uczuć, jakby wyraźnie nie komunikował, że chce stanowić część jej życia.

Miał dość.

Rzucił komórkę na łóżko, a swoje pierwsze kroki skierował nie do łazienki, ale do komputera.

Nacisnął przycisk i czekał, aż system się uruchomił. Musiał jak najszybciej zerknąć do aplikacji, by sprawdzić lokalizację Aleksandry.

Wczoraj na dworcu obejrzał dokładnie wszystkich ludzi, którzy wysypali się z pociągu z Łodzi. Potem przełknął jakoś tę porażkę, a przynajmniej jej część. Dzięki temu udało mu się wrócić do domu, zahaczając o monopolowy.

Zamierzał zająć czymś ręce, usta i umysł. Nie chciał sięgać po telefon, dzwonić do kobiety, która go olała, pytać, co się stało i wysłuchiwać wymyślanych na bieżąco kłamstw. Nie zamierzał jej się więcej narzucać.

Dziś jednak zmienił zdanie, zwłaszcza, kiedy aplikacja wskazała, że telefon Aleksandry znajduje się w Łodzi przy ulicy Kopernika.

– Halo, szefie? Z tej strony Krystian Kamiński. Muszę wziąć kilka dni urlopu. Pilny wyjazd. Tak, wiem, ale niestety sprawy osobiste… Co? Szkoda gadać. Projekt? Nie no, ma się rozumieć, będę nad nim pracował. Tak, będę dostępny, jakby co mogą dzwonić.

*

Słońce od rana świeciło mocno, obiecując przepiękny letni dzień. Taki, który spędza się nad jeziorem lub w lesie, a nie w środku wielkiego miasta.

Aleksandra zdecydowała się na zjedzenie śniadania na balkonie. Usiadła na krześle, na którym siedział wczoraj Pikaso. Po raz pierwszy miała czas na niespieszne śniadanie spożywane w ciszy. Zachwycało ją najbliższe otoczenie: równo przystrzyżona trawa, skrzynki transformatorowe pomalowane tak, by udawały miniatury budynków stojących obok, aż wreszcie one same – urocze gmachy z czerwonej cegły.

Osiedle nie składało się tylko z nich. Deweloper wykorzystał przestrzeń i między starymi budynkami wybudował nowe, w mniejszym stopniu korespondujące z pofabrycznym otoczeniem.

– Cześć, Olga. – Po zjedzeniu bułki wybrała numer przyjaciółki. – Wszystko już jest ogarnięte. Sąsiadka to histeryczka w okresie przekwitania. Miała większy problem z tym, że nikt nie reagował na jej skargi, niż tym, że coś jej kapie z sufitu. Byłam w jej mieszkaniu, ma jedynie mały zaciek. Mogę jej to samodzielnie zamalować. Oczywiście wtedy, kiedy wyschnie. Kupię jakieś pudło czekoladek i zaniosę jej, niech się cieszy…

– Dobra, w środę mam wolne, przyjadę i ci pomogę.

– Nie musisz.

– To miejscówka mojego gacha. Muszę mieć pewność, że wszystko jest tak, jak być powinno. Nie chodzi o mój brak zaufania do ciebie, ale wiesz… Nie powiedziałam mu, że zostawiłam ci klucze. Muszę być zorientowana co i jak, żeby moje kłamstewko się nie wydało.

– Dobra, w takim razie poczekam na ciebie do środy i wrócimy razem. Olga, mam do ciebie prośbę. Odebrałabyś z Poznania jedną rzecz i przywiozła ze sobą?

– Jeśli to nie będzie dziecko, to nie ma sprawy. Wiesz, jaki mam stosunek do dzieci.

*

Janusz Faber wszedł do firmy i od razu zauważył specyficzne zachowanie pracowników. Wszyscy byli podekscytowani i jednocześnie skupieni. Siedzieli przy swoich biurkach i zajmowali się pracą. Nie rozmowami, nie jedzeniem śniadania czy przeglądaniem gazet.

Cieszyło go to, że zawsze w dniu aukcji cały jego zespół wchodził na najwyższe obroty. Późnym popołudniem czekało ich najważniejsze przedstawienie sezonu. Kolekcjonerzy i spekulanci prasowali już pewnie swoje koszule, a dom aukcyjny przygotowywał się do wielkiego show.

– Ela i Robert do mnie – zażądał, po czym udał się do swojego gabinetu.

Dzień aukcji również dla niego był dniem działania na pełnych obrotach. Sprawdzał wszystko kilkanaście razy, od młotka, przez swoje notatki, aż po usadzenie gości.

Młotek ostatecznie potwierdzał werdykt. Był kropką nad „i" każdego licytowanego przedmiotu. Jednym przynosił zadowolenie, innym sprawiał ból. Faber doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że dla tych, którzy licytowali, ale nie podbili ceny, dźwięk ostatniego przybicia był swoistą karą.

Machał młotkiem jak marchewką, by przykuć jak najwięcej spojrzeń, by zachęcić do licytacji jak najwięcej osób. Następnie bawił się ich kosztem, doprowadzając cenę do możliwie wysokiego poziomu. Potem uderzał młotkiem tak gwałtownie, że nabywca podskakiwał z radości, a na twarzach reszty licytujących pojawiał się grymas niezadowolenia.

– Tak, kochanie?

W pokoju pojawiła się Ela, jego obecna żona. Po skończonej historii sztuki mogłaby co najwyżej pracować w jakimś podrzędnym muzeum, a popołudniami dorabiać do głodowej pensji, sprzedając kosmetyki z katalogu Avon lub Oriflame. Znalazł ją jednak przypadkiem w miasteczku, do którego wróciła po studiach, i zaprosił do swojego świata.

– Mówiłem, żebyś w pracy nie zwracała się do mnie w ten sposób.

– Przepraszam.

– Mam uwagi do przygotowanego przez was scenariusza aukcji.

– Nie podoba ci się?

Pytanie Eli zawisło w powietrzu, bo do gabinetu dotarł także Robert, nieskrępowany gej w świecie, w którym często nawet hetero są uznawani za homo.

– Wzywał mnie pan?

– Słuchajcie, tak być nie może. Trzeba zmienić kolejność licytowanych dzieł. Kto dał mi Kislinga na pierwszą pozycję?

– Ja. – Ela uniosła palce, jakby zgłaszała się do odpowiedzi. – Uznałam, że na początek trzeba dać coś mocnego. Kisling to przecież najwybitniejszy

przedstawiciel szkoły paryskiej.

– Cholera, Ela! – Zganił ją wzrokiem. – Dlaczego muszę uczyć cię najprostszych zasad? Aukcję planujemy pod kątem komercyjnym. Komercyjnym! Aukcja to nie muzeum, tu nie chodzi o podziwianie i oglądanie, ale o sprzedaż. Pierwsze dziesięć pozycji musi się dobrze sprzedać. Gdybyśmy rozplanowali ją według zasad historii sztuki, nieważne czy według klucza chronologicznego, czy tematycznego, kolekcjonerzy albo by nam zasnęli, albo wyszli w trakcie. Aukcja okazałaby się niewypałem.

– Ośmielę się zauważyć – Robert akcentował „ę" w taki sposób, jakby w jego słowniku ogonek dodany do „e" miał długość męskiego przyrodzenia – że przecież ułożyliśmy dzieła tak, by te pierwsze przekroczyły estymację. Poruszą one publiczność, bo są ponętne i atrakcyjne. Szacuję, że przy trzynastej pozycji z katalogu powinniśmy przekroczyć znaczący próg finansowy.

– A ja powtórzę po raz setny, że skoki estymacji i rekordowe ceny zależą od tego, w jakiej kolejności pojawiają się kolejne dzieła. Jestem świetnym aukcjonerem, ale nie cudotwórcą. Nie będę w stanie naprawić spieprzonej kolejności. Ludzie muszą czuć się bezpiecznie, kiedy wydają niewyobrażalne sumy pieniędzy. *Dziewczyna z Marsylii* Kislinga z ceną wywoławczą trzysta osiemdziesiąt tysięcy z estymacją do sześciuset tysięcy nie może otwierać aukcji. Dajcie na początek coś tańszego. Atrakcyjnego, ale tańszego, żeby publiczność poczuła się bezpiecznie. Dajmy im szansę, by złapali pierwszy oddech i rozochocili się w licytowaniu.

Faber sam się rozochocił. Nie mógł doczekać się popołudnia, kiedy jego luksusowy dom aukcyjny wypełnią rozmowy kolekcjonerów, kiedy granatowe ściany szczelnie otoczą zgromadzonych, kiedy po raz pierwszy tego dnia użyje młotka i będzie panował nad tłumem. Tak jak tylko on potrafił.

– To może Ślendziński? Cena wywoławcza sto trzydzieści tysięcy? – zaproponowała Ela.

– Niech będzie – przytaknął. – Elu, skontaktuj się z Martyną i dowiedz się, jak będą usadzeni licytujący, po których oczekujemy odważnych decyzji, a gdzie usiądą dusigrosze. Robert, czekam na informacje dotyczące sum oferowanych przez nieobecnych. Muszę uzupełnić notatki.

*

Co możesz zrobić jutro, zrób dziś. Zwłaszcza jeśli to coś, na co nie masz ochoty. Jeśli poczekasz do jutra, twój brak ochoty zmieni się w odrazę i będzie tylko gorzej.

Nie wiem dlaczego jest mi najtrudniej motywować samą siebie?

Robię pierwszy krok, wybieram numer matki i odzywam się najłagodniej, jak potrafię:

– Halo? Cześć, mamo.

Odpowiada mi cisza. Wiem, że dalej będzie już tylko gorzej. Nie szacuję czasu naszej rozmowy na więcej niż trzy minuty. Sto osiemdziesiąt sekund walki o utrzymanie się na powierzchni. Jestem przygotowana na to, że pretensje rodzicielki zaleją mnie jak wzburzone fale. Czy wytrzymam?

– Ola? Zawsze do nas dzwonisz, zamiast wpaść!

Zawsze? Ostatni raz dzwoniłam do niej rok temu. Naiwnie szukałam matczynego serca i wsparcia po śmierci mojego męża. Cały świat runął mi na głowę. Potrzebowałam kogoś, kto powie mi „nie jesteś sama, jakoś razem damy radę". Zamiast tego dostałam porcję uwag na temat mojego wyboru mężczyzny i drogi życia.

No tak, Gabriel nigdy się jej nie podobał, podobnie jak dzieci, które spłodził. Ona wybrałaby bladego blondyna, który mieszkał dwa piętra pod nami. Wybrałaby, oczywiście kierując się moim dobrem. A kiedy coś poszłoby nie tak, całą winę zwaliłaby na mnie.

Nie ma nic prawdziwego w stwierdzeniu, że z rodziną dobrze wychodzi się tylko na zdjęciach. Moja rodzina potrafi rozpieprzyć nawet najładniejsze fotografie.

– Nie ma mnie w Poznaniu.

– Czego chcesz tym razem?

Na pewno nie chcę spytać, co u ciebie słychać. Nie interesuje mnie to, tak samo, jak ciebie nie interesuje moje życie.

Zresztą po co pytać, skoro matka twierdzi, że Bóg na każdego zsyła dokładnie to, na co zasłużył? Podobno zasłużyłam, by zmagać się z żałobą po stracie męża. Powiedziała mi to podczas naszej ostatniej rozmowy. Nie przyznałam jej racji. Rozłączyłam się i powzięłam decyzję, że już nigdy do niej nie zadzwonię.

A teraz dzwonię, i ona triumfuje.

Chcę powiedzieć jej, co myślę, chcę wykrzyczeć nagromadzone żale, ale nie mogę. W taki sposób nie załatwię sprawy, która zmusiła mnie do wykonania tego upokarzającego gestu.

– Pamiętasz, jak wróciłam z pierwszej ucieczki?

– A co? Czyżby twoja córka też zaczęła uciekać? Mówiłam ci, że kiedyś zaznasz dokładnie takiego samego uczucia niewdzięczności!

– Pamiętasz tamten sierpień?

– Odbieraliśmy cię z ojcem z komisariatu. Trudno zapomnieć coś tak upokarzającego.

Upokarzającego? Oni byli upokorzeni? No tak, bo zawsze liczyli się tylko oni i zasada „jeśli chcesz na kogoś liczyć, musisz liczyć na siebie".

– Wróciłam do domu i przyszedł do mnie list. To znaczy nie dokładnie wtedy, ale chwilę później. Co się z nim stało?

– O co ty mnie pytasz? To było ponad dwadzieścia lat temu.

– O list nadany z Łodzi w dziewięćdziesiątym piątym.

– Od kogo?

– Od chłopaka. Nie dotarł do mnie, ale może go przejęłaś? Ty albo ojciec. Masz go? Jest mi potrzebny. Teraz.

– Znowu robisz awanturę? I to o co? O jakiś stary list?

Słowa bolą. Zarówno te wpadające do mojego ucha, jak i te wychodzące z mojego gardła. Staram się zdystansować. Sto osiemdziesiąt sekund to bardzo dużo.

– Nie awanturuję się, tylko pytam. Wiem, że zbierasz kartki pocztowe i listy, może znajdziesz przypadkiem tamten…

Ojciec nosił wtedy kluczyk do skrzynki pocztowej przy sobie. Sprawdzał jej zawartość codziennie, kiedy wracał z pracy. Kiedy zobaczył, że przyszedł do mnie list z przeklętej Łodzi, w której nie wiadomo co robiłam, oddał go matce. Jestem pewna, że tak było. Znam ich. A może tylko wydawało mi się, że ich znam.

– Nie sądzę.

– Sprawdź. Proszę.

Ostatnie słowo z trudem przechodzi mi przez gardło. Wiem, że zwykle działa na matkę jak płachta na byka. Im bardziej o coś ją proszę, tym bardziej robi mi na złość. Muszę jednak zaryzykować. Nie mam nic do stracenia.

*

– Aspirant Gulczyński, dzień dobry. Personel szpitalny zawiadomił mnie o pana zniknięciu.

Kiedy Kajetan wchodził do mieszkania Wróblewskiego, zauważył, że w szpitalu poszkodowany wyglądał jakoś inaczej – łagodniej i mniej groźnie. Być może była to sprawa ciuchów, które miał na sobie, a może najbliższego otoczenia.

Na tle mdłych ścian i w szpitalnej pidżamie nawet największy przestępca bardziej przypomina pokiereszowaną sierotkę niż wściekłego buldoga. Policjant dał się zwieść, ale teraz mógł zrewidować wcześniejszą ocenę. Tatuaż za uchem, umięśniony kark i ostre spojrzenie – tak zwykle wyglądali cwaniacy, których bawiło łamanie prawa i życie na krawędzi.

– Proszę, niech pan usiądzie. – Gospodarz wprowadził Gulczyńskiego do zagraconego pokoju i wskazał krzesło stojące obok sztalugi.

Policjant przyglądał się ruchom mężczyzny. W szpitalu podczas przesłuchania zawsze leżał. Teraz chodził wokół niego jak lew. Był na swoim terytorium, o wiele bardziej pewny siebie, sprawny fizycznie, a może również i psychicznie.

– Dlaczego uciekł pan ze szpitala?

– Nie uciekłem. Wyszedłem. Nie chcieli wypuścić mnie do domu, a ja już się tam dusiłem.

Gulczyński powstrzymał się od wyrażenia prywatnej opinii. Jedynie pokiwał głową ze zrozumieniem. Nie dziwił się poszkodowanemu – uważał, że zamykanie człowieka w szpitalu jest równie traumatyczne, jak zamykanie motyla w małej klatce. Niby nie dzieje mu się krzywda, ktoś dostarcza mu kwiaty i owoce, by miał dostęp do pożywienia, ale nie może swobodnie latać i zapylać kwiatów.

– Skoro odzyskał pan pamięć i uciekł ze szpitala do domu…

– Nie odzyskałem – zaprotestował Wróblewski. – Nie w całości.

– W temacie zdarzenia drogowego… Podjęte przez nas czynności jak na razie nie przyniosły żadnego efektu. Może przypomniał sobie pan jakiekolwiek szczegóły? Cokolwiek, co ułatwiłoby nam pracę?

– Wie pan co? – Wróblewski założył rękę na rękę. – Nie pamiętam nic z tego wypadku. Nawet nie wiem, czy to był wypadek, czy ktoś tak to zinterpretował. Nie widziałem niczego, co mogłyby pomóc panu lub mnie. Najważniejsze jednak, że żyję.

– Jeśli nic pan sobie nie przypomni, to będę zmuszony zamknąć śledztwo, zwłaszcza że nie znaleźliśmy ani jednego świadka zdarzenia. – Gulczyński uznał za stosowne wskazanie możliwej drogi rozwoju, a właściwie zamknięcia śledztwa.

Podejrzewał, że potrącenie mogło być efektem sprzeczki dwóch kumpli lub innego mało wyszukanego zdarzenia. Czegoś, co wydarzyło się w zamkniętym światku, w którym problemy z podziałem pieniędzy lub niesubordynacją rozwiązywane są siłowo, a ofiary zwykle milczą podczas policyjnych przesłuchań. Wróblewski mógł pochodzić ze środowiska, w którym rozmowa z psami była gorsza od smażenia się w piekle.

– To niech pan zamyka. Szkoda czasu na rozpracowywanie czegoś, czego może wcale nie było. Dziękuję Bogu, że żyję.

*

– Za chwilę zacznę liczyć od dziesięciu do jednego. Z każdą kolejną liczbą pozwól sobie rozluźniać się bardziej i bardziej. Dziesięć. Zacznij się rozluźniać. Dziewięć. Twoje ciało może się rozluźniać. Osiem. Twój umysł może się rozluźniać jeszcze bardziej.

Zza okna dochodziły krzyki dzieci. Najmłodsi mieszkańcy kamienicy położonej przy ulicy Narutowicza trzydzieści dwa spędzali wakacje na betonowym podwórku-studni. Dziewczynki wyniosły na dwór wózki i lalki, a chłopcy pistolety i piłki. Bawili się otoczeni z trzech stron wysokimi murami kamienicy. Jedynymi akcentami zieleni w betonowej studni były zielone ramy okienne.

Pikaso leżał na wersalce, a Aleksandra siedziała na krześle i zerkała to na mężczyznę, to na bawiące się dzieci. Ich okrzyki były radosne, ale widok raczej smutny.

– Trzy. Jeszcze głębiej i głębiej, i głębiej. Dwa. Jeden. Bardzo dobrze.

Psycholog wprowadzała mężczyznę w stan hipnozy. Zamierzała upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: podjąć próbę odblokowania jego pamięć, przynajmniej w zakresie odpowiedzi na pytanie, kto mógł chcieć go zabić, oraz w bezpieczny dla siebie sposób sprawdzić jego intencje. Zdawała sobie sprawę z tego, że naraża Pikasa na silne emocje związane z traumatycznymi wspomnieniami, ale z drugiej strony zgodziła się na to pod warunkiem, że sama odnajdzie odpowiedzi na niepokojące ją pytania. Hipnoza była metodą nawiązania z badanym kontaktu, poznania jego stanu psychicznego i – co najważniejsze – jego motywów. W kwestii motywów Aleksandra nadal pozostawała nieufna.

– Zwróć uwagę na swoje oczy i pozwól sobie wchodzić w ten stan jeszcze głębiej, jeszcze dokładniej i jeszcze wspanialej.

Zamknięte powieki Pikasa drgały, jakby pod nimi znajdowały się uderzające w nie skrzydłami owady. Był całkowicie zrelaksowany i gotowy do pracy. Dzieci nadal bawiły się na podwórku, pokrzykując głośno, więc Aleksandra podeszła do okna i zamknęła je.

– Teraz przypomnij sobie ostatnią emocjonującą sytuację w twoim życiu. Co widzisz?

– Ludzie. Dużo ludzi. – Nieruchome ciało Pikasa stało się niekompatybilne z jego umysłem. Umysł projektował obrazy, a głos mężczyzny drżał. – Kłócą się.

– Jak się czujesz?

– Podekscytowany. Jest duszno, ale też przytulnie. Otacza mnie coś… nie wiem, czy to ludzie, czy ściany…

– Dobrze. Słyszysz, że się kłócą?

– Tak, mówią podniesionymi głosami i wymachują rękoma.

– Podejdź do nich bliżej. Spokojnie, oni cię nie widzą. Co mówią?

– Nie słyszę.

– Nie spiesz się. Czasem ludzie bełkocą coś pod nosem, mówią niewyraźnie. Trzeba się wsłuchać, by wychwycić pojedyncze słowa.

– Pięć tysięcy pięćset. Pięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt.

– Słucham?

– Prześcigają się w wymienianiu liczb.

– Świetnie. Czyli już ich słyszysz. Teraz spróbuj się przyjrzeć tym ludziom, pojedynczo. Zwracaj uwagę na ich twarze, na ubiór, na ciekawe gadżety…

– Nie, nie, nie. Nie widzę ani jednej twarzy. Oni nie mają twarzy, tylko czarne dziury!

– Nie denerwuj się. Oddychaj. Spokojnie. Jesteś rozluźniony, pamiętasz? Zostaw tych ludzi i wyjdź z budynku. Co widzisz?

– Samochody, dużo samochodów i mezuzę. Nie, właściwie nie widzę jej, ale wiem gdzie się znajduje. Czekaj, widzę coś jeszcze. Napis. Viribus Unitis.

*

Po zakończeniu seansu Aleksandra postanowiła wspomóc szwankującą pamięć Pikasa obrazem. Przystąpiła do poszukiwania miejsca, o którym opowiadał w czasie hipnozy. Zależało jej na tym, by oboje udali się właśnie tam i poszukali odpowiedzi na kolejne pytania.

– Wzmożony ruch samochodowy w środku dnia oznacza, że budynek, w którym byłeś, może znajdować się w centrum miasta. Przyjmijmy to na razie za pewnik, to ograniczy nam teren poszukiwań. Chyba najlepiej będzie skupić się teraz na napisie. Kojarzysz gdzie może znajdować się hasło „Viribus Unitis"?

Pikaso pokręcił głową, więc Aleksandra zażądała dostępu do komputera. Chwilę później otworzyła stronę wyszukiwarki internetowej.

– Viribus Unitis znaczy „wspólnymi siłami" – odczytała na głos znaczenie odnalezione w słowniku wyrazów obcych.

Pozostałe trzysta trzydzieści jeden tysięcy wyników na pierwszy rzut oka nie przyniosło żadnego wskazania adresowego, dlatego postanowiła ograniczyć ich ilość przez dodanie kolejnego słowa. „Łódź".

Po chwili ich oczom ukazał się link do Wikipedii, dzięki któremu doszli po nitce do zdjęcia okazałego budynku. Napis okazał się widnieć na frontonie gmachu Towarzystwa Kredytowego, kiedyś położonego przy ulicy Średniej 18, a obecnie przy ulicy Pomorskiej 21.

Trzydzieści minut później stali na ulicy Pomorskiej i oglądali budynek na własne oczy.

– Myślisz, że takie wizje lokalne mogą odblokować moją pamięć? – Pikaso był spięty.

– Doszliśmy do tego, że musiałeś być tu na aukcji. Rozpoznajesz to miejsce?

Pokiwał głową.

– Byłem tu już wcześniej. Nie tylko dziś podczas hipnozy.

– To dobrze, wejdziemy tam razem. Ktoś cię rozpozna, zagada… Wyciągniemy z ludzi trochę informacji.

– To głupi pomysł. – Pikaso skulił się. – Nie wejdę do środka. Chcę wrócić do domu.

– Do domu? – Aleksandra potrzebowała chwili, żeby przeanalizować docierający do jej oczu obraz.

Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna z tatuażem za uchem wycofywał się właśnie rakiem. Dawny Pikaso zawsze brał się z życiem za rogi, współczesny był mocno wycofany i przestraszony.

Gdyby ta sytuacja miała miejsce dzień wcześniej, Aleksandra obawiałaby się, że mężczyzna działa intencjonalnie. Że chce wepchnąć ją w objęcia lwa, usadzić na minie, albo zrobić obie rzeczy na raz. Dzisiaj jednak nie wątpiła w jego lęk

i irracjonalne zachowanie. Wierzyła, że ma ku temu powody. Zastanawiała się jedynie nad rozmiarem problemów, z jakimi się zmagał.

Przed wprowadzeniem go w stan hipnozy zrobiła mu test tak zwanych magicznych rąk. Miał złożyć ręce w nakazany przez nią sposób, a następnie rozchylić palce wskazujące i – zgodnie z sugestią Aleksandry – pozwolić, by zbliżały się do siebie bardzo powoli.

Dla Pikasa miał to być pokaz jej możliwości. Mała próba, dzięki której zdobędzie jego zaufanie i udowodni, że jest świetna także w hipnotyzowaniu.

W rzeczywistości to nie był test świadczący o zdolnościach hipnotyzera, lecz sposób na sprawdzenie, czy osoba, którą zamierza się poddać hipnozie, nie działa wbrew sobie i wbrew hipnotyzerowi. Magiczne ręce były fizjologiczną sztuczką polegającą na tym, że w określonym ułożeniu dłoni palce same zbliżają się do siebie, a utrzymanie ich w pozycji wyjściowej wymaga włożenia w to siły. Osoby z negatywnym nastawieniem zwykle z dumą zauważały, że na nich hipnoza nie działa, bo palce są nadal w tym samym miejscu.

Pikaso zrobił to, o co go poprosiła, a jego palce wskazujące zbliżyły się do siebie i opadły zgodnie z sugestiami.

– Poczekaj za rogiem, a ja wejdę do środka. Spróbuję zrobić parę zdjęć kręcącym się tam ludziom, żebyś mógł ich zobaczyć.

*

– Bardzo mi przykro, ale nie mam pani na liście.

– Jak to możliwe?

– Nie zapisała się pani w terminie.

Marek dotarł na aukcję w ostatniej chwili. Najpierw samolot nie mógł wylądować, potem taksówka długo nie przyjeżdżała. Wszystko obróciło się przeciwko niemu. Nawet ta baba, która stanęła przed nim i próbowała wejść na aukcję.

Na szczęście dostępu do wnętrz Domu Aukcyjnego Faber broniły dwa posągi kobiet z groźnymi spojrzeniami i elegancki mężczyzna, który wpuszczał do środka tylko osoby, których nazwiska miał zapisane na liście. W renomowanych domach aukcyjnych obowiązywała zasada, że każdy nowy klient obowiązkowo musi zarejestrować się najpóźniej dwadzieścia cztery godziny przed rozpoczęciem aukcji. Marek nie widział kobiety nigdy wcześniej, dlatego ocenił jej starania jako marnotrawstwo jego czasu.

On – jako stały bywalec – nie musiał się już rejestrować, ale musiał wypełnić formularz udziału piętnaście minut przed rozpoczęciem aukcji, czyli dokładnie teraz.

– Po terminie? Ale skoro już przyjechałam, to może zrobiłby pan dla mnie wyjątek? Wejdę tylko i się rozejrzę?

– Co za baba! – burknął Marek.

Być może Polacy stawali się społeczeństwem coraz lepiej wykształconym i wyostrzały im się apetyty na dobra kulturalne, ale pewne rzeczy pozostawały niezmienne. Nadal na siłę próbowali przekraczać wszelkie granice i wkraczać tam, gdzie nie byli pożądani.

– Przykro mi. Następnym razem proszę przypilnować terminu. Do widzenia.

– Ale…

– Blokuje pani przejście innym gościom. Dzień dobry. – Pracownik zauważył Marka. – Już daję formularz udziału.

– Czemu on może wejść, a ja nie? Też chcę wypełnić formularz! – Kobieta nie chciała ustąpić.

Nie wyglądała na taką, którą stać na udział w aukcji sztuki dawnej. Najniższa cena wywoławcza na dzisiejszej aukcji wynosiła pięćdziesiąt tysięcy złotych.

– Najpierw proszę się zarejestrować. Trafi pani do wyjścia, czy mam poprosić ochroniarza, żeby pani pomógł?

Groźba zadziałała, bo kobieta zaczęła się wycofywać. Nadal jednak patrzyła przed siebie i usiłowała znaleźć argument, który przekonałby mężczyznę. Marek odsunął się na bok, chcąc uniknąć kontaktu fizycznego. Był tak zdenerwowany, że gdyby nadepnęła jego nowe skórzane buty, wpadłby w szał.

– Auć!

Obejrzał się dyskretnie. Baba próbowała przepraszać kobietę, którą nadepnęła. Marek nie słyszał tłumaczenia, bo właśnie oddał wypełniony formularz, a w zamian otrzymał tabliczkę z numerem licytacyjnym.

– Zapraszam do środka. – Mężczyzna wskazał mu kierunek.

Kiedy wchodził na schody, szczęśliwy, że mimo przeciwności losu udało mu się zdążyć na aukcję, usłyszał głos nadepniętej kobiety.

– To ty? Jednak zostałaś w Łodzi?

*

– Ty? Tutaj?

Świetnie. Z przyzwyczajenia krzyknęłabym „Boże!”, ale chyba powinnam raczej wzywać Murphy’ego. To w niego… a raczej w jego prawa wierzę coraz mocniej. Dzisiejszy dzień wulgarnie pozbawia mnie złudzeń.

Jeżeli coś może się nie udać, to nie uda się na pewno. To pierwsze prawo Murphy’ego. Myślałam, że wejdę do domu aukcyjnego i obczaję, co i jak. W hipnozie Pikaso dotarł do tego miejsca i zatrzymał się. Musieliśmy skorzystać z innej metody, by go odblokować. Wizja lokalna byłaby najlepszym wyjściem.

Ale nie wyszła. Najpierw Pikaso zaparł się, że nie wejdzie do środka, potem nie wpuszczono mnie.

Trzecie prawo Murphy’ego mówi, że wszystko wali się jednocześnie. Jak

w płonącym domu. Pierwszą belką była rozmowa ze stojącym na bramce przyjemniaczkiem. Kolejne posypały się w takim tempie, że nie miałam nawet chwili, by podnieść się po kolejnych uderzeniach.

Wycofując się z kolejki w domu aukcyjnym, nadepnęłam kobietę. Nie jakąś tam kobietę, pierwszą lepszą kolekcjonerkę – pod nogi musiała wejść mi policjantka. Oczywiście nie byle jaka, tylko ta, która przesłuchiwała mnie w opuszczonej hali. Ta, której powiedziałam, że wyjeżdżam. W niedzielę. Czyli wczoraj. Wyszło na to, że ją okłamałam, i to z premedytacją…

Światełko w tunelu – to reflektory nadjeżdżającego pociągu, to kolejne prawo mojego idola. Kiedy doszłam do rogu, za którym czekał na mnie Pikaso, wpadłam na Krystiana.

– Co ty tu robisz?

Stoimy naprzeciwko siebie i zadajemy sobie w gruncie rzeczy dokładnie takie samo pytanie. Nie powinno go być w Łodzi. Mnie zresztą też.

– Czekałem na ciebie na dworcu, a ty nawet nie zadzwoniłaś!

Nie zadzwoniłam, bo miałam pilniejsze sprawy na głowie. Nie mogę się jednak teraz tłumaczyć. Pikaso podchodzi do mnie i żąda odpowiedzi.

– I co? I co?

– Olali mnie. Nie wpuścili. Mówili, że najpierw muszę się zapisać czy coś.

Pikaso chłonie moje słowa. Widzę, że skupia się na nich najmocniej, jak potrafi. Za chwilę dym zacznie lecieć mu z uszu. Każdy szczegół może uruchomić w nim kolejne skojarzenia i szansę na odblokowanie następnych obszarów pamięci. Niestety, podczas hipnozy zatrzymał się w najciekawszym momencie.

– W środku są schody, które zapewne prowadzą do sali, w której odbywają się aukcje – kontynuuję, lekceważąc zachowanie Krystiana, który nawet nie próbuje ukryć złości. Wpatruje się we mnie wzrokiem, którym mógłby zabić. – Podejrzewam, że schody są marmurowe. Z boku zamiast poręczy mają takie ozdobne sznury i kobiece posągi. Nie popiersia, ale takie babki od podbrzusza w górę. Zamiast nóg mają kolumny zwężające się ku ziemi. Przed schodami stał facet. Nie goryl, ale taki w garniturze. Miał listę nazwisk i udawał selekcjonera.

– Kim pan jest? – Krystian wciąż próbuje zaznaczyć swoją obecność.

Wchodzi między mnie i Pikasa, popycha go i czeka na reakcję. Nie poznaję go. Nigdy nie widziałam go tak pobudzonego. Spokojny i grzeczny Krystian traci panowanie nad sobą?

Co ja mówię? Nie traci. Stracił! W tym całym zamieszaniu zapomniałam poinformować go, że zmieniły mi się plany. Tak, same się zmieniły. Nie miałam na to żadnego wpływu.

Co to? Obcy dźwięk dociera do mnie i sprawia, że udziela mi się nerwowość Krystiana. Rozglądam się. Stoimy przy przejściu dla pieszych. Zielonemu światłu towarzyszy sygnał dźwiękowy przypominający klekotanie bociana.

Rozprasza mnie to. W Poznaniu o możliwości przejścia na drugą stronę ulicy informuje świergotanie.

– Kochanie, kim jest ten facet? – pyta mnie Krystian.

Odsuwam go na bok i ignoruję jego pytania. W tym momencie priorytet należy się sprawie Pikasa.

– Pikaso, z tego co zdążyłam zauważyć, do środka wpuszczali specyficznych ludzi. Nadzianych, odpieprzonych i mających na sobie ubrania warte więcej niż mój samochód. Nie bardzo pasujesz do takich klimatów… bez urazy, oczywiście. Jesteś pewien, że to właściwy budynek?

*

Po aukcji Urszula podeszła do Fabera, właściciela domu aukcyjnego.

– Świetna aukcja! – Pochwaliła go.

W jej ocenie mężczyzna idealnie nadawał się do swojej roli. Podsycał nastroje licytujących, pospieszał ich i sprawiał, że stawali się częścią widowiska. Najpierw – biorąc udział w licytacji – pokazywali, że zależy im na dziele, a potem jeden z nich odnosił publiczne zwycięstwo.

Nawet Urszula czuła nagły przypływ adrenaliny. Na aukcji panował klimat zbliżony do tego znanego jej z kasyna. Zdawała sobie sprawę, że gdyby było ją stać, odpłynęłaby w tak sprawnie prowadzonej licytacji. Pragnęłaby wygrać za wszelką cenę.

– Dziękuję. Pani nie brała udziału w licytacji?

– Nie. Słyszałam, że kupowanie na aukcji jest bardzo proste. O wiele trudniejsze jest oparcie się pokusie kupna.

– Niektórzy porównują to z podbojami seksualnymi.

– Och, to bardzo celne porównanie. Mężczyźni walczący o tę samą kobietę zwykle nakręcają się nawzajem. Podobnie jak licytujący. Obecność innych licytujących sprawia, że emocje sięgają zenitu. Nawet dla takiego postronnego obserwatora jak ja. Przyszłam tu dziś, żeby zobaczyć, jak to działa. Tak naprawdę interesuje mnie biżuteria, zwłaszcza broszki. – Policjantka wyjęła z torebki katalog i wskazała w nim broszkę, której szukała. – Przepiękna!

– Ważka, złoto próba 0,900, dwa duże i stosunkowo czyste szmaragdy, których barwę podbija osadzenie ich w żółtym złocie, osiem brylantów tworzących stylowy odwłok owada, osadzonych w srebrze, konstrukcja z żółtego złota, skrzydła ze złotą siateczką wypełnione emalią *Plique-à-jour*.

– Czy może mi coś pan powiedzieć o jej pochodzeniu?

– W drugiej połowie XIX wieku na styl biżuterii wpływ miały rozwijające się nauki przyrodnicze. To wtedy wzrosło zainteresowanie naturą i owadami, a te ostatnie były wiernie odtwarzane.

– A coś więcej?

– Jeśli pyta pani o punce złotnika, to niestety. W Polsce zaczęto sygnować biżuterię dopiero po tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku, dlatego nie jesteśmy w stanie określić, kto ją wykonał. Jeśli interesowałby panią przedmiot z wiadomą historią, to mamy takie cudo. – Faber przewrócił kilka stron w katalogu i wskazał pozycję numer sześćdziesiąt osiem. – To bransoleta z opalami, agatami, malachitami, imitacją turkusu, imitacją kwarcu i różowym szkłem. W cenie jest również oryginalne etui. Mogę pokazać pani także zdjęcia prababki klienta, która ma na sobie tę właśnie bransoletę.

– Nie, dziękuję.

Urszula nie przyszła tu oglądać byle czego. Interesowała ją jedynie broszka. Ta konkretna, w kształcie ważki. Kiedy zobaczyła ją w katalogu, omal nie dostała zawału serca.

Dokładnie ta broszka w kształcie ważki należała do Renaty Tomaszewskiej.

Szukano jej od dłuższego czasu. Przynajmniej teoretycznie. Kiedy akta sprawy z archiwum trafiły do rąk Urszuli, odkryła, że nikt nigdy nie wprowadził broszki do policyjnej bazy rzeczy skradzionych. W praktyce oznaczało to, że nie istniała żadna szansa na jej odnalezienie. Co więcej, morderca żył sobie na wolności i nawet jeśli założyłby broszkę i pokazałby się w telewizji, nikt, absolutnie nikt by się nim nie zainteresował.

– Cena wywoławcza to piętnaście tysięcy złotych. Jak pan myśli, za ile będzie można ją kupić?

– Sztuka warta jest tyle, ile ktoś jest gotowy za nią zapłacić. W środę odbędzie się licytacja biżuterii, także i tej broszki. Zapraszam, jeśli jest pani zainteresowana. Planowana estymacja to od dwudziestu do trzydziestu tysięcy złotych.

– Rozumiem. – Urszula rozejrzała się dookoła. Sala, w której kilkanaście minut temu w licytujących buzowały emocje, zdążyła opustoszeć. Dwóch pracowników domu aukcyjnego zbierało krzesła. To był dobry moment, by zadać pytanie cięższego kalibru: – Kto kupuje takie broszki?

– Takie, czyli jakie? – Faber się usztywnił. Wyprostował plecy, poprawił rękawy marynarki i spojrzał na zegarek, chcąc dać rozmówczyni do zrozumienia, że mu się spieszy.

– Ważki, motyle… za kilkadziesiąt tysięcy złotych.

– Pani wybaczy, ale wszyscy goście już wyszli, pani też powinna.

– Za chwilę, mam jeszcze kilka pytań – odpowiedziała najuprzejmiej jak tylko potrafiła i pokazała Faberowi policyjną odznakę.

– My zawsze chętnie współpracujemy z policją.

– Nie wątpię. Dlatego pomyślałam, że skorzystam z pana wiedzy. Kto może być zainteresowany broszką w kształcie ważki?

– Klienci dzielą się na tych, którzy kupują oczami, bo pasuje im wielkość, kolor, forma… na tych, którzy kupują starą biżuterię w celach inwestycyjnych

i na tych, którzy kupują według znanego sobie klucza. Do pierwszej grupy zaliczyłbym kobiety, które potem noszą brosze. Do ostatniej wszystkich zwariowanych kolekcjonerów. Mamy na przykład takiego jednego, który uwielbia owadzie motywy.

– A jak ta broszka trafiła do was?

– Dzięki naszemu współpracownikowi, który wyszukuje dla nas perełki. Niech pani sama przyzna, ta brosza to perełka!

*

Krystian nie korzystał z samochodu w tygodniu. Do pracy dojeżdżał tramwajem, bo nie lubił stać w korkach. Miał wolną głowę, nie musiał skupiać się na prowadzeniu i – co było chyba najważniejsze – oszczędzał pieniądze. Ten poniedziałek stanowił wyjątek. Stary Seat Krystiana mknął ulicami Łodzi.

– Uważaj. Prosto. Światła. W lewo. – Siedząca obok Aleksandra wydawała kolejne komendy.

Być może chciała pomóc, ale jedynie pogarszała sytuację. Miała się za znawczynię topografii miasta, w którym nie powinno jej już być.

Mężczyzna, z którym Aleksandra była w podejrzanej i nieokreślonej jeszcze przez Krystiana zażyłości, siedział z tyłu i milczał. Zupełnie, jakby miał coś na sumieniu. Wyglądał na cwaniaka, który równie dobrze może właśnie przebywać na warunkowym zwolnieniu. Normalni ludzie niepochodzący z marginesu społecznego nie tatuują sobie twarzy i jej najbliższej okolicy. Ptak wydziergany za lewym uchem mężczyzny mówił o nim wiele wyłącznie złego.

– To pacjent, później ci wszystko wyjaśnię – szepnęła, kiedy wsiadała do samochodu.

Nie wątpił, że nadejdzie chwila wyjaśnień. Martwił się tylko, że będą musiały być one obustronne. Jak wytłumaczy kobiecie swojego życia, że znalazł się w Łodzi, dokładnie na ulicy, na której stała ona?

– Skręć tu, w prawo, w Kilińskiego.

Głos Aleksandry wyrwał go z zamyślenia. Był na nią zły, ale jednocześnie podniecony. Brzmiała zmysłowo… Tak zmysłowo jak nigdy.

Włączył kierunkowskaz, zwolnił i wjechał w kolejną ulicę. Wszystkie wyglądały bardzo podobnie. Ściśle zabudowane kamienicami, będącymi w lepszym lub gorszym stanie.

Miasto kamienic śledziło ich poczynania. Kamienice stały na baczność i każdym okiem w kształcie okna zaglądały do środka pojazdu. Krystian czuł, że jest na cenzurowanym, chyba podobnie jak jego współpasażerowie.

– Zatrzymaj się, o tu! – Aleksandra wskazała pobocze zaraz za stacją benzynową.

– Ale przecież ja tu nie mieszkam! – zaprotestował mężczyzna.

– Pomyślałam, że skoro podróżujemy dziś po zakątkach twojej pamięci, to może pomoże ci wizyta na dawnych śmieciach. Pamiętasz to miejsce?

Mężczyzna wyszedł z samochodu bez słowa. Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, kierowca nie wytrzymał.

– Co ty wyrabiasz? – zwrócił się do partnerki. – To ten facet bez pamięci? Ten, którego kazałaś mi sprawdzać? Popieprzyło cię, żeby jeździć z nim po mieście? Po podejrzanych miejscach? Co my tu robimy? Dlaczego mnie wczoraj wystawiłaś?

– Krystian, proszę… Powstrzymaj słowotok, muszę obserwować jego reakcję. Za chwilę podrzucimy go do domu i wtedy porozmawiamy, dobrze?

Zamilkł. Jego wściekłość urosła teraz do niewyobrażalnych rozmiarów. Obserwowanie reakcji jakiegoś palanta było dla niej ważniejsze niż uspokojenie ukochanego!

Chyba że to nie on był jej ukochanym.

Najchętniej wyrzuciłby Aleksandrę z samochodu i odjechał z piskiem opon, pokazując, jak bardzo czuje się zraniony, zlekceważony i wściekły.

Mężczyzna chodził chwilę po pustym placu. Oglądał kamienice, stację benzynową, uśmiechał się i mówił coś do siebie. Po kilku minutach wrócił do samochodu, ale zamiast wejść do tyłu, otworzył drzwi od strony pasażera i uklęknął przy Aleksandrze.

– Wiem – jęknął. Był niezdrowo blady. – Już wiem. Widzę jego twarz. Faceta, który chciał mnie zabić…

VI
wtorek

– Mieliśmy porozmawiać.

– Później.

– Nie możesz tego odwlekać! Pół godziny temu mówiłaś to samo!

– Rozmowa nie zając.

– Nie mogłaś przytoczyć większego banału.

– Daj mi jeszcze pół godziny. Wysadzisz nas przy domu Pikasa, popracuję z nim i wrócę.

– Ciągle jest coś ważniejszego ode mnie. A to praca, a to dzieci, przyjaciółka, a teraz nawet ten bezdomny.

– Krystian, on nie jest bezdomny. Poza tym…

– Czekałem na ciebie na dworcu jak palant! Nawet nie raczyłaś dać mi znać, bo co? Znowu wypadło ci coś ważniejszego ode mnie? Powiedz!

Pikaso z tylnego siedzenia mimowolnie przysłuchiwał się kłótni. Od lat był sam, a sytuacje takie jak ta przypominały mu, że decyzję o samotności podjął świadomie. Posiadanie kobiety szło w parze z oczekiwaniami, obowiązkami i zawiedzionymi nadziejami. Wolał polegać tylko na sobie.

– Wiem, że to nie wygląda najlepiej… – broniła się Aleksandra.

– Najlepiej? Czy ty siebie słyszysz? Nie najlepiej wyglądało wczoraj. Dzisiaj, kiedy przyjechałem wyjaśnić wszelkie nieporozumienia, ciągasz mnie po mieście, zamiast poświęcić kilka minut! Czasem wystarczy powiedzieć prawdę prosto z mostu!

– Krystian, proszę cię! Czy musimy kłócić się przy…

– Przepraszam. – Pikaso zdecydował się przerwać kłótnię. – Ruda, on ma rację. Porozmawiaj z nim. Ja poczekam.

– Nie, Pikaso, zobaczyłeś twarz, musimy to przepracować. Teraz, na gorąco! – Aleksandra była podekscytowana. – To był mężczyzna. Znasz go? Jest związany ze skłotem?

Dotarli na ulicę Narutowicza. Krystian zwolnił i zaczął rozglądać się za miejscem parkingowym. Pikaso spojrzał na wejście do kamienicy. Brama była otwarta, a przed nią stał mężczyzna w garniturze. Znał tę sylwetkę i umiłowanie do dobrze skrojonych garniturów. Wiedział, że musi przed domem pojawić się

sam, bez towarzystwa.

– Ruda, mam dość pytań. Głowa mi pęka. Nie jestem w stanie się skupić. Klatka piersiowa napierdala, to pewnie te żebra… Położę się grzecznie spać, obiecuję. Wpadnij… to znaczy – poprawił się – wpadnijcie jutro rano. Wtedy pogadamy.

*

Kiedy Janusz Faber zmuszony był przechadzać się ulicami Łodzi, zwykle myślał o wielkim łódzkim fabrykancie, Karolu Scheiblerze. Czuł z nim pokrewieństwo dusz, pokonywanych dróg i wyzwań, jakie przed sobą stawiali.

Scheibler swoją działalnością rozpoczął nową epokę w dziejach przemysłowej Łodzi, zapewniając jej tym samym czołowe miejsce w Europie w dziedzinie przemysłu włókienniczego. Faber swoją działalnością na rynku sztuki rozpoczął nową epokę w dziejach kulturalnej Łodzi i był w połowie drogi, by nadać jej europejskiego znaczenia. Już teraz na wydarzenia organizowane przez Dom Aukcyjny Faber ściągali nie tylko majętni Polacy, ale również Niemcy i Rosjanie.

Janusz nie bywał zbyt często w miejscach takich jak to. Ulica Narutowicza należała do najbardziej reprezentacyjnej części miasta. Ludzie zamieszkujący kamienicę z numerem trzydzieści dwa, pod którą stał, wydawali się jakby drugiej kategorii. Przecenionej albo niedocenionej.

– Jesteś w końcu! – Ucieszył się na widok Wróblewskiego.

Zwykle nie odwiedzał swoich współpracowników. Najpilniejsze sprawy załatwiał przez telefon, rozmawiając o nich lub wydając dyspozycję, by ktoś pojawił się u niego w biurze. Właśnie w swoim biurze czuł się jak ryba w wodzie.

– Witam.

– Gdzie się podziewałeś? Dzwoniłem kilkanaście razy. Byłem tu już dwukrotnie… Coś się stało?

– Nie – burknął Wróblewski i zaprosił go do mieszkania.

Schody pokonali w ciszy. Faber myślał o tym, ile poświęceń wymagało funkcjonowanie na rynku sztuki. Ile to dziwnych miejsc musiał odwiedzić, z iloma podejrzanymi ludźmi rozmawiać. Na szczęście dotarł już na szczyt i dłużej nie musiał tego robić. Od brudnej roboty miał Wróblewskiego. Mógł zapomnieć o tym, że między niskobudżetowym życiem artystów i ludzi, którzy wyzbywali się staroci ze swoich strychów, a przepychem sali aukcyjnej istniała ogromna przepaść.

– Wyglądasz na poturbowanego. Sprawy prywatne?

– Nie pytaj, to długa historia, której nie chcesz znać. Piwa?

– Nie, ja tylko na dwie minuty. Skoro nie chcę jej znać, to ją przemilcz. – Faber machnął ręką. Pewne sprawy nie powinny go interesować, takie mieli

zasady. – Powiedz mi lepiej, skąd wziąłeś tę broszkę?

– A o co chodzi? – Wróblewski zniknął na chwilę w kuchni i wrócił z puszką piwa. – Na pewno nie chcesz?

– Nie. Słuchaj, dziś w domu aukcyjnym była policjantka. Pytała o biżuterię, niby ogólnie, ale jakoś tak wszystko sprowadzało się do tej broszy. Pytała o jej pochodzenie, właściciela i pośrednio również o ciebie.

– Jak to o mnie? – Wróblewski starał się nie pokazywać, że przekazana informacja zrobiła na nim wrażenie. – Chyba nic jej nie powiedziałeś?

– Niby co miałem jej powiedzieć? Wspomniałem jedynie, że współpracujemy z tobą od lat. Legalnie.

– I dobrze.

– Powiedz, że nie zrobiłeś niczego… Nie złamałeś prawa, co? Pamiętasz, że mieliśmy umowę?

Gospodarz wzruszył ramionami, jakby wszystko było mu obojętne. Przez ciało Janusza przeszedł dreszcz niepokoju. Miał złe przeczucia i najchętniej zostawiłby je w tej kamienicy. Niby zwyczajnej, a jednak budzącej u niego odrazę.

– Luz. – Wróblewski klepnął szefa w ramię – Nie naginam przepisów, nie kradnę, nie zabijam, nie cudzołożę – roześmiał się. – Nie mówię też za dużo. Możesz spać spokojnie. Docieram, gdzie trzeba i robię tak, żebyście byli zadowoleni.

– Żebyśmy MY byli zadowoleni. To dobrze, bo jeśli… nie dotrzymałbyś umowy… byłbyś skończony.

Faber uznał swoją misję za zakończoną. Pożegnał się z mężczyzną i skierował do wyjścia. Mógł spokojnie wrócić do swojej rezydencji, jasnych ścian, dużych przestrzeni, do ludzi i sprzętów najlepszej kategorii.

Kiedy był już na klatce schodowej, gotowy do zejścia na dół, Wróblewski zadał pytanie, które zburzyło pozorne poczucie spokoju:

– O którą broszkę chodzi?

– Jak to, kurwa, o którą?! Jaja sobie robisz? O tą, którą załatwiłeś ostatnio. W kształcie ważki.

*

Staruszka weszła do sklepu. Podążał kilka kroków za nią, odczekał więc kilkanaście sekund i pociągnął za drzwi.

Sklepowa przyodziana w biały fartuch stała za ladą i żuła gumę. Na półkach leżały równo poukładane kolorowe opakowania ciastek, chipsów i cukierków. Lubił na nie patrzeć. Przy każdym kartonie stała kartka, na której widniały dwie ceny, sprzed i po denominacji. Miejsce z lewej strony kasy szczelnie wypełniały puszki z groszkiem konserwowym i z pomidorami.

– To co zwykle? – Ekspedientka zagadnęła staruszkę, wykrzywiając przy tym usta. Nie była chyba zbyt zadowolona z tego, że musi obsługiwać klientów.

– Też pytanie! – Staruszka uśmiechnęła się, odsłaniając żółte zęby.

Zerkał na nią, udając, że przygląda się delicjom deserowym. Renata Tomaszewska różniła się od innych starych kobiet.

Na mieście mówiło się, że pochodziła z bardzo bogatej rodziny. Podobno jej matka była damą na dworze ostatniej carowej, a ona sama całe swoje życie przepracowała jako aktorka Teatru Jaracza i dorobiła się miana wielkiej osobowości teatralnej.

Obserwował ją od kilkunastu dni i mógł się zgodzić z plotkami. Ekscentryczna aktoreczka ze spalonego teatru, jak zwykł nazywać ją w myślach, nadal myślała, że jest piękna i młoda.

Wyglądała jak skrzyżowanie cyganki i papugi – na czubku głowy upinała włosy w sterczącego koka. Lubiła wyróżniać się z tłumu i chyba nadal myślała, że budzi w ludziach zachwyt. Ubierała się w kolorowe suknie, obwieszała perłami, bransoletkami i kolczykami. Na piersi zawsze miała przypiętą broszkę w kształcie ważki. Okropną, ale podobno wypełnioną diamentami.

Poziom jej ekscentryzmu był zbyt duży, jak na poziom tolerancji otoczenia. Nie dość, że wyróżniała się z reszty szarego społeczeństwa, to jeszcze zadzierała nosa i bardziej troszczyła się o zwierzęta niż o ludzi. To kłuło w oczy nie tylko najbliższych sąsiadów Tomaszewskiej, ale i mieszkańców skłotu.

– Pięć litrów mleka i pięć kilogramów dorsza. Coś jeszcze? – Na ladzie pojawiły się te same produkty, co każdego dnia. Rzeczy niezbędne do nakarmienia kotów z okolicy.

– Po co kupować, jeśli się ma? – Staruszka wzruszyła ramionami. – Komfortem jest niekupowanie.

Utkwił wzrok w delicjach. W przeciwnym razie wszedłby z kobietą w polemikę. Niezbyt miłą i nieprowadzącą do niczego dysputę, w której syty głodnego nie zrozumie.

Ona była bogata, a on nie.

Ona wydawała pieniądze na wyżywienie bezpańskich kotów, a on czasem nawet nie miał na chleb, nie mówiąc nawet o puszce piwa czy właśnie delicjach. Od miesiąca chodził za nim smak złożony z gorzkawej czekolady, słodkiego biszkoptu i kwaskowatej galaretki. Był zbyt biedny, by stwierdzić, że niekupowanie jest komfortem.

– A dla ciebie? Halo?

Zorientował się, że Tomaszewska wyszła już ze sklepu.

– Nie, dziękuję, ja tylko… Do widzenia – rzucił i trzasnął drzwiami.

Co miał powiedzieć? Że tylko napala się na delicję, czy tylko śledzi ekscentryczną i samotną właścicielkę wielkiego domu, do którego ma zamiar włamać się pod osłoną nocy?

*

Ojcze mój i Ojcze wszystkich ludzi, Ty dajesz mi właśnie kolejny dzień, bym mógł służyć swoim życiem Bogu i ludziom. Obiecuję, że wykorzystam go najlepiej, jak umiem, że jak przez ostatnie dwadzieścia lat, starał się będę odkupić swoje winy, jednocześnie zastanawiając się, czy jestem godzien Twej łaski.

Ty odpuściłeś mi grzechy, których sam sobie odpuścić nie mogę. Proszę Cię, żebyś w tym nowym dniu wziął mnie pod opiekę, żeby nie stało mi się nic złego. Obawiam się, że popełniony grzech, który mi odpuściłeś, wróci do mnie ze zdwojoną siłą w najmniej oczekiwanym momencie. Może dlatego czekam na to od kilkunastu lat? Czekam i się boję, boję się i czekam. Ale wierzę w Ciebie i w Twoją łaskę. To dzięki niej załatwiłem ważną sprawę. Sprawę, dzięki której mogę wierzyć, że skoro Ty mi wybaczyłeś, to nic już mi nie grozi.

Boże, chroń mnie i duszę moją przed upadkiem, a ciało moje od wszelkich niedogodności. Daj mi Swoją mądrość, abym zrozumiał, na czym polega odpuszczenie grzechów.

Przepraszam, że ostatnio nie zawsze byłem Twoim dobrym uczniem, nie zawsze żyłem według Twoich przykazań. Pamiętaj jednak, że potrafię wyrazić skruchę i że będę oddany Tobie do końca. Amen.

*

Aleksandra otworzyła oczy – potrzebowała kilku sekund, by ustawić ostrość widzenia i skojarzyć, gdzie się znajduje. Srebrne szafki nocne i czarny zagłówek łóżka uświadomiły jej, że kolejny dzień rozpoczynał się w luksusowym apartamencie w Łodzi.

Ostatnie dni były tak intensywne, że powoli traciła orientację. Nowe miejsce, nowe łóżko, a w nim znajoma twarz.

Obok niej leżał Krystian. Nie spał. Obserwował ją, uśmiechając się delikatnie.

– Cześć, śpiochu – mruknął.

– Cześć – odpowiedziała speszona.

Wczorajsza kłótnia zbliżyła ją do Krystiana. Oboje potrzebowali przyjemnego rozluźnienia, dlatego kiedy wieczorem wyszli z samochodu, zostawili za sobą pretensje i skupili się na fakcie, że w końcu ich ciała są blisko siebie. Same. Nie obserwuje ich ani kilkuletni chłopiec, ani zbuntowana nastolatka.

– Na co masz ochotę na śniadanie?

Krystian nadal był w romantycznym nastroju. Ubrany tylko w slipy i koszulkę, gotowy był do realizacji jej kulinarnych życzeń. Aleksandra wiedziała, że taka sielankowa atmosfera nie potrwa długo. Wisiał nad nimi

temat, którego nie dokończyli. Odwlekanie go w nieskończoność nie miało sensu. Zdecydowała się załatwić to jeszcze przed śniadaniem.

Usiadła na łóżku, poprawiła włosy i powiedziała najłagodniej, jak tylko potrafiła:

– Po śniadaniu muszę jechać do Pikasa i nie ma to nic wspólnego z nami ani z relacjami damsko-męskimi. Nie chcę, żebyś był zazdrosny.

Zamurowało go. Jego romantyczny nastrój, radosny uśmiech i pożądliwe spojrzenie zniknęły. Zaatakowała go bez uprzedzenia i zepsuła mu nastrój.

– To bardzo zły pomysł. – Spojrzał na nią ze złością, z jaką patrzy na matkę trzylatek wyciągany przez nią z piaskownicy.

– Muszę. Muszę dowiedzieć się, kto chciał go zabić.

– To nie nasz problem! Wróćmy do domu.

– Nie twój, więc wracaj – mówiła spokojnie i powoli. Starała się każde słowo pozbawiać niepotrzebnych emocji. Miała sprawę do załatwienia. Nie trzeba było się tym emocjonować. Krystian tego nie rozumiał. – Rozmawialiśmy o tym wczoraj w samochodzie.

– A niby dlaczego twój?!

– Kiedyś się przyjaźniliśmy. To dzięki niemu przetrwałam na skłocie.

– W skłocie?

Pytanie uświadomiło jej, że powiedziała kilka słów za dużo. Krystian nie znał jej historii. Lecz teraz było już za późno.

– Kiedyś uciekłam z domu i przez chwilę mieszkałam w łódzkim skłocie. Nawet nie pytaj – uprzedziła jego reakcję – to długa historia. Może kiedyś ci opowiem. W każdym razie wczoraj Pikaso przypomniał sobie twarz mężczyzny, który chciał go zabić dokładnie w miejscu, w którym mieszkaliśmy lata temu… Krystian, ja muszę dowiedzieć się, kogo zobaczył. Muszę, rozumiesz? Teraz wszystko układa się w jedną całość. Po wybudzeniu w szpitalu powtarzał moje imię i panieńskie nazwisko, potem wspomniał, że mogę być w niebezpieczeństwie.

– I co z tego?

– Pacjenci z taką amnezją mogą po przebudzeniu powtarzać ostatnie słowa, które mówili przed traumatycznym wypadkiem. Jeśli Pikaso rozmawiał o mnie z kimś, kto potem chciał go zabić? Muszę dowiedzieć się, kim jest ten człowiek!

Luksusowa sypialnia stała się nagle karykaturą samej siebie. Miejscem błagającym o to, by ktoś chociaż spróbował uwierzyć w to, że dokonujący się w niej akt seksualny ma cokolwiek wspólnego z miłością.

Aleksandra dusiła się w niej, a Krystian spacerował wokół łóżka.

– Proszę cię! Nie mów mi, że mu wierzysz? Ty? Chodzący niedowiarek?!

– Krystian, nie musisz tego rozumieć. Nie musisz pochwalać. Wiesz zbyt mało. Kiedy w dziewięćdziesiątym piątym byłam na gigancie w Łodzi, nie byłam grzeczną dziewczynką. On mi wtedy pomógł. Zapewnił mi bezpieczeństwo,

ochronił przed pijanymi napaleńcami.

– Nie widzisz, że on cię wykorzystuje?

– Podejrzewałam to kilka dni temu, ale wczoraj sprawdziłam. Nie ma złych zamiarów. Wprowadziłam go w stan hipnozy i mam pewność, że jest ze mną szczery.

– Hipnozy? To raczej nie wchodzi w skład twoich kompetencji psychologa.

– On nie jest moim pacjentem! – wybuchnęła. Wyskoczyła z łóżka i zaczęła zbierać rzeczy, które zdjął z niej wczorajszego wieczoru. – Pomagam mu najlepiej, jak potrafię. Owszem, priorytetem jest moje bezpieczeństwo. Teraz gramy na moich warunkach. Nie muszę być z nim stuprocentowo szczera. Mam nad nim przewagę i jestem ostrożna.

Chwycił ją za rękę.

– Jesteś pewna? Pozory mogą mylić, akurat ty powinnaś o tym wiedzieć. Kochanie, zostaw to i wróć ze mną do Poznania.

– Nie mogę. Najpierw muszę zrozumieć, o co w tym chodzi. Muszę wyeliminować ewentualne niebezpieczeństwo. Nie mogę pozwolić, by ktoś z przeszłości mógł zepsuć moje obecne życie. Nie teraz, kiedy Ilona jak lwica walczy o moje dzieci.

– Wiesz co? Nie wiem, co robiłaś dwadzieścia lat temu i dlaczego tak bardzo wstydzisz się tej młodzieńczej ucieczki… Nie wiem też, co robisz teraz. Wiem jednak jedno. Facet wygląda na cwaniaka. Chce cię wykorzystać, a ty masz do mnie pretensje, że próbuję się o ciebie zatroszczyć.

Nie słuchał jej. Nawet się nie starał. Był zbyt mocno skupiony na sobie i na tym, czego nie akceptował. Aleksandra uznała, że kontynuowanie tej kłótni nie ma sensu.

Podeszła do Krystiana i objęła go. Na początku jego ciało było sztywne. Po prostu pozwalał się przytulać. Nic więcej. Ale przestał mówić, i to uznała za postęp.

Po chwili ciszy coś drgnęło. Mężczyzna odwzajemnił jej uścisk.

– Wróć do domu – szepnęła. – Masz projekt, zajmij się nim. Przyjadę za dwa dni. Ani chwili później.

– W dupie mam projekt, chcę mieć ciebie! – uniósł głos, ale trudno było mu krzyczeć, gdy była do niego przytulona. Wtulił się w nią jeszcze mocniej i wyznał cicho: – Chcę mieć cię całą i zdrową. Nie mogę pozwolić, żebyś z nim tak biegała po mieście. Zabije cię gdzieś w krzakach…

– Przesadzasz!

– Być może, ale mam ku temu powody. Źle mu patrzy z oczu. Poza tym Piotr Wróblewski nie funkcjonuje w sieci. Nie istnieje, rozumiesz? O każdym możesz znaleźć wszystko, a o nim nic. No, chyba że używa fałszywych danych… Mógłbym to sprawdzić, ale musiałbym mieć dostęp do jego osobistego komputera.

*

Czasem nie ma znaczenia, jak osiągasz cel. Ważne jest tylko, że go dosięgasz. Kiedyś wydawało mi się, że najważniejsze jest życie zgodne z zasadami, ale później okazało się, że zasady obowiązują jedynie ludzi prawych i uczciwych.

Przeżycie w dzikim świecie możliwe jest tylko wtedy, gdy umiejętnie dostosowujesz się do otoczenia, stosujesz zasadę ograniczonego zaufania i ufasz jedynie sobie.

– Podczas wczorajszej sesji doszliśmy do tego, że musiałeś brać udział w licytacji dzieł sztuki. Znasz Dom Aukcyjny Fabera, ale obecnie nie kojarzysz żadnych postaci z nim związanych. Czy od wczoraj coś się zmieniło? Może sen przyniósł ci odpowiedzi na jakieś pytania?

Pikaso się waha. Zdziwił się, kiedy zobaczył nas na progu swojego mieszkania. Spodziewał się mnie, ale pewnie liczył na to, że przyjdę sama. Krystian miał rację – zaproszenie dla niego było tylko pro forma.

– Nie.

– A twarz? Wspomniałeś wczoraj, że widzisz jego twarz… – zawieszam głos, bo widzę, że Pikaso niechętnie zerka na Krystiana.

O to właśnie mi chodzi. To Pikaso musi uświadomić sobie, że z siedzącym z boku obcym mężczyzną nie jesteśmy w stanie kontynuować terapii.

– Krystian, może mógłbyś się czymś zająć? Może sprawdzisz w sieci wyniki meczu, o którym mówiłeś? – ostrożnie nadaję kierunek.

– Nie mam na czym. – Krystian jest dobrym aktorem. – Komórka mi siadła.

Ustaliliśmy, co ma powiedzieć, ale dodał do tego mimikę uprawdopodobniającą zawód, jaki przeżywał z powodu braku dostępu do sieci.

Spoglądam wymownie na Pikasa, dając mu do zrozumienia, że to był jedyny sposób na pozbycie się mojego zazdrosnego gacha.

– To skorzystaj z mojego komputera – proponuje gospodarz. – Możesz usiąść w drugim pokoju. Tam internet tak śmiga, że można oglądać filmy w HD.

Wszystko idzie po naszej myśli. Krystian udaje, że się waha, ale ostatecznie odpuszcza i pozwala wyprowadzić się Pikasowi z pokoju. Sprawdzam zegarek. Jest jedenasta czterdzieści pięć. Muszę dać mu przynajmniej pół godziny.

– No, teraz będzie nam łatwiej! – Cieszę się, kiedy Pikaso wraca do pokoju i zamyka za sobą drzwi. – Dziękuję. Wiesz, z facetami jest czasem jak z dziećmi. Musisz dać im zabawkę, żeby mieć chwilę spokoju.

– Nie wiem, jak jest z facetami. – Uśmiecha się i siada na wersalce. Dokładnie tej samej, na której leżał wczoraj podczas hipnozy.

Wyglądam za okno. Z podwórka nie dochodzą dziś żadne dźwięki. Może ktoś zlitował się nad dziećmi i zabrał je nad jezioro? Albo do lasu? Albo przynajmniej na wycieczkę do parku lub ogrodu zoologicznego? Ciekawe, jak spędzają czas

moje dzieci?

– Dobrze, zacznijmy od początku. Twarz. Zobaczyłeś ją wczoraj na Kilińskiego. Pamiętasz ją jeszcze?

Pikaso wciąga w płuca powietrze z taką determinacją, jakby miał to być jego ostatni oddech.

– Widzę tylko twarz. Czy to normalne? Samą twarz, bez szyi, bez tułowia, bez włosów – mówi i zamyka oczy.

– Jak wygląda?

Skupia się. Zaciska pięści, a jego powieki drgają.

– Niebieskie oczy, długi nos, niemalże niewidoczne usta. Takie całkiem proste, jak narysowane ołówkiem.

– Brwi?

– Grube, to one nadają twarzy groźnego wyglądu. Zobaczyłem ją wczoraj, kiedy przypomniał mi się nasz skłot.

– Mężczyzna czy kobieta?

Wczoraj mówił o mężczyźnie i nawet wydawało mi się, że skojarzył coś więcej niż twarz.

– Mężczyzna. Chyba blondyn. Tak, widzę jego włosy. Blondyn.

– Pojawiał się w skłocie?

Ten skłot mi nie pasuje. Być może w pamięci Pikasa znajduje się więcej traumatycznych wspomnień. Może te z odległej przeszłości nakładają się na to ostatnie?

– Czy ja wiem? Jestem jednak przekonany, że to od tej gęby zaczęły się moje problemy. Kłóciłem się z nim. Chyba nawet śledziłem. Wściekły blondyn zalazł mi za skórę. – Pikaso nagle wstaje. – Nie, nie, nie.

Czekam i obserwuję, jak się miota.

– Co się stało? Co zobaczyłeś?

– Ruda. – Siada na podłodze obok moich stóp i obejmuje moje kolana.

Gdyby Krystian to zobaczył, wściekłby się.

Wykluczam jednak podtekst seksualny. To co widzę w oczach Pikasa sprawia, że czas się zatrzymuje, a ja jednocześnie chcę i nie chcę usłyszeć tego, co za chwilę powie.

Zdaję sobie sprawę z tego, że to zmieni wszystko. Niekoniecznie na dobre.

– Ruda, już wiem, kto chciał mnie zabić.

To nie jest stwierdzenie, które niesie ulgę.

Czuję rosnący niepokój, mimo że właśnie dotarliśmy do celu naszej terapii. Mieszanka wściekłości, lęku i chęci odwetu widoczna w jego oczach daje mi do myślenia. Dlaczego wcześniej wydawało mi się, że dotarcie do wspomnienia z niedoszłym mordercą rozwiąże wszystkie jego problemy? Dlaczego nie pomyślałam, że będzie chciał się zemścić i wpadnie w jeszcze gorsze bagno?

– Czacha. Kurwa, to był Czacha!

*

Życie w skłocie toczyło się własnym rytmem, nie mającym nic wspólnego z ruchem wskazówek zegara.

Dla Szajbusa, Pikasa i jeszcze kilku innych osób skłot był domem. Miejscem, w którym pracowali, odpoczywali i realizowali swoje pasje. Z dala na nakazów, zakazów i dawnych problemów.

Dla Czachy i jego znajomych skłot był sposobem na życie, niekoniecznie mądre i spokojne. Codziennie organizowali imprezy, na które ściągały tłumy, także punków i ćpunów. Pili bez umiaru i korzystali z uciech.

– Niech Pikaso nie pierdoli, że to on założył ten skłot! Skłot to my, ludzie, którzy w nim mieszkają! – Czacha opróżnił kolejną puszkę piwa i spojrzał na Rudą.

Uśmiechnęła się do niego. Od czasu ich pierwszego, niefortunnego spotkania, trochę się zmieniło – nadal zerkał na nią zachłannie, ale trzymał dystans.

Imponowało jej to, że najsilniejszy samiec z grupy był nią zainteresowany. Skłamałaby, gdyby powiedziała, że nie był przystojny. Miał wąskie usta, niebieskie oczy, przenikliwe spojrzenie i modnego blond jeża na głowie – ociekał testosteronem. Przypominał trochę wokalistę Vanilla Ice, w którym kochała się dwa lata temu.

Już dawno zdecydowałaby się na zbliżenie do niego, ale budził w niej strach. Szybko się denerwował, nadużywał siły i nie szanował ludzi. Jednocześnie potrafił być jednak tak miły i pociągający…

Ruda robiła krok ku niemu, a następnie dwa kroki do tyłu.

– Gdyby jednak nie skolonizował tego piętra, nikt z nas by tu nie mieszkał. – Tym razem była gotowa zrobić kolejny krok do przodu. Pokazała, że się z nim nie zgadza, ale jednocześnie oblizała usta, najbardziej zmysłowo, jak tylko potrafiła. Miała dopiero piętnaście lat i niewielkie doświadczenie w uwodzeniu.

– To mieszkalibyśmy gdzieś indziej. Co za różnica? Te, Mały, a ty tu co? – Mimo że Czacha niemalże pożerał ją wzrokiem, kątem oka musiał zauważyć dwóch obcych punków, którzy właśnie weszli do skłotu.

– Jajco! – krzyknął jeden z nich. – Na imprezę przyszlim… A co? Nie wolno?

– Bez biletów nie wolno!

– Jakich biletów? Rychu – punk zwrócił się do swojego towarzysza – kuźwa, nie mówiłeś, że tu za wjazd kasują!

Czacha zaczerwienił się i wstał. Ruda wiedziała, co się święci i wolała się odsunąć. Widziała takie akcje już kilka razy wcześniej. Chłopak znowu wszedł na najwyższy poziom pobudzenia, napiął mięśnie i był gotowy do konfrontacji.

– Jak nie wiesz, kurwa, jakie, to spierdalaj! – warknął i zatarasował wejście. – W mordę chcesz?

*

Wyszli z kamienicy przy Narutowicza i bez słowa skierowali się do przejścia dla pieszych. Samochód Krystiana stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy.

Czerwone światło zatrzymało ich na chodniku. Mieli okazję w spokoju przyjrzeć się otoczeniu kamienicy z nietoperzami o ludzkich twarzach. Nic tu do niczego nie pasowało.

Za ich plecami znajdował się w miarę uporządkowany i zwarty ciąg kamienic, a po drugiej stronie panował architektoniczny miszmasz. Z lewej strony widać było cerkiew, trochę zieleni, pusty plac wykorzystywany jako miejsca parkingowe. Im dalej, tym widok stawał się coraz gorszy. Kamienice pozbawione frontów straszyły bilbordami wiszącymi na szarych ścianach. Wyglądały jak ośmiornice, którym poobcinano odnóża, a powstałe blizny chciano zakleić pstrokatymi plastrami.

– Dzwonili z firmy. – Krystian odezwał się dopiero wtedy, kiedy przeszli przez ulicę. – Muszę wracać do Poznania.

– Rozumiem. – Aleksandra wydawała się być nieobecna.

– Jak sesja terapeutyczna?

– Dobrze.

– Wracasz ze mną?

– Nie, z Olgą.

– Dokąd cię podwieźć?

Wsiedli do samochodu, ale Krystian nie odpalał silnika. Czekał na reakcję Aleksandry. Dopiero po kilku minutach zorientowała się, że cisza trwa zbyt długo.

– Zamyśliłam się, przepraszam. Na co czekamy?

– Pytałem, dokąd cię podwieźć.

– Do domu… to znaczy na Kopernika. Udało ci się znaleźć coś na jego komputerze? – W końcu to ona zadała pytanie. Dokładnie to, na które czekał.

Po trzydziestu minutach szperania w cudzym komputerze wiedział o Piotrze Wróblewskim dużo więcej, niż mógłby się o nim dowiedzieć podczas wspólnych wakacji.

Sprawdził historię oglądanych stron. Wiedział, jakie informacje z kraju i ze świata interesują mężczyznę, w jakim typie kobiet gustuje, jakie odwiedza strony pornograficzne. Te informacje na razie mógł jednak zachować dla siebie. Aleksandrę interesowało coś innego.

– Stara się zachowywać anonimowość w internecie. Korzysta z fejsa, ale ma puste konto, na fikcyjne nazwisko. Wygląda to tak, jakby korzystał z niego tylko po to, by kogoś podglądać.

– A skrzynka mailowa?

– Sprawdziłem. Poczytałem. Jakieś zapytania o oferty. Potwierdzenia zakupu farb. Spisałem sobie jego adres mailowy, w wolnej chwili przekopię sieć pod tym kątem. Najważniejsze jednak jest to, że wysłałem z jego skrzynki maile do kilku osób, z którymi był ostatnio w kontakcie. Może uda nam się czegoś więcej o nim dowiedzieć.

– Jesteś świetny! A widziałeś tam maila od Czachy?

– Czacha? To takie nazwisko?

– Nie wiem.

– Nie rzuciło mi się w oczy.

– Czekaj, ale przecież jak ktoś odpowie na wysłane przez ciebie maile, to odpowiedzi przyjdą do niego i on się zorientuje, że coś namieszałeś.

– Możesz spać spokojnie, kochanie. Przekierowałem pocztę na specjalnie stworzony do tego celu adres. Usunąłem też wszystkie ślady swojej działalności na jego sprzęcie. Rozmawiasz z profesjonalistą, który panuje nad wszystkim.

*

Z okien mieszkania Urszuli widok rozpościerał się na park śledzia, oficjalnie zwany Parkiem Staromiejskim i bloki mieszkalne. Większość z nich ozdobiona była biało-czerwonymi bazgrołami mającymi informować o sympatii twórcy „dzieła" do konkretnego klubu piłkarskiego. Wartość artystyczna napisów pozostawiała wiele do życzenia, ale ich obecność – wyraźniej niż tabliczki z nazwami dzielnic – dzieliły Łódź na przestrzeń życiową widzewiaków i ełkaesiaków.

Urszula nie znajdowała w piłce nożnej nic ciekawego. Kiedyś, chcąc przypodobać się swojemu ojcu, bardzo się starała… ale mimo dobrych chęci, nie zaważyła nic wartego uwagi ani w mężczyznach goniących na murawie za piłką, ani w kolesiach, którzy tracą poczucie indywidualizmu i chowają się w grupie, bo tylko w niej czują się silni.

Renata Tomaszewska była zupełnie inna. Siłę czerpała ze swojej wyjątkowości. Była sama i nie zależało jej na przynależności do jakiejkolwiek grupy społecznej. Im bardziej otoczenie okazywało jej brak akceptacji, tym bardziej pozwalała sobie na ekscentryczne zachowania.

Urszula zasłoniła okna i podłączyła komputer do telewizora, by na dużym ekranie obejrzeć film dokumentalny o życiu Renaty Tomaszewskiej. Jakość materiału nakręconego w dziewięćdziesiąty piątym roku pozostawiała wiele do życzenia.

Czarno-biały obraz sprawiał wrażenie rozmytego, a naturalne światło pojawiające się co rusz w filmowanych pomieszczeniach psuło ujęcia i pozostawiało niedosyt. Obraz wydawał się mało ostry, zwłaszcza oczom przyzwyczajonym do oglądania filmów w jakość HD, gdzie każdy, nawet

najmniejszy szczegół jest widoczny, a tło posiada niezwykłą głębię.

– Renata Tomaszewska to wybitna postać łódzkiego Teatru Jaracza. Aktorka z powodzeniem wcielająca się w każdą rolę, osobowość sceniczna i autorytet dla kilku pokoleń łódzkich aktorów. – Dźwięczny głos lektora wprowadzał widzów w klimat dokumentu, a na ekranie pojawił się napis „Powrót do krainy wspomnień".

Z ustaleń Urszuli wynikało, że film został wyemitowany w telewizji miesiąc przed zabójstwem Renaty Tomaszewskiej.

– Pani Renato, obiecała pani, że pokaże nam obraz, który dostała pani po premierze ostatniego spektaklu – przypomniał głos zza kamery.

– Zaraz, zaraz! Chwileczkę, nie róbcie ze mnie durnia. Być może jestem starsza i trochę wolniejsza niż kiedyś, ale nadal jestem. Boże, Boże, jak ja straciłam pamięć. Gdzie to jest? Chwileczkę!

Staruszka nerwowo przeglądała papiery i zerkała na osobę poza kadrem. W tej jednej scenie wszystko widać było jak na dłoni. Ekscentryczna aktorka o silnej osobowości była poruszona i przerażona jednocześnie. Wydawała się bezsilna, a jej głos drżał.

Starość w mocno zaawansowanym stadium, jak podsumował to policjant prowadzący sprawę. Urszula rozmawiała z nim wtedy, gdy akta sprawy trafiły do niej z archiwum. Wyznał jej wtedy, że w dziewięćdziesiątym piątym wiele osób myślało, że staruszka sama prosiła się o śmierć, w tak niebezpieczny sposób demonstrując swoją majętność.

Dla Urszuli wiek nie miał znaczenia. Ofiara pozostawała ofiarą bez względu na to, czy była stara, czy młoda. Trochę zagubiona staruszka z arystokratycznej rodziny, dama z najlepszego materiału genetycznego, której morderca wciąż bezkarnie chodził po świecie.

– Kici, kici, no chodź. To moja Pusia.

Na ekranie pokazał się szary kot, a po nim kamera przesunęła się na śpiące na kanapie psy. Dwa pekińczyki – niewielkie, kudłate.

Odkąd Urszula obejrzała ten film po raz pierwszy, nie mogła pozbyć się myśli, że sfilmowanie Tomaszewskiej w jej domu być może było ciekawym obrazem dla wielbicieli teatru, ale dla niej samej okazało się zgubne.

Pokazała społeczeństwu, że mieszka sama w ogromnym domu, wypełnionym po brzegi antykami, że sama nie do końca ogarnia rzeczywistość, a psy to maskotki łagodniejsze od większości kotów.

– Czy morderca oglądał ten film? – Urszula zadawała sobie to pytanie każdego dnia, zaraz po przebudzeniu.

Wiedziała, że nikt jej nie odpowie. Przynajmniej na razie.

Zdawała sobie jednak sprawę, że każdy, kto obejrzał produkcję telewizji polskiej, otrzymał wystarczająco wiele informacji, by skutecznie przygotować się do morderstwa.

*

– Dzień dobry.

– Tak?

– Szukam… to znaczy… Nie wiem, czy może mi pan pomóc?

– W czym?

Zarośnięty mężczyzna nawet nie ukrywa swojego zdziwienia. No cóż. Wiele w swoim życiu widział, a mnie udało się go zaszokować. Tak, tak, wiem, że noclegownia to trochę nietypowe miejsce, by kobieta taka jak ja chciała kogoś znaleźć, ale…

Nie, nie mogę tracić czasu na myślenie. Muszę działać.

– Szukam znajomego.

– Tutaj?

– Tak. Słyszałam, że bywa u was.

– Skoro pani słyszała, to nie jest pani potrzebna pomoc.

Cwaniak. Traktuje mnie jak intruza.

– Chwileczkę. – Nie mogę pozwolić, by odszedł. Nie teraz. – Słyszałam, ale nie jestem pewna, a muszę z nim porozmawiać. To bardzo ważna sprawa.

– Z kim?

– Pyta pan o nazwisko?

Świetnie! I tu mnie masz, cwaniaku. Szukam, ale nie wiem kogo, bo przecież w skłocie nie używaliśmy nazwisk. Każdy cenił sobie anonimowość, każdy miał coś na sumieniu, każdy od czegoś uciekał. Rodziców, przeszłości, problemów.

– Nazwisko? – rechocze jak żaba. Chyba go rozbawiłam. – Nie pytamy naszych pensjonariuszy o numery ubezpieczenia, adres zamieszkania czy nazwiska. To noclegownia dla bezdomnych, a nie hotel. Jedyne co mają bezdomni, to imiona. A nawet i to nie zawsze.

– Szajbus. Mówią na niego Szajbus.

Od czasu ostatniej mojej rozmowy z Szajbusem minęło ponad dwadzieścia lat.

– Szajbus?

Nie wiem, czy facet przeszukuje zasoby swojej pamięci, czy obserwuje moją reakcję.

Ma mnie za intruza, ale nic nie poradzę na to, że jestem uczesana, umyta i dobrze ubrana. Dlaczego zakłada, że moja wizyta oznacza problemy?

Zaraz, a może on myśli, że chcę zidentyfikować bezdomnego, który ukradł mi torebkę czy telefon?

– Tak, Szajbus. Jestem jego dawną przyjaciółką.

Trochę przesadziłam z przyjaciółką, ale brzmi to lepiej niż „znaliśmy się dwa tygodnie, razem mieszkaliśmy na skłocie”.

Rozmawialiśmy dziś z Pikasem o życiu na skłocie, o przyjaciołach i wrogach,

o tym, jak potoczyły się ich dalsze losy. Pikaso nie wiedział nic o Czasze, ale za to opowiedział o tym, że Szajbus stoczył się na dno. Podobno spotkali się jakiś czas temu przy noclegowni.

Pomyślałam, że skoro kiedyś Szajbus wiedział wszystko o wszystkich, to być może będzie w stanie podpowiedzieć, gdzie mam szukać Czachy.

– Aaa, Szajba! – Faceta w końcu oświeca. – Jest tu taki. Ale musi pani przyjść później, bo on ląduje u nas zwykle dopiero po dwudziestej drugiej.

*

Sąsiadująca z Zespołem Szkół Salezjańskich noclegownia znajdowała się naprzeciwko Skweru Aresa. Aleksandra stała na rogu ulic Nawrot i Wodnej i zastanawiała się, co ze sobą zrobić.

Przed chwilą minęła czternasta – czekanie na Szajbusa nie miało sensu. Musiała wrócić tu późnym wieczorem, ale nie bardzo wiedziała, co teraz.

Krystian wyjechał już z Łodzi, Olga jeszcze nie dojechała, a powrót do pustego apartamentu wydał jej się zupełnie bez sensu.

Znalazła wolną ławkę na skwerze, usiadła, zerknęła w komórkę, a później zaczęła przyglądać się okolicy. Drzewa skutecznie oddzielały niewielką oazę zieleni od skrzyżowania. Ludzie wypoczywający na sąsiednich ławkach wyglądali na zrelaksowanych.

Na jednej z nich tłoczyła się rozbawiona młodzież, na drugiej siedziało trzech mężczyzn. Nie wyglądali na bezdomnych, raczej na bezrobotnych. W rękach trzymali puszki z piwem.

W Poznaniu widywała ławki zajęte przez wielbicieli trunków, ale ukrywali oni napoje wyskokowe albo w papierowych torebkach, albo gdzieś między sobą, ewentualnie przelewali wódkę do butelki po napoju, gwarantując sobie tym samym brak zainteresowania ze strony policji. W Łodzi jakoś nikt nie krył się z tym, co pił, jakby obowiązywało tu inne prawo, albo znaleziono w nim lukę, o której nie słyszeli Poznaniacy.

Aleksandra wróciła do przeglądania komórki. Słońce świeciło jej w plecy, a ona poczuła, że bardzo, ale to bardzo brakuje jej dzieci.

Zwykle pierwsze trzy dni wolności przynosiły jej wytchnienie. Nie była młodą matką, która nie potrafi żyć bez swoich latorośli. Ceniła sobie chwile, kiedy mogła pobyć sama ze sobą. Ale po trzech dniach i trzech nocach, kiedy regenerowała się psychicznie, zaczynała odczuwać brak. Brak ciągłych pytań, próśb i żądań. Brak rozmów, przekomarzań i żartów. Brak porozrzucanych plecaków, zeszytów i ubrań.

Tęsknota nasila się przed snem, kiedy to nie mogła ucałować dzieci na dobranoc. W pierwszym odruchu sięgała wtedy po telefon, żeby zadzwonić i sprawdzić, czy Kuba i Weronika są cali i zdrowi. Oglądała ich zdjęcia i czasem

wyszukiwała numer telefonu Weroniki. Nie wybierała go jednak – tłumaczyła sobie, że wysłała dzieci na obóz rekreacyjny, a nie do obozu pracy, i że na pewno bawią się na nim lepiej niż ona w Łodzi.

Pamiętała swoje dzieciństwo i świadomość dorastania z nadopiekuńczą matką. Nie, nie chciała popełniać tych samych błędów.

– Halo? – Tym razem wybrała numer córki i ucieszyła się, gdy ją usłyszała.

– Cześć, mamo. – Głos Weroniki sprawił, że tęsknota stała się jeszcze większa, mimo że rozmowa telefoniczna przecież miała ją zlikwidować, przynajmniej na kilkanaście minut.

– Cześć, aniołku. Dziękuję, że co dziennie przysyłasz mi SMS-y. Pomyślałam jednak, że zadzwonię… Tak miło cię słyszeć. Boże, jak ja się za wami stęskniłam! Jak się czujesz? Jak Kuba? Jak pogoda? Jak koleżanki? Opowiadaj.

– Kuba o wszystkim zapomniał. Pogoda super, koleżanki też.

– A wychowawcy są spoko? No i czy się nie nudzicie, nie chcecie wracać jeszcze do domu?

– Mamo, jest nam tu super i w ogóle nie musisz się martwić. Ja cię bardzo przepraszam, ale właśnie bawimy się w podchody i nie mogę dłużej gadać, bo jeszcze ktoś mnie usłyszy.

– Dobrze, dobrze. Nie będę ci przeszkadzać. Kocham cię. I Kubę też. Ucałuj go ode mnie. Zadzwonię jutro.

*

Po znalezieniu w katalogu aukcyjnym broszki Renaty Tomaszewskiej Urszula miała do wyboru kilka dróg postępowania. Mogła oczywiście wpaść do Domu Aukcyjnego Faber i zrobić aferę.

Poinformowałaby właściciela firmy, że przedmiot, który oferuje, został skradziony. Właściciel zdziwiłby się, powtarzał, że nie ma z tym nic wspólnego. Sprzedaż przedmiotu zostałaby zablokowana, a Urszula mogłaby rozpocząć formalności zmierzające do znalezienia obecnego właściciela broszki.

Wiedziała jednak, że nie ma do czynienia z pierwszym lepszym, niedoświadczonym dzieciakiem, który ukradł coś przed przypadek. To, że przez dwadzieścia lat złodziej i zabójca Tomaszewskiej nie został zatrzymany, świadczyło o tym, że potrafił zacierać ślady i pozostawać w cieniu.

Podejrzewała, że zastosował też odpowiednie środki bezpieczeństwa podczas sprzedaży skradzionej broszki. Dlatego zagrała niesztampowo.

Jej wizyta w domu aukcyjnym miała na celu jedynie delikatne wzbudzenie podejrzeń. Jeśli sprawa byłaby czysta, podejrzenia mogłaby sobie wsadzić w tylną część ciała. Liczyła jednak, że coś jest na rzeczy. Po aukcji Faber wyszedł z firmy i zamiast do domu, pojechał na ulicę Narutowicza trzydzieści

dwa, gdzie spotkał się z jakimś mężczyzną.

Robert Staszak, kolega, którego poprosiła o pociągnięcie Faberowi ogona, pokazał jej zdjęcie mężczyzny, z którym Faber zniknął w bramie.

Znała zarówno tego mężczyznę, jak i kamienicę widniejącą w tle.

– Dobry wieczór. – Kiedy Piotr Wróblewski otworzył drzwi swojego mieszkania, Urszula nie czekała na zaproszenie.

Wepchnęła się nieuprzejmie, pokazując mu jednocześnie odznakę.

– Zna pan Fabera?

– To znowu pani? – Skojarzył ją z wizyt w szpitalu, ale nie zaprosił do środka. Stał w przedpokoju, próbując zablokować kobiecie przejście do pokoju.

Nic z tego sobie nie zrobiła. Minęła go, niemalże ocierając się o jego ramię, i udała się do najbliższego pokoju.

– Zna pan Fabera? – powtórzyła, siadając na krześle i czekając na odpowiedź.

Pytanie miało służyć raczej obserwacji reakcji przesłuchiwanego i zbadaniu jego intencji niż zweryfikowaniu informacji. Zdjęcie, na którym mężczyźni rozmawiają, a później wchodzą do kamienicy, utwierdziło ją w przekonaniu, że muszą mieć związek z kradzieżą i zabójstwem Renaty Tomaszewskiej.

– Miło, że odwiedza mnie pani w szpitalu i w domu. Informuję jednak uprzejmie, że z moją pamięcią nie jest niestety tak dobrze, żebym mógł odpowiedzieć na pani pytania.

– Tak? A mnie się wydaje, że pana pamięć to tylko wymówka.

– Proszę porozmawiać z lekarzami.

– Rozmawiałam. Powiedzieli, że uciekł pan ze szpitala. Dotarł pan do swojego mieszkania… Czyli jednak nie jest tak źle, jakby pan chciał, żeby mi się wydawało.

– Źle mnie pani ocenia.

– Zna pan Fabera?

– Tego właściciela domu aukcyjnego? Tak, jestem artystą… to znaczy, tworzę od czasu do czasu coś, co nadaje się do sprzedaży, a Dom Fabera świetnie sprzedaje sztukę współczesną.

– Pozwoli pan, że się rozejrzę?

– Jeśli powie mi pani, czego pani szuka, będzie szybciej.

– Czyli pana pamięć jest sprawna wybiórczo, tak?

– O co pani chodzi?

– O broszkę. Gdzie pan ją ma?

Nigdy nie cackała się z zabójcami, a właśnie Wróblewski stał się podejrzanym numer jeden. Po pierwsze, unikał udzielania odpowiedzi, co interpretowała jako zachowanie mające na celu ukrycie pewnych faktów. Po drugie, Faber, zapytany o broszkę, w bardzo krótkim czasie pojawił się u Wróblewskiego. Urszula nie wiedziała, o czym rozmawiali, ale wykluczała zbieg okoliczności. Nie wierzyła, że nie poruszyli tematu broszki; że wizyty nie byłoby, gdyby wcześniej

nie pojawiła się w Domu Aukcyjnym. Po trzecie, Wróblewski był znany na pchlim targu jako ten, który handluje biżuterią.

– Broszkę?

– Tę, o której rozmawiał pan wczoraj z Faberem.

– Nie rozmawiałem o broszce, tylko o obrazie, który miałbym namalować na zlecenie.

– Gdzie jest broszka Tomaszewskiej? Lepiej będzie, jeśli pan ją odda. W przeciwnym razie wrócę z nakazem.

Wreszcie po czwarte i najważniejsze… nazwisko Wróblewskiego widniało już w aktach sprawy. W dziewięćdziesiątym piątym roku przesłuchiwano go i resztę mieszkanców skłotu znajdującego się nieopodal domu denatki, by wykluczyć naturalnie podejrzenia, że zabójstwa dokonał ktoś z jego niepokornych mieszkańców.

Podejrzenia wobec skłotersów wykluczono, chociaż Urszula mogłaby sobie dać odciąć rękę, że nawet gdyby któryś z nich coś wiedział, to nie podzieliłby się informacjami z policją. Upublicznienie takiej informacji oznaczałoby popsucie sobie „miejscówki".

Wróblewski wykpił się tłumaczeniami, że denatkę znał i czasem nawet pomagał jej przynieść jakieś zakupy do domu, ale na czas zabójstwa miał alibi. Być może dlatego policjanci prowadzący sprawę w tamtym czasie nie drążyli wątku linii papilarnych.

Urszula porównała odbitki palców zabezpieczone w dziewięćdziesiątym piątym z odbitkami linii papilarnych Wróblewskiego funkcjonującymi w policyjnej bazie danych. Zbieżność mogła istnieć, ale nie była oczywista. W domu Tomaszewskiej zabezpieczono jedynie fragment linii papilarnych, co stanowiło utrudnienie w identyfikacji.

– Jeśli zgubiła pani broszkę, to jest mi bardzo przykro. Ja broszek nie noszę, ale jeśli pani musi, to proszę szukać. Byle obyło się bez nadmiernego bałaganu.

*

– Przykro mi, że nie znalazła pani tego, czego szukała, ale tak jak mówiłem, nie mam żadnej broszki.

Pikaso odprowadził policjantkę do drzwi. Bąknęła coś jeszcze, ale już jej nie słuchał. Nie zamierzał też przejmować się bałaganem, jaki zrobiła w jego mieszkaniu.

Kiedy zamknął za nią drzwi, poszedł do kuchni, wyjął z szafki butelkę wódki i pociągnął kilka łyków. Szkoda było mu czasu na szukanie kieliszka.

– Kurwa! – syknął i wziął jeszcze dwa łyki.

Wódka była zbyt ciepła, by się nią delektować, ale i tak zawartość alkoholu w alkoholu mu odpowiadała. Blokowała impulsy nerwowe i przytępiała ból

żeber, który nadal mu towarzyszył.

Nazwisko Tomaszewska oraz pytanie o broszkę otworzyło zamkniętą do tej pory szufladę w jego pamięci. Wszystko stało się jasne. Nie proste, lecz jasne. Kurewsko jasne, podobnie jak przyczyna, z powodu której policjantka zaczęła węszyć. Najpierw pojawiła się u niego w szpitalu, potem – jak się domyślał – poszła do Fabera, a po wizycie u niego przylazła znowu do niego.

– Halo? – Wyjął z kieszeni nowo zakupiony telefon i wybrał numer.

– Kto mówi?

– Pikaso.

– Aaa, nie wyświetlił mi się twój numer. Masz nowy?

– Tak, zajebali mi komórkę. Słuchaj, nadal chcesz ją mieć?

– Ją?

– Ją – potwierdził. Nic więcej nie dał z siebie wyciągnąć.

Policja nie miała szans, by założyć mu podsłuch na telefon, bo kupił go dopiero dziś rano, ale wolał zachować środki bezpieczeństwa.

– No tak, ją! Oczywiście, nic się w tym temacie nie zmieniło.

– To świetnie. Spotkajmy się. I przynieś coś do picia. Najlepiej zimną wódkę. – Rozłączył się i dopił resztę gorzały z dna butelki.

*

W ciągu dnia budynek, w którym znajdowała się noclegownia, wyglądał jak opuszczony. Można było zajrzeć do środka i przyjrzeć się pokojom szczelnie wypełnionym łóżkami. Bezinwazyjnie i bez negatywnych emocji.

Świadomość, że istnieje miejsce, w którym społeczeństwo pomaga tym, którym się nie powiodło, wzniecał we wszystkich, oprócz najbliższych sąsiadów noclegowni, ciepłe uczucia. Zapewne dlatego Aleksandra wróciła na ulicę Wodną z optymistycznym przekonaniem, że uda jej się pozytywnie załatwić sprawę.

Gdy kilka minut po dwudziestej trzeciej wysiadała z taksówki, zawahała się, widząc, że noclegownia przeżywa szturm. Pozytywne myśli o bezdomnych zastąpiło przygnębienie. Ludzie, którzy stanowili produkt uboczny kapitalizmu, stali w kolejce do łóżek. Brak miejsca oznaczał, że kolejną noc spędzą w parku na ławce albo w kartonie przy dworcu.

Ciemność zmieniła postrzeganie okolicy. Skwer, w którym Aleksandra relaksowała się kilka godzin wcześniej, wyglądał teraz na strefę wyjątkowo nieprzyjazną.

– Przepraszam, szukam Szajbusa – zagadnęła postać siedzącą na ulicy w towarzystwie plastikowych toreb.

Przez chwilę zastanawiała się, czy to kobieta czy mężczyzna. Ani wiszące na człowieku ubranie, ani tym bardziej postrzępione krótkie włosy nie zdradzały

płci zagadniętego.

– Ma–aasz pie–enć zło–ootych? – postać odpowiedziała zachrypniętym głosem.

Równie dobrze mogła to być kobieta o męskim typie urody, jak i odrobinę zniewieściały mężczyzna. Brud i zmęczenie zatarły widoczne cechy płci.

– Dam ci nawet dziesięć, jeśli zaprowadzisz mnie do Szajbusa.

– Zna–aam ki–iilku sza–aajbnie–eentych, za–aa ka–aażde–eego dzie–eesi–eeć?

– Szajbus to ksywa. Znasz go? Podobno tu sypia.

Postać wstała i chciała się przyjrzeć Aleksandrze, ale zamiast tego zakręciło jej się w głowie i upadła.

– A–aa ty–yy co–oo? Z psia–aarni je–eesteś? My–yyśli–iisz, że–ee be–eende sy–yypa–aać?

Aleksandra machnęła ręką i poszła dalej.

Wejście do noclegowni tarasowali spóźnieni lub ci, których nie wpuszczono z powodu nietrzeźwości.

– Te, Józek, patrz jaka lala – usłyszała za swoimi plecami. – Jakbym wiedział, że dziś będą nocne występy, to przylazłbym wcześniej.

– Przepraszam. – Zagryzła wargi, by nie wdawać się w niepotrzebne dyskusje, i przepychała się, by dostać się do środka.

Nie mogła wtopić się w otoczenie. Ewidentnie tu nie pasowała. Była zbyt normalna, zbyt trzeźwa, zbyt wykształcona i zbyt bogata. Miała zbyt dużo, i nie chodziło tu jedynie o dobra materialne. Miała dzieci i przyjaciół, którzy nie pozwolili jej się stoczyć.

Wiedziała, że nie wytrzyma tu dłużej niż kwadrans.

– Dobry wieczór. – W środku wrzało jak w ulu. – Nazywam się Wilk i szukam Szajbusa, przyszedł już? – zagadnęła mężczyznę, który wyglądał na kogoś z obsługi.

Spojrzał na nią, ale potraktował jak powietrze.

– Możesz zawołać Szajbusa albo wpuścić mnie do niego? – powtórzyła.

– Nie – odpowiedział i stanowczo wyprosił ją za drzwi.

Aleksandra nie zamierzała odpuścić. Pokręciła się jeszcze wokół budynku, zagadnęła osobę wyglądającą przez okno i kilku mężczyzn, których oceniła jako stałych bywalców tego miejsca. Każdy z nich chciał wyciągnąć od niej pieniądze, w zamian nie oferując nic. W końcu koło północy uznała, że poniosła klęskę. Postanowiła wrócić do domu. Doszła do skrzyżowania i zerknęła na ogromny mural na boku kamienicy. Kolorowy rysunek przedstawiał przewracającą się drewnianą ruderę z oknami zabitymi dechami i kanapkę z szynkowym ozorem. Pomyślała, że zamówi taksówkę, a zanim ta przyjedzie, przyjrzy się muralowi z bliska.

Na ulicy nie było żywego ducha. Ulica Nawrot nawet w ciągu dnia nie sprawiała miłego wrażenia. Aleksandra pomyślała, że najbardziej niebezpieczne dzielnice miast wyglądają zawsze tak samo. Nie chciałaby spotkać w ciemnej

uliczce żadnego z jej mieszkańców. Pamiętała nagłówki portali informacyjnych sprzed kilku lat – to właśnie w tym rejonie Łodzi znaleziono mężczyznę z dwudziestoma ośmioma ranami kłutymi.

Sięgnęła po komórkę, by jak najszybciej zamówić taksówkę. Dokładnie w tym samym momencie usłyszała męski głos, a po chwili odgłos szybkich kroków.

Nie odwróciła się, ale poczuła przypływ adrenaliny. Musiała połączyć się z firmą taksówkarską, ale drżące palce utrudniały jej przeglądanie historii połączeń.

– Odpierdol się! – usłyszała niski i chropowaty głos. Później nie słyszała już nic. Coś twardego uderzyło ją w głowę.

Upadła. Kiedy jej policzek zetknął się z płytą chodnikową, poczuła ból.

Kolorowy mural przez chwilę wirował, aż w końcu drewniana rudera rozsypała się, a ogromna kanapka zaczęła maszerować ulicą i krzyczeć:

– Spierdalać!

VII
środa

Kiedy Urszula zobaczyła kręcącą się przy noclegowni Aleksandrę Wilk, usunęła się na bok i uważnie obserwowała jej poczynania.

To nie mógł być zbieg okoliczności, że w ciągu ostatnich kilku dni ciągle napotykała tą samą postać. Niewinną panią psycholog, która w Łodzi jest tylko przejazdem.

Najpierw weszła do mieszkania znajdującego się pod policyjną obserwacją. Potem przyznała się do rozmów z Piotrem Wróblewskim, ale odmówiła współpracy, gdyż podobno właśnie zamierzała opuścić wielokulturowe miasto i wrócić do Pyrlandii.

Niespodziewane spotkanie w domu aukcyjnym dało Urszuli do myślenia, ale wtedy skupiona była na broszce i Faberze, więc nie zdążyła dokładnie wypytać kobiety o to, dlaczego zmieniła zdanie i została w Łodzi.

Dzisiaj nie zamierzała przepuścić okazji. Pojawiła się w noclegowni, bo chciała porozmawiać z Krzysztofem Kędziorą, pseudonim Szajbus. Wiedziała, gdzie go szukać.

Po przejęciu sprawy zabójstwa Tomaszewskiej dokładnie zapoznała się z aktami sprawy. Przejrzała protokoły przesłuchań z dziewięćdziesiątego piątego. Na pierwszy ogień poszła wtedy znajoma Tomaszewskiej, która znalazła zwłoki. Nie budziła jednak żadnych podejrzeń. Zaraz po niej przyszła kolej na niesforną młodzież zamieszkującą skłot.

Kilkanaście zbuntowanych osób, w przeważającej części nastolatków, nie wniosło do sprawy nic nowego. Według prowadzącego ówczesne śledztwo, wszyscy mieszkańcy skłotu byli tak samo podejrzani. Żadnemu nie można było jednak niczego udowodnić. Na miejscu zdarzenia nie odnaleziono śladów, które można by przypisać któremuś z nich. Nie znaleziono też świadków, którzy widzieliby mieszkańców skłotu wchodzących lub wychodzących z domu Tomaszewskiej w dniu jej zabójstwa.

Dzięki archiwalnym protokołom Urszula dysponowała danymi osobowymi wszystkich, którzy mogli coś widzieć lub słyszeć. Wyselekcjonowała nawet kilka osób, z którymi porozmawiała zaraz po przejęciu sprawy. Chciała sprawdzić, czy po latach nie zmieniły zeznań.

Dla niektórych przygoda ze skłotem była jedynie młodzieńczą zabawą. Po roku, dwóch lub trzech wracali do rodzin, do normalnego życia. Inni, podobnie jak Piotr Wróblewski, próbowali życia pełnego zasad, norm i ograniczeń, ale ustawiali się w nim tak, by jedną nogą nadal być poza prawem.

Dla niewielu mieszkańców skłotu – w tym dla Szajbusa – bunt był sposobem na całe życie. Brak domu nie był dla niego problemem. Nazywał się wolnym człowiekiem. Urszula z akt policyjnych wiedziała, że wolność Kędziory jest mocno dyskusyjna. W sumie ponad dziesięć lat spędził w więzieniach, a pozostały czas na ulicach Łodzi. Miał posłuch wśród innych bezdomnych, zapewne dlatego, że uchodził za mocno doświadczonego w każdej dziedzinie.

– Szybko, bo nam ucieknie.

Dwóch mężczyzn wyszło z noclegowni. Rozejrzeli się wokoło i poszli dokładnie w tym kierunku, w którym udała się ruda psycholog.

Urszula domyślała się, co się święci. Wychyliła się zza zarośli i – hołdując zasadzie „przezorny zawsze ubezpieczony" – założyła kastet. Trzymała dystans, ale kiedy zobaczyła, że mężczyźni podbiegają do Aleksandry, również zaczęła biec.

– Spierdalać! – krzyknęła, gdy miała napastników na wyciągnięcie ręki.

Zaskoczyła ich. Jeden dostał cios w brzuch i od razu uciekł. Drugi był bardziej agresywny. To on zdzielił rudą po głowie, a później kopnął ją. Urszula wycelowała pięść w jego twarz. Trafiła w szczękę. Mężczyzna zamiast upaść, przystąpił do ataku. Przyjęła cios w brzuch.

– Fuck! – syknęła.

Kilka sekund wcześniej zamierzała jedynie odstraszyć agresora. Teraz miała zamiar oddać mu z nawiązką.

Po wymianie kilku ciosów udało jej się trafić w nos przeciwnika.

– Kto was przysłał? – zapytała, ale mężczyzna nie był skłonny do rozmowy. Splunął w jej stronę i uciekł.

*

– Nic ci nie jest?

Podnoszę się, korzystając z pomocy policjantki.

– Nie – odpowiadam, choć zdaję sobie sprawę, że mogłoby mnie stać na coś bardziej oryginalnego.

Ktoś mnie zaatakował. Uderzył. Zadał ból. Sprawił, że walnęłam głową w chodnik. Na pewno coś mi jest. Jeśli nie mam wstrząsu mózgu, to pewnie złamałam rękę, nogę… Sprawdzam… Mogę się ruszać.

Coś cieknie mi po twarzy. Pot? Przecieram ręką czoło i policzki. Nie, to krew.

– Uciekli.

Policjantka nie wydaje się tym przejęta.

– Nie mieli wyjścia.

Boże. Wszystko mi wiruje w głowie, ziemia się rusza… zaraz upadnę.

– Jedziemy do szpitala – zarządza moja zbawczyni.

– Nie ma mowy. Nic mi nie jest. Muszę tylko odzyskać równowagę.

– Powinien zobaczyć cię lekarz.

– Co ty w ogóle tu robisz? – Być może nie wyglądam najlepiej, ale na szczęście mózg działa prawidłowo.

Skąd w środku nocy wzięła się Urszula Zimińska? Śledzi mnie? Dlaczego?

– Jeśli nie lekarz, to policja. Powinnyśmy to zgłosić.

– Nie – protestuję. – Chcę do domu.

Nie ma czego zgłaszać. Nie będę się nikomu tłumaczyć. Ani lekarzowi, ani policjantom, ani jej. To, że uratowała mi życie… a przynajmniej torebkę i resztę godności, nie znaczy, że muszę być jej dozgonnie wdzięczna.

– Musimy porozmawiać…

– Później.

Nie chcę słuchać niewygodnych pytań ani kłamać. Boli mnie głowa. Muszę pomyśleć, jak wytłumaczyć tu swoją obecność. Przecież nie powiem jej, że liczyłam na pomoc Szajbusa w odnalezieniu Czachy. Faceta, który najprawdopodobniej próbował zabić Pikasa.

Skoro on nie może o tym powiedzieć policji, to pewnie ma swoje powody. Ja też powinnam milczeć.

– Wiesz, że rzucasz się w oczy? Zwłaszcza w środku nocy wśród bezdomnych? Wrócę do nich i dowiem się, o co pytałaś. Chcesz się założyć, że ustalenie powodu, dla którego tu przyszłaś, zajmie mi nie więcej niż pięć minut?

Przesadziła z pięcioma minutami. Jest środek nocy, a w noclegowni panuje już pewnie cisza nocna. Ale wystarczy, że zagada kogoś z obsługi i już będzie mnie miała.

– Przyszłam porozmawiać ze znajomym.

– Pracuje tu czy sypia?

– Sypia.

Patrzy na mnie jak na kretynkę. Kolejna osoba, której się wydaje, że bezdomni nie mogą mieć znajomych z domem, pracą i rodziną.

– Dziwnych masz znajomych. Jak się nazywa?

– To kolega z przeszłości. Szajbus.

– Szajbus?

Myślałam, że jak zdradzę jej część prawdy, to pozwoli mi odejść. Po błysku w jej oku widzę, że dopiero teraz wzbudziłam jej zainteresowanie.

– Pójdziesz ze mną! Bez gadania.

*

Dotarcie na komisariat nie było tak łatwe, jak mogłoby się wydawać. Urszula najchętniej pomaszerowałaby, nawet to zaproponowała, ale Aleksandra z zakrwawioną twarzą i problemami z równowagą nie nadawała się na nocne spacery.

Policjantka zamówiła więc taksówkę, a na samą myśl o jeździe samochodem dostała gęsiej skórki.

– Kopernika dwadzieścia dziewięć – powiedziała, kiedy podjechał samochód. – Śpieszy się nam, niech pan jedzie przez Piłsudzkiego – dodała, pokazując policyjną blachę.

Zwykle nie nadużywała swojego stanowiska, ale tym razem była gotowa zrobić wszystko, by skrócić swoje cierpienia. Oszacowała odległość dzielącą ją od komendy, podzieliła przez średnią prędkość samochodu i podsumowała, że podróż samochodem zajmie mniej więcej pięć minut.

Po dwóch zaczęła się wiercić, po trzech brak przestrzeni stał się bolesny, a po czterech czuła zbliżające się problemy z oddychaniem. Czytała, a właściwie próbowała odczytać jakieś stare wiadomości ze swojej komórki. Tylko czytanie pomagało jej przetrwać w środkach lokomocji. Odrywało jej myśli od skupiania się na tym, co dzieje się z jej ciałem.

– Jesteśmy na miejscu – głos taksówkarza uświadomił Urszuli, że samochód się zatrzymał.

Zapłaciła za kurs i najszybciej jak tylko mogła wyszła na zewnątrz.

Panika i lęk społeczny – to były dwa słowa najczęściej powtarzane przez lekarza, do którego lata temu zwróciła się z prośbą o pomoc. Tłumaczył jej, że najlepszą formą terapii będzie odwrażliwianie. Zrezygnowała z jego usług.

Nie wyobrażała sobie tego, by lęk przed tłumem, ściskiem, brakiem przestrzeni i dotykaniem przez obcych leczyć wpychaniem się do zatłoczonych autobusów czy taksówek. Świadomość zamknięcia w ruchomej metalowej puszce była dla niej zbyt trudna do zniesienia.

O wiele łatwiejsze było sprawianie pozorów. Wszyscy myśleli, że jest zagorzałą zwolenniczką ruchu i z tego powodu wszędzie chodzi pieszo albo jeździ na rowerze. Jazdy samochodem nie dawało się jednak całkowicie wyeliminować, nie w pracy, którą wykonywała. Na to też miała sposób. Czytała akta, książki lub cokolwiek innego, co miała pod ręką. Kiedy objawy paniki zaczynały przejmować nad nią kontrolę, tłumaczyła, że się czymś zatruła, albo że wypiła za dużo poprzedniego wieczoru.

– Siadaj. – Urszula wskazała Aleksandrze krzesło i zamknęła drzwi do swojego pokoju.

Kobieta usiadła i zamiast rozglądać się dookoła, jak robili cywile trafiający na komendę, wpatrywała się w swoje paznokcie. Milczała.

Zimińskiej to nie przeszkadzało. Podeszła do kącika socjalnego i przygotowała herbatę. Od czasu do czasu zerkała na psycholożkę. Najbardziej niepokoiła ją

profesja kobiety, a konkretniej jej zawodowa wiedza. Obawiała się, że podczas jazdy samochodem mogła zauważyć, co działo się z ciałem policjantki. Zauważyć, prawidłowo zinterpretować i chwilę później wykorzystać do własnych celów.

– O czym chciałaś rozmawiać z Szajbusem? – Postawiła kubek przed Aleksandrą i usiadła za biurkiem.

– Pomyślałam, że skoro jestem w Łodzi, to go odwiedzę.

– Skąd go znasz?

– To znajomy znajomego… – Kobieta unikała jej wzroku. Ciągle przyglądała się swoim paznokciom, jakby w tym momencie stanowiły najciekawszą rzecz świata. – A może znajomy znajomego znajomego? Nie pamiętam. Miły gość.

– Czterokrotnie siedział w więzieniu. Czy ja wiem, czy taki miły? – Urszula zawiesiła głos. Ta rozmowa nie miała sensu. Ewidentnie nie znalazła jeszcze płaszczyzny porozumienia z rozmówczynią. Zamiast odpowiedzi ciągle słyszała kłamstwa. – Słuchaj, jesteśmy w tym pokoju same. Ty i ja. Jeśli jest coś, czego nie chcesz zdradzić, bo boisz się, że komuś zaszkodzi, to obiecuję ci…

– Nie ma nic takiego.

– Dobra. – Urszula machnęła ręką i spuściła głowę. Zakomunikowała w ten niewerbalny sposób, że odpuszcza.

Aleksandra wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną, pośliniła ją i zaczęła wycierać ślady krwi, które zostały na jej dłoni.

– Zacznijmy od początku. – Urszula chwyciła krzesło stojące przy biurku i usiadła zaraz obok zdenerwowanej kobiety. Tym razem nie patrzyła w jej oczy. – Cześć. – Wyciągnęła rękę. Musiała nawiązać kontakt z Aleksandrą. Pomyślała, że zacznie od kontaktu fizycznego. – Mam na imię Ula i nie jestem twoim wrogiem. Godzinę temu uratowałam ci życie.

– Dziękuję. – Aleksandra uścisnęła dłoń. – Chociaż wydaje mi się, że dramatyzujesz. Ci, ci… – Nagle zdała sobie sprawę, że nawet nie zdążyła przyjrzeć się sprawcom. – No wiesz, nie sądzę, żeby mieli mordercze zapędy. Pewnie po prostu chcieli mnie wystraszyć.

– Ten, który kopał cię po brzuchu, nie wyglądał na kogoś, kto nad sobą panuje.

– Dobrze, przyznaję ci rację i cieszę się, że znalazłaś się w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze. – Aleksandra po raz pierwszy po wejściu na komisariat pozwoliła sobie spojrzeć w oczy policjantki. – Zbieg okoliczności, czy jesteś moim aniołem stróżem?

– Zbieg okoliczności – odpowiedziała Urszula, zgodnie z prawdą. – Też chciałam porozmawiać z Szajbusem. Dlatego pytałam, o czym chciałaś z nim porozmawiać. Dziwnie byłoby, gdybyśmy się dublowały.

– Mówiłam już…

– Ola… mogę tak się do ciebie zwracać? Jeśli masz kłamać, to lepiej nie mów

nic.

Zapadła cisza. Urszula wypiła herbatę i odezwała się pierwsza:

– Znasz serial „Z Archiwum X”? Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego media nazywają komórkę, w której pracuję, „policyjnym Archiwum X”. Przecież Mulder i Scully zajmowali się starymi sprawami, których nie dało się wyjaśnić na drodze konwencjonalnego rozumowania. Gonili kosmitów i zachwycali się zjawiskami paranormalnymi. Moja praca polega na analizie starych akt i poszukiwaniu błędów w rozumowaniu lub procedurach, luk czy niezgodności, których nikt do tej pory nie zauważył. To nie ma nic wspólnego z kosmitami. Wspominałam ci, że pracuję teraz nad sprawą zabójstwa z dziewięćdziesiątego piątego roku? Renata Tomaszewska była samotną staruszką. Mieszkała w ogromnym domu i przechowywała w nim dużo wartościowych obrazów, posągów i przepiękną biżuterię. Którejś nocy natknęła się na złodzieja, który plądrował jej dom. Nie miała szans w bezpośrednim starciu. Została uduszona, okradziona, a sprawca tamtego zdarzenia nadal jest na wolności. Trzęsiesz się, zimno ci? Może jednak pojedziesz do szpitala?

– Nie! Nie, po prostu nie cierpię komisariatów… policyjnych mundurów i tego wszystkiego… Mediów też.

– Skąd u ciebie odraza do mojej firmy?

Pytanie zawisło w powietrzu. W nocy w komisariacie panował przyjemny dla ucha spokój. Z korytarza nie dobiegały rozmowy ani rubaszne śmiechy.

Urszula mogłaby pracować tylko na nocną zmianę. Nie widywałaby się wtedy z wrednym przełożonym.

– Aleksandra Wilk. – Podeszła do komputera i wpisała nazwisko psycholog do bazy danych. Chciała sprawdzić, czy znajomość kobiety z recydywistą Szajbusem jest bliższa, niż pozornie mogłoby się wydawać. – Aleksandra Wilk… szuka… Ooo. Zatrzymana w sierpniu dziewięćdziesiątego piątego roku pod zarzutem kradzieży na poznańskim dworcu.

*

– Już lepiej?

Kiedy Urszula zaobserwowała u Aleksandry dobrze znane sobie objawy rosnącej paniki, najpierw otworzyła szeroko okno, a gdy nie przyniosło to większej poprawy, wyprowadziła kobietę na zewnątrz. Usiadły na chodniku przed komisariatem.

– Tak. – Aleksandra próbowała zapanować nad oddechem i jednocześnie ukryć przerażenie. Wiedziała, że kiedyś, w najmniej oczekiwanym momencie, jej niechlubna przeszłość wróci do niej. – Dziękuję. To chyba efekt tego uderzenia. Albo zmęczenia. Nie wiem. Zakręciło mi się w głowie.

– Może jednak lekarz?

– Nie, szkoda fatygi. Już mi lepiej. O wiele lepiej. Jakie piękne niebo.

– Mały wóz, wielki wóz… – Urszula przypomniała sobie stary dowcip i zaczęła chichotać. Gwiazdy na niebie wyglądały tak samo jak poprzedniej nocy, nie widziała w nich nic zachwycającego. – Ooo, radiowóz. – Policyjny samochód stał na wyciagnięcie ręki. – Wiesz co? Przyznam ci się, że też nie lubię tego miejsca. Pocieszam się, że już za rok pójdę na emeryturę i w końcu się od tego wszystkiego odetnę.

– Nie lubisz swojej pracy? – Aleksandra po raz pierwszy tego wieczoru wydawała się być zainteresowana tą rozmową.

– Pracę lubię. Uwielbiam te sprawy, wszystkie niewiadome i czynności, które należy podjąć, by zebrać dowody pozwalające na skazanie winnego. Nie przepadam jednak za miejscem i ludźmi, których muszę tu oglądać.

– Traktują cię gorzej, bo jesteś kobietą?

– Jedni gorzej, inni lepiej, ale to nie o to chodzi. Jeśli musisz ściśle współpracować z kimś, kto tylko czeka na to, by się ciebie pozbyć, to nawet oddychanie wydaje się ryzykowne. A nuż mu się nie spodoba, że robię to za głośno albo za często, i zużywam tlen przeznaczony dla reszty zespołu?

– Rozumiem. I współczuję.

– Olka, co robiłaś w noclegowni w środku nocy?

Pytanie wróciło, ale tym razem w zupełnie innych okolicznościach przyrody, zupełnie innym brzmieniu i podczas luźnej rozmowy. Aleksandra uśmiechnęła się.

Mogłaby dyskutować na temat tego, że to jeszcze nie była noc, że właściwie prawie nawet nie weszła do noclegowni i że jest zmęczona. Ale instynktownie czuła, że Urszula Zimińska – chociaż jest policjantką – nie ma złych intencji.

– A ty? – spytała, chcąc sprawdzić, czy również w sprawach zawodowych może liczyć na szczerość rozmówczyni.

Urszula odpowiedziała jej tym samym. Ciepłym uśmiechem oznaczającym „nie wiem, czy mogę ci powiedzieć".

Na horyzoncie pojawiło się dwóch policjantów. Byli tego samego wzrostu, a w mundurach wyglądali jak bliźniaki jednojajowe. Niemalże w tej samej chwili kiwnęli rękoma w stronę Urszuli. Aleksandra spięła się na ich widok.

Mężczyźni wsiedli do radiowozu i odjechali.

– Nie przepadasz za policją. Zwykle wykształcone i dobrze usytuowane kobiety w średnim wieku chętnie z nami rozmawiają.

– Nie ufam wam.

– Nam? Nie jestem policją, jestem funkcjonariuszką siedzącą w sprawach archiwalnych. Próbuję rozwiązać zagadkę śmierci pewnej staruszki. Nie powinnaś się mnie obawiać, chyba że to ty ją zabiłaś.

– No wiesz?! Nie miałyśmy dobrego początku. Kazałaś facetowi zgarnąć mnie z ulicy i zawieźć do opuszczonej hali. Takie zachowania nie budują zaufania,

mówię ci to jako psycholog.

– Wiem, dlatego zaproponowałam, żebyśmy zaczęły jeszcze raz.

– Pierwsze wrażenie jednak zostaje…

– A tak serio?

– Serio?

– Serio.

– Rok temu – Aleksandra spoważniała – policjanci powiedzieli mi, że mój mąż został zamordowany. Obiecali, że jeśli będę z nimi współpracowała, to znajdą zabójcę. Uwierzyłam im, mimo że moje wcześniejsze doświadczenia podpowiadały, że to zła droga. Pomogłam im, ale oni nie dość, że nie znaleźli zabójcy, to jeszcze przyczynili się… Nieważne. Policja to kolejna beznadziejnie skostniała instytucja, która istnieje tylko dla siebie samej. Pilnowanie porządku i pomoc społeczeństwu to jedna wielka ściema.

– Rozumiem, zawiedzione nadzieje…

Kobiety przestały już zauważać gwiaździste niebo. Ich świat ograniczył się do chodnika, na którym siedziały, ich samych i złych wspomnień, które zawisły w powietrzu.

– Gówno rozumiesz. To był ostatni gwóźdź do mojej trumny. Przez lata nic się nie zmieniło. Wykorzystujecie ludzi tak, jak się wam podoba. Jesteśmy dla was tylko pionkami w grze. W dziewięćdziesiątym piątym wracałam pociągiem z gigantu do domu. Byłam głodna i na poznańskim dworcu ukradłam parę rzeczy ze spożywczaka. Sprzedawca złapał mnie za rękę i zadzwonił po policję. Noc spędziłam w areszcie. To była najgorsza noc mojego życia. A po niej jeszcze jedna. Jesteś w stanie sobie wyobrazić jak to jest, gdy piętnastolatka trafia na dołek? Policja zawiadomiła rodziców, ale ci się nie zjawili. Założę się, że specjalnie czekali z odebraniem mnie. Chcieli dać mi nauczkę, podobnie jak policjant, który wtedy miał dyżur…

*

– Muszę do toalety.

Aleksandra przezwyciężyła wstyd i zagadnęła przechodzącego policjanta. Od dłuższego czasu czuła, że musi załatwić potrzebę fizjologiczną, jednak nie chciała zwracać na siebie niczyjej uwagi. Nie dość, że wylądowała za kratkami, to obcy mężczyźni kazali jej zdjąć rajstopy i wyjąć sznurowadła z glanów.

Zrobiła, co kazali, błagając jednocześnie o to, by zadzwonili do jej rodziców. Nie chciała iść do więzienia. Nie za dwie bułki, oranżadę i czekoladę. Oddała je przecież.

– Poczekaj do rana.

– Przepraszam, ale dłużej nie wytrzymam.

– Wytrzymasz. – Tłusty policjant nie dawał za wygraną.

Dziewczyna zbyt długo wstrzymywała, by czekać do świtu. Wiedziała, że nawet gdyby teraz policjant otworzył kraty i zaprowadził ją do toalety, miałaby problem, by tam dojść. Od tego wszystkiego bolał ją już cały brzuch.

– Proszę, błagam.

– Mietek, co ty pastwisz się nad taką młodą dziewczyną? – W korytarzu pojawił się kolejny policjant. Chudszy i młodszy od tego obok.

– Mnie się już nie chce tak biegać w kółko, ale jeśli ty masz miękkie serce, Waldi, to proszę bardzo. – Starszy policjant zniknął za rogiem.

– Proszę, muszę do toalety! – powtórzyła dziewczyna.

Policjant bez słowa podszedł do drzwi, otworzył je i poprowadził Olę.

– Dziękuję – powiedziała, kiedy dotarli na miejsce.

Sekundy dzieliły ją od przyjemnego uczucia opróżnienia pęcherza.

– Proszę.

– Ale… – Czekała aż wyjdzie i zamknie za sobą drzwi.

Nie miała czasu. Liczyła się z tym, że w każdej chwili może przegrać walkę z pęcherzem, ale zależało jej na zachowaniu resztek godności.

– Ach, drzwi. – Uśmiechnął się i je zamknął, zostając w środku. – Nie krępuj się.

– Czy mógłby pan… Chciałabym zostać sama.

– Niestety nie. Takie są procedury.

– Ale… – Chciała kłócić się, że należy jej się odrobina prywatności, i że kiedy była w toalecie w ciągu dnia, to obowiązywała inna procedura, a policjant czekał za drzwiami.

Zrezygnowała. Spojrzenie policjanta, który początkowo wzbudził w niej pozytywne odczucia, nie było już takie miłe.

– Nie lubię się powtarzać, ale dla ciebie zrobię wyjątek. Nie krępuj się. Sikaj.

Odkręcił kurek z zimną wodą, a dziewczyna wiedziała, że nie wytrzyma ani sekundy dłużej. Podniosła spódnicę i w końcu rozluźniła mięśnie. Gorący strumień moczu wydostał się na zewnątrz.

– Już? – zapytał, kiedy ostatnie krople moczu uderzyły o muszlę klozetową.

Nie zdążyła odpowiedzieć. Złapał ją za biodra, odwrócił do siebie tyłem i ustawił przy umywalce.

– Cicho! – Zagroził jej bronią.

Nie widziała jego twarzy, ale czuła, co się święci. Jego oddech przyspieszył, a głos stał się ochrypły. Stopą rozsunął jej nogi, tak jakby chciał ją przeszukać.

W myślach dziewczyny pojawił się cień szansy. Bardzo chciała, żeby policjant trzymał się procedur. Żeby sprawdził, czy nie ma przy sobie niebezpiecznych rzeczy i odprowadził ją do celi. Chciała wrócić na twardą i śmierdzącą pryczę. Dałaby wiele, by cofnąć czas, by wyjść z pociągu na dworcu i zamiast do sklepu, pójść prosto do domu. Do rodziców, którzy nagle wydali jej się nie tacy całkiem źli.

Policjant przywarł do pleców dziewczyny i chwycił jej piersi. Ścisnął je przez bluzkę, jakby tylko chciał sprawdzić ich wielkość, a następnie pchnął dziewczynę, zmuszając ją do pochylenia się.

Użył do tego tyle siły, że niemalże uderzyła głową w umywalkę. Na szczęście zdążyła zasłonić twarz rękoma. Ból, który poczuła w łokciach, przyćmił to, co działo się z pozostałą częścią jej ciała.

– Nie no! – jęknął policjant, gdy całym sobą wepchnął się w jej wąską pochwę. – Czyżbym rozbił bank? Jesteś dziewicą?

Nie odpowiedziała, czym wprawiła policjanta w złość. Złapał ją za włosy i odchylił głowę na bok, by mógł spojrzeć jej w oczy.

– Proszę… – popłakała się. Nie tak wyobrażała sobie swój pierwszy seks. Nie tego miała doznać podczas ucieczki z domu. Wszystko oddałaby za możliwość cofnięcia czasu.

– Zamknij się, bo cię zastrzelę! Nie słyszałem odpowiedzi. Dziewica?

– Tak.

Przez chwilę wydawało jej się, że nacisk w okolicach krocza maleje. Ucieszyła się nawet, że świadomość tego, że to miałby być jej pierwszy raz, ochłodziła samcze popędy.

– Nie uczyli cię w szkole – wysunął się z niej, by wejść jeszcze raz, tym razem bardziej brutalnie i jeszcze głębiej – że jak pan policjant pyta, to odpowiada się całym zdaniem?

– Tak – jęknęła, a łzy popłynęły jej po policzkach – jestem dziewicą.

– Nie słyszałem.

– Panie policjancie, jestem dziewicą.

Ta informacja i posłuszeństwo dziewczyny wprawiły policjanta w świetny humor. Zaczął poruszać się rytmicznie do przodu i do tyłu, a kiedy skończył, znowu złapał jej piersi i szepnął do ucha:

– Już nie jesteś, ale miło, że to dla mnie zachowałaś. Zapamiętaj, że twój pierwszy facet miał na imię Waldek. Jeśli będziesz chciała więcej, to się nie krępuj. Zawsze chętnie przyprowadzę cię do kibla.

*

– Chodźmy stąd.

Podoba mi się propozycja Urszuli. Powoli zaczynam się przekonywać do tej kobiety. Nie wiem, czy to pokrewieństwo dusz, czy podobne wykształcenie, ale chwilami patrzę na nią i widzę siebie.

Wspomniałam jej o gwałcie, a ona nic. Nie jest ani zbulwersowana, ani zgorszona, ani tym bardziej zawstydzona. Świetnie.

– Ostrożnie. – Podaje mi rękę.

Podnoszę się z chodnika i czuję ulgę. Boże, właśnie kamień spadł mi z serca.

Nigdy nikomu nie opowiadałam o tym, co stało się w dziewięćdziesiątym piątym.

– Gdzie się zatrzymałaś?

– U znajomej… to znaczy w mieszkaniu znajomego w Tobaco Park.

– To blisko. Odprowadzę cię.

Rzeczywiście, stoimy na ulicy Kopernika, na tej samej, przy której znajduje się apartament. Nie mam siły, ale chyba wytrzymam krótki spacer. Piesza wycieczka ma kilka zalet.

Po pierwsze, opuścimy teren komisariatu. Duszę się tu – nieważne czy w środku, czy na zewnątrz. Nie jestem w stanie się uspokoić. Patrzę w niebo, ale i tak mam świadomość tego, że za moimi plecami znajduje się gniazdo os. Policyjnych inwazyjnych istot z ostrymi żądłami.

Po drugie, będziemy szły przed siebie, dzięki czemu Urszula nie będzie mogła mi się przyglądać.

Po trzecie… na pewno istnieje też jakieś po trzecie, ale w tej chwili głowa boli mnie tak, że nie chce mi się myśleć.

– Mogłaś go oskarżyć.

– Ja? Nastolatka, która wraca właśnie z wielkiego giganta? Złodziejka, której wstydzą się rodzice? Kto by mi uwierzył? No powiedz, kto? I w ogóle jak miałam to zrobić? Miałam zaufać innemu policjantowi i opowiedzieć, jak jego kolega wciskał we mnie swojego penisa? Proszę cię. Miałby niezły ubaw. Jeszcze by się rozochocił i chciał sam sprawdzić, czy jestem tak ciasna, jak to przedstawiał Waldi. Wiesz, że ja potem miesiącami zastanawiałam się, co takiego zrobiłam, że go sprowokowałam? Czy uśmiechnęłam się nie tak, czy może miałam za krótką sukienkę?

– Nie możesz się obwiniać. Tamten facet był łowcą. Wybrał ciebie na ofiarę, bo wiedział, że zostanie bezkarny. Zadbał o to, by zdominować cię i zasiać ziarno niepewności. Zanim ci to zrobił, wiedział, że nie piśniesz ani słowa.

Nawet gdybym chciała pisnąć, to nie miałam komu. Rodzicom, którzy po moim zatrzymaniu postanowili, że poczekają z moim odbiorem? Chcieli dać mi nauczkę.

I dali. Gwałt i lęk przed załatwianiem potrzeb fizjologicznych – taką wyciągnęłam lekcję.

Rodzice zrobili wszystko, co było w ich mocy. Podobno to dzięki nim sprawa została umorzona, a ja nie zostałam osądzona o kradzież. Hura! Powinnam zaśpiewać „cudownych rodziców mam, przyjaciółmi moimi są". Powinnam być wdzięczna. Tego ode mnie oczekiwali.

Nie potrafiłam.

– Waldi? Waldemar… – Urszula wydaje się być naprawdę przejęta moją historią. – Nie wiesz przypadkiem, jak się nazywał?

– Wiem jak śmierdział, jakie obleśne miał spojrzenie i jak się nazywał. Tylko

chęć zemsty utrzymywała mnie w kupie przez pierwsze kilka lat. Waldemar Baraniak.

– Fuck! – Staje jak wryta, a ja nie wiem, o co chodzi. – Jesteś pewna?

– Tak, a co?

Ruszamy przed siebie. Do Tobaco Parku zostało jeszcze kilka kroków. Urszula milczy. Nie dopytuję. Czekam, aż sama mi powie.

Chłonę śpiącą Łódź. Holly-Łódź. To miasto na mnie działa. Teraz czuję się tak lekka i wolna jak przed dwudziestoma laty.

– Baraniak to mój przełożony. – Urszula odzywa się dopiero wtedy, kiedy stajemy przy bramie prowadzącej do luksusowego osiedla. – Skurwiel jeden, który ma problem z kobietami. Traktuje mnie jak śmiecia i oczekuje bezwzględnego i ślepego posłuszeństwa. Fuck, czy to mógł być on? Ale zaraz, zatrzymali cię w Poznaniu czy w Łodzi?

– W Poznaniu.

– Muszę sprawdzić, gdzie w dziewięćdziesiątym piątym pracował ten kutas.

– Jeśli to on…

– Jeśli to on, to założę się, że nie jesteś jedyną jego ofiarą. Myślałam, że po prostu go drażnię, że nie odpowiada mu mój styl pracy. Ale teraz widzę, że wszystko co robi, jest świetnie zaplanowane i zmierza do jednego. Świetna strategia. Zgnoić człowieka, sprawdzić, czy nadaje się na ofiarę, a później w najmniej oczekiwanym momencie zaatakować i dać upust swoim seksualnym fantazjom.

– Chcesz wejść? – pytam spontanicznie, bo czuję, że policyjne przesłuchanie już dawno zmieniło się w koleżeńską rozmowę.

Być może nie dotykamy miłych tematów, ale rozmawiamy szczerze. Dobrze mi z tym.

– Nie, prześpij się trochę, a później pójdziemy porozmawiać z Czachą. Ola, dziękuję, że opowiedziałaś mi o tym, co cię spotkało. Baraniak to skurwiel i zrobię wszystko, żeby go ukarać…

Opowiada o tym, jak szef ingeruje w wykonywaną przez nią pracę i jak bardzo zależy mu na tym, żeby przestała interesować się sprawą zabójstwa Renaty Tomaszewskiej. Nic mi nie mówi to nazwisko. Nie mogę powstrzymać ziewania. Jestem zmęczona. Marzę o prysznicu i o łóżku.

– Mam poważne podejrzenia, że zabił ją Pikaso.

To zdanie wybija mnie z odrętwienia. Pikaso? Podejrzany o zabójstwo? To dlatego obserwowała jego mieszkanie, dlatego ukradła teczkę z mojego samochodu?

– Jak to zabił? Kiedy?

– W dziewięćdziesiątym piątym.

– Pikaso? To niemożliwe – wyrzucam z siebie.

Przecież nie jestem naiwna. Nie mogę zaświadczyć, że jest niewinny. Nie

trzymałam go za rękę.

Boże… Ten jego tatuaż za uchem, próba manipulowania mną i opowieść o tym, że ktoś chce go zabić. Śmierć za śmierć?

– Tomaszewska została zabita w piątek, w poniedziałek policja wkroczyła do skłotu i przesłuchała wszystkich, którzy tam mieszkali. Między innymi Pikasa i Szajbusa. Wtedy nie postawiono im zarzutów, ale…

Do skłotu? Wstrzymuję oddech i staram się panować nad resztą ciała. Zero podejrzanych gestów czy min.

– Ale co? Co się zmieniło?

– Wypłynęła broszka, którą wtedy skradziono denatce.

– Broszka?

Wszystko nagle staje się jasne. Widziałam szkic ważki w jego rzeczach. Broszki w kształcie ważki. Nie! To musi być jakiś koszmarny zbieg okoliczności!

– Dlaczego przesłuchiwano ludzi ze skłotu?

– Byli pierwszymi podejrzanymi. Dom denatki znajdował się blisko skłotu. Poza tym starsza pani mogłaby wydawać się skłotersom łatwą ofiarą. Wystrojona w wartościową biżuterię, rozwoziła po okolicy jedzenie dla kotów.

– Kiedy? Kiedy dokładnie ją zamordowano? – pytam, ale wydaje mi się, że znam odpowiedź.

Znam też tę kobietę. To znaczy… znałam ją.

*

Krzaki stanowią niemalże idealną kryjówkę. Osłaniają ją przed spojrzeniami innych ludzi, ale trochę utrudniają obserwację otoczenia.

Trzypiętrowy dom w przeszłości musiał wyglądać okazale. Dziś jest już tylko duży i zaniedbany, podobnie jak otaczający go ogród. Drzewa rosną w nim jak chcą, dawno nie widziały też ręki ogrodnika. Trawnik zmienił się w wypaloną od kociego moczu plantację chwastów, a kwiaty wzbogacają swoim kolorem zieloną dżunglę.

Już na pierwszy rzut oka widać, że w domu brakuje mężczyzny. Jego właścicielka jest samotną staruszką i nie przykłada uwagi do wyglądu otoczenia. Nie można jednak powiedzieć, że nie przykłada uwagi do swojego wyglądu. Zawsze, kiedy wychodzi z domu, jest wystrojona jak choinka. Nawet jeśli idzie tylko do sklepu spożywczego… albo nakarmić te swoje koty.

Koty. Wszędzie jest ich pełno. Wchodzą na posesję albo przeskakując przez ogrodzenie, albo przepychając się pod furtką. Staruszka jest zagorzałą kociarą. Codziennie dokarmia hordę futrzaków, które autentycznie cieszą się na jej widok. W przeciwieństwie do ludzi, których spotyka.

Jest! Pikaso pojawia się na horyzoncie. Kaptur zakrywa jego twarz, ale Ola wie, że to on. Najbardziej dorosły człowiek z całego skłotu. Być może nie jest

najstarszy, ale demonstruje swoją dorosłość w sposób trudny do zaakceptowania przez otoczenie. Kiedy wspomina o odpowiedzialności – a robi to często – wszyscy go wyśmiewają.

Nawet kiedy teraz maszeruje ulicą, wydaje się być odpowiedzialny. Wie, co robi, dokąd zmierza i co się z tym wiąże. Stawia stopy pewnie i patrzy przed siebie. To nie jest spontaniczny spacer. To przemieszczanie się z punktu A do B.

Nie chciał jej powiedzieć, jak zdobywa jedzenie, które przynosi w siatce dwa razy w tygodniu. Rozbudził jej ciekawość, więc zaczęła go śledzić. Dziś siedziała w krzakach i zamierzała obserwować go z ukrycia.

Pikaso dotarł właśnie do furtki domu staruszki. Rozejrzał się na boki. Na ulicy nie było nikogo poza nim. Z okolicznych domów dochodziły odgłosy z piątkowego, wieczornego programu telewizyjnego.

Ola zamarła. Nie mógł jej zobaczyć. Nie teraz, kiedy znowu mógłby wykpić się jakiś kłamstwem.

Odczekał chwilę i nagle przyspieszył. Otworzył furtkę, wszedł do ogrodu i zniknął.

Ola chciała pójść za nim, ale się bała. Nie tego, że razem coś ukradną – to nie byłby jej pierwszy raz. Bała się tego, że zobaczy coś, co sprawi, że spojrzy na niego inaczej.

Lubiła go i nie chciała tego zmieniać. Był naprawdę inteligentnym człowiekiem. Wrażliwym artystą marzącym o wielkiej karierze. Szalonym, ale jednocześnie tak zmęczonym, jakby dźwigał na swoich plecach grzechy całego świata. Kiedy nie rozmawiali, przyglądał jej się z oddalenia. Patrzył na nią tak ciepło i opiekuńczo. Gdyby był choć odrobinę szalony… stanowiłby dobry materiał do flirtu. Taki facet nie mógł okradać staruszki.

– Raz się żyje – zdecydowała, bo Pikaso zbyt długo nie wracał.

Rozejrzała się. Ulica była pusta. Powoli weszła do ogrodu – Pikasa w nim nie było. Domyślała się, że pewnie włamał się do domu i buszuje w kuchni.

– Kurwa!

Nie była pewna, czy najpierw usłyszała przekleństwo, czy dźwięk upadającej na chodnik doniczki.

*

– Kurwa!

Niski głos wyrwał Aleksandrę ze snu. Znowu potrzebowała kilkunastu sekund, by ustalić, gdzie się znajduje. Jeszcze chwilę temu zaglądała w okna domu staruszki, a teraz siedziała na łóżku i nasłuchiwała.

– Kurwa!

Ktoś chodził po apartamencie, przeklinał i trzaskał drzwiczkami od

kuchennych szafek. Dokładnie taki sam głos słyszała chwilę wcześniej we śnie – niski, męski i odrobinę niewyraźny.

Złapała pierwszą lepszą rzeźbę stojącą na komodzie i po cichu wyszła na hall. Z góry nie widziała złodzieja, wróciła więc na palcach do sypialni, schowała telefon do kieszeni spodni od pidżamy i wyszła na schody.

Każdy stopień pokonywała w najwyższym skupieniu, obmyślając jednocześnie plan działania i próbując dojść do tego, kto włamał się do mieszkania. Ci sami mężczyźni, którzy zaatakowali ją przy noclegowni… czy może Pikaso?

Obcy mężczyzna stał w kuchni i grzebał w jednej z szafek.

– Nie ruszaj się!

Znieruchomiał. Niestety tylko na chwilę. Później odwrócił się w jej stronę. Nie widziała jego twarzy, bo jedyne źródło światła znajdowało się za jego plecami.

– Nie no, własnym oczom nie wierzę! – Zrobił w jej stronę dwa kroki.

– Stój, bo zacznę krzyczeć! – zagroziła i przysunęła się do ściany, na której znajdował się włącznik światła.

Nacisnęła go.

– Krzyczeć? No proszę cię, to jakaś ukryta kamera czy co? Bojowa lasencja w pidżamie z bohaterem kreskówki? Groteskowy widok.

– Wynoś się, bo zadzwonię po policję.

Kojarzyła ubranie mężczyzny. Gdzieś już je widziała. Być może widziała też jego twarz. Albo bardzo podobną, mniej zmęczoną i zarośniętą.

– Zaraz, zaraz! – zawahał się. – Znam cię. Chciałaś wepchnąć się na aukcję u Fabera.

– Nie zbliżaj się! – Zamachnęła się rzeźbą, chcąc zademonstrować siłę.

– Ostrożnie, to Kuna! Henryk Kuna. Zapłaciłem za jego głowę dziewczynki w kapturku ponad czterdzieści tysięcy złotych!

– To twoje? Ty…

– Tak, to moja rzeźba i moje mieszkanie. Jeśli ktoś mógłby wzywać policję, to bardziej ja niż ty. Czekaj, to ty musisz być tą przyjaciółką Olgi?

– Boże, przepraszam cię!

Aleksandra nie wiedziała, jak się zachować. Przede wszystkim chciała jak najszybciej odłożyć rzeźbę. Świadomość tego, ile jest warta, sprawiła, że nagle żelastwo wydało się być bardzo ciężkie. Zbyt ciężkie dla niej, a nie stać jej było na poniesienie kosztów zniszczonego mienia. Chciała też zapaść się pod ziemię, przykryć czymś złe wrażenie, które na pewno zrobiła na facecie Olgi… i przede wszystkim schować pidżamę, której żaden mężczyzna nie powinien oglądać.

Marek Laskowski uścisnął dłoń kobiety, po czym otworzył szafkę z alkoholem, nalał do dwóch kieliszków brązowawej cieczy i jeden z nich podał Aleksandrze.

– To co? Bruderszaft? Laskowski Marek, to znaczy, mów mi Marek.

– Aleksandra.

Zamoczyła usta, oblizała je i cmoknęła mężczyznę w policzek. Śmierdział

alkoholem.

– Wydawało mi się, że miało cię już tu nie być.

– Mogłabym powiedzieć to samo, to znaczy prawie to samo. Wydawało mi się, że jeszcze miało cię tu nie być.

– Ale jesteśmy oboje. Czy to jakiś znak?

– Przepraszam. – Aleksandra spojrzała na zegar wiszący obok kominka. Dwadzieścia po drugiej. O piątej umówiła się z Urszulą przy noclegowni. – Jutro… to znaczy dzisiaj rano się wyprowadzę.

– Apartament jest duży, pomieścimy się.

– Zajęłam ci sypialnię. – Przypomniała sobie, że może i mieszkanie było przestronne, ale miało tylko jedno łóżko.

– Nie no, nie przejmuj się, skarbie. – Rozsiadł się na fotelu. – Tak chciało przeznaczenie. Łóżko w sypialni jest duże, możemy spać w nim i nawet się nie dotknąć… albo dotknąć przypadkiem. Albo wcale nie spać, tylko kotłować się w dzikim szale. Wybór należy do ciebie. Napijesz się ze mną? Mam powód do świętowania, w końcu! Docieram do celu. I to w jakim towarzystwie, no, no. Nie spodziewałem się. Nie tylko nieszczęścia, ale i niespodzianki chodzą parami. To twój prawdziwy kolor włosów?

*

Panie Boże, Ty powiedziałeś swoim uczniom „pokój zostawiam, pokój mój wam daję". Proszę Cię, nie zważaj na grzechy moje, ale na moją wiarę, i napełnij mnie dziś spokojem.

Wiem, że nie spodoba Ci się to, co dziś zrobię, ale nie mam innego wyjścia. To jest silniejsze ode mnie. Jak instynkt samozachowawczy.

Proszę cię, przymknij dziś na mnie oko. Daj mi siłę, abym trzymał się planu i żeby wszystko poszło po mojej myśli. Czasami człowiek musi wybrać mniejsze zło.

Świadomość tego, co zrobiłem, ciąży mi coraz mocniej, ale nie jestem gotowy, by ponieść odpowiedzialność za swoje czyny. Muszę zapobiec rozpadowi mojego świata na kawałki. Jezu Chryste, obiecuję, że to będzie mój ostatni raz. Obiecuję, że odpokutuję dzisiejsze winy podczas przyszłorocznej pieszej pielgrzymki na Jasną Górę.

Daj mi siłę!

Amen.

*

Śpiew ptaków o piątej nad ranem jest tak wyraźny i głośny, jakby Łódź była miastem zamieszkanym przez ptaki, nie ludzi. Ciekawe, czy tak samo jest

w Poznaniu?

Jestem jak zombie. Dotarłam na ulicę Nawrot, ale mam wrażenie, że jeszcze się nie obudziłam. A może nawet dopiero zasnęłam? Dzisiejsza noc obfitowała we wrażenia, których spektrum…

– Cześć.

– Jestem.

– Zdążyłaś się przespać? Z głową wszystko w porządku?

– I tak, i nie. Nieważne.

To, że Urszula zachowuje się jak kumpela, nie oznacza, że muszę się zwierzać. Powierzyłam jej jedną tajemnicę swojego życia, wystarczy. Odwdzięczyła się opowieścią o prowadzonej sprawie. Jesteśmy kwita.

– Dasz radę, czy chcesz poczekać, a ja z nim porozmawiam?

– Nie żartuj. Nie po to stoję w tym samym miejscu po raz trzeci w ciągu dwudziestu czterech godzin, żeby odejść z kwitkiem. Muszę go zobaczyć. Zobaczyć i zadać kilka pytań.

Mam milion wątpliwości. Nie przekonuje mnie argumentacja Urszuli. Pikaso nigdy nie był agresywny. Nie mógłby zabić bezbronnej staruszki. Po co? Dla satysfakcji? Nie wierzę. Czym innym jest wykradanie jedzenia, czym innym pozbawienie kogoś życia.

– W takim razie wchodzimy. Pamiętasz, co masz robić?

*

Wyrwany ze snu Szajbus nie zdążył nawet zareagować. Kiedy otworzył oczy, zobaczył policyjną odznakę, a później silne ręce wyciągnęły go z łóżka i wypchnęły na korytarz.

Dopiero tam okazało się, że sprawcami zamieszania są dwie kobiety. Jedna ruda i całkiem seksowna, a druga wyglądająca jak żołnierz wracający z misji – z krótkimi włosami, przykurzonymi spodniami i w rozciągniętej koszulce.

– To jakaś, kurwa, wyjebiaszcza pomyłka! – Rozejrzał się wokoło, szukając kogoś, kto mógłby mu pomóc.

Żarówka migała co kilka sekund, jakby puszczała do niego oko. Tym razem, jak na złość, nikt nie kręcił się po korytarzu. Ani z obsługi, ani z korzystających z noclegowni.

– Wręcz przeciwnie. Przeznaczenie. – Starsza kobieta wyglądała na sukę z policji.

Niby go nie dotykała, ale stała wystarczająco blisko, żeby reagować na każdy jego ruch. Była agresywna, ale jednocześnie zrelaksowana. Tak, jakby w takich sytuacjach czuła się jak ryba w wodzie.

Próbował sobie przypomnieć, co takiego ostatnio zrobił, że zainteresowało policję. Szybko jednak przestał, bo w ciągu kilku minut uzbierał z trzy takie

sprawy. Nie było sensu teraz ich roztrząsać. Musiał pójść na żywioł. Jak zawsze.

– Pamiętasz mnie? – Druga kobieta zachowywała dystans. Przyglądała się jego twarzy z ciekawością. – To ja, Ruda. Poznaliśmy się w dziewięćdziesiątym piątym roku, na skłocie.

– Ruda?

– Trochę się zmieniłeś, Szajbus.

– Ruda? Kurwa, Ruda! – W końcu skojarzył rudą dziewczynę, która przybłąkała się do skłotu i w której zakochał się jego ówczesny przyjaciel, Pikaso. – To naprawdę ty?!

Pokiwała głową. Zmieniła się. Z brzydkiego kaczątka wyrosła na atrakcyjną kobietę. Tylko te zadrapania na twarzy ujmowały jej kobiecości. Były świeże, mocno czerwone i opuchnięte.

– Ja pierdolę! Zajebiście wyglądasz! Zaraz, zaraz! To ty, kurwa, mnie wczoraj szukałaś?!

– Nasłałeś na nią kumpli – wtrąciła się ta druga.

– Ruda, nie pierdol, że wstąpiłaś do psiarni?!

– Nie, to ona – Aleksandra wskazała głową na koleżankę – jest policjantką.

– Co nie zmienia faktu, że nasłałeś na nią swoich kumpli! Dlaczego?

– Nie lubię, kiedy obcy się mną interesują, wypytują, kręcą się, kurwa, tu i tam. Ruda, ja pierdolę, przepraszam, nie wiedziałem, że to ty.

Musiała przyjąć przeprosiny. Zaczęła rozmawiać z nim, jak z dawno niewidzianym znajomym. Nie chciał opowiadać swojej burzliwej historii. Wiedział, że nie zaimponuje jej pogrywaniem z policją, pozycją w środowisku czy stanem posiadania.

Ruda z dziewięćdziesiątego piątego chłonęłaby słowa z jego ust, uznając go za idola. Dla dorosłej Rudej był jedynie facetem bez domu, bez aspiracji i bez umiejętności ułożenia sobie życia.

– Spoko, jakoś leci. A co u ciebie? – odbił piłeczkę.

– Mam dwoje dzieci, pracę, dom.

– I, kurwa, zajebiście. Przynajmniej tobie się poszczęściło.

– Czy ja wiem, czy poszczęściło?

– No dobra, ułożyło. Chuj z tym. Żyjesz. Większość mieszkańców skłotu dawno gryzie ziemię od drugiej strony. Dragi, alkohol, porachunki.

– Coś ty? Utrzymujesz z kimś jeszcze kontakt? Na przykład z Czachą?

– Nie. Skurwiel zawsze działał mi na nerwy. Pierdolony synalek bogatych rodziców. Wiesz czemu on, kurwa, był taki agresywny? Bo wiedział, kurwa, że skłot to tylko przystanek. Że nie musi tam mieszkać, bo w każdej chwili może wrócić do swoich ustawionych rodziców. Traktował to miejsce tymczasowo. Nie dbał o nie. Ja, kurwa, dbałem…

– Co się z nim stało?

– Nie wiem. Pojawił się znikąd i nagle zniknął.

Żarówka na korytarzu nadal migała złośliwie, ale policjantka odsunęła się od Szajbusa. Z pokoi, w których spało ponad stu bezdomnych, dochodziły odgłosy posapywania i chrapania. Można było nawet spróbować doszukiwać się w nich jakiegoś rytmu lub melodii.

– Kiedy zniknął? – Zainteresowała się policjantka.

Mężczyzna zignorował jej pytanie.

– Kiedy? – powtórzyła Ruda.

– Nie pamiętam, kurwa! Ale to chyba było jakoś tak, jak ty wyjechałaś. Nie mów, że wyjechaliście razem, że poleciałaś, kurwa, na te jego tanie teksty? Kurwa, powiedz, że nie byłaś taka głupia! Że nie pozwalałaś się lać?

– Nie. Jesteś pewien, że to było tego samego dnia? Pikaso wywiózł mnie w sobotę na dworzec i kazał wracać do Poznania.

– I dobrze, kurwa, zrobił. Chwilę po twoim odejściu pojawiły się psy. – Szajbus obdarzył policjantkę pogardliwym spojrzeniem. – To było zaraz po niedzieli. Pamiętam, bo miałem fuchę i nie mogłem, kurwa, się na nią zjawić, bo chuje wywracali skłot do góry nogami. Wszystkich nas przesłuchiwali. Dobrze, że cię nie było. Zgarnęliby cię jako nieletnią i, kurwa, z policyjnym przytupem oddali rodzicom.

– Czego dotyczyły przesłuchania? – Policjantka się ożywiła.

– A to jest, kurwa, przesłuchanie?!

– Szajbus, wyluzuj. Ulka jest moją znajomą. Ufam jej. – Uspokoiła go Aleksandra.

Jakiś starszy mężczyzna wyszedł na korytarz i skierował się do toalety. Udawał, że nie patrzy w ich stronę.

– Jakaś staruszkę zakatrupili, kurwa, i oczywiście jelenia szukali u nas!

– Staruszkę? – Policjantka spojrzała na Rudą. – To ty tam wtedy byłaś?

Szajbus obudził się już na tyle, by zauważyć, że obie są wstrząśnięte, ale każda inaczej. Ruda poczerwieniała, a policjantka zbladła. Widział, że Ruda otworzyła usta, ale nic nie mogła z siebie wydusić, przyszedł jej więc z pomocą:

– Ale dlaczego, kurwa, Pikaso cię wywiózł? Popierdoliło go? Zrobiłaś mu coś? Powiedziałaś?

– Zastanawiałam się nad tym wiele razy. Nie wiem. Nie doszłam do żadnych logicznych wniosków.

– Odpierdalało mu czasem… Może wtedy też? On się wyprowadził ze skłotu, wiedziałaś? Mówił, że dlatego, że się zrobiła gimela. Skinheadzi zaczęli odwiedzać punków, którzy wprowadzili się na pierwsze piętro. Były imprezy i, kurwa, głośne napierdalanie. Psy przyjeżdżały do nas, kurwa, regularnie. Pikaso się wziął i zawinął. I potem skurwiel się ustawił! Drobne kradzieże zamienił na oszustwa… to znaczy, kurwa, na biznesy. Biznesy, kurwa… ładnie to brzmi, co? Jest tym, no, marszandem czy jak. Wyszukuje antyki u ludzi,

którzy się nie znają na sztuce i kupuje je za grosze, a potem opyla kolekcjonerom, zarabiając na tym krocie.

– Widzę, że jesteś zorientowany. – Na twarz policjantki wróciły kolory. – Widujecie się?

– Nie! – Wybuchnął śmiechem i spojrzał jej prosto w oczy. Po raz pierwszy odkąd stali na korytarzu. – Kto jak kto, ale ty, skoro jesteś z psiarni, powinnaś, kurwa, wiedzieć, że w dzisiejszych czasach lepiej wiedzieć więcej niż mniej…

– Skoro jesteś tak dobrze poinformowany, to pewnie wiesz też, gdzie znajdziemy Czachę?

– Muszę cię, kurwa, rozczarować. Nie jestem bogiem. Nie wiem wszystkiego.

– Dla mnie byłeś bogiem… – wtrąciła się Ruda.

– Byłeś. To, kurwa, kluczowe słowo.

– Szajbus, no proszę cię, starzejesz się czy co? Nigdy nie rozczulałeś się nad sobą. Gdybyś chciał pogadać z Czachą, to gdzie byś go szukał?

– Zajrzałbym, kurwa, do telewizji. Czacha ciągle pierdolił, że złapał tam fuchę i płacą mu za trzymanie lamp. Na to rwał wszystkie panny. Nie sądzę, żeby skurwiel dobrowolnie z tego zrezygnował. No, chyba że zrobił jakiś przekręt i go wyjebali. Ale nawet jeśli, to zaręczam ci, kurwa, że o tym przekręcie chodzą legendy.

*

Słońce od rana świeciło tak mocno, jakby chciało sprawić, żeby wszyscy poznaniacy natychmiast opuścili mury miasta. Olga marzyła o kąpieli w jeziorze, jednak zamiast stroju kąpielowego miała na sobie przewiewną sukienkę w kwiaty, a zamiast błękitnej tafli wody widziała przed sobą stare bloki, zbudowane zapewne w latach pięćdziesiątych.

W jednym z nich musiała mieszkać matka Aleksandry. O Małgorzacie Chmielewskiej Olga wiedziała tylko tyle, że jest matką, o której nawet nie warto wspominać, i że mieszka pod numerem sto osiemnaście, mieszkanie dwanaście.

Przyjemny chłód klatki schodowej sprawił, że Olga pomyślała, że mogłaby spędzić w tym miejscu cały dzień.

– Dzień dobry! – Rozpromieniła się, kiedy drzwi otworzyła starsza kobieta. – Jestem przyjaciółką Oli. Przyjechałam po list.

Starała się być miła, ale postura kobiety i jej mimika budziły dystans. Zmarszczki – a właściwie bruzdy na policzkach i czole – podkreślały niezadowolony wyraz twarzy. Chmielewska wyglądała na osobę niezdolną do okazywania pozytywnych uczuć. Być może także niezdolną do ich przeżywania.

To okropne, że starość potrafi nas tak trafnie podsumować i przykleić nam przerysowaną ale prawdziwą twarz – pomyślała Olga

– Po list?

– Ola na pewno panią uprzedziła – raczej stwierdziła niż zapytała Olga.

– No dobra. Wejdź, skoro musisz.

Lodowaty ton kobiety idealnie wpasował się w klimat chłodnej klatki schodowej, a Olga poczuła, że to nie jest przyjemny chłód.

Kobieta odsunęła się na bok, demonstrując niezadowolenie i ustępując przybyłej miejsca.

W środku pachniało zupą ogórkową. Ale nie świeżą, właśnie dochodzącą w garnku, lecz starą, skwaszoną ogórkową. Bodźce zapachowe i wzrokowe sprawiły, że Olga zapragnęła jak najszybciej opuścić rodzinny dom Aleksandry.

– Kto to widział, żeby dziecko, zamiast przyjechać do matki, przysyłało posłańca? – Mistrzowsko wyartykułowana pretensja zawisła w powietrzu. – Czy według pani ona zachowuje się racjonalnie?

Olga nie przyszła tu w roli negocjatora czy terapeuty. Miała tylko odebrać list. Wzruszyła więc ramionami i zerknęła na swoją komórkę. Na ekranie widniała nieprzeczytana wiadomość od Aleksandry. Olga nawet nie słyszała, kiedy przyszła. Dotknęła ekranu, by ją otworzyć, i przeczytała:

Marek pojawił się w Łodzi, o mało nie zeszłam na zawał. Przyjeżdżaj jak najszybciej. Pamiętaj o liście.

– Nie wiem, co ci moja córka naopowiadała, ale my…

– Przepraszam. – Olga przerwała kobiecie monolog. – Mogę ten list? Śpieszę się. Bardzo.

– Tak, tak, wszyscy się bardzo śpieszycie, nie zastanawiając się, czy warto.

Małgorzata Chmielewska zniknęła w kuchni, a Olga zastygła. Nie czuła się tu dobrze. Boazeria – pokomunistyczna oznaka pozycji społecznej – otaczała ją z każdej strony. Była nawet na suficie.

– Jeśli naprawdę jest pani jej przyjaciółką, to powinna jej pani wytłumaczyć, że życie przeszłością zaprowadzi ją na oddział psychiatryczny… – Chmielewska pojawiła się znowu w przedpokoju. W ręku trzymała pożółkłą kopertę. – Tym razem w roli pacjentki.

*

– Cieszę się, że zadzwoniłaś! – Sebastian odczekał, aż kelnerka przyjmie zamówienie i odejdzie od stolika.

– Powinnam powiedzieć to samo, ale nie jestem pewna. – Aleksandra rozejrzała się dookoła. – Dziwnie tu.

Już sama nazwa lokalu zapadała w pamięci. Insekt Bar, bo tak nazywało się miejsce, które Sebastian wybrał na ich wspólny lunch, wyglądał na tyle oryginalnie, że Aleksandra zaraz po wejściu do niego miała ochotę odwrócić się

na pięcie i wyjść.

– Spokojnie. Specjalnie wybrałem takie miejsce, żebyś mogła poczuć się bezpiecznie.

– Bezpiecznie?

Jaskrawozielone dekoracje imitujące spacerujące po ścianach robaki budziły wiele skojarzeń, podobnie jak stojące w lodówko-ladach słoiki z wijącymi się insektami. Menu składało się z kilkunastu pozycji, głównie kanapek, zup i drinków, które występowały zawsze w dwóch wersjach cenowych – tańszej, zwanej też czystą, oraz droższej, zawierającej insekty.

– Kiedy spotykamy się gdzieś na mieście, czuję, że jesteś spięta. Pomyślałem więc, że tym razem wybiorę knajpę, w której nie będziesz biła się z myślami, czy to zwykły lunch, czy randka. Poza tym owady to przyszłość zdrowej diety.

– Suszone świerszcze, prażone karaczany, koniki polne czy te ohydne larwy mącznika mają kupić moją uwagę na tyle, żebym przestała marzyć o randce z tobą? – zażartowała.

– Mniej więcej.

– To gratuluję. Dopiąłeś swego.

– Co się stało, że jednak nie wyjechałaś? Czekaj. Nie mów! Nie mogłaś wyjechać bez czułego pożegnania ze mną?

Roześmiała się, by podtrzymać luźną atmosferę spotkania. Była jej na rękę. Nie chciała tłumaczyć zmieniającej się jak w kalejdoskopie sytuacji z Pikasem, więc najpierw rzuciła jakiś żart, a później zapytała o postęp prac nad artykułem o amnezji.

Sebastian zapomniał na chwilę, że jest przejrzewającym samcem, którego sens życia opiera się na flirtowaniu z płcią przeciwną i szukaniu w jej oczach oznak swojej przemijającej atrakcyjności. Rozgadał się na temat, który go pasjonował.

To dało Aleksandrze czas na oswojenie się z miejscem i świadomością, że być może przy stoliku obok ktoś właśnie rozkoszuje się smakiem świerszcza. Zadzwoniła do Sebastiana, żeby miło spędzić czas, zająć czymś myśli i nie skupiać się nieustannie na sprawie z przeszłości.

– A ty?

– Przepraszam, zamyśliłam się.

– Kiepsko wyglądasz. Co się stało z twoją twarzą?

– Biegałam i przewróciłam się na chodniku.

– Tłumaczysz się jak ofiara przemocy domowej.

– Mój dom zamieszkiwany jest tylko przeze mnie i dwójkę moich dzieci. Nie ma w nim żadnego agresora.

– No właśnie. – Sebastian spoważniał. Zdarzało mu się czasem wychodzić z roli wiecznie uśmiechniętego lowelasa. – Jak sobie radzisz sama? No wiesz… z dziećmi, domem na głowie i w ogóle?

– W ogóle? – powtórzyła i spojrzała mu prosto w oczy.

To był błąd. Rozsypywała się, gdy on stawał się poważny i z podrywacza zmieniał się w przyjaciela. Nie inaczej było tym razem.

– Jak sobie radzę? Bliźniaczka mojego zmarłego męża próbuje odebrać mi dzieci. Wynajęła cwanego prawnika i czeka na moje potknięcia. A ja walczę z życiem i wykonuję obowiązki rodzica zgodnie z zaleceniami sądu. W poniedziałek na przykład będę gościć kolejną wizytację z opieki społecznej. Jakaś obca baba będzie oceniała, czy nadaję się na matkę.

*

Marek otworzył szafę i przyjrzał się jej zawartości. Po prawej stronie wisiało kilka eleganckich koszul, trzy białe T-shirty, dwa krawaty i garnitur z atelier Tomasza Ossolińskiego, inspirowany włoskim stylem, uszyty na miarę z ekskluzywnych włoskich tkanin.

Lewa strona szafy była mniej formalna: koszulki polo, T-shirty z kolorowymi nadrukami, jasne długie spodnie, krótkie spodenki i szuflada z bielizną.

Marek lubił wpadać do Łodzi spontanicznie, na dzień lub dwa, i dlatego – żeby oszczędzić czas i uniknąć przed każdym wyjazdem konieczności pakowania walizki – wyposażył łódzką szafę w zestawy ciuchowe na różne okazje. Garnitur na aukcje, a jasne spodnie na wypady do restauracji. I tak większość czasu w Łodzi spędzał nago, ewentualnie w bokserkach. Z Olgą lub samotnie.

– Po cholerę mi tyle koszul?! – zdenerwował się, bo na zbliżającym się spotkaniu powinien wyglądać normalnie. Jak zwykły Kowalski, który niczym nie wyróżnia się z tłumu. Ktoś, kto zlewa się z otoczeniem i dzięki temu nie zapada w pamięci przechodniów. Niestety emblematy krokodyla i zawodnika polo wyszyte na T-shirtach znajdujących się w szafie zdradzały to, że pochodzą z wyższej półki.

Marek zerknął na zegarek. Dochodziła trzynasta. Przez chwilę zmagał się z myślą, że skoro do spotkania została godzina, to zdąży jeszcze wyskoczyć do sklepu i kupić jakąś zwykłą, chińską koszulkę z krótkim rękawkiem. Szybko doszedł jednak do wniosku, że takie działanie przyniosłoby mu więcej szkody niż pożytku, a badziewny materiał przykleiłby mu się do ciała, zanim wyszedłby z domu.

– Trzynasta pięć…

Tylko pięćdziesiąt pięć minut dzieliło go od spełnienia jednego z największych marzeń. Sięgnął po biały T-shirt i posłał pożegnalne spojrzenie garniturowi.

Tym razem nie będzie musiał go na siebie wkładać. Nie będzie zmuszony do uczestniczenia w aukcji. Nie lubił tej gorączkowej atmosfery, wykłócania się, kto da więcej, zwłaszcza wtedy, gdy na czymś mu zależało tak jak na tej broszce. W tej sytuacji wiedział, że jest gotowy zapłacić każdą cenę, a aukcja

jest jedynie ringiem, na którym musiał wykończyć przeciwników.

*

– Ależ oczywiście, proszę bardzo. Czego się panie napiją? Kawy? Herbaty?

Ani Urszula, ani tym bardziej Aleksandra nie spodziewały się tak miłego przyjęcia. Irena Skowronek, jedyna żyjąca sąsiadka Renaty Tomaszewskiej, entuzjastycznie zareagowała na pytania o wydarzenia z dziewięćdziesiątego piątego. Zupełnie jakby były bardzo dobrymi znajomymi, które właśnie przyszły z wizytą.

– Niech pani sobie nie robi problemu, zajmiemy tylko chwilę.

– Jaki to problem? To może chociaż wody? Proszę, proszę, niech panie przejdą dalej. – Skowronek przepuściła gości przodem. – Prosto i na lewo, na taras. Albo nie, ja panie zaprowadzę. Proszę za mną. – Energiczna staruszka podążyła wąskim korytarzem. – Właśnie wyszłam sobie na taras z kawusią. Taką piękną mamy dziś pogodę, słońce mocno świeci, ale u mnie na tarasie jest cień. Proszę bardzo, niech się panie rozsiądą wygodnie. – Kiedy dotarły na miejsce, gospodyni pomarszczoną ręką wskazała krzesła. – Ja już biegnę do kuchni po szklaneczki i wodę, a panie niech się w tym czasie poczęstują ciasteczkami. Córka mi je wczoraj przyniosła. Podobno piekła je sama według przepisu znalezionego w internecie. Proszę siadać, ja zaraz wracam.

Kobieta poruszała się dość energicznie jak na swój wiek.

Aleksandra spojrzała na talerz, na którym leżało coś, co wyglądem przypominało raczej rozgniecione krowie odchody niż ciasteczka. Miała ochotę na coś słodkiego. Coś, co pomoże jej zapomnieć o widoku tych wszystkich owadożerców rozkoszujących się swoimi przysmakami.

Urszula usiadła przy stole i czekała na ciąg dalszy. Znała treść zeznań Ireny Skowronek spisanych ponad dwadzieścia lat temu. Teraz mogła poznać kobietę osobiście i liczyła, że wydobędzie z niej dodatkowe informacje, które pomogą w udowodnieniu winy Piotra Wróblewskiego.

– Proszę bardzo. Woda z owocami. Nauczyłam się od córki tego sposobu podawania wody. Smakuje tak samo jak czysta woda, ale jak wygląda, prawda? Cytryna, maliny, truskawki… aż chce się pić.

Na stole pojawiły się trzy szklanki i dzbanek z wodą, w której pływały kawałki owoców.

– Pani Ireno, od czasu zabójstwa Renaty Tomaszewskiej minęło dużo czasu. Zdaję sobie sprawę, że wiele szczegółów mogło już zamazać się w pani pamięci. Chciałam jednak zapytać o tamten dzień. – Urszula próbowała ukierunkować słowotok kobiety w pożądaną stronę.

– Mimo swoich siedemdziesięciu lat mam bardzo dobrą pamięć.

– Cudownie. Zeznała pani, że to był dzień jak co dzień. Nic dziwnego się nie

działo…

– Bardzo cieszy mnie to, że ta sprawa nie poszła w zapomnienie. Że nadal nad nią pracujecie, że szukacie mordercy.

– A wieczorem? – Urszula trzymała się tematu. – Nie widziała pani, żeby ktoś się kręcił wokół posesji pani Renaty?

Aleksandra sięgnęła po ciastko, żeby w późniejszej rozmowie z policjantką uzasadnić swoje wycofanie. Mogła w newralgicznym momencie włożyć jego kawałek do ust i udać, że nie może odpowiedzieć na pytanie. Zastanawiała się jednocześnie, czy przypadkiem Skowronkowa jej nie skojarzy. W końcu chwaliła się pamięcią, a Aleksandra zawsze była ruda i rzucała się w oczy.

– Wieczorem też nie. – Kobieta zastygła z filiżanką w ręku.

– A w poprzednie dni?

– Nie. Chyba nie spodziewa się pani, że po dwudziestu latach wyznam, że dzień wcześniej listonosz stał przy furtce sąsiadki zbyt długo, albo że obcy samochód zaparkował naprzeciwko i nikt z niego nie wysiadł? Poza tym ja wtedy byłam jeszcze młoda. Nie siedziałam w oknie i nie obserwowałam okolicy. Miałam inne przyjemności. Teraz to co innego.

– Pani Ireno, a gdybym powiedziała pani, że udało mi się ustalić, że do Tomaszewskiej regularnie wkradał się jeden z mieszkańców skłotu?

– To nie byłabym zbulwersowana.

– Bo? – Urszula poczuła się jak pies myśliwski. Właśnie złapała trop. Zwierzyna była coraz bliżej.

– Bo pamiętam takiego jednego kręcącego się wokół jej posesji.

– Dlaczego nie wspomniała pani o tym w zeznaniach?

– Bo akurat tego dnia go nie widziałam. Nie wiem. Uciekło mi to może? Byłam zbulwersowana zabójstwem.

– Kręcił się i co?

– Wchodził do środka, a potem wychodził z pełną siatką.

– Nie pomyślała pani, że on właśnie ją okrada?

– Pomyślałam. – Kobieta odłożyła filiżankę.

– Ale?

– Złodziej musi kraść, tak jak człowiek musi oddychać. Gdybym przegoniła go z posesji sąsiadki, to następnym razem być może włamałby się do mnie. Stara Tomaszewska albo nie zauważała, że ją okradał, albo nie robiło jej to różnicy.

– Czy mogłaby pani go opisać?

– Zwykły chłopak. Brunet. Dobrze mu z oczu patrzyło. Spotykałam go czasem w sklepie spożywczym. Mieszkał w „tej komunie", ale jakoś nie pasował do tamtego towarzystwa. Nie był taki głośny, ciągle pijany, nie zaczepiał ludzi. Był grzeczny i dobrze wychowany, czego nie można było powiedzieć o Tomaszewskiej.

– Nie lubiła jej pani? – Aleksandra zdziwiła się, kiedy usłyszała swój głos.

– Pani Renata była opryskliwa.

– Niewiele bardziej niż reszta starszych ludzi – wyrwało jej się. Powiedziałaby coś jeszcze, ale się powstrzymała. Nie chciała, by Skowronkowa przypomniała sobie, że w dniu zabójstwa rudowłosa dziewczyna najpierw siedziała w krzakach obok posesji, a później weszła na jej teren. Oczywiście nie wiedziała, czy kobieta ją widziała, ale z drugiej strony Pikaso też był przekonany, że nikt nie wie o tym, że kradnie.

– Być może. Bardzo źle się z nią sąsiadowało. Powiem szczerze, że śmialiśmy się swojego czasu z mężem, że za mieszkanie w tym miejscu powinniśmy dostać odszkodowanie. Z jednej strony mieliśmy ekscentryczną staruszkę, która zmieniła swój ogród w kocią kuwetę, a z drugiej strony komunę, w której zbierał się najgorszy element z naszego miasta.

– Nie wiadomo, co gorsze. – Urszula ciągnęła gospodynię za język.

– Żeby pani wiedziała! Pijani dziwni ludzie sikający na ulicy czy pieprzona gwiazda, której wydawało się, że świat kręci się wyłącznie wokół niej!

– Czy to mógł być on? – Urszula podała kobiecie zdjęcie Pikasa.

Siedziały na tyle oddalone od siebie, że obie musiały maksymalnie wyciągnąć ręce, żeby przekazać sobie fotografię.

– Czy ja wiem? I tak, i nie. Ludzie się zmieniają. Wtedy był bardzo młodym i nawet przystojnym mężczyzną. Marzyłam, żebym moja córka znalazła sobie takiego męża. To znaczy nie, że bezdomnego, ale tak przystojnego.

Gospodyni chciała oddać zdjęcie. Wyciągnęła rękę, ale zanim Urszula chwyciła zdjęcie, przyjrzała się pomarszczonej dłoni kobiety. Jej uwagę zwrócił złoty i bardzo oryginalny pierścień, który zamiast oczka miał prawdziwą mosiężną, starą monetę.

Pierwsze skojarzenie Urszuli poszybowało w stronę „Władcy Pierścieni", drugie – w stronę policyjnych akt. To w nich widziała wcześniej dokładnie taki sam egzemplarz, który – wraz z broszką i kilkoma elementami złotej zastawy – został zaewidencjonowany jako skradziony z domu Renaty Tomaszewskiej.

– Przepiękny – bąknęła z nieudawanym zachwytem.

– Dziękuję.

Starsza pani uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając brązowe zęby. Nerwowo cofnęła dłoń, położyła ją na kolanie i nakryła drugą.

Aleksandra zauważyła błysk w oku policjantki, więc wkroczyła do akcji:

– Pierścionek? Jestem jak sroka, uwielbiam wszystko, co się świeci! Mogę zobaczyć?

– Nie ma czego oglądać – burknęła kobieta.

– Widziałam gdzieś już podobny. – Urszula zorientowała się, że musi zagrać *va banque*. – Zaraz, zaraz. Czy nie przypadkiem właśnie u tragicznie zmarłej sąsiadki?

– Tak? Być może. Wydaje mi się, że miała kilka podobnych.

Kilka podobnych – powtórzyła w myślach Urszula. Skowronkowa, mimo że na początku wydawała się przesympatyczna i pomocna, chyba jednak zamierzała wyprowadzić policję w pole.

Urszula mogłaby się założyć, że w aktach sprawy znajdują się zeznania sprzątaczki Renaty Tomaszewskiej, w których tłumaczy, że zarówno broszka o kształcie ważki, jak i pierścionek stanowiły dla zmarłej biżuterię osobistą. Taką, z której korzystała właściwie każdego dnia, której nikomu nie pozwalała dotykać i nie życzyła sobie, by ktokolwiek po jej śmierci ją nosił. To dlatego w testamencie Tomaszewska zawarła zapis, że jej biżuteria osobista ma trafić do muzeum.

– Kilka podobnych? Czyli to jeden z nich?

– Tak. Podarowała mi go dawno temu.

– Kiedy?

– Nie pamiętam. Przy okazji jakichś świąt albo sprzątania, nie wiem. Mam zbyt dużo lat, żeby pamiętać takie drobiazgi.

*

– Mówiłem ci, żebyś ze mną nie zadzierał? Mówiłem, kurwa? I co? Myślałeś, że gadam, bo lubię? Sam sobie jesteś winien. Chciałeś się bawić w kotka i myszkę? Chciałeś? To proszę bardzo, kurwa! Liczyłeś się chyba z konsekwencjami, co? Każdy kot się kiedyś wkurwi…

Kij bejsbolowy nigdy nie kojarzył się Pikasowi zbyt dobrze. Faceci z bejsbolami zepsuli klimat w jego skłocie. Zbyt głupi, by wiedzieć, że bez kijów byli tak samo bezbronni jak reszta.

Człowiek stojący teraz po drugiej stronie bejsbola był jednak inteligentny. Zbyt inteligentny. Pikaso nie docenił jego możliwości. Nie oszacował należycie zagrożenia płynącego z ich spotkania. To pewnie dlatego leżał teraz na ziemi, z trudnością łapał oddech i krztusił się krwią. A to jeszcze nie był koniec. Napastnik zadał mu cios po raz kolejny.

– Weź, kurwa, już przestań! To boli. Odpierdoliło ci czy co? Wystarczyło, żebyś mi zapłacił. Nie zbiedniałbyś, a miałbyś problem z głowy. Mogłeś zapłacić, ale nie, kurwa, ty wolisz zabijać. Pieprzony kiler, który bawi się w metafory. Nie jesteś, kurwa, żadnym kotem. Jesteś wilkiem! Popierdoleńcem w owczej skórze!

Kolejny cios sprawił, że Pikaso przestał widzieć. Dźwięk docierał do niego z pewnym opóźnieniem… Zupełnie jakby słuchał muzyki na swoim starym magnetofonie kasetowym, notorycznie wciągającym kasety.

– Wydaje ci się, że jesteś ode mnie lepszy?

Znowu uderzenie. Ból pojawił się dopiero po chwili i szybko połączył się z bólem po poprzednich uderzeniach.

– Nawet jeśli mnie zabijesz, to ja i tak nigdy nie zapomnę jej twarzy. Nigdy,

słyszysz, chuju?!

*

Bałagan. Pikaso osobiście nie miał nic przeciwko takiemu sposobowi aranżowania przestrzeni, w której się mieszka. Sam też nie dbał o porządek.

Spowite pajęczynami lampy czy góry papierów nie robiły na nim wrażenia. Odwiedzał Tomaszewską nie pierwszy raz i wiedział, że u niej panuje specyficzny klimat. Jej dom był przepełniony. Meblami, zapewne antycznymi, papierami i obrazami. Przypominał opuszczone muzeum.

Bałagan. To on spowodował, że Pikaso zatrzymał się zaraz po zamknięciu tylnych drzwi, którymi zwykle włamywał się do domu staruszki.

Zauważył, że bałagan był jeszcze większy niż zwykle. To wzbudziło w nim ostrożność. Nie przyszedł tu przecież z towarzyską wizytą. Nie miał ani zaproszenia, ani dobrego wytłumaczenia.

Zwykle kierował się prosto do kuchni, ale tym razem postanowił iść dalej. Korytarzem do głównego wejścia. Bałagan nie dawał mu spokoju. Był wszędzie.

Chciał złapać poręcz, by wejść po schodach na górę, ale szybko przypomniał sobie, że nie powinien zostawiać odcisków palców. W końcu był na włamie.

Starsi ludzie czasem czegoś szukają. Kompulsywnie. Tak sobie myślał, ale jednocześnie nie mógł oprzeć się przekonaniu, że staruszka nie miałaby tyle siły, by wywrócić dom do góry nogami.

Stąpał cicho, bo nie chciał jej obudzić. Wiedział, że sypia na drugim piętrze i chodzi spać koło północy. Wiedział, że w lodówce znajdzie zawsze coś dobrego. Nie ruszał tylko ryb i mleka. Zdawał sobie sprawę z tego, że to jedzenie dla bezdomnych kotów. On lubił koty, chociaż czasem im zazdrościł. O niego nikt się tak nie troszczył.

Na pierwszym piętrze bałagan był jeszcze większy. Ciekawość wiodła go dalej. Zajrzał do najbliższego pokoju. Szuflady wyjęte spod blatu kredensu leżały na podłodze. Puste. Obok nich piętrzyły się dokumenty. Nie widział jakie, w pokoju panował półmrok. Jedynym źródłem światła była latarnia za oknem.

Pikaso miał przy sobie latarkę, ale nie chciał jej używać. To byłoby zbyt ryzykowne. Sąsiadka z naprzeciwka mogłaby zauważyć, że ktoś spaceruje po pokoju z latarką i zawiadomić policję. Nie potrzebował dodatkowych problemów.

Uznał, że przecież nie musi dużo widzieć. Niczego nie szukał. Zajrzał do pokoju z ciekawości. Chciał tylko sprawdzić co się dzieje.

Na fotelu leżała drewniana kasetka, a obok niej kilka kobiecych błyskotek. Jakiś pierścień, kolczyki i tym podobne rzeczy. Podszedłby do nich, ale zauważył na podłodze obraz przecięty z tyłu. Dopiero ten widok uświadomił mu, co tu się zdarzyło.

Poczuł na plecach zimny pot. Ktoś go uprzedził. Szukał jednak czegoś innego i był bardzo zdeterminowany, skoro narobił tyle bałaganu

Pikaso postanowił się wycofać, a w drodze powrotnej zajrzeć do lodówki i zabrać prowiant. Odwrócił się i to, co zobaczył, sprawiło, że zatkał usta dłońmi, by powstrzymać krzyk.

Na środku pokoju, na podłodze, obok stłamszonej pościeli, leżała ona. Ekscentryczna staruszka.

– Proszę pani? – Był na tyle zaniepokojony, że postanowił się odezwać, licząc się z tym, że staruszka obudzi się i zwyzywa go od najgorszych. – Proszę pani!

Podszedł bliżej i zapalił latarkę. Dopiero teraz zobaczył jej nieruchome ciało. I twarz, zastygłą w dziwnym grymasie. Dotknął jej. Była chłodna. Dużo chłodniejsza niż powinna być w ten ciepły wieczór.

*

– Jednak jesteś?

Głos Marka przywitał Aleksandrę już w przedpokoju. Właściwie nie tylko jego głos, ale i ciało. W dodatku nagie.

– Przepraszam – bąknęła i odwróciła wzrok. – Dzisiaj się wyniosę. Olga po mnie przyjedzie.

Stał w głębi korytarza i nie wydawał się skrępowany jej obecnością. Nie zareagował też na wzmiankę o przyjeździe jego dziewczyny.

Jego nagi tors i nogi kazały Aleksandrze zastanowić się, czy pod kuchennym fartuchem, który zakrywał mu fragment ciała pomiędzy pasem a kolanami, również był nagi.

Było to o tyle istotne, że żeby wrócić do kuchni, musiał się odwrócić do kobiety tyłem i tym samym zaprezentować swoje pośladki.

Aleksandra nie miała nic przeciwko męskim pośladkom, pod warunkiem, że nie należały do chłopaka jej przyjaciółki.

– Myślałem, że zniknęłaś jak Kopciuszek.

– Lubisz bajki?

– Nie, ale gotuję obiad. Zjesz ze mną? – Odwrócił się i poszedł do kuchni.

Aleksandra bezwiednie spojrzała na jego pośladki. Miał na sobie bokserki ze znakiem Batmana.

– Nie pasujesz do tego miejsca – odezwała się, gdy usiadła przy stole.

– Ja?

– Roznegliżowany facet w samych bokserkach biegający po kuchni pełnej eleganckich sprzętów i najnowszych gadżetów?

– To co? Powinienem mieć na sobie spodnie wyprasowane na kant i koszulę z krawatem?

– Albo co najmniej bokserki z kantem.

Marek wyjął dwa talerze i wyłożył na nie zawartość garnka, mimo że nie potwierdziła, że z nim zje.

– A co serwujesz? – spytała, bo ssało ją w żołądku.

Nie nasyciły jej ani zupa w Insekt Barze, ani dwa ciastka podczas przesłuchania. Nadal była głodna. Potrzebowała solidnej porcji mięsa.

– Kurczak z ryżem w sosie słodko-kwaśnym. W ten sposób zamierzam uczcić moje dzisiejsze biznesowe rozmowy.

– No właśnie, jak ci poszło?

– Bardzo dobrze. Dziękuję. – Marek zdjął fartuch i rzucił na szafkę kuchenną. – Nie przeszkadza ci, że tak usiądę do stołu? Buzuje we mnie adrenalina i jest mi tak gorąco, że nie mogę wytrzymać w koszulce. Najchętniej wskoczyłbym do basenu.

Pokręciła przecząco głową.

Na stół trafiły talerze, a za nimi kieliszki z winem. Aleksandra rzuciła się na kurczaka i z przyjemnością pochłonęła całą porcję. Po raz pierwszy tego dnia poczuła się kulinarnie usatysfakcjonowana.

– Od dawna interesujesz się sztuką?

– Prawie od urodzenia.

– Czyli od zawsze. Należysz do elity?

– Czy ja wiem, czy to dobre słowo?

– Kolekcjonerzy sztuki to bardzo elitarne towarzystwo. Chyba nie jest zbyt łatwo do nich dołączyć.

– Wiesz co? Tak między nami… dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi, których możesz spotkać podczas aukcji, to pustaki. Biegają wokół siebie, udają, że się lubią, udają, że są szczęśliwi. Gawędzą o rzeczach, które ich nie interesują albo wymyślają jakieś plugawe i podstępne historyjki. Pretensjonalne typy będące obrazami żywej chciwości. Mówią „dzień dobry, co słychać?", a najchętniej wbiliby ci nóż w plecy.

– A co z tym jednym procentem?

– Do niego możesz zaliczyć mnie. – Marek wytarł usta serwetką i odsunął od siebie talerz. – Nie pasuję do reszty towarzystwa. Ja kolekcjonuję aktywa, a nie ich udające zadowolenie gęby.

– Dlaczego to robisz? Trudno to zrozumieć, przynajmniej takiej osobie jak ja. Wydajesz kupę kasy na jakieś rzeźby…

– Których potem o mały włos nie rozbija temperamentna kobieta.

– Pytam serio.

– Serio? To zdradzę ci pewną tajemnicę. Wtajemniczeni w świat sztuki są bardzo… – Marek szukał odpowiedniego słowa – radykalni, jeśli chodzi o kolekcjonowanie z właściwych powodów. Bo nie wystarczy kupować. Trzeba umieć wytłumaczyć, dlaczego się to robi. Miłość do sztuki czy chęć wspomagania artystów, zwłaszcza jeśli chodzi o sztukę współczesną, są jak

najbardziej na miejscu. Ale już z kupowaniem dla zarobku jest gorzej. Tak naprawdę wszyscy robimy to dla bogactwa, przywileju czy władzy, ale nikt się do tego nie przyznaje.

– Jak znajdujesz to, co ci się podoba? Na aukcjach?

Aleksandra poczuła przypływ sił. Zależało jej na poznaniu tajemnic świata sztuki i ludzi w nim działających. Pikaso po ucieczce ze szpitala przyszedł bezpośrednio do mieszkania Marka. Był przekonany, że ktoś chce go zabić. To nie mógł być tylko intrygujący splot zdarzeń rzucający cień podejrzenia na Marka.

– Na aukcjach roi się od próżności i pozerstwa. Licytować trzeba stylowo. Pojawiam się na nich zwykle jedynie jako obserwator. Mam taką teorię, że sposób, w jaki ludzie licytują, odzwierciedla to, jakimi są kochankami. Niektórzy nie boją się pokazać aukcjonerowi czego chcą. Inni udają, że im nie zależy, robią jeden krok do przodu, a później się tego wstydzą. Jeszcze inni droczą się i każą zgadywać, czego chcą. Zwykle nie kupuję na aukcjach. Aukcja jest zaraźliwa. Czujesz dreszcz hazardu i sama zamieniasz się w coś w rodzaju samca alfa. A to sprowadza się do tego, że kupując na aukcjach, przepłacasz. Pośrednicy muszą zarobić, dom aukcyjny również.

– To dlaczego aukcje są takie popularne?

– Tu wracamy do motywów, dla których ktoś jest kolekcjonerem. Jeśli nabytek ma służyć, że tak powiem… sławie czy prestiżowi, to musisz kupić na aukcji. Tylko w taki sposób inni będą wiedzieć, że „to" kupiłaś właśnie ty.

Aleksandra pokiwała głową, podeszła do lodówki i wyjęła z niej karton soku.

– Chcesz? – spytała.

Nie odpowiedział jej albo nie usłyszała odpowiedzi. Nalała napoju i usiadła przy kominku.

Przyszedł do niej i rozsiadł się na fotelu obok.

– Uciekasz ode mnie? – spytał, patrząc jej prosto w oczy.

– I tak, i nie – odpowiedziała, akcentując dwuznaczność.

Musiała wykorzystać okazję, żeby zweryfikować swoje podejrzenia.

– Dlaczego? Przecież tak miło nam się rozmawia.

– Bo chciałam cię o coś zapytać, a nie wiem, czy wypada…

– Pytaj – zawiesił głos.

– Znasz może kogoś, kto mógłby fachowym okiem zerknąć na coś, co mam po babci, a później znaleźć na nie klienta? Profesjonalnie, ale anonimowo. Nie chodzi mi o dom aukcyjny ani sklep z biżuterią.

– A co masz?

– Parę błyskotek. Pierścionki, kolczyki i broszki.

– Broszki? To ja mogę zerknąć. Kolekcjonuję broszki.

*

Rzeczywiście – kolekcja broszek jest imponująca. Nawet na zdjęciach. Zielony pasikonik ze złotymi odnóżami, brylantowe chrząszcze, kryształowe motyle i ważki. Ewidentnie ma bzika na punkcie ważek. Ich jest najwięcej. Przynajmniej kilkadziesiąt okazów. Na pierwszy rzut oka nie potrafię znaleźć między nimi różnicy.

Skupiam się i zauważam mnóstwo szczegółów. Odwłoki ze złota, srebra i platyny zwykle wypełnione są kolorową, jednolitą masą lub kamieniami. Diamenty, szmaragdy, masa perłowa – wychwytuję pojedyncze słowa z jego pełnej pasji paplaniny.

– W sumie… w takim wydaniu ważki nie są takie złe. Mogłabym nosić na klapie marynarki tą niebieską.

– Topaz i brylanty, niezły wybór.

Niektóre okazy są piękne. Nawet nie muszę udawać zachwytu.

– Dlaczego owady?

– To najliczniejsza grupa zwierząt i całkiem wyjątkowa. Jako pierwsze posiadły umiejętność aktywnego lotu. Są takie małe i szybkie, że zwykle nie jesteśmy w stanie przyjrzeć się ich pięknym odwłokom czy skrzydłom. Owady jako broszki można podziwiać godzinami.

Boże, jak to go kręci. Nie dotyka ich w tej chwili, spogląda jedynie na zdjęcia i opowiada o nich, a zachowuje się jakby był na haju. Czerwone policzki, szkliste oczy, głupkowaty uśmiech.

– Kiedy przestaniesz je zbierać?

– Zbierać można śmieci – poprawia mnie i przysuwa się bliżej. – Ja kolekcjonuję.

– To jak długo będziesz je jeszcze kolekcjonował?

– Do końca świata i o jeden dzień dłużej. – Znowu ubawił się swoim żartem.

Boże, jak mnie irytuje takie zachowanie. Nieuleczalny narcyz, któremu jest obojętnie, czy rozmawia z inteligentną kobietą, dmuchaną lalką czy swoim lustrzanym odbiciem. Chociaż nie, gdyby podczas bawienia siebie swoimi żartami mógł przyglądać się swojemu ciału, z pewnością dostałby erekcji.

– Owadzich motywów nigdy nie zabraknie. Ostatnio widziałem na przykład przepiękny naszyjnik z kilkunastoma muchami. Wyczytałem, że można też kupić kolczyki z muchami, zaczynam więc polowanie na broszkę z muchą.

– Czyli co? Teraz mucha jest twoim absolutnym *must have*?

– Mucha za chwilę. Najpierw oczekuję na ważkę. Ale sprawa jest już przyklepana.

Śmiech. Znowu rechocze, a ja zupełnie nie mam pojęcia dlaczego. Całą moją uwagę skupia broszka. Czy Marek ma na myśli dokładnie ten okaz, co ja? Naszkicowany przez Pikasa? Skradziony ponad dwadzieścia lat temu Tomaszewskiej?

– A może, skarbie, poszłabyś dziś ze mną na przyjęcie? Znajomi kolekcjonerzy organizują garden party.

– Ja?

Krztuszę się. Nie wiem, czy to sok, czy oszołomiła mnie ta propozycja. Impreza z chłopakiem przyjaciółki? No nie wiem.

– Widzę, że kręcą cię te tematy. Nie mów, że się wahasz. Proponuję ci wejście do najbardziej hermetycznego środowiska… Znajdziesz tam też kilku wielbicieli biżuterii. Przydadzą ci się kontakty, jak zdecydujesz się sprzedać babcine ozdóbki.

– Nie, nie waham się – kłamię.

Świetnie. Miałam tego nie robić, ale czasem nie ma wyjścia. Jak mam sprawdzić, czy Marek napalił się na broszkę oferowaną przez Pikasa tak bardzo, żeby chcieć go zabić?

– Z przyjemnością przyłączę się do ciebie i Olgi – dodaję dla jasności.

Niech facet nie zapomina, że ma kobietę, która jest moją przyjaciółką. Niech mi nie „skarbuje". Niech nie świeci umięśnioną klatą. Niech nie prowokuje swoją bliskością. Nie poderwie mnie, biednej i samotnej kobiety.

Dobra, nie całkiem samotnej. Być może samotnej. Nie wiem co z Krystianem. Czy się obraził na dobre, czy mu przejdzie.

– Olgi?

– No tak, przyjedzie dziś. Mówiłam ci przecież.

– Dzisiaj?!

*

– Paweł?!

– Tak, robaczku?

– Przemyślałeś kwestię zamontowania w domu klimatyzacji? Już w zeszłym roku mówiłam ci o tym. Gotuję się. Pocę. Wyglądam jak zmokła kura.

Ilona Drzewiecka stała na tle białej kuchni i nie budziła skojarzeń z żadną kurą, nawet suchą. Była wyfryzowana, wymalowana i pięknie ubrana. Jej mąż był zachwycony.

– Przecudnie wyglądasz.

– Pawełku, zrób coś z tym. Proszę.

– Dobrze, jutro zadzwonię po fachowca.

Skapitulował. Zbyt długo żył pod jednym dachem z Iloną, by dyskutować z nią na nic nieznaczące tematy. Sięgnął po tablet i usiadł w salonie. Jednym okiem obserwował, jak apetyczne ciało żony porusza się po kuchni, drugim poznawał aktualności z kraju i ze świata.

– …te dzieci są tam same. Tęsknią, a ich matka ma to gdzieś. Rozmawiałam z adwokatem. Powiedział, że w sądzie najlepiej wyglądałaby sytuacja, w której

to my przyszlibyśmy z pomocą Kubie, który nagle chce wrócić do domu. Rozumiesz? To byłby koronny argument, że my nie tylko możemy, ale i poświęcamy nasze życie nie naszym dzieciom, kiedy ich matka ciągle zajęta jest sobą. Poza tym gdybym to ja odebrała Kubę z obozu, mogłabym go utulić, uspokoić i przypomnieć, że jestem najlepszą ciocią na świecie. Nie wiesz, Pawełku, czy ta zdzira czasem nie buntuje dzieci przeciwko nam.

Monolog Ilony nie przeszkadzał Pawłowi w przeglądaniu wiadomości z pasjonującego go świata żeglarskiego. Wiedział, że kiedy Ilona zaczyna mówić o odebraniu bratowej praw rodzicielskich, nie potrzebuje partnera do rozmowy.

– Myślę, że pojadę tam jutro i znowu pokażę się Kubusiowi. Może nawet sprezentuję mu komórkę? Widziałam teraz takie fajne, w dziecięcej stylistyce. Zostawię mu telefon, a pewnie chwilę po moim wyjeździe zrobi mu się smutno…

– I zadzwoni do matki, a ta cię opierdzieli. Zostaw to, robaczku. – Paweł coraz trudniej znosił kolejne dziwne sposoby na zaspokojenie instynktu macierzyńskiego.

Mieli przecież cudny dom, świetnie prosperujące firmy, byli zdrowi i mieli siebie. On nie potrzebował nic więcej do szczęścia. Ona najwyraźniej tak, i to w takim stopniu, że marzenie stało się obsesją prowadzącą do zguby.

– A właśnie, że nie! Zapiszę mu w telefonie tylko numer do siebie. Zadzwoni więc do mnie, zapłakany…

– Stop! Robaczku, zdajesz sobie sprawę, że to wszystko zaszło już za daleko?

Odłożył tablet i podszedł do niej.

– Co masz na myśli?

– Skoncentrowałaś się na wojnie z Aleksandrą tak mocno, że zapomniałaś, że w tym wszystkim chodziło o dzieci.

– Ale przecież myślę o nich! Bez przerwy, w każdej sekundzie mojego nędznego życia. – Po jej policzkach popłynęły łzy.

– Podjęliśmy decyzję, że się nimi zajmiemy, że zastąpimy im rodziców, bo mieliśmy na uwadze ich dobro. Pamiętasz to jeszcze, robaczku? Bo wydaje mi się, że zapomniałaś. Tu nie chodzi ani o ciebie, ani o mnie, ani o żonę twojego brata. Najważniejsze są te dwie młode osóbki.

– Zrobiłabym dla nich wszystko!

– Nie. Zaślepiła cię chęć wygranej. Ich dobro przestało mieć dla ciebie znaczenie. Robaczku, to nie ma sensu. Aleksandra przeszła przez piekło. Pozbierała się i stara się jak może. Nie masz prawa buntować tych dzieci. Nie możesz grać przeciwko niej. Bawić się ich emocjami. Nie możesz ich unieszczęśliwiać.

– Stajesz po jej stronie! – Nagle przestała płakać. Zamiast udawać ofiarę, zaatakowała: – Czym cię przekonała? Może chcesz do niej odejść, co? Zamienić mnie na jakąś beznadziejną babę? Cudownie to sobie wymyśliłeś, będziesz miał dzieci i nową kobietę…

– Robaczku, weź sobie coś na uspokojenie i chodźmy do łóżka.

– Tobie tylko jedno w głowie! Sam sobie idź, ja nie mam głowy do takich spraw.

*

Autostrada z Poznania do Łodzi zapewniała szybkie i bezkolizyjne połączenie między Olgą i Markiem. Dzielące ich ponad dwieście kilometrów Olga pokonywała zwykle w mniej niż dwie godziny.

Tym razem na miejsce zamierzała dotrzeć dużo szybciej. Cisnęła pedał gazu i wymijała ciągnące się prawym pasem ciężarówki.

– Kobieto, odbierz w końcu ten telefon! – Złościła się na Aleksandrę, do której próbowała się dodzwonić od ponad godziny.

Dokładnie od chwili, w której opuściła mieszkanie matki przyjaciółki i mogła w końcu pojechać do domu, spakować się i wyruszyć w podróż do Łodzi.

– Tu Aleksandra Wilk, nie mogę teraz odebrać telefonu. Proszę, zostaw wiadomość. Oddzwonię.

– Halo! Olka, skoro obiecujesz, że oddzwonisz, to zrób to, do cholery! Nagrywam ci się już trzeci raz. Odchodzę od zmysłów, bo nie wiem, co się dzieje u was. Jestem mniej więcej w połowie drogi do Łodzi. Odezwij się, bo inaczej zejdę na zawał.

Olga odłożyła telefon i jeszcze mocniej wcisnęła pedał gazu. Silnik zawył, a wskazówka licznika przesunęła się na sto czterdzieści. To była maksymalna prędkość, którą mogła wycisnąć ze swojego wiekowego nissana.

Bardzo szybko zbliżała się do jadącej lewym pasem ruchu zielonej skody. Zamrugała długimi światłami, by dać kierowcy do zrozumienia, że powinien jej ustąpić.

– Spieprzaj, pacanie! Dla ślimaków jest prawy pas!

Kierowca nie zrozumiał skierowanych do niego delikatnych sugestii, więc zatrąbiła. Widziała już dokładnie numery rejestracyjne. Zdjęła nogę z gazu i zawiesiła ją nad pedałem hamulca.

Nie użyła go jednak. Skoda zjechała na prawo, umożliwiając jej przemknięcie między samochodową karoserią a przydrożnymi barierkami. Niewiele brakowało, by o nie zahaczyła.

Nie zaprzątała sobie jednak tym głowy. O wiele bardziej zajmująca była świadomość, że Marek pojawił się w swoim apartamencie kilka dni za wcześnie. Miał lądować w Polsce dopiero w piątek. Coś się musiało stać – czuła to, jednak nie to niepokoiło ją najbardziej.

Wrócił wcześniej i nie zadzwonił. Nie uraczył jej swoim uroczym, choć mało prawdziwym tekstem „tęskniłem, skarbie". Nawet nie przysłał krótkiego SMS-a.

– To ja. Jeśli chcesz ze mną pogadać – tym razem wybrała numer Marka – to

wiedz, że nie mam nic ciekawego do powiedzenia.

Co pięć minut słyszała ten sam komunikat odtwarzany przez pocztę głosową. Dopiero teraz postanowiła się nagrać.

– Cześć. Mam nadzieję, że myślisz o mnie ciepło i że nie możesz się doczekać naszego spotkania. Tęsknię, odezwij się.

Nie wiedziała, czego powinna się spodziewać. Było jej głupio, bo nie wspomniała Markowi o tym, że zostawiła klucze od jego wymuskanego apartamentu przyjaciółce. Miała nadzieję, że spotkanie Olki z Markiem przebiegło w miarę przyjaznej atmosferze. Liczyła się też z tym, że nadzieja jest matką głupich. Niespodziewający się niczego Marek mógł wejść do swojego mieszkania i przyłapać obcych ludzi uprawiających seks na jego kuchennym blacie i wpaść w szał.

Oparła stopę o pedał gazu. Musiała jak najszybciej znaleźć się między nimi, by zneutralizować wszelkie problemy.

Minęła kolejny zjazd z autostrady i zerknęła na zegarek, chcąc oszacować godzinę dotarcia do celu.

– *I'd never dreamed that I'd meet somebody like you.*

Telefon Olgi odezwał się seksownym głosem Chrisa Isaaka. Specjalnie ustawiła fragment utworu „Wicked Game" na dzwonek informujący ją o połączeniu przychodzącym od Marka. Nigdy nie marzyłem, że spotkam kogoś takiego jak ty.

– *I'd never dreamed that I'd lose somebody like you.*

Nigdy nie śniłem o tym, że stracę kogoś takiego jak ty.

Olga pomacała ręką fotel pasażera. Wydawało jej się, że tam odłożyła komórkę po ostatniej próbie połączenia się z Markiem. Niestety, nie znalazła aparatu i zorientowała się, że tym razem musiała wrzucić go do torebki.

Rzuciła krótkie spojrzenie na drogę. Prawym pasem osobówka ciągnęła się za ciężarówką. Lewy był wolny.

– *No, I don't wanna fall in love with you.*

Nie zdejmując nogi z gazu, sięgnęła do torebki. Przeszukanie przepastnej skarbnicy rzeczy niezbędnych kobiecie trwało zbyt długo. Wróciła spojrzeniem na drogę.

Tył samochodu osobowego – który powinien jechać prawym pasem – znalazł się jakimś cudem pół metra przed maską jej nissana.

*

Urszula po raz kolejny przeglądała dokumenty zgromadzone w sprawie zabójstwa Renaty Tomaszewskiej i zastanawiała się, jak to jest, że zakurzone papiery przechodziły przynajmniej przez kilkanaście par rąk i oczu, a dopiero ona dostrzegła w nich ślad zabójcy.

– Zimińska! Co ty, kurwa, odpierdalasz?!

Baraniak wpadł z impetem do pokoju. Z dnia na dzień robił się coraz grubszy. Gdyby miała czas na złośliwości, pomyślałaby, że się wtoczył.

Przyłapał ją na czymś, czego robić nie powinna, więc zamiast komentować jego wygląd, zaczęła szukać odpowiedniej wymówki. Liczyła na to, że o tej godzinie jest bezpieczna na komisariacie. Naczelnik powinien późnym popołudniem zalegać na kanapie w swoim mieszkaniu, opychać się chipsami i oglądać porno.

– Ja?

– Nie wkurwiaj mnie bardziej, bo ci wypierdolę!

– Ale…

Naczelnik podszedł do jej biurka i złapał pierwszą lepszą teczkę i odczytał tkwiące na obwolucie napisy.

– Co to jest?

– To co widać – odpowiedziała, zatrzymując jednocześnie dla siebie uwagę, że to dokładnie to, czego się spodziewał.

Było jasne, że naczelnik nie wpadł we wściekłość po zapoznaniu się z aktami, ale dużo wcześniej. Musiał wiedzieć, nad czym Urszula pracuje. Ktoś doniósł mu również o tym, że nadal siedzi w firmie.

– Miałaś to zostawić. Wyrzucić do kosza, oddać do archiwum! Kurwa, zapomnieć o tym i skupić się na czymś innym!

– I skupię się, ale w swoim czasie.

– Czasu zostało ci wyjątkowo mało. Nie stosujesz się do poleceń służbowych. Ba, rozmyślnie łamiesz służbowe zakazy. Nie popracujesz tu zbyt długo.

– Każdy kontakt zostawia ślady. Morderca Tomaszewskiej też je zostawił. Zrobił jeszcze coś gorszego. Zabrał denatce broszkę i teraz próbuje ją opchnąć. Wiem, że działam trochę wbrew…

– Trochę, kurwa? Jesteś taka głupia, czy tylko udajesz?!

– Ale jak namierzę mordercę i rozwiążę tę sprawę, to pochwały i zainteresowanie mediów skupią się na szefie.

– To nie salon masażu! Tu nie masz prawa wykazywać się inicjatywą. Jesteś częścią zespołu. A może byłaś? Muszę się, kurwa, zastanowić co z tobą zrobić!

– Wiem, kto ją zabił. Potrzebuję jeszcze dwudziestu czterech godzin… No, może czterdziestu ośmiu.

– A ja potrzebuję relaksu i… – zamilkł, uśmiechając się dwuznacznie. – Pierdolisz bez ładu i składu. Zamknij się i przestań poruszać ustami, chyba że…

– Szefie? – W drzwiach pojawił się aspirant Gulczyński.

– Chwila – burknął niezadowolony w stronę podwładnego i zwrócił się do Urszuli: – Widzę cię w moim gabinecie za godzinę. Jak się postarasz, to wynegocjujesz odrobinę czasu. Jeśli nie, to wylecisz stąd z hukiem.

Oddał jej teczkę, którą wcześniej wziął z biurka i wyszedł.

Potrzebowała chwili, żeby się uspokoić. Dzięki rozmowie z Aleksandrą Wilk domyśliła się, co przełożony mógł mieć na myśli. Zastraszył ją, zagonił w kąt. Teraz zamierzał odebrać to, na co czekał. Nie wydawało jej się.

– Czacha. – Starała się odzyskać pełne skupienie.

Godzina. Dokładnie tyle miała, by rzucić na biurko przełożonego nie swój goły tyłek, a kartkę z nazwiskiem zabójcy.

– Czacha. – Przeglądała zeznania mieszkańców skłotu.

Wydawało jej się, że właśnie w nich spotkała się z tą ksywą po raz pierwszy. Była jednak pewna, że nie dotyczyła żadnego z przesłuchiwanych.

– Czacha przyniósł w piątek skrzynkę piwa i tak sobie zaczęliśmy sączyć, aż rozkręciła się z tego imprezka. – Odczytała zeznania Jakuba Stelmaszyka. – Czacha poszedł szybciej spać, a ja podrywałem taką jedną.

Potwierdzało to słowa Szajbusa. Rzeczywiście, Czacha mieszkał w skłocie. W piątek normalnie uczestniczył w imprezie, a w poniedziałek, kiedy policja przeryła każdy jego fragment w poszukiwaniu jakichkolwiek dowodów, już go tam nie było.

– Zabił i uciekł, bo wiedział, że będziemy go szukać. Dlatego przez tyle lat nie udało nam się ustalić sprawcy. Zwyczajnie nie braliśmy go pod uwagę.

Teraz Urszula musiała jeszcze ustalić jego nazwisko. Do wizyty u szefa zostało jej tylko pięćdziesiąt minut. Niewiele, by sprawdzić trop podrzucony przez Szajbusa.

– Telewizja! Tam pracował. Fuck, szukam igły w stogu siana, ale przecież dotrę do celu! Muszę!

Urszula zamierzała opuścić komisariat, ale jej ostatnie spojrzenie padło na kolejne zeznanie.

– Sobotę całą przespałem, bo piątkowa impreza dała mi do wiwatu. Niewiele pamiętam. Coś świętowaliśmy, bo alkoholu było aż nadto. I Ruda tańczyła na stole – przeczytała i zatrzymała się na słowie „Ruda". Aleksandra Wilk przyznała, że Szajbus jest jej znajomym, zapomniała jednak wspomnieć, że znają się ze skłotu. – Jaka Ruda? Małolata taka, którą przyciągało zło. Leciała na Czachę, ale Szajbus starał się zrobić wszystko, by ją uchronić przed złem. Krył ją, naprawiał błędy i… nie wiem, może nawet zamordował, bo po tym tańcu zniknęła. Dziś już nikt jej nie widział.

*

– To było traumatyczne.

– Marietta jak zwykle przesadza. Po prostu to zupełnie inne doznanie. Kupowanie to przyjemność, sprzedawanie to przykry obowiązek.

Gospodarze imprezy, Rafał i Marietta Wasilewscy, zabawiają gośćmi

opowiastkami o doświadczeniach z ostatniej aukcji. Pani domu wygląda jak porcelanowa lalka. Jest filigranowa, blada i pełna gracji. Aż miło się na nią patrzy.

Jej mąż ma zaczerwienione policzki i spocone czoło, a w ręku trzyma szklankę z whisky. Na moje oko wypił już odrobinę za dużo. Podejrzewam też, że sączenie drogiego alkoholu to jego hobby. Być może organizuje takie imprezy tylko po to, by mieć okazję do wlania w siebie ilości, której nie doliczy się nawet jego żona?

– Mój drogi, przykrym obowiązkiem jest chodzenie do dentysty. Sprzedaż pracy, z którą żyliśmy przez wiele lat, była traumatyczna.

– Marietta jest świetna w dramatyzowaniu. Przecież Warhol nie był członkiem naszej rodziny. Kupiliśmy go ze świadomością, że kiedyś być może go sprzedamy.

– Rafał mówi za siebie. Ja go uwielbiałam. Był dla mnie czymś więcej…

Co ja tu robię? W snobistycznej rezydencji, wśród snobów szukam informacji o kimś, kto usiłował zabić Pikasa? A może sama siebie oszukuję? Chcę żyć w przekonaniu, że bajka o usiłowaniu zabójstwa jest prawdziwa, tak samo jak ci ludzie żyją z przekonaniem, że są wybrani.

– Marietta ma trochę racji. Podczas aukcji odczuwałem dyskomfort, mimo że zadowalała mnie gwarantowana cena minimalna. Mogłem sprzedać tę pracę handlarzowi, obyłoby się bez emocji.

– Właśnie, à propos emocji… – Wasilewscy idealnie się uzupełniają. Kiedy jedno kończy wypowiedź, błyskawicznie odzywa się drugie, jakby stali na scenie teatru i nie mogli pozwolić, by publiczność zaczęła się nudzić. – Mieliśmy osobny pokój, w którym mogliśmy przeczekać aukcję…

– Na szczęście z dostępem do dobrego alkoholu – wtrąca Rafał.

Przyznaję, że Wasilewscy są dobrzy. Zgromadzona śmietanka towarzyska chichocze.

– Chciałam się schować i umrzeć. Świadomość tego, że za chwilę aukcjoner poda numer naszego Warhola, że może nikt nie będzie chciał go kupić… To było traumatyczne. Czułam się, jakbym nago stanęła przed publicznością. Jakbym wystawiła się do oceny. Mówię wam, nigdy tego nie zapomnę.

– Marietko, to może wystarczy tych traumatycznych opowieści, spotkaliśmy się przecież po to, by się rozerwać. Zapraszam wszystkich do ogrodu!

O nie. Zaraz zacznie się czas indywidualnych pogaduszek. Gdzie jest Olga? Już dawno powinna dotrzeć do Łodzi. Nie zgodziłabym się, żeby tu przyjść, gdybym nie myślała, że będziemy razem.

– Witaj! Kim jest twoja urocza towarzyszka?

Siwy mężczyzna zagaduje Marka, zupełnie jakbym była małpką, która nie jest w stanie zrozumieć, co się do niej mówi.

– To moja przyjaciółka. – Marek pręży pierś, a jego ręka wędruje na moje biodro.

Świetnie. On też chyba już zbyt dużo wypił i najwyraźniej zapomniał, że jestem przyjaciółką jego kobiety.

– Ty to masz oko! Nie tylko do sztuki, ale i do kobiet. Co jedna to piękniejsza. Mam nadzieję, że będziesz na tyle miły, by mi ją przedstawić?

Padają imiona, a po nich uścisk dłoni. Marek prezentuje mnie jak trofeum. Czekam, aż każe mi się zakręcić wokół własnej osi, żeby facet mógł przyjrzeć się również mojemu tyłkowi.

– Zaopiekujesz się nią? – pyta siwego, kiedy wyjmuje z kieszeni wibrujący telefon.

Tak, w końcu doczekałam się swoich pięciu minut? Pociągnę faceta za język. Marek nie przyznał się do znajomości z Pikasem. Muszę ustalić, dlaczego.

*

– Halo?

– Dobry wieczór, dzwonię ze szpitala w Koninie. Przywiedziono dziś do nas na oddział Olgę Brzozowską. Prosiła, żeby pana zawiadomić.

– Dziękuję – odpowiedział lakonicznie Marek.

Kiedy zobaczył na wyświetlaczu komórki, że dzwoni do niego nieznany numer, zawahał się. Odebrał tylko po to, by dowiedzieć się, kto chce z nim rozmawiać.

Nie miał czasu na konwersacje.

– Pani Olga miała wypadek samochodowy. Jej stan jest na szczęście stabilny. Ma połamane żebra i kilka niegroźnych stłuczeń. Nie wykluczyliśmy jeszcze wstrząsu mózgu. Jechała z dużą prędkością, dlatego uderzenie w kierownicę mogło…

– Rozumiem. – Zerknął na konwersujące towarzystwo i sędziego, który zapewne zanudzał Aleksandrę. – Przepraszam, ale nie mogę teraz rozmawiać.

– Ale…

– Zadzwonię rano.

Zakończył połączenie i wyłączył aparat, chcąc uniknąć przeszkód w realizacji planu. Wrócił do Aleksandry, podszedł do niej od tyłu i położył obie ręce na jej biodrach.

Zrobiła kilka kroków w bok, sprawiając, że musiał ją puścić.

– Przepraszam – szepnął. – Już jestem i się o ciebie troszczę. Nie możesz stać z pustym kieliszkiem.

Odebrał jej szkło, poszedł do barmana i poprosił o przygotowanie czegoś ekstra. Musiał wlać w nią więcej alkoholu, czasu zostało coraz mniej, a plan nie mógł spalić na panewce. Zwłaszcza teraz, kiedy owinął sobie kobietę wokół palca do tego stopnia, że zgodziła się przyjść na spotkanie w roli jego osoby towarzyszącej.

– Biznesy? – spytała, kiedy wrócił.

Wyglądała pięknie w granatowej sukience, którą kazał jej włożyć. W sumie nawet nie musiał jej namawiać. Na szczęście wizja pojawienia się wśród elity w swoich skromnych czarnych ciuchach skutecznie przekonała ją do włożenia na siebie sukienki, którą kupił kiedyś Oldze.

– Tak, ale już się poprawiłem i wyłączyłem telefon.

– To go włącz. Olga na pewno będzie nas szukała, jak dotrze do Łodzi, a ja chyba zostawiłam komórkę w kuchni…

VIII
czwartek

Panie Boże! Znów mam przed oczami spojrzenie człowieka, z którego ucieka życie. Jestem przerażony. Tak bardzo chciałbym, żebyś był przy mnie, szczególnie w trudnych chwilach. Zewsząd atakują mnie pokusy. Zmuszony jestem podejmować trudne decyzje. Nie wiem, czy dobrze postępuję, nie wiem, czy byłbyś ze mnie zadowolony. Przyrzekam Ci, że myślę o Tobie i Twoim miłosierdziu, ale czasem sprawy wymykają się spod kontroli. Bądź przy mnie i wspieraj mnie w postanowieniu poprawy. Rano dawaj mi siły na ten cały dzień. W południe uśmiechnij się do mnie, abym ten uśmiech mógł oddać tym, którzy najbardziej go oczekują. Wieczorem wlej pokój w moje serce, abyś Ty, Boże, był we wszystkim uwielbiony. I broń mnie od wszelkiego złego.

Amen.

*

– Musicie sobie radzić beze mnie. Tak wyszło.

– Tak wyszło? Gzisz się ze swoją cizią, a my tu mamy pożar!

– Co drugi dzień mamy pożar, taka branża. – Krystian wstał z łóżka i przeciągnął się.

Hotel – zaaranżowany w starym kinie – w którym się zatrzymał, idealnie oddawał klimat filmowej Łodzi. W recepcji wraz z kluczem do pokoju otrzymał dawkę zbędnych informacji o tym, że Łódź jest stolicą polskiego filmu, służyła jako plener dla ponad stu pięćdziesięciu planów filmowych, wobec czego zasłużyła na miano Holly-Łódź.

Później musiał wybrać pokój, w którym będzie spał. Nie było to łatwe. Każdy apartament dedykowany był bowiem zupełnie innemu filmowi czy serialowi. Na pierwszym hotelowym piętrze znajdowały się te, które nawiązywały do lat trzydziestych, ale także pokoje „Ziemi obiecanej" czy „Kariery Nikodema Dyzmy". Drugie piętro zajmowały apartamenty związane z filmami z lat pięćdziesiątych, trzecie – z epoką PRL-u, czwarte – te odnoszące się do współczesności. Krystian zdecydował się na noc w „Ojcu Chrzestnym".

– Krystian, potrzebujemy cię w firmie.

– Weź mi tu nie spamuj. Pracownikowi przysługuje w ciągu roku dwadzieścia kilka dni urlopu. Ja właśnie wykorzystuję część swojego.

Wielka ściana wytapetowana kadrem z filmu sprawiła, że Krystian Kamiński poczuł się jak potomek Vito Corleone. Uchylił drzwi nie tylko do nowojorskiej mafii, ale także do łódzkich ciemnych interesów.

– Dobra – rozmówca skapitulował. – Powiedzmy, że rozumiem. Zazdroszczę. Postaramy się to jakoś ogarnąć bez ciebie.

– Dacie radę. A jak nie, to dzwoń. Z konkretnym zagadnieniem, to może uda mi się pomóc przez telefon.

Krystian rozłączył się i wyjrzał za okno. Holly-Łódź wyglądała jak każde inne miasto. Ulice pełne były samochodów, chodnikami przemykali ludzie, a sklepy kolorowymi reklamami zachęcały klientów do wejścia.

Musiał przyznać, że poznańscy pracownicy urzędu miasta mogliby się wiele nauczyć od osób zajmujących się promocją Łodzi. Poznań miał o wiele więcej do zaoferowania, zarówno w kwestiach historycznych, jak i innych, w których mógłby się prezentować. Niezmiennie jednak pozostawał miastem trykających się koziołków i liczących każdy grosz poznaniaków, podczas gdy Łódź kusiła turystów ciekawą ofertą, szlakami turystycznymi i nowoczesnym podejściem do turystyki. Łódź kreowała zainteresowanie miastem, Poznań wciąż inspirował tylko poznaniaków.

Krystian usiadł przy dębowym stoliku i włączył komputer. Zamierzał wskoczyć pod prysznic, ale najpierw musiał sprawdzić, czy w końcu dotarł do niego mail, na który czekał.

„Zgoda. Byle szybko."

Trzy krótkie słowa, które wysłane zostały w nocy, sprawiły, że Krystian poczuł się jak ojciec chrzestny. Ryba połknęła w końcu haczyk, a on mógł zrealizować swój plan.

Odpisał: „Niech będzie. Mam już pieniądze. Do Łodzi dotrę późnym wieczorem."

*

Od wczorajszego wieczoru czuję się coraz bardziej niezręcznie. Im bardziej usiłuję przypomnieć Markowi o tym, że nie jestem laleczką, którą może bezkarnie podrywać, tym bardziej on udaje głupka. Dobrze, że przynajmniej na tarasie mogę znaleźć odrobinę prywatności.

– Olga, gdzie jesteś? Odezwij się, bo zaczynam się niepokoić. Miałaś wczoraj do nas dołączyć. Olga, jeśli nie możesz gadać, puść chociaż SMS-a.

Olga nie odbiera telefonu. Boże, mam nadzieję, że wszystko jest w porządku, że nic się nie stało, że odebrała list od matki… Właśnie, zadzwonię do matki i dowiem się, czy do niej dotarła. Może coś jej wyskoczyło w pracy, może telefon

się rozładował. Cała Olga. Szalona i spontaniczna.

– Skarbie?

To on. Wyszedł z łazienki i mnie woła. Co mam zrobić?

Awanturę? Pokazać, że nie zachowuje się fair ani wobec mnie, ani tym bardziej wobec mojej przyjaciółki? Nie powinien mnie podrywać. Nie powinien na wczorajszym przyjęciu pozwalać ludziom myśleć, że jesteśmy parą. Wielu rzeczy nie powinien robić.

Ale… jeśli wyjdę na idiotkę? Jeśli okaże się, że on jest taki światowy? Że jego troska, opieka i nadskakiwanie nie jest spowodowane chęcią zaliczenia mnie, a jedynie uprzejmością?

Nie chciałabym, żeby Olga pomyślała sobie, że mam zbyt wybujałą wyobraźnię. Nie mogę oskarżać jej faceta o rozwiązłość i brak stałości emocjonalnej.

Olga. Boże, tak bardzo chciałabym, żeby w końcu do nas dołączyła.

*

Przez pół nocy Urszula zastanawiała się, jak ustalić dane adresowe chłopaka, który w dziewięćdziesiątym piątym roku pracował dla telewizji. Poszukiwania po omacku oznaczały przekopywanie się przez dziesiątki dokumentów i jeszcze więcej rozmów. Bite dwa tygodnie pracy, jak nie więcej. Zdawała sobie sprawę, że nie zna ani jego nazwiska, ani imienia, ani nawet wieku.

Wpadła jednak na pomysł, że poszukiwania zacznie z zupełnie innej strony.

Kilka dni wcześniej oglądała „Powrót do krainy wspomnień”. Już wtedy czuła, że film miał duży wpływ na to, jak Tomaszewska zakończyła życie.

Zakładała, że zabójca obejrzał go w telewizji i postanowił uszczuplić zasoby samotnej kobiety. Ustalił jej adres, z filmowych kadrów wyczytał szczegóły dotyczące lokalizacji obrazów i innych cennych rzeczy. Pech chciał, że podczas włamania zastała go staruszka. Zabił ją.

– Naczelnik cię wzywa.

– Zaraz – burknęła, nie odwracając oczu od monitora.

Przyjechała do firmy tylko po to, by zweryfikować hipotezę, którą postawiła dziś w nocy. Dodała dwa do dwóch i… wynik ją zaskoczył.

Kilka tygodni przed zabójstwem Tomaszewska gościła w swoim domu ekipę telewizyjną. W tym czasie Czacha podobno pracował w telewizji. Mógł więc pojawić się w domu Tomaszewskiej i pod pretekstem trzymania lamp czy mikrofonów przyjrzeć się wszystkim zamkom, drzwiom i oknom. Potem zamieszkał w skłocie, żeby poobserwować z bliska ofiarę i jej otoczenie. Następnie okradł ją, zabił i zniknął.

Priorytetem dla Urszuli było teraz ustalenie imienia i nazwiska Czachy, a następnie sprawdzenie, co łączy go z Wróblewskim. Bo to, że coś ich łączy,

było oczywiste. Jeden zniknął zaraz po zabójstwie, drugi właśnie próbował sprzedać broszkę skradzioną Tomaszewskiej. W najgorszym razie ponad dwadzieścia lat temu razem chodzili na włamy. Razem zabili staruszkę… lub zrobił to jeden z nich, a drugiego będzie można oskarżyć o współudział.

W najlepszym wypadku winny był tylko Czacha – to on włamał się do domu Tomaszewskiej, zabił ją, a teraz zwrócił się do kolegi z dawnych lat z prośbą o upłynnienie biżuterii.

– Radosław Olendrowicz – odczytała nazwisko reżysera „Powrotu do krainy wspomnień", dokumentu o Tomaszewskiej. Jego właśnie szukała. Osoby, która znała całą ekipę filmową obecną tamtego dnia na planie i mogłaby pamiętać imię i nazwisko chłopaka. – Fuck!

Według informacji policyjnej Olendrowicz zmarł w dwa tysiące dwunastym. Urszula spisała jego ostatni adres zamieszkania i ruszyła w drogę.

– Do trzech razy sztuka – powiedziała na głos, przechodząc obok gabinetu naczelnika.

Dwukrotnie nie wykonała poleceń służbowych grubego Waldemara Baraniaka. Nie odpuściła sprawy Tomaszewskiej i nie pojawiła się u niego wczoraj wieczorem. Nie widziała więc powodu, dla którego miałaby zajrzeć do niego dziś. Nie miała mu nic do powiedzenia.

– Wypierdalaj! – Uniesiony głos przełożonego przenikał przez ściany.

Drzwi otworzyły się, a z gabinetu szefa wyszedł aspirant Kajetan Gulczyński.

– Słyszę, że kiepsko ci się rozpoczął dzień – zagadnęła kolegę po fachu.

Wyglądał jak zbity pies, który od kilku dni nie zmrużył oka.

– Rozpoczął? Kurwa! Od kilku dni kręcę się w kółko. Ledwo zamknąłem sprawę Wróblewskiego, no wiesz, tego gościa, o którego pytałaś w szpitalu, a chłopaki znaleźli jego ciało. Optyka się zmieniła, naczelnik ma pretensje, a ja…

– Ciało? Ciało Piotra Wróblewskiego?!

– No tak. Zmasakrowane tępym narzędziem.

*

Baraniakowi wydawało się, że słyszy Urszulę. Wyjrzał na korytarz, żeby zweryfikować swoje podejrzenia. Rzeczywiście – stała tam i rozmawiała z policjantem, którego właśnie opieprzył.

– Co za zaszczyt! – burknął w stronę kobiety, uznając, że w końcu do niego przyszła. Wczoraj czekał na nią ponad godzinę. – Zapraszam szanowną koleżankę Zimińską. – Wskazał palcem swój gabinet i nie spuścił z niej zagniewanego wzroku, dopóki nie weszła do środka.

Od samego rana wszystko układało się nie po jego myśli. Dziennikarze dowiedzieli się, że zwłoki zmasakrowanego kijem bejsbolowym człowieka należą

do mężczyzny, który parę dni temu uległ wypadkowi samochodowemu. Jak zwykle – aby podsycić zainteresowanie czytelników – koloryzowali i zadawali pytania sugerujące odpowiedzi. Czy potrącenie było nieudaną próbą zabójstwa? Czy to ten sam sprawca? Kim był Piotr W.?

Do tego Zimińska, która – jak mu się wydawało – czerpała przyjemność z ostentacyjnego niewykonywania jego rozkazów i droczenia się z nim.

– Kolejna niesubordynacja.

– Nie mogłam wczoraj przyjść. Pracowałam.

– Jaka miła odmiana. W takim razie muszę spytać o postępy w sprawie, którą ci zleciłem.

– Czytam akta.

Miała zaczerwienione policzki, błyszczące oczy i drżący głos. Nie mógł tego zinterpretować inaczej, niż jako podniecenie. Zwykle reagowała na niego zupełnie inaczej – złością i zamknięciem.

Wczoraj wieczorem postawił wszystko na jedną kartę. Dał jej wyraźnie do zrozumienia, jakie są zasady interesującej go gry. Być może to ją ośmieliło. Wiedziała już, jakie są jego intencje, a świadomość nieuchronnie zbliżającego się spełnienia podniecała nie tylko jego.

Siedzieli w gabinecie sami. Za zamkniętymi drzwiami, których nikt nigdy nie otworzy bez pozwolenia.

– Od siedmiu dni? Myślałem, że policjanci dysponują trochę lepszymi umiejętnościami czytania. – Udawał, że ich konwersacja ma charakter służbowy.

– Sprawy z archiwum obrabia się właśnie w taki sposób. Czyta się je do momentu, aż coś zaskoczy. Dopiero wtedy można zająć się wyświetlaniem sprawy.

Baraniak wstał ze swojego fotela i usiadł na biurku. Twarz policjantki znalazła się mniej więcej na wysokości jego bioder.

– Tylko trudno się czyta, jeśli jest się zajętym czymś… lub kimś innym, prawda? – Był dumny z tego, że z jego ust wychodzą dwuznaczne teksty.

– Naczelnik powinien wiedzieć, że na tak zadane pytanie nie ma dobrej odpowiedzi.

– Czy wczorajsza nasza rozmowa nie dała ci do myślenia? Nadal zajmujesz się czymś, co powinnaś była wyrzucić? Nie za to ci płacimy!

– Nie robię tego w godzinach pracy.

– Chuj z tym!

Chciał być miły i przejść od słów i marzeń sennych do czynów delikatnie. Krótkowłosa bezczelna baba prosiła się jednak o naukę. Tak, powinien uderzyć ją w twarz, rzucić na biurko i wziąć od tyłu. Oboje wyciągnęliby z tego coś dla siebie. Ona nauczyłaby się szacunku dla przełożonego, a on zrelaksowałby się przynajmniej na kilka chwil. O dziesiątej miał spotkanie z rzecznikiem policji,

żeby ustalić strategię dotyczącą sposobu informowania opinii publicznej o zabójstwie Wróblewskiego. Musiał coś rzucić dziennikarzom. Coś na tyle ciekawego, by zostawili go w spokoju, a jednocześnie na tyle błahego, by nie popsuć śledztwa.

– Skoro szef sam rozpoczął ten drażliwy temat… – zamilkła.

Chciała coś mu powiedzieć, ale najwyraźniej szukała odpowiednich słów. Zatrzymał wzrok na jej uchylonych ustach i wiedział, że jest gotowy. Jej początkowy opór, a teraz udawane – lub nie – zakłopotanie podniecało go o wiele bardziej niż bezemocjonalne pornosy.

– Kontynuuj. To polecenie służbowe.

– Rozmawiałam przed chwilą z tym świrem od motyli. Wydaje mi się, że macie problem… Fuck, wszyscy mamy problem, ja też, ale jak połączymy siły…

Tak, był gotowy do połączenia i do wszystkich odmian słowa „fuck".

Zimińska zaczęła krążyć po pokoju jak lew po klatce.

– Nie wiem… nie wiem, jak to się stało… – powtarzała w kółko.

Nie przepadał za grą wstępną, dlatego podszedł do niej, złapał za rękę i spojrzał prosto w oczy. Nadszedł najwyższy czas, by dokonać aktu kopulacji.

– Wyrzuć to z siebie. W tej chwili!

W gruncie rzeczy nie zamierzał się całować, ale jeśli ona rzuciłaby się na niego, mógłby to zaakceptować. Był nawet gotowy na przyjęcie słowotoku o miłości od pierwszego wejrzenia i innych pierdołach, które będzie musiał sprostować. Ale to dopiero po tym, jak się spuści.

– Piotr Wróblewski, ten wasz dzisiejszy denat! Wydaje mi się, że wiem, kto go zabił. Interesowałam się nim, śledziłam i rozpytywałam… Możemy za jednym razem rozwiązać dwie sprawy.

– Co ty pierdolisz? – Baraniak poczuł się, jakby na jego penisa ktoś wysypał właśnie wiadro kostek lodu.

– Piotr Wróblewski był zamieszany w sprawę zabójstwa tej aktorki, sprawę, którą kazałeś mi wyrzucić do kosza.

*

– Boże, jak to nie żyje?! O czym ty mówisz? To jest żart? Jaja sobie robisz?!

Spotkanie z Urszulą na mieście to nie był zbyt dobry pomysł. Czuję, że jest mi słabo. Że muszę usiąść. Że brakuje mi powietrza.

– Pikaso został dziś znaleziony martwy.

– Nie!

Jeszcze nigdy niczego w życiu tak nie pragnęłam, jak tego, żeby okazało się, że ktoś stroi sobie ze mnie żarty. Makabryczne, absurdalne, porażające brakiem inteligencji, ale tylko żarty. Przecież chciałam z nim dziś porozmawiać. Skonfrontować moje domysły z jego wersją…

– Tak.

Łapie mnie za rękę i pomaga usiąść. Wspomina o tym, że Pikasa ktoś zatłukł kijem bejsbolowym.

– Jak zatłukł? Czym?

Lekceważy moje pytanie. Coś mówi, ale nie to, co chcę usłyszeć. Zawód policjantka. Czego innego mogłabym się po niej spodziewać? Bezkresnej szczerości? Beznadziejnie naiwna jestem. A może tylko bywam.

– Co dalej?

– O co ci chodzi? – Wydaje mi się, że jakoś dziwnie na mnie patrzy.

– Czy wracasz do domu?

Teraz ja ignoruję jej pytanie.

– Wiecie już, kto to zrobił? Kto zabił Pikasa?

Pada jakaś ogólnikowa odpowiedź. Kilkanaście nic nieznaczących słów. Nie wyjaśniają. Nie dają nadziei. Nie spełniają żadnej funkcji.

– Gadasz jak glina.

– Jestem gliną.

– Szkoda.

– Naczelnik kazał mi przekazać akta i wszelkie wnioski funkcjonariuszowi prowadzącemu sprawę zabójstwa. To ten sam facet, który pojawiał się w szpitalu i prowadził sprawę zdarzenia drogowego… Wkurwiona jestem.

– Ale chyba nie odpuścisz, co?

Czasem człowiek zadaje pytanie, mimo że zna na nie odpowiedź. Naiwnie jednak liczy, że ktoś wyprowadzi go z błędu.

– Nie miałam wyjścia. Obie znajdujemy się w trudnej sytuacji. Jeśli więc jest coś, co wiesz, przypomniałaś sobie, albo wcześniej mi o tym nie wspominałaś… Jeśli byłaś na miejscu zdarzenia albo Czacha przyznał ci się do…

– Skończ!

– Fuck. Olka, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co się stało? Teraz pierwszy lepszy kretyn zajrzy do akt. Dowie się, że odciski Pikasa były w domu Renaty Tomaszewskiej, że po ponad dwudziestu latach nadal przechowywał szkice broszki Tomaszewskiej i że próbował ją sprzedać. Być może za chwilę nawet znajdą ją w jego mieszkaniu! Jak myślisz, co się wtedy stanie?

– Przyjmą, że Pikaso zabił Tomaszewską.

– Dokładnie! I zamkną sprawę, w którą włożyłam mnóstwo energii. Pikaso bronić się już nie może. Media podchwycą informacje o rozwiązaniu sprawy sprzed lat i stracą zainteresowanie morderstwem Wróblewskiego. Przecież opinii publicznej nie interesuje, kto zabił zabójcę! Należało mu się przecież, no nie?

– Ale ty z jakiegoś powodu zakładasz, że Pikaso nie zabił Tomaszewskiej.

– Zakładam bezpiecznie, że co najwyżej współuczestniczył. Jego udział wyklucza nagła śmierć. Zabójca Tomaszewskiej jest na wolności i czuje się zagrożony. Myślałam, że Pikaso mnie do niego doprowadzi. Muszę dotrzeć do

Czachy. Poruszam się po omacku. Nawet jeśli trafię na człowieka, to nie będę w stanie zweryfikować, czy to on mieszkał wtedy w skłocie.

– Pomogę ci.

Być może wychodzę przed szereg, oferując swoją pomoc policji, ale wiem zbyt dużo, żeby milczeć.

– To oferta nie do odrzucenia – dodaję.

Zwłaszcza teraz, gdy sprawy stały się jasne. Pierwsza próba zabicia Pikasa się nie powiodła. Dopiero druga przyniosła zamierzony efekt. Sprawca w jakiś sposób musi być związany z zabójstwem sprzed lat. Tego jestem pewna.

Przeszłość wróciła do Pikasa i sprawiła, że jego umysł zablokował wspomnienia. Tak się czasem dzieje. Amnezja pomaga człowiekowi przetrwać i uciec od lęku.

Co więcej. Wtedy, na tej drodze, chwilę przed potrąceniem albo zaraz po nim, Pikaso musiał rozmawiać ze sprawcą… Padło moje nazwisko. Wtedy stracił przytomność i dlatego w szpitalu powtarzał „Aleksandra Chmielewska".

– Jesteś cywilem, nie mogę na to pozwolić.

– Pikaso w szpitalu wspominał coś o moim bezpieczeństwie. Sprawca wie o moim istnieniu i może podejrzewać, że wiem kim jest. Jeśli go nie zamkniesz… będziesz musiała oglądać moje zmasakrowane ciało.

*

– Nie powinno nas tu być.

Wieloletnie tkwienie w hierarchicznej strukturze potrafi stłamsić człowieka – pomyślała Urszula, kiedy dotarły na osiedle domów jednorodzinnych, na którym mieszkał zmarły reżyser.

Już sama podróż była horrorem, bo Aleksandra uparła się, żeby skorzystać z komunikacji miejskiej. Rzeczywiście na pieszy spacer to było za daleko, ale jazda tramwajem stanowiła dla Urszuli temat tabu. Nie chciała nawet o tym myśleć. Zadzwoniła więc po taksówkę, na oko oszacowała, gdzie są w stanie dojechać w kilka minut, w ciągu których potrafi oszukać swój organizm i poprosiła, by taksówka zatrzymała się odpowiednio wcześniej.

Resztę dystansu pokonały pieszo, niewiele się odzywając.

– Nas czy ciebie? – spytała Aleksandra.

Uśmiechnęła się delikatnie, ale Urszula zdawała sobie sprawę, że to wymuszony uśmiech. Aleksandra uzmysłowiła sobie, że jeśli Czacha jest mordercą, to będzie chciał zabić również ją. Wypowiedziała to nawet na głos. Głos jej drżał, ale minę miała zaciętą.

– I mnie, i ciebie. Naczelnik odebrał mi sprawę. Zabrał akta i kazał spierdalać. Jeśli dowie się, że przy niej węszę, zwolni mnie dyscyplinarnie. Ciebie, bo jeśli rzeczywiście to Czacha zabija, to kiedy cię zobaczy… nie będę w stanie

zapewnić ci odpowiedniej ochrony.

– Boże, co za pierdolenie. Jesteśmy blisko rozwiązania. Jakoś wcześniej nie przeszkadzało ci, że ten zboczeniec jest twoim zwierzchnikiem. O mnie się nie martw. Nie jestem tak naiwną gąską, na jaką wyglądam.

Dotarły na miejsce. Stary dom nosił ślady zaadaptowania go do panującej w architekturze mody. Do starej bryły doklejona została szklana konstrukcja wypełniona roślinnością. Nie trzeba było być spostrzegawczym, by zauważyć, że w tej dzielnicy ogrody zimowe cieszyły się popularnością.

– Mimo wszystko nie powinnam ci na to pozwolić.

– Bo co? Bo jesteś policjantką? Przestań. Jesteśmy tu dziś prywatnie. Szukam starego znajomego, a ty mi tylko towarzyszysz. Najlepiej w ogóle się nie odzywaj.

*

Marek Laskowski jest jak Paź królowej, piękny motyl – aspirant Gulczyński nie mógł pozbyć się tej natrętnej myśli.

Smukłe ciało, mała głowa, przepiękne ubarwienie… Szukał podobieństw, zamiast skupić się na przesłuchaniu. Żółty t-shirt z czarnymi i niebieskimi wzorami przypominał ubarwienie motyla. Brakowało jedynie czułków zakończonych niewielkim zgrubieniem.

– Co pan robił wczoraj między dwunastą a piętnastą?

– Będzie pan uprzejmy i wytłumaczy mi, dlaczego mnie tu przetrzymujecie? Przecież powiedziałem, że nie zabiłem Wróblewskiego!

Mężczyzna miotał się. Gestykulował, wzdychał i pokrzykiwał. Zupełnie jak motyl złapany przez kolekcjonera.

– Co pan robił wczoraj między dwunastą a piętnastą?

Gulczyński powtórzył pytanie. W telefonie zatrzymanego znalazł ciekawą kolekcję motyli i innych owadów. Nie żywych czy martwych, ale ich biżuteryjnych odpowiedników. Chciał więc jak najszybciej dopełnić formalności, spisać wyjaśnienia Laskowskiego, a później zapytać go o owady. Być może był takim samym świrem jak Kajetan.

– Wstałem, zjadłem śniadanie, znowu poszedłem spać, obudziłem się, wyskoczyłem do spożywczaka, zrobiłem sobie coś do jedzenia, oglądałem telewizję. Wieczorem odwiedziłem znajomych. Niech mi pan powie, o co chodzi?

– A gdzie są zakupy?

– Jakie zakupy? Wspomniałem o sklepie spożywczym. Najbliższym. Na Kopernika. Czemu tu jest tak duszno? Nie macie klimatyzacji?

Gulczyński nie czuł zaduchu szczelnie wypełniającego komisariat. Rzeczywiście, właściwie nie widywał w firmie otwartych okien. Być może pracowało tu zbyt mało kobiet, które dbałyby o zapach otoczenia. Poza tym był

zaprawiony w bojach. Podglądanie życia motyli wiązało się z wieloma niedogodnościami. Również z leżeniem w słońcu i czekaniem, aż coś w końcu przyfrunie.

– Czyli, powiedzmy, do godziny szesnastej nie ruszał się pan z ulicy Kopernika?

– No nie. Mogę już iść?

– Gdyby mówił pan prawdę, już dawno wypuściłbym pana na świeże powietrze. Może nawet wyszlibyśmy razem, rozprostować skrzydła… to znaczy kości.

– Nie bardzo rozumiem.

– Jest pan zamożnym człowiekiem. Na pewno ma pan łeb do interesów, proszę nie udawać teraz debila, bo naprawdę, nawet jeśli bym chciał, nie mogę panu uwierzyć.

– To niech pan nie pierdoli. Konkrety proszę!

– Konkret jest taki, że spotkał się pan wczoraj z Piotrem Wróblewskim. Na ulicy Piotrkowskiej. Uprzedzę pana kłamstwa. Mamy świadków waszego spotkania.

– A, no tak. Rzeczywiście przechodziłem Piotrkowską.

– Przechodził pan i…

Kajetan Gulczyński był znudzony. Od lat zmuszony był rozmawiać z ludźmi, którzy nie chcieli mu nic powiedzieć. Od lat słuchał kłamstw i siedział w tych zapyziałych czterech ścianach. Co z tego, że wyremontowano elewację komisariatu, skoro całe jego wnętrze, łącznie z podłogą, ścianami i zawartością zostało takie samo.

Czekał na emeryturę i możliwość całkowitego oddania się swojej pasji.

– I spotkałem Piotra.

– Skąd się znacie?

– Nie pamiętam.

– Spotkaliście się i co dalej?

– Nic. Zamieniliśmy kilka słów. Czemu pan mnie gnębi? Czemu zabraliście mnie z domu? Bez uprzedzenia, bez szacunku…

Na początku swojej kariery Gulczyński angażował się w śledztwa. Za punkt honoru stawiał sobie złamanie przeciwnika. Po latach zrozumiał, że liczy się efekt końcowy. Zamknięta sprawa. Odhaczone zadanie. Zadowolenie przełożonego – a ten uznał, że dla denata śmierć była wybawieniem. Podobno właśnie okazało się, że to on był odpowiedzialny za zabójstwo sprzed lat. Teraz trzeba było jedynie ustalić, kto pomógł mu zejść z tego świata, ukarać go, a następnie zgarnąć pochwały za jednoczesne zakończenie dwóch spraw.

– Świadek widział, jak kłócił się pan z Wróblewskim w jednej z tamtejszych kawiarni. Nie wygląda pan na kogoś, kto ma problem z panowaniem nad emocjami. Domyślam się więc, że takie publiczne kłótnie nie zdarzają się panu

na tyle często, by o nich nie pamiętać.

– Kłóciłem się, nie kłóciłem. Co to pana obchodzi? – Laskowski zmienił strategię i próbował odwrócić kota ogonem. – Proszę wezwać mojego adwokata!

– Mnie? A pana nie obchodzi? Wróblewski został zamordowany. Najciekawsze jest to, że czas zgonu pokrywa się z waszą kłótnią.

*

Mirek Olendrowicz wyszedł z domu tylnymi drzwiami i maszerował do stojącego przy bramie śmietnika, kiedy zauważył dwie kobiety. Stały blisko furtki i czaiły się. Tak właśnie nazwałby ich zachowanie – próbowały zajrzeć przez ogrodzenie, stawały na palcach, szeptały coś do siebie i pokazywały palcami na dom Olendrowicza. Ewidentnie szukały kogoś, kogo mogłyby zagadnąć.

Niższa miała krótkie ciemne włosy, a ręce ukrywała w kieszeniach spodni. Wyższa była ubrana w coś czarnego, co podkreślało jej blady odcień skóry i rudy kolor włosów. Żadna z nich nie miała na sobie seksownych szpilek ani upiększającego makijażu, dlatego też Mirek uznał, że nie będzie zmieniał swoich planów. Gdyby wyglądały jak aniołki Charliego, wyszedłby zza krzewów i zapytał, w czym może pomóc.

Doczłapał się do śmietnika, wrzucił worki do śmietnika i mocno trzasnął klapą, żeby sprawdzić, czy przeczucia go nie mylą.

Miał rację. Kobiety, usłyszawszy hałas, podbiegły do bramy i zawisły przy szczebelkach.

– Dzień dobry – zagadnęła go ruda. – Pan tu mieszka?

– Niczego nie kupię, nie będę rozmawiał o Bogu, zatem szkoda waszego czasu…

– Jest pan krewnym tego reżysera?

– O co chodzi? – spiął się.

Mimo że nie przytaknął, twarze kobiet się rozpromieniły.

– Jak dobrze, że pana zastałyśmy. Chciałabym porozmawiać o pana ojcu. Współpracował lata temu z moim znajomym. Muszę go teraz znaleźć.

– Nie sądzę, żebym mógł pomóc – powiedział to najłagodniej jak potrafił, jednak i tak zabrzmiał odpychająco.

– Proszę! – Ruda złapała go za rękę, mimo że dzieliło ich ozdobne ogrodzenie. – Jest pan moją ostatnią deską ratunku!

Kontakt fizyczny i spojrzenie sprawiły, że mężczyzna zmienił zdanie.

– Chwileczkę – burknął, wytarł ręce o spodnie i uchylił bramę na tyle, by wyjść przed dom.

Nie zaprosił kobiet do ogrodu, bo nie miał w zwyczaju gościć obcych. Podejrzewał też, że ta rozmowa nie potrwa długo. Nie miał i tak nic ciekawego do powiedzenia.

– Nie znałem ludzi z jego pracy.

– Oczywiście, rozumiem. Ale może ojciec zapisywał sobie gdzieś nazwiska ludzi, z którymi pracował? W kalendarzu? Notesie? W branży filmowej liczą się kontakty. Możliwość szybkiego dotarcia do dobrego operatora, dźwiękowca czy… sama nie wiem.

– Mój ojciec szczycił się tym, że ma cudowną pamięć. Prawdę mówiąc, nie wiem, na czym ta cudowność miała polegać. – Mirek nawet nie próbował stłumić złości. – Jako syn mogę jedynie powiedzieć, że jego pamięć była wybiórcza i dotyczyła jedynie spraw zawodowych.

Zwykle ludzie reagowali na jego narzekania dotyczące ojca oburzeniem. Mówili, że w tyłku mu się poprzewracało. Twierdzili, że powinien się cieszyć z tego, że był synem sławnego człowieka. Ludzie mu zazdrościli. Sam Mirek nie wiedział tylko czego.

Kobiety przyjęły jego złość zadziwiająco spokojnie. Ciemnowłosa kobieta jedynie pokiwała głową, a ruda uśmiechała się ze zrozumieniem. Zupełnie jakby ktoś jej płacił za wysłuchiwanie jego frustracji.

– No tak… rozumiem. Przepraszam, że pytam, ale poszedł pan w ślady swojego ojca?

– Chodzi pani o model rodzicielstwa? – spytał, ale nie oczekiwał odpowiedzi. Zarechotał nerwowo i dodał po chwili: – Nie łączy mnie z nim nic oprócz nazwiska. I domu. Jestem dobrym ojcem i mężem. I mam zwyczajną robotę. Nie zbawiam świata, nie tworzę arcydzieł. Sprzedaję śruby.

– Moja matka śpiewała w operze i załamała się, kiedy powiedziałam jej, że nie będę występować na scenie – odezwała się krótkowłosa kobieta.

– A mój ojciec się cieszył. Kiedy byłem młody, imponował mi. Chciałem być taki jak on. Marzyłem, żeby nauczyć się reżyserowania, by pokazywać innym, jak widzę świat. Kręciło mnie to całe środowisko filmowe. Chciałem spróbować swoich sił. Wielki Radosław był jednak bardzo wymagający i uważał, że muszę zapracować na swoje nazwisko w innej branży, a nie korzystać z jego pomocy. Nie pozwolił mi nawet spróbować. Nieraz błagałem, by wziął mnie na plan. Byłem gotowy na pracę za darmo, byleby tylko być blisko niego. Mogłem trzymać mikrofon przez cały dzień nagrań…

– I okazało się, że z bliska nie wygląda to tak atrakcyjnie?

– Nie wiem, jak wyglądało z bliska. Starałem się być posłuszny i nie sprawiać problemów. Myślałem, że dzięki temu ojciec mnie weźmie. Zamiast mnie wziął na plan zbuntowanego syna sąsiadów. Ironia losu, tak to się chyba nazywa?

*

Każdy chowa w szafie trupa.

Zdawałam sobie sprawę, że moja awanturnicza przeszłość odbije mi się

czkawką i to w najmniej oczekiwanym momencie. Spodziewałam się raczej sytuacji, w której do mojego pięknego mieszkania zapuka stary znajomy ze skłotu. Będzie brudny, głodny i zniszczony. Poprosi o pomoc, powołując się na starą znajomość. W kilka sekund będę musiała podjąć decyzję, czy zamknąć mu przed nosem drzwi, tłumacząc przystojnemu mężowi i idealnym dzieciom, że to pomyłka, czy może wpuścić go do środka…

Wpuścić i później godzinami tłumaczyć się z błędów młodości, nieprzemyślanych decyzji i braku dojrzałości.

Chyba właśnie niechcąco otworzyłam szafę syna reżysera. Nie szukałam trupów, tylko jakiegoś śladu po Czasze.

Nie mogę odwrócić się teraz na pięcie i zostawić faceta bez słowa wyjaśnienia. Powinien zapisać się na terapię i przepracować wszystko to, co go boli.

– Ironia? Nie mnie oceniać. Widzę, że nadal jest to dla pana bolesne.

– Bolesne? Gdyby chociaż raz wziął mnie na plan filmowy, połknąłbym bakcyla i pewnie poszedłbym na studia, jestem tego pewien! To był dziewięćdziesiąty piąty rok, zdałem maturę i wybierałem kierunek studiów. Decyzja ojca sprawiła, że zamiast poszerzać swoje horyzonty myślowe, skupiłem się na tym, żeby robić mu na złość. Olałem studia, zacząłem pracę jako sprzedawca. Syn sąsiadów chodził dumny jak pieprzony paw. Lucek wiedział, że to mnie bardziej zależało, zarówno na tej pracy, jak i na uwadze ojca. Założę się, że przyjął propozycję ojca tylko po to, by zrobić mi na złość. Zawsze był olewusem. Wyszedł na ludzi przypadkiem. Został filmowcem, słyszałem, że nawet wykłada w naszej Filmówce.

– Rodzice…

Urszula wzdycha głośno, a ja łapię ją za rękę. Nie chcę, żeby zaczęła opowiadać o perypetiach ze swoją matką czy ojcem. Ludzie często tak reagują. Kiedy słyszą szczere wyznania, starają się odwdzięczyć tym samym.

– Taa… Zwykle mają problem z ustawieniem priorytetów i okazywaniem miłości czy przynajmniej akceptacji swoim dzieciom. Skończyłem jak skończyłem, bo byłem zbyt posłuszny ojcu. Gdybym uciekał z domu, tak jak Lucjan, gdybym uczestniczył w bijatykach…

– Ten chłopak był agresywny?

Już miałam się żegnać z facetem, a tu nad moją głową rozbłysnęła żarówka. Dziewięćdziesiąty piąty rok. Chłopak pomagający reżyserowi. Ucieczki z domu. Czyżby strzał w dziesiątkę?

Zerkam na Urszulę. Myśli chyba o tym samym. Uśmiecha się i pyta o nazwisko sąsiada.

Boże, znalazłyśmy go! Czacha ukrywał pod pseudonimem urocze imię.

Lucjan.

*

Olga była tak zdesperowana, że właściwie wszystko było jej już obojętne. Chwyciła telefon, nie zważając na to, że w sali, w której leżała, były trzy inne kobiety.

– No nareszcie, kobieto! – krzyknęła, kiedy w słuchawce usłyszała zamiast sygnału głos Aleksandry. – Dzwonię i dzwonię do ciebie!

– Przepraszam, miałam wyciszony telefon.

– Całą dobę? Dobijam się do ciebie od wczoraj! Co się dzieje w tej cholernej Łodzi?!

– Długo by opowiadać. A właściwie dlaczego cię tu nie ma? Miałaś wczoraj przyjechać. Nagrałam ci się…

– Miałam, nieważne. Słuchaj, Marek jest w areszcie.

Jej słowa wzbudziły zainteresowanie szpitalnych współlokatorek. Przestały przeglądać gazety i plotkować, po czym utkwiły srocze spojrzenia w Oldze.

– Jaki Marek? – spytała Aleksandra.

– Jaki, jaki… – Gdyby Aleksandra była teraz obok, Olga najpewniej uderzyłaby ją w ramię.

Była wściekła, zazdrosna, przerażona i na dodatek obolała. Zamiast zajmować się własnymi problemami, stanem samochodu po kolizji i tym, że zapewne nie pojawi się na szpitalnym dyżurze w terminie, musiała martwić się o innych.

– Mój Marek. Ten, który pojawił się w Łodzi wcześniej. Cholera jasna, nie wiem, co się dzieje. Nie odbierał telefonu, podobnie jak ty. Wczoraj miałam wypadek na autostradzie, chciałam, żeby po mnie przyjechał…

– Boże, Olga?! Miałaś wypadek? Co się stało?

– Kobieto, czy ty słyszysz, co do ciebie mówię?! Marka dziś rano zgarnęła policja.

– Chyba sobie żartujesz…

– A słyszysz w moim głosie chociaż cień radości? Życie mi się wali. Dzwonił do mnie jego adwokat. Chce, żebyś jak najszybciej się z nim skontaktowała. Podobno możesz dać Markowi alibi.

– Jakie alibi?

– Adwokat powiedział, że… – Olga zmilkła. Słowa ugrzęzły jej w gardle, a do oczu napłynęły łzy. Potrzebowała kilku chwil, by wziąć się w garść. Mobilizowała ją świadomość, że wpatrują się w nią wszystkie leżące na sali pacjentki. Wokół panowała cisza. – Powiedział, że Marek jest podejrzewany o zabójstwo.

Ostatnie słowo sparaliżowało nie tylko tkwiącą w Łodzi rozmówczynię, ale i podsłuchujące kobiety.

– Zabójstwo? Olga, poczekaj, mam tu masakrę, sprawy się skomplikowały, nie wszystko ogarniam. Powoli i po kolei. Miałaś wypadek. Co ci się stało? Jak się czujesz?

– Jakoś. Muszę jak najszybciej spotkać się z Markiem! Czułam, że coś jest nie tak. Wrócił za szybko, nie zadzwonił. Myślałam, że chce się wymiksować z naszego związku, że nie odbiera telefonów, bo jest zajęty tobą, ale dzisiaj zrozumiałam, że chodziło o coś innego. Miał problemy, z którymi walczył. Muszę z nim porozmawiać! Przecież on nie byłby w stanie zabić człowieka. Nie Marek. Nie mój Marek!

Bezsilność wyparła wszystkie wcześniejsze odczucia. Olga przegrała walkę z szukającymi ujścia łzami. Rozpłakała się jak mała dziewczynka. Pacjentka leżąca na łóżku obok wróciła do przeglądania kolorowej gazety, a dwie pozostałe kobiety wyszły z sali.

– Dobra, bierz się w garść. – Przyjaciółka próbowała ją pocieszyć. – Gdzie jesteś? Zaraz po ciebie przyjadę. Porozmawiasz z nim. Wszystko się wyjaśni, to pewnie jakieś koszmarne nieporozumienie. Czekaj, cholera, jak mam po ciebie przyjechać, skoro nie mam samochodu…

– Marek nie mógłby zabić człowieka. On jest dobry, miły i… ktoś go wrabia. Na pewno.

– Olga, masz rację. Znasz go i wiesz, jaki jest. To pomyłka. Zobaczysz, za kilka tygodni będziemy się z tego śmiały. Teraz proszę cię, zostaw histerię na później i skup się. Skoro Marka zgarnęli z mieszkania, to w garażu na pewno zostało jego auto. Powiedz mi, gdzie znajdę kluczyki i dokumenty, a za kwadrans będę w drodze.

– Muszę się z nim zobaczyć. Co jak zamkną go i już nigdy nie wypuszczą? Stracę jedyną szansę na miłość.

– Olga, przestań pierdolić. Gdzie jesteś?

– W szpitalu.

– W jakim stanie? Złamania? Nogi na wyciągu? Cokolwiek, co sprawi, że nie będę mogła władować cię do samochodu?

– Nie, dzisiaj mogę już iść do domu, pytałam lekarza.

– Świetnie. To weź się w garść. Poproś pielęgniarki o coś na uspokojenie i powiedz mi w końcu, w jakim szpitalu jesteś, w jakim mieście i gdzie znajdę te pierdolone kluczyki?

*

Kolejne porównanie Laskowskiego do Pazia królowej przyszło policjantowi na myśl, kiedy usłyszał o adwokacie.

Mógł się oczywiście droczyć z przesłuchiwanym, udawać, że ma problemy ze słuchem albo odłożyć zalecenie na później. Obserwował jednak Laskowskiego na tyle uważnie, by domyślać się, że ten człowiek nie jest przeciętnym motylem, o którego nikt się nie upomni.

Był zbyt dumny, zbyt okazały i zbyt pewny siebie. *Egzemplarz chroniony* –

pomyślał Gulczyński, kiedy adwokat zjawił się w ciągu kilkunastu minut od powiadomienia.

Dopiero w jego obecności przesłuchiwany otworzył się i zaserwował policjantowi swoją wersję prawdy. Wersję, którą aspirant musiał najpierw zapisać, a następnie zweryfikować. W tempie ekspresowym, bo naczelnik wydziału dreptał za drzwiami, czekając na wytypowanie mordercy oraz dostarczenie dowodów. Oczywiście takich, których adwokat broniący oskarżonego nie będzie w stanie obalić.

– Z Piotrem spotkałem się, bo zależało mi na broszce, którą chciał sprzedać. Mogłem oczywiście dokonać zakupu przez dom aukcyjny, ale nie lubię tej atmosfery i pełnych zazdrości spojrzeń. Spotkaliśmy się wczoraj, bo przemyślał sprawę i chyba zrozumiał, że bardzo mi na niej zależy. Tak przynajmniej myślałem, kiedy szedłem na Piotrkowską. – Laskowski opowiadał w miarę płynnie, co chwilę zerkając na swojego prawnika. Ten kiwał głową i słuchał wyznania klienta w skupieniu. – Okazało się jednak, że umówił się ze mną po to, by zakomunikować, że nie sprzeda mi broszki, bo musi być lojalny wobec Domu Aukcyjnego Fabera. Naciskałem na niego i pytałem, na ile wycenia swoją lojalność. Stawiał się, ale w końcu doszliśmy do porozumienia.

– Tak więc chyba pan rozumie, że mój klient nie miał powodu, by zabić tego człowieka? – Prawnik zakończył opowieść klienta.

– Doszliście do porozumienia. – Kajetan Gulczyński w ogóle nie patrzył na prawnika. Okazywał mu lekceważenie i traktował go jak ptaka, największego naturalnego wroga motyli. – Ile miał mu pan zapłacić? I kiedy?

– Mój klient odmawia udzielenia odpowiedzi. Wyjaśnił, co tylko mógł, a teraz pan aspirant wybaczy, musimy wracać do pracy. Proszę zapisać w protokole, że Marek Laskowski nie zabił denata, a motyw finansowy to ślepa ścieżka. Majątek mojego klienta szacowany jest na dwadzieścia siedem milionów złotych. Chyba nie myśli pan, że brudziłby sobie ręce, żeby zaoszczędzić kilka czy kilkanaście tysięcy?

*

Kajetan szedł korytarzem, gdy za jego plecami odezwała się Urszula. Obejrzał się, chcąc się przywitać, ale zanim się zorientował, znalazł się w damskiej toalecie. Urszula złapała go pod rękę i pchnęła w znanym sobie kierunku.

– Poczekaj – szepnęła, zamykając za sobą drzwi.

Zastosował się do jej prośby, bo był ciekawy, jaki będzie ciąg dalszy.

Kobieta zajrzała do dwóch kabin, a później powiedziała już normalnym głosem:

– Dobra, jesteśmy sami.

– Co to? Uprowadzenie koleżeńskie? – spytał i oparł się o umywalkę.

– Chciałam z tobą porozmawiać na osobności.

– Nie, proszę, Urszula, nie róbmy z tego afery. Ja się nie prosiłem o nową sprawę. Wczoraj można powiedzieć, że byłem czysty, a dziś za jednym zamachem naczelnik przydzielił mi dwie sprawy.

– Kajetan, nie mam do ciebie pretensji. Chcę ci tylko pomóc.

Dziwnie zabrzmiała oferta pomocy. Głos Urszuli odbił się od zielonkawych ścian, małego lustra i muszli klozetowych.

– Wszystko wskazuje na to, że poradzę sobie bez twojego koła ratunkowego.

– Wiesz już, kto zabił Wróblewskiego?

– Mam faceta na dołku. Świadek widział, że kłócił się z denatem. Lekarz ostatniego kontaktu podał orientacyjny czas zgonu i wszystko pasuje. Mój podejrzany mógł wyjść z lokalu zaraz za denatem, śledzić go, a potem w pierwszej lepszej bocznej uliczce zaciągnąć do bramy i zmasakrować.

– Narzędzie zbrodni?

– Jeszcze nie znaleźliśmy, ale to kwestia czasu.

– A broszka w kształcie ważki? – Urszula nie wyglądała na osobę, która wraz ze zdaniem dokumentacji straciła zainteresowanie sprawą.

Dopytywała, ekscytowała się i uważnie słuchała odpowiedzi policjanta.

– To o nią się podobno kłócili. Podejrzany chciał ją kupić.

– Kim jest podejrzany?

– Skąd to pytanie, przecież to nie twoja sprawa?

– Fuck, Kajetan, zależy mi na tym, żebyś złapał tego skurwiela. Naczelny zawalił cię robotą, przekazał mnóstwo papierów, nie miałeś czasu ich przeczytać, a ja znam je na pamięć. Podejrzewam, że zabójstwa Wróblewskiego i Tomaszewskiej są ze sobą powiązane. Sprawdź więc, czy ten twój podejrzany nie kręcił się w dziewięćdziesiątym piątym roku w okolicach miejsca zamieszkania aktorki. Być może zabił ją, ukradł broszkę, potem ją sprzedał, a teraz zapragnął, by trofeum wróciło do niego.

Do toalety weszła kobieta w mundurze, ale zawahała się, widząc Kajetana.

– Chwileczkę – syknęła Zimińska. – Zajęte.

– Ja już wychodzę. – Kajetan wykorzystał sytuację. Stanął przy drzwiach i zanim puścił oko do Zimińskiej, dodał: – Starą w dziewięćdziesiątym piątym zabił Wróblewski, nie ma sensu tego teraz rozgrzebywać, to jest zdanie naczelnika. A skoro on tak mówi, to… ja tu tylko sprzątam.

*

Ilona Drzewiecka stała pod kamienicą, w której znajdowała się kancelaria Neumaierów, na tyle długo, by dojść do wniosku, że w wyjątkowych sytuacjach buty na płaskim obcasie są lepsze od szpilek.

Miała na sobie bardzo wygodną parę. Wygodną do czasu. Od godziny czuła, że

boli ją wszystko, od pięt zaczynając, a na plecach kończąc. Najchętniej zdjęłaby je i pozwoliła swoim stopom odpocząć, ale przecież musiała być w gotowości.

Nie przyszła tu podziwiać otoczenia, bo krajobrazy wypełnione starymi kamienicami jej nie zachwycały. Przez kilka godzin widziała tu tyle pijaków, bezrobotnych i bezdomnych, że aż zrobiło jej się niedobrze. Z braku lepszego zajęcia zaczęła zastanawiać się nad własnym życiem. Na szczęście zanim zdążyła dojść do dołujących wniosków, z kamienicy wyszedł Stanisław Neumaier junior. To na niego się czaiła.

– Dzień dobry, co za przypadkowe spotkanie! Przypadkowe. – Położyła nacisk na ostatnie słowo, by ustrzec się przed ewentualnymi oskarżeniami dotyczącymi natrętności.

Prawnik nie chciał rozmawiać z nią przez telefon, więc musiała zaaranżować spotkanie po swojemu.

– Witam, pani Ilono. I żegnam. Śpieszę się.

Nie zatrzymał się, więc starała się dotrzymać mu kroku, co nie było łatwe przez cisnące ją szpilki.

– Tak, oczywiście, wszyscy się teraz śpieszą, ale nie sąd rodzinny. Czy mógłby pan mecenas porozmawiać z sędzią? Oczywiście w moim imieniu? Może czegoś mu brakuje, albo o czymś marzy? Spełnię wszystkie jego prośby, jeśli tylko raczy przyspieszyć wokandę.

*

– Jesteśmy.

Osiem dni temu to samo powiedziała Olga, kiedy dotarły do Łodzi. Dziś siedziała na miejscu pasażera ze skwaszoną miną. Tabletki, które dostała w szpitalu, nie tylko uśmierzały ból, ale wprawiły ją także w małe odrętwienie.

Głos przyjaciółki wyrwał ją z drzemki.

– Już? – Energicznie oderwała plecy od wygodnego oparcia i syknęła z bólu.

Aleksandra skupiała się, żeby wjechać w odpowiednią bramę. Pierwsza prowadziła na hotelowy parking, a druga na osiedle.

– Tak, zaraz wjadę do garażu, pójdziemy do domu, położysz się, a jutro rano…

– Nie – zaprotestowała tak głośno, że przestraszona Aleksandra odruchowo zahamowała. – Nie zasnę w jego mieszkaniu, nie wiedząc, jak on się czuje.

– Olga, jest już późno.

– Gówno mnie to obchodzi. Zawieź mnie na komisariat. Muszę z nim porozmawiać.

– Przecież nawet nie wiesz, czy cię do niego wpuszczą.

– Zawieź mnie!

*

Urszula niecierpliwiła się. Czekała przy wejściu do kamienicy dobre pół godziny, ale Aleksandry nadal nie było. Próbowała się do niej dodzwonić, żeby ustalić, co dalej, ale psycholożka nie odbierała telefonu. Przysłała co prawda lakonicznego SMS-a, w którym poinformowała ją, że się spóźni. Już była spóźniona, więc taka deklaracja nic nie wnosiła.

Oczekiwanie Urszula próbowała umilić sobie rozmyślaniami o życiu i obserwacją mijających ją ludzi. Ostatecznie wszystkie myśli skupiła na mezuzie, zawieszonej obok drzwi wejściowych.

Drewniany, ozdobny pojemnik zawierający w sobie zwitek pergaminu z naniesionymi dwoma fragmentami Tory przypominał o tym, że Łódź jest miastem wielu kultur, także żydowskiej. Żydzi obecni byli w historii miasta od wieków, przez jakiś czas żyli w poszerzanym kilkukrotnie rewirze żydowskim, a później rozsypali się po całym mieście. Budowali synagogi, a na progach swoich domostw zawieszali mezuzy, których dotykali dłońmi zawsze podczas przekraczania progu.

– Przepraszam, już jestem! – Aleksandra pojawiła się nie wiadomo skąd. Była czerwona na twarzy i oddychała z trudem. – Boże, co za dzień… Biegłam… żebyś nie czekała…

– A ja czekałam. I czekałam. Co tak długo?

Po rozmowie z młodym Olendrowiczem rozstały się tylko na chwilę. Tak przynajmniej zakładały. Urszula miała wrócić do firmy i ustalić adres zamieszkiwania Lucjana Mroczka, by obie mogły się u niego pojawić i zadać kilka kłopotliwych pytań. Aleksandra zapadła się jednak pod ziemię.

– Szkoda gadać. Przyjaciółka miała wypadek na trasie z Poznania. Musiałam po nią pojechać, załatwić jej wypis ze szpitala, co nie było łatwe, bo wbrew wcześniejszym deklaracjom lekarz nie chciał jej wypuścić. Potem wróciłyśmy do Łodzi, myślałam, że podróż wyczerpała ją na tyle, że odstawię ją do domu, ale nie… – Aleksandra złapała oddech. – Domagała się jeszcze wizyty na komisariacie. Wpadłyśmy więc na twoje śmieci. Za dnia wszystko wygląda trochę inaczej.

– Byłyście u mnie?

– Nie, Olga chciała porozmawiać ze swoim facetem. Zgarnęli go dziś, podobno podejrzewają, że kogoś zabił.

– Marek Laskowski? – wypaliła Urszula.

Codziennie na dołek trafiało kilka osób, ale nie każda z nich była podejrzewana o zabójstwo.

– Tak, to on. Mieszkam u niego.

– No to ma przesrane, nawet jeśli jest niewinny. – Urszula powiedziała tyle, ile mogła, po czym zmieniła temat: – Nie uważasz, że jest już trochę za późno na takie wizyty?

– Ulka, przecież dopiero dwudziesta. Poza tym nie idziemy do niego służbowo. To będzie wizyta towarzyska, o ile mnie rozpozna. Ja z nim rozmawiam, a ty obserwujesz. Jesteś moją kumpelą. Ani słowa o policji.

Nerwowy śmiech Aleksandry zdradzał napięcie. Urszula cofnęła się. Obawy narastały, chociaż starała się je lekceważyć. Jeśli zamierzała rozmawiać z Czachą, mimo że nie prowadziła już sprawy zabójstwa Renaty Tomaszewskiej, powinna pójść do niego sama, a nie narażać na niebezpieczeństwo cywila.

*

– Nie możesz tak znikać bez słowa!

– A co? Zabronisz mi?

– Jesteś już prawie dorosły, daję ci dużo swobody, doceń to!

– Skończyłeś już?

– Jesteśmy rodziną, na pewno jest sposób na to, żebyśmy doszli do porozumienia.

Pusty wzrok Rafała wlepiony w podłogę sprawiał, że Lucjanowi odechciało się dalszej rozmowy. Ostatnie siedemnaście lat życia podporządkował synowi. Dbał dla niego o dom. Wyposażył przestrzenie, w których żyli, w najlepsze sprzęty elektroniczne i meble z Ikei. Każdy pokój wyglądał jak z katalogu. Tysiące osób oddałoby wiele, by mieszkać w takich warunkach. Nie jego syn.

– Powtarzasz się. Nudzi mnie to. Idę spać. – Rafał wyszedł z kuchni, nie czekając na jego reakcję.

Lucjan wiedział, że Rafał za chwilę trzaśnie drzwiami od swojego pokoju. Rafał wiedział, że ojciec wybuchnie. Wszystko zmierzało jak zwykle w jedną stroną. Każda kłótnia, a nawet każda rozmowa, kończyła się tak samo. Nakręcali się wzajemnie do momentu, w którym Lucjan wykrzykiwał, że w jego domu obowiązują pewne zasady, do których trzeba się stosować, jeśli chce się w nim mieszkać, a Rafał pakował się w pośpiechu i – zanim zniknął na kilka dni – wykrzykiwał zwykle coś w stylu „udław się tymi zasadami”.

– Czekaj, brałeś coś? Pokaż mi źrenice.

– Wal się.

– Rafał, jak ty się do mnie zwracasz?

Bum. Drzwi do pokoju syna zamknęły się z hukiem.

Lucjan został sam. Znowu. Z zasadami, zbuntowanym synem i przekonaniem, że bycie ojcem jest dużo trudniejsze, niż bycie synem. Nawet synem okropnego ojca.

Skierował się do kredensu, a dokładniej do szafy, w której przechowywał zestaw ratunkowy: kilka butelek wódki i innych męskich alkoholi. Wyjął kieliszek i wypełnił go przynoszącym chwilową ulgę napojem.

Zanim go opróżnił, usłyszał pukanie do drzwi. Nie spodziewał się gości o tej

godzinie.

– Oho, zanim otworzę, łyknę sobie jeszcze na drugą nóżkę. – Postanowił i napełnił kieliszek.

*

– Czacha?

Pytam, a facet, który stoi po drugiej stronie drzwi, wstrzymuje oddech.

Zaczynam z grubej rury, ale nie mam wątpliwości. To on. Niebieskie oczy, długi nos, niemalże niewidoczne usta i wielkie brwi. Właściwie wcale się nie zmienił, nadal jest przepełniony testosteronem i stanowi apetyczny kąsek. Tylko na twarzy ma kilka zmarszczek.

Niesamowite, że nasze ścieżki życiowe tak bardzo się oddaliły. Mieszkaliśmy w skłocie jak równy z równym, a teraz Szajbus jest bezdomny, Pikaso nie żyje, a Czacha wygląda jak facet na stanowisku.

– Nie wierzę, to naprawdę ty… Boże, udało mi się cię znaleźć. Pamiętasz mnie? To ja, Ruda.

Chyba powoli zaczyna kojarzyć, bo wróciły mu funkcje życiowe. Oddycha i przełyka ślinę.

– Ruda?

– Ruda ze skłotu.

Skanuje wzrokiem moją twarz, ramiona, biust, biodra i nogi. W końcu mnie rozpoznaje i uśmiecha się szeroko. Myślałam, że zapomniałam jego spojrzenia. Jednak nie. Jak to jest, że ludzie spotkani po latach wydają ci się tak bliscy i tak odlegli jednocześnie?

– Nic się nie zmieniłaś! Jak mnie znalazłaś?

– Dla chcącego nic trudnego. – W pewnych sytuacjach lepiej opowiadać banały niż mówić prawdę. – Ty też się nie zmieniłeś. Poznajcie się, to moja przyjaciółka. – Wskazuję na Ulkę, która zgodnie z naszymi ustaleniami ma się tylko uśmiechać.

– Ula.

– Lucjan.

Ściskają sobie dłonie. Czacha zaprasza nas do środka. Wchodzimy do jaskini lwa.

Biały przedpokój, biały salon, biała kuchnia i drzwi, za którymi musi kryć się jeszcze jeden pokój. Wszystko jest śnieżnobiałe. Sufit, ściany, podłogi i meble.

Na białym stole w błyskawicznym tempie pojawiają się szklanki, sok i wódka.

Zapomniałabym, że z Czachą nie można pogadać bez picia. Dobra. Niech będzie, jeden drink mi nie zaszkodzi.

– Za spotkanie! – Czacha autentycznie cieszy się z tej sytuacji.

Toast za toastem. Ula dotrzymuje Lucjanowi tempa. Wyglądają jak facet

z facetem. Opróżniają kieliszki, polewają, by po chwili uderzyć pustymi naczyniami o stół. Mam nadzieję, że skoro jest policjantką to ma mocną głowę. Nie chciałabym jej stąd wynosić.

– Bo wiesz, Ulka – udaję, że i mnie alkohol powoli uderza do głowy – my z Czachą spędziliśmy trochę czasu razem. W skłocie na Kilińskiego… Ależ to były czasy.

– Burzliwe i urozmaicone towarzysko – odpowiada Lucjan, a potem zwraca się tylko do Urszuli: – Twoja przyjaciółeczka kusiła mnie i kusiła, ale nie dała się… no wiesz.

– Podejrzewam, że tylko dlatego ją zapamiętałeś. – Moja nowa znajoma albo świetnie udaje pijaną, albo powinna przestać już pić. Przeciąga słowa, dotyka ramienia Czachy, wybucha śmiechem zupełnie bez powodu. – Pewnie niewiele było dziewczyn, które ci się oparły?

Czacha coś jej odpowiada. Na chwilę się wyłączam. Być może nie zmienił się za bardzo zewnętrznie, ale nie sposób nie zauważyć przemiany wewnętrznej. Wydaje mi się, że sam odczuwa dyskomfort. Miota się. Z jednej strony chciałby nadal prezentować się jako macho. Z drugiej – przez lata życia poza skłotem nauczył się czegoś zupełnie innego. Nabrał ogłady i pewne słowa z trudem przechodzą mu przez gardło. Nie przeklina, unika rozmów o seksie. To dziwne. Skąd taka przemiana?

Nic nieznacząca rozmowa o tym, co robiliśmy przez całe życie, dobiega końca. Zatajam informacje o dzieciach, pracy i zmarłym mężu. Jak będzie chciał, to i tak znajdzie je w internecie. Po co się tak odsłaniać?

Nie przyszłam tu, by odświeżać znajomości. Na mojej liście zadań miałam kilka punktów: sprawdzić, czy to rzeczywiście Czacha, pokazać mu się i przyjrzeć jego reakcji, wreszcie zapytać o Pikasa.

Kolejny toast, szczery uśmiech na jego ustach – to chyba najlepsza chwila, by przejść do meritum.

– Chciałabym przed wyjazdem zobaczyć się jeszcze z Pikasem. Widziałeś go może ostatnio?

– Z Pikasem? Tym, który skutecznie utrudniał nam wejście w… bliższy kontakt?

– Dokładnie, z tym samym. Ciągnę Ulkę tak ze sobą, bo właściwie przyjechałam do niej, ale pomyślałam, że przecież jesteśmy już na półmetku życia. Warto przypomnieć sobie młodzieńcze czasy.

– Wiesz co? – Czacha unosi rękę, jakby zamierzał dyrygować chórem. – Życie w skłocie wiele mnie nauczyło. Na przykład picia. Ale pomogło też zrozumieć, że zabawa to nie wszystko. Zerwałem z tym, Ruda. Wróciłem do domu i postanowiłem nie spieprzyć reszty swojego życia. Nie utrzymuję więc kontaktów z ludźmi ze skłotu.

Nie utrzymuje? To ciekawe. Widzę po minie Urszuli, że jednak jest w miarę

trzeźwa. Nadstawia uszu i tym razem ona polewa. Jemu pełen kieliszek, sobie tylko połowę.

– Wypijmy za to, że jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. A nie w skłocie! – wznosi toast.

– Wypijmy! – Unoszę kieliszek. – Czacha, w pełni się z tobą zgadzam. Ja też odcięłam się od przeszłości. Dopiero wizyta w Łodzi przypomniała mi, że z tym kiepskim okresem w moim życiu wiążą się także fajni ludzie. A że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, dowiedziałam się, że najbardziej odpowiedzialny mieszkaniec skłotu, Szajbus, stoczył się…

– Proszę cię, on zawsze był poza. Poza nami. Poza ogółem. Wiadomo było, że nie ma większych szans na zasymilowanie się ze społeczeństwem. Konieczność zaakceptowania norm społecznych była dla niego bolesna.

– Niby tak, ale ludziom, których się lubi, zwykle życzy się dobrze. A co w ogóle działo się w skłocie po moim wyjeździe?

Czacha skupia się. Marszczy czoło i porusza gałkami ocznymi. Lewo, prawo. Lewo, prawo.

– Nie przypominam sobie, żeby cię nie było, a to chyba znaczy, że musiałaś wyjeżdżać po moim odejściu.

– Myślisz? – Nie pierwszy raz robię z siebie blondynkę. – Być może coś pomyliłam. Czekaj, kiedy ty dokładnie nas opuściłeś?

*

Luksusową sypialnię wypełniał mrok. Po lewej stronie łóżka leżała Olga, oddychając miarowo. Małe okno zasłonięte było roletą. Nikłe światło dochodziło jedynie zza uchylonych drzwi.

Aleksandra przebrała się w pidżamę i ostatkiem sił pomaszerowała do łóżka. Powinna jeszcze wziąć prysznic, ale w tej chwili zadanie to wydawało się jej niemożliwe do wykonania. Kobieta czuła się wyczerpana nie tylko emocjonalnie, ale i fizycznie, a wypity alkohol szumiał jej w głowie.

Dzisiejszy dzień obfitował w zwroty akcji. Najpierw odebranie sprawy Urszuli, potem podróż po Olgę i spotkanie z Czachą. Na pierwszy rzut oka oceniła go jako niegroźnego mężczyznę w średnim wieku. Takiego co nie skrzywdziłby nawet muchy.

Znała jednak jego dawne wcielenie i to spojrzenie, którym obrzucił ją, kiedy zorientował się, że pyta o przybliżoną datę opuszczenia skłotu. Mogło oznaczać tylko jedno – zorientował się, że ona wie. Tego była pewna. Być może nawet zaczął domyślać się celu jej wizyty.

Kiedy zobaczyła w jego oczach zwierzęcą agresję, pożegnała się, wzięła pod pachę Urszulę i wyszła.

W końcu dotarła do łóżka. Miała przed sobą kilka godzin spokoju, potrzebnej

regeneracji sił i przywrócenia jasności myśli.

O dwudziestej drugiej wszystko widziała w czarnych barwach. Wyrzuty sumienia atakowały ją nawet w łóżku. Nie powinna była wchodzić w tę sprawę tak mocno, nie powinna była zadzierać z Czachą, zwłaszcza jeśli to on był zabójcą Pikasa. Miała swoje życie i swoje problemy.

Za dwa dni Kuba i Weronika mieli wrócić z obozu. W poniedziałek miała wzorcowo ugościć wizytację z opieki społecznej. Do tego czasu powinna zadbać o swoje nerwy, wygląd domu i dzieci.

– Olga?

Kiedy Aleksandra wchodziła do łóżka, wydawało jej się, że przyjaciółka śpi. Teraz jednak słyszała ciche pociągnięcia nosem, świadczące o tym, że kobieta płacze.

– Olga, jak się trzymasz?

Postać dotychczas odwrócona plecami usiadła na łóżku.

– Tak jak widać! – wyrzuciła z siebie.

W ciemnym pokoju Aleksandra widziała jedynie kontury Olgi.

– Mów, nie duś tego w sobie.

– Co mam ci powiedzieć? No co? Że nie pozwolili mi się z nim zobaczyć? Że tak bardzo boję się o niego, że wszystko mnie boli? Że facet, o którego zabójstwo oskarżają Marka, został zatłuczony kijem bejsbolowym i że prawdopodobnym motywem jest jakaś pieprzona biżuteria?!

– Czekaj. – Aleksandra usiadła na łóżku. – Biżuteria?

– No… – Długie pociągnięcie nosem wymusiło przerwę w wypowiedzi. – Adwokat Marka powiedział, że ten denat to był jakiś gość, który chciał sprzedaż broszkę. Marek ma na ich punkcie świra. No ale przecież nie zabiłby człowieka z powodu broszki, prawda?

– Wiesz co… Nie znam go zbyt dobrze, ale nie wydaje mi się, żeby mógł… A wiesz coś więcej o tym zabitym? Albo o broszce? To była ważka?

– Na pewno tego nie zrobił. Olka, przecież nie sypiałabym z mordercą! Wyczułabym coś. Jestem pieprzonym psychiatrą.

Aleksandra wstała z łóżka, zapaliła lampkę nocną i przyniosła przyjaciółce rolkę papieru toaletowego. Nie miała w torebce chusteczek higienicznych, a pociąganie nosem ją denerwowało.

– Czy adwokat mówił coś jeszcze?

– Nie, nic więcej. Ten facet, którego znaleziono, to jakiś Piotr.

– Piotr? Boże! Zabił go?

– No przecież mówię ci, że go nie zabił. To jakaś koszmarna pomyłka!

– Olga, ale oni się znali – wydusiła z siebie Aleksandra.

Z jednej strony wszystko wydawało się nieprawdopodobne… śmierć Pikasa i zamieszanie w nią Marka, zwłaszcza że z Urszulą typowały Czachę jako podwójnego zabójcę. Z drugiej jednak, jako tkwiąca w środku wydarzeń, miała

zbyt dużo danych, by tak łatwo uwierzyć w niewinność Marka.

Kiedy Pikaso uciekł ze szpitala, przyszedł na spotkanie właśnie z Markiem. Dlaczego? Może szukał u niego pomocy, a może chciał odwdzięczyć się za próbę zabicia na drodze? Czy chodziło o broszkę skradzioną Renacie Tomaszewskiej, którą interesowali się obaj mężczyźni?

– Nie opowiadaj takich głupot. Widziałaś ich razem, że mówisz o tym z taką pewnością? Wiesz, że przez twoje denne domysły możesz zrujnować mu życie? – Olga miotała się. Ewidentnie nie chciała słyszeć tego, co Aleksandra miała jej do powiedzenia.

To mogła być rozpacz, miłość lub szok, ale do psycholożki zaczęło docierać, że być może do tej pory nie połączyła ze sobą faktów, dlatego jeszcze nie doszła do prawdy. To Olga namawiała ją, żeby przyjechać do Łodzi. To z samochodu Olgi zginęła dokumentacja wykradziona przez nie z mieszkania Pikasa. Marek mógł być zabójcą – wczoraj rano szykował się na jakieś spotkanie, a wieczorem był bardzo z siebie zadowolony.

– Piotr to Pikaso. Facet dla którego tu przyjechałyśmy.

– Zamknij się! Chcę, żebyś zeznała, że cały dzień spędziliście razem. Że był z tobą i nie mógł nikogo zabić. Przecież to absurd! Po co miałby zabijać faceta z zanikiem pamięci? Poza tym Marek nie miał znajomości w takim środowisku. Byłyśmy w mieszkaniu tamtego faceta, widziałaś je przecież i widzisz to, w którym teraz jesteśmy. Olka, to dwa różne światy, które dzieli przepaść! Oni nie mogli się znać!

*

Życie na Piotrkowskiej toczyło się dwadzieścia cztery godziny na dobę. W dzień ulicę opanowywali przyglądający się kamienicom turyści i mieszkańcy szukający lodów, kawy czy gofrów, a w nocy młodzi ludzie żądni piwa i przygód.

W przewodniku znalezionym w hotelu Krystian wyczytał, że to wokół Piotrkowskiej skupiało się życie miasta, że była i jest sercem całego organizmu miejskiego, pompującym w jego krwiobieg energię witalną. Osiedlający się przy tej ulicy sukiennicy i tkacze budowali niewielkie drewniane domy, w których mieszkali i prowadzili warsztaty. Z czasem domy zastępowane były przez pałace i wielkomiejskie kamienice, a warsztaty przenoszono do usytuowanych w głębi działek gmachów fabrycznych.

Minęła dwudziesta trzecia, kiedy Krystian odszedł od okna i wrócił do komputera.

– Jak dojedziesz, to zadzwoń – odczytał treść maila, który właśnie pojawił się w skrzynce odbiorczej.

Czekał na to. Nie tyle na krótkie zdanie, co na numer telefonu nadawcy.

Wstukał cyfry w telefonie i wcisnął zieloną słuchawkę.

– Halo? – odebrał mężczyzna.

– Ja w sprawie broszki. Odebrałem właśnie twoją wiadomość.

– Jesteś już na miejscu?

– Niestety nie – skłamał. Chciał zyskać na czasie. – Miałem problemy w banku. Ale gotówkę już mam. W Łodzi będę nad ranem. Spotkajmy się o dziesiątej.

– O ósmej!

– Nie dam rady. O dziewiątej, dobra?

IX
piątek

Panie Boże, wszystko poszło już za daleko. Wymknęło się spod kontroli. Moje życie ma się ku końcowi.

Dziękuję Ci za wszystko, co było w nim piękne. Za kobietę, która mnie kochała, za wszelkie doczesne zbytki, za uśmiechy i pasję, którą pozwoliłeś mi odnaleźć.

Tylko Tobie mogę przyznać się, że nigdy nie czerpałem przyjemności z łamania twoich przykazań. Mam nadzieję, że przynajmniej w części odpracowałem swoje winy, i że gdy się spotkamy, nie wyślesz mnie do piekła.

Boże, nie myśl, że mam się za bezkarnego. Ja tylko staram się przeciwdziałać złu. Nawet jeśli używam diabelskich metod, to cały czas myślę o Twoim miłosierdziu.

Jeśli chcesz – ukarz mnie. Nie pozwól, bym zrobił to ponownie.

Proszę Cię, daj mi siłę, bym mógł rozpocząć kolejny dzień. Daj mi spokój, bym nie rzucając się w oczy, mógł go przeżyć. Daj mi cierpliwość, żebym nie zrobił niczego złego. Pozwól, abym w końcu kiedyś doznał uczucia ulgi.

Najmocniej jednak proszę Cię o to, żebyś nie pozwolił, żebym ponownie został zmuszony do tego, by zabić.

Amen.

*

– Mamo, zrób coś, żeby to się jeszcze nie kończyło! – Rozczulający mnie głos mojego synka sprawia, że wszystkie czarne myśli dnia wczorajszego znikają.

Nie szkodzi nawet, że jest dopiero siódma trzydzieści i że telefon mnie obudził.

– Dziesięć dni. Zobacz, jak to szybko zleciało. Jutro się widzimy!

– A możemy się zobaczyć, ale potem wrócę na obóz? Tu jest świetnie. Mam trzech najlepszych kolegów. Nikt nie każe nam się myć ani jeść warzyw. Prawie codziennie bawimy się w podchody. Mamo, my zawsze jesteśmy w zwycięskiej drużynie. Potrafimy się świetnie chować, i jeszcze lepiej tropić innych.

– Cieszę się, Kubusiu. Bardzo się cieszę. I kocham cię najbardziej na świecie.

– Ja ciebie też, mamusiu. A teraz lecę, bo Patryk mnie woła, ale daję ci jeszcze

Werkę.

Mój malutki synek dorasta. Boże, jakie to miłe uczucie obserwować, że z niemowlaka wyrasta człowiek. Człowiek, którego kształtujesz, uczysz i chronisz przed okropnościami tego świata.

Jeszcze nie wstydzi się powiedzieć, że mnie kocha, ale już koledzy są dla niego ważniejsi. To dobrze. Widzę, że niepotrzebnie się martwiłam. Pobyt na obozie nauczył go samodzielności i pokazał, że potrafi sobie poradzić w każdej sytuacji.

– Cześć, mamo.

Weronika też wydaje się brzmieć radośniej. Odpoczęła, spędziła czas z rówieśnikami…

– Cześć, co słychać?

– Właściwie nic, oprócz tego, że nikt nie chce wracać do domu.

– Ty też nie?

Cisza. Nie wiem, co przyniesie. Powinnam się niepokoić?

– W sumie to nie. Albo wróciłabym, ale pod warunkiem, że mogę zabrać ze sobą wszystkich znajomych.

– Wszystkich czy kogoś konkretnego? – pytam, bo przecież też jeździłam na kolonie. Weronika mogła odziedziczyć po mnie kochliwość.

– Konkretnego. Opowiem ci o nim jutro.

– Dobra, ale powiesz przynajmniej, jak ma na imię?

– Oliwier.

– Pięknie.

Zadowolone dzieci to zadowoleni rodzice. Rozpływam się ze szczęścia. Dobra, rozpływałabym się, gdybym nie pamiętała o tym, że w poniedziałek musimy wszyscy zrobić dobre wrażenie na babie z opieki społecznej. Jeśli Kuba będzie mówił, że na obozie było lepiej niż w domu, a Weronika ucieknie do ukochanego, to sędzia wyciągnie z tego oczywiste wnioski.

– Werka? A ciocia Ilona jeszcze do was dzwoniła? Odwiedzała was może?

– Nie.

Nie? Czyżby to znaczyło, że odpuściła?

Boże, czemu się łudzę! Raczej przygotowuje się do kolejnego starcia.

Godzilla kontra szczęśliwa rodzina.

*

– Aspirant Gulczyński. Słyszałem, że była pani u nas wczoraj i chciała rozmawiać ze swoim narzeczonym.

– Tak, zgadza się! – Olga rozpromieniła się.

Widok policjanta na progu mieszkania mogła zinterpretować tylko w jeden sposób – w końcu adwokat zadziałał, a mundurowy przyszedł zaprosić ją na

komisariat, na widzenie z Markiem.

– Mogę wejść?

– Oczywiście.

Ustąpiła miejsca gościom. Za policjantem weszła krótkowłosa kobieta, która wypowiedziała swoje nazwisko tak niewyraźnie, że nie sposób było ją zrozumieć. Olgę uspokoił jednak widok służbowej odznaki, którą mignęła jej przed oczami. Też była policjantką, jednak ubraną po cywilnemu.

– Czy w ciągu ostatnich trzech dni rozmawiała pani ze swoim narzeczonym?

– Zaraz, o co chodzi?

– Proszę odpowiedzieć.

– A co? Mnie też aresztujecie? Lubicie więzić niewinnych ludzi?

Krzyk Olgi sprawił, że z góry zeszła Aleksandra. Widok, który zastała, ją sparaliżował. Olga kłóciła się z policjantem, oskarżając go o nadużycia i manipulacje – z tym samym, który przepytywał Aleksandrę w sprawie leżącego w szpitalu Pikasa, oraz Urszula, której absolutnie nie powinno tu być. Chyba że w jakiś sposób wpłynęła na prowadzącego sprawę zabójstwa kolegę i zaoferowała mu swoją pomoc.

Jej obecność utrudniała i tak niełatwą sytuację.

– Kto wam płaci? No kto?! Nie chcecie mówić? Świetnie, ale zastanówcie się, czy wasz zleceniodawca nie działa w tej samej branży co mój Marek! Ktoś ewidentnie chce go zniszczyć, zablokować wszystkie interesy… Jak nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze!

– Czy widziała pani kiedyś, żeby narzeczony rozmawiał z tym mężczyzną?

– Nie, nigdy. Na pewno go nie znał.

– Olga – wtrąciła się Aleksandra – nie mów, że nigdy. Nie mieszkaliście razem, byliście weekendową parą. Skąd wiesz, z kim się znał, a z kim nie?

Uwaga przyjaciółki sprawiła, że Olga się rozpłakała. Nikt jednak nie zareagował na strumień łez. Policjant przeglądał notes, a Urszula wymieniała spojrzenia z Aleksandrą. Policjantka nie chciała, by ktokolwiek z obecnych w tym przedpokoju zorientował się, że zna się z Aleksandrą.

– Nigdy go tu nie było. Nigdy mi o nim nie opowiadał! – Olga szła w zaparte.

– Rozumiem. – Policjant przestał przyglądać się narzeczonej zatrzymanego, a zaczął Aleksandrze.

– Czy my się już gdzieś nie widzieliśmy? – spytał.

– Tak, w szpitalu.

– W szpitalu – powtórzył w taki sposób, że Aleksandra nie była pewna, na czym stoi.

Czy policjant skojarzył, że pracowała z Wróblewskim? Od tego zależało jej dalsze zachowanie. Wąski i nowoczesny przedpokój stał się nagle najbardziej klaustrofobicznym pomieszczeniem, w którym kiedykolwiek się znalazła.

– Chciałaby pani coś dodać?

– Nie. Nic – odpowiedziała pewnie, ale grymas na twarzy Urszuli sprawił, że przypomniała sobie, jaki cel miały te pytania. Pomoc w ustaleniu tożsamości zabójcy Pikasa była ważniejsza niż chwilowy konflikt z zszokowaną Olgą. – Widziałam Wróblewskiego, przyszedł tu, do mieszkania Marka, prosto po ucieczce ze szpitala. W pidżamie.

– Przestań! – Olga zrobiła się czerwona na twarzy. Przestała płakać, zaczęła zaganiać gośćmi dłońmi i przepychać ich do wyjścia. – Musicie już iść.

– Olga, oni musieli się znać. Zrozum to w końcu. Ja nie mówię, że Marek go zabił. Chcę tylko, żeby dotarło do ciebie, że wielu rzeczy o nim nie wiesz. Nie mów, że nie zauważyłaś, że dawkował ci informacje na swój temat! Okłamywał cię!

– Zazdrościsz mi takiego faceta! – Olga wpadła w furię. Zacisnęła pięści, a na jej czole pojawiły się wypukłe żyły. Jest inteligentny i bogaty! Zazdrościsz, bo sama takiego nie jesteś w stanie zdobyć!

– Boże, dlaczego gadasz takie głupoty, co? Kto jak kto, ale ty dobrze wiesz, że dla mnie pieniądze nie mają żadnego znaczenia.

– Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką.

– Twoją? Tak! Ale nie jego! Okłamał cię przynajmniej raz!

– Że niby w czym mnie okłamał?

– Mówił ci, że do Łodzi wróci w piątek. Do swojego apartamentu dotarł w środę, od razu dałam ci znać, ale nie zdążyłam ci powiedzieć, że widziałam go wcześniej. We wtorek, pod wieczór, przed domem aukcyjnym. Rozumiesz? Był w Łodzi już we wtorek, ale w domu pojawił się dopiero w środę. Jak myślisz, co robił przez całą noc? Z kim? Gdzie?

*

Olga pozbyła się policjantów. Teraz jeszcze musiała pozbyć się Aleksandry. Nie po to przyjeżdżały razem do Łodzi, ale trudno… być może tak właśnie miało być. Powiedzenie, że przyjaciół poznaje się w biedzie, obijało się po jej obolałej głowie.

– Mówiłaś, że to absurd, żeby zabił człowieka. Przytakiwałaś mi wieczorem, uspokajałaś, a teraz przy tych policjantach… jesteś jak chorągiewka na wietrze. – Zachowanie przyjaciółki zaszokowało ją. Była zbyt zaangażowana w opowieść, zbyt solidaryzowała się z zabitym mężczyzną. A przecież kilka dni temu nawet nie chciała z nim rozmawiać.

– Nie zmieniłam zdania. Olga, rozumiem twoje wzburzenie i zmęczenie. Wypadek i ta sytuacja z Markiem… Ale na miłość boską, proszę, pamiętaj, że faceci czasem oszukują swoje kobiety. Nawet jeśli je kochają. Pamiętaj, jestem specjalistką od bycia oszukiwaną. I jako twoja przyjaciółka doradzam ci, żebyś rozsądnie rozważyła wszystkie za i przeciw. Przeanalizuj zdarzenia, wątpliwości

i fakty, które mogą świadczyć na jego niekorzyść. Nie mów, że ich nie zauważasz.

– Kochał mnie!

– Tak ci się przynajmniej wydaje.

Tego było za wiele. Olga nie oczekiwała od przyjaciółki kazań czy sarkastycznych uwag. Chciała się wygadać i wiedzieć, że po raz kolejny nie zostanie sama. Nie potrzebowała psychologicznych prowokacji. Nie potrzebowała fałszywych przyjaciół.

– Pewnie! – Postawiła wszystko na jedną kartę. – Skoro sama byłaś ślepa i głupia, to teraz wmawiaj sobie, że wszystkie kobiety są takie!

– Jesteś najbardziej inteligentną kobietą, jaką znam. Dlatego nie wierzę w to, co widzę. Czy ty naprawdę tego nie zauważasz? Zadzwonił do ciebie wczoraj? Wysłał chociaż SMS-a? Olga, gdybym była głupia, to pozwoliłabym mu wykorzystać sytuację. Najpierw chciał wpakować mi się do łóżka. Potem zaprosił na imprezę. Od razu kiedy się pojawił, zadzwoniłam do ciebie, żeby uniknąć dwuznaczności. Co chwilę przypominałam mu, że jestem twoją przyjaciółką. Podrywał mnie, a to znaczy, że nie jest z tobą do końca fair.

– Podrywał? Chyba masz zbyt bujną wyobraźnię. I jesteś bezczelna! Pomagam ci, służę radą i receptami, kiedy tylko ich potrzebujesz, a ty zamiast się odwdzięczyć i dać Markowi alibi, podrywasz go! Wynoś się, słyszysz?! Mścisz się, bo go podrywałaś, a on dał ci kosza!

*

Aleksandra potrzebowała dłuższej chwili, żeby zastanowić się, co dalej. W subiektywnym odczuciu Aleksandry jej walizka ważyła dużo więcej niż w dniu, kiedy po raz pierwszy stanęła na klatce schodowej w łódzkim apartamentowcu.

Białe drzwi z numerem pięć zamknęły się za nią z hukiem, informując ją – i przy okazji wszystkich sąsiadów – że przyjaźń z Olgą właśnie legła w gruzach. Po chwili jednak znowu się otworzyły.

– Wykorzystywałaś mnie na każdym kroku! – Aleksandra nigdy nie widziała tak wściekłej przyjaciółki. Stała w drzwiach ekskluzywnego apartamentu, potargana i niemalże bordowa na twarzy. Niewiele brakowało, żeby na jej ustach pojawiła się piana. – Ale to już koniec. Koniec, rozumiesz?! – W dłoniach trzymała coś żółto-brązowego. – Nawet do twojej popierdolonej matki pojechałam, żeby niby odebrać niezwykle ważny list! To też miałaś zaplanowane, co? Chciałaś opóźnić mój przyjazd i spędzić z nim jak najwięcej czasu?!

– List?!

– Niby taki ważny był, a kurwa, od mojego powrotu nawet słowem o nim nie

wspomniałaś!

*

Na ławce przy sąsiednim bloku siedziała Urszula. Z trudem udało jej się zabrać z Gulczyńskim do mieszkania podejrzanego, by porozmawiać z jego narzeczoną. Zastosowała się do określonych przez niego zasad. Nie odzywała się, nie rzucała w oczy. Robiła wszystko, żeby zasłużyć na zaufanie tego świra, który zamiast o sprawie, najchętniej podyskutowałby z nią o motylach.

Po wizycie aspirant stwierdził jednak, że dalej jedzie sam i – nie słuchając jej próśb i błagań – oddalił się w znanym sobie kierunku.

– Jesteś już? – Widok Aleksandry ciągnącej za sobą walizkę wywołał na twarzy policjantki delikatny grymas. Chciała odsłonić zęby w uśmiechu, bo była niemalże pewna, że histeryczka prędzej lub później wyrzuci Aleksandrę z apartamentu, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

Kobiety podejrzanych zwykle reagowały tak samo. Albo pozostawały nieporuszone i udawały obojętność, albo – tak jak Olga Brzozowska – wpadały w trudną do opanowania histerię. Czasem nawet trafiały na dołek za usiłowanie pobicia funkcjonariusza policji.

– Czekasz na mnie?

– I tak, i nie. Domyślałam się, że to się tak skończy. Nie przejmuj się. Ochłonie i jej przejdzie.

– Ochłonie? – Aleksandra odstawiła walizkę, wykrzywiła usta i bezradnie opuściła ręce. – Przecież jest przekonana, że podrywałam jej faceta, a kiedy okazało się, że na mnie nie poleciał, to wrobiłam go w morderstwo.

Rozmowy o tematyce kryminalnej czy nieszczęśliwym romansie zupełnie nie pasowały do otaczającego kobiety idealnego świata. To osiedle było przecież enklawą dla ludzi mających wszystko. Luksusowe samochody, piękne apartamenty, markowe ciuchy, nadmiar pieniędzy i nakaz bycia szczęśliwymi.

– Dobra, nieważne. Chodźmy stąd. Gdzie masz samochód?

– Nie mam.

– Przy komisariacie też nie?

– Nie. Chodzę pieszo.

– Serio? Szkoda, myślałam, że schowam w nim walizkę.

– I co dalej?

– Nic. Wrócę do domu. Jutro i tak muszę być w Poznaniu.

– Ale co z Czachą i Pikasem?

– Pikaso nie żyje, a Czacha… sama nie wiem. Najgorsze jest to, że Olga nigdy aż tak nie reagowała…

– Może jest w szoku? A może wręcz przeciwnie. Może ten cały Marek miewał wcześniej problemy z opanowaniem agresji? Olga domyśla się, że jej facet jest

winny i dlatego tak się miota?

*

– Marek Laskowski znał Piotra Wróblewskiego. Widywali się na naszych aukcjach. – Faber trzymał w ręku szklaneczkę szkockiej. – Jest mi okropnie przykro. To niepowetowana strata dla mojego domu aukcyjnego. Piotr dostarczał nam bardzo ciekawe eksponaty.

– A Laskowski? – Policjant upił łyk wody.

Wybrał ją bez zastanowienia, kiedy sekretarka zapytała, co podać do picia.

Faber nie ufał ludziom pijącym wodę.

– Laskowski? Nie lubił atmosfery aukcji. Wie pan, czasem aukcja jest jak zagadka kryminalna, w której dreszcze emocji zapewniają nie tylko wielkie sumy pieniędzy, ale tajemniczy i wstydliwi licytujący. – Wyszukane porównanie Fabera nie zrobiło na policjancie żadnego wrażenia. – Laskowski miał obsesję na temat broszy z motywami owadzimi i wydaje mi się, że nie chciał, żeby ludzie w naszym środowisku zdawali sobie sprawę, jakich rozmiarów jest ta obsesja.

– Broszka? – Policjant zaczął przeglądać swój notatnik. – Broszka ważka, którą chciał kupić Laskowski, pojawiła się w waszym katalogu?

– Tak, znalazł ją dla nas Pikaso.

– Kto jest jej właścicielem i gdzie się obecnie znajduje?

– Tylko Pikaso miał kontakt ze sprzedającym. – Zanim Faber odpowiedział na drugą część pytania, musiał się napić. – Nie wiem, gdzie się znajduje. W bardzo, bardzo wyjątkowych sytuacjach przedmioty trafiają do nas dopiero w dniu aukcji, oczywiście po wcześniejszym sprawdzeniu ich oryginalności. Marek próbował namówić mnie, żebym wycofał broszkę z aukcji. Niewątpliwie chciał ją kupić. Bez świateł, bez wiedzy innych, bez licytacji.

– Czyli według pana nie chodziło o pieniądze?

Faber nieczęsto miał kontakt z ludźmi takimi jak aspirant Gulczyński, który zupełnie nie rozumiał świata sztuki i funkcjonujących w nim reguł. Ten człowiek nie był w stanie pojąć, że większość kolekcjonerów była ateistami wierzącymi w sztukę. Ich rodzice chodzili co niedzielę do kościoła, a oni regularnie odwiedzali galerie i domy aukcyjne. Sztuka pomagała im zrozumieć ich życie.

– W sztuce nie chodzi o pieniądze. Tylko laicy je zauważają. Słyszałem ostatnio takie porównanie, że ktoś tam… pozwoli pan, że zachowam dla siebie nazwisko osoby, której to dotyczyło… w każdym razie, że ktoś tam jest zakupoholikiem. Przeszedł już przez etapy Gucci, Pucci i dotarł do sztuki. Kolekcjonowanie sztuki jest dla większości z nas nałogiem. Marek mógł za tą ważkę zapłacić każdą cenę, nawet najbardziej szaloną. Z jakiegoś powodu

chciał jednak utrzymać ten zakup w tajemnicy.

– W tajemnicy… – powtórzył policjant i wbił natrętny wzrok w Fabera. – Brzmi ciekawie.

Faber odchrząknął. Nie zamierzał zadzierać z policjantem, zwłaszcza w sytuacji, w której jeden z jego kolekcjonerów podejrzewany jest o zamordowanie Pikasa.

– Nie wiem, czy to istotne, bo wzburzeni ludzie mówią różne rzeczy, ale podczas ostatniej rozmowy telefonicznej z Markiem… Marek powiedział, że zrobi wszystko, by zdobyć tę ważkę. Położył tak mocny nacisk na słowo „wszystko", że aż mnie ciarki przeszły – wyznał i zerknął kontrolnie na policjanta.

Wszelkie wątpliwości, z którymi zmagał się przed wyrzuceniem z siebie tych słów, zniknęły. Policjant wyglądał tak, jakby właśnie na to czekał przez cały czas. Jakby przychodząc do domu aukcyjnego, liczył na zeznania obciążające Laskowskiego. Jakby skończył pracę i liczył na pochwałę.

– I oczywiście zezna pan to w sądzie. – Policjant bardziej stwierdził, niż zapytał, i jednym haustem wypił wodę ze szklanki. – A macie może w katalogu biżuterię w kształcie motyli? Chętnie bym obejrzał…

*

Minęło ponad dwadzieścia lat, a ja czuję się dokładnie tak samo. Wtedy to Pikaso kazał mi się spakować i wywiózł mnie na dworzec.

– Co myślisz o Lucjanie, zwanym Czachą?

Rozmowa z Urszulą mnie uspokaja. Ta kobieta jest dziwna. Chłopczyca ukrywająca, że ma problemy z podróżowaniem środkami lokomocji. Nie oceniam jej. Być może w policyjnym środowisku nie mówi się o swoich słabościach. Musi udawać, że serce ma z żelaza, a poczucie czasu z gumy.

Czacha? Co o nim myślę? Nadal ma w sobie to coś, co przyciągało mnie w młodości. Wiedziałam, że jest niebezpieczny, ale jednocześnie imponowało mi, że twardy facet interesuje się taką rudą kruszyną jak ja.

– Jak usłyszał „Czacha" na dzień dobry, to zamarł. Widać, że dołożył dużo starań, żeby przeszłość za nim nie podążała. Początkowo był zdenerwowany, ale wypity alkohol go wyluzował.

Swoją drogą… Jak na kobietę, ta Ulka ma twardą głowę. Piła z Czachą jak równy z równym, a dzisiaj nawet nie widać, żeby męczył ją kac.

– Ale gdy zapytałaś o Pikasa, znowu się spiął.

– Niby tak, ale w ogólnym rozrachunku wydaje się być kulturalnym facetem w średnim wieku.

– Szkopuł w tym, czy się wydaje, czy naprawdę nim jest.

Teoretycznie możliwe wydaje się to, że przy pomocy jakiegoś terapeuty przepracował sposoby radzenia sobie z agresją i dzięki temu zmienił swoje

życie. Praktycznie – zmiany zawsze są o wiele bardziej wymagające niż udawanie, że wszystko jest w porządku.

– Jest wykładowcą w łódzkiej filmówce, taka robota do czegoś zobowiązuje.

– Masz na myśli, że zobowiązuje do bycia lub udawania dobrego człowieka? Założę się, że starając się o pracę, przemilczał, że ma na sumieniu śmierć znanej aktorki. Co ja mówię, na sumieniu?! Ma na rękach jej krew!

Dźwięk melodii wydobywający się z mojej torebki odrywa nas od wyobrażania sobie strasznych rzeczy. Nie muszę zadawać sobie pytania, czy Czacha mógł zabić staruszkę kochającą koty. Jeśli w czymś mu przeszkodziła, jeśli próbowała się bronić, jeśli zaczęła mu ubliżać… Zrobiłby to bez wahania.

– Halo? – odzywam się i zamykam oczy.

Kolejny słoneczny dzień rozpoczynam na ławce pod blokiem, z którego mnie wyrzucono.

– Witaj, kochanie!

– Krystian? – pytam, bo nie wierzę w swoje szczęście. On zawsze wyciąga mnie z tarapatów. – Myślałam, że już o mnie zapomniałeś.

Słyszę swój przesłodzony głos i wyobrażam sobie minę, którą w tej chwili musi robić Urszula.

– Słuchaj – Krystian pomija fazę flirtu – wspominałaś ostatnio o policjantce, która interesuje się tą ważką z brylantami… No wiesz, tą broszką od twojego znajomego.

Skupiam się na brzmieniu jego głosu. Próbuję ocenić humor Krystiana. Wyrzuca z siebie słowa zbyt nerwowo. Nie snuje opowieści, nie bawi się rozmową ze mną. Komunikuje mi. Krótko i zwięźle. Robi wstęp do… No właśnie, do czego?

– Krystian, coś się stało?

– Możesz dać mi numer telefonu tej kobiety?

Jego głos drży i traci na sile.

Błyskawicznie otwieram oczy i trącam Urszulę.

– Telefon? Tej policjantki? – powtarzam głośno i zmuszam Urszulę do podsłuchiwania.

– Telefon! Potrzebuję jej telefonu. Nie mam czasu na rozmowę. Nie teraz. Daj mi te dziewięć cyfr! – Krystian krzyczy do słuchawki.

Urszula pyta mnie bezgłośnie, o co chodzi. Odpowiadam jej wzruszeniem ramion. Zastanawia się chwilę i wyciąga rękę w stronę komórki.

– Krystian, spokojnie. Tak się składa, że ta policjantka siedzi właśnie obok mnie, już ci ją daję…

*

W jednej chwili najbliższe otoczenie przestało istnieć. Poprzemysłowe budynki,

wątłe tuje oddzielające zadbany trawnik od chodnika czy walizka spakowana w pośpiechu. Liczył się tylko Krystian i rozmowa, którą prowadził z Urszulą.

Sytuacja była tak absurdalna, że Aleksandra nawet nie próbowała się domyślać, o co chodzi. Dlaczego Krystian dzwonił z Poznania i chciał rozmawiać z jakąś policjantką?

Urszula była skupiona. Kiwała głową i wysłuchiwała tego, co miał jej do powiedzenia Krystian. Jej mina świadczyła o tym, że sprawa jest poważna.

– Rozumiem. O której się umówiliście? Cholera, to za kwadrans! Proszę przesunąć spotkanie. Nie! To pan nie rozumie. Mężczyzna, z którym ma się pan spotkać, jest bardzo niebezpieczny. Podejrzewam, że zabił nie tylko właścicielkę broszki, ale również Wróblewskiego. Tak, nie przesłyszał się pan. Wróblewski nie żyje. Wczoraj znaleziono jego ciało. Dobrze, to nie czas… Nie może pan być tam sam. Niech gra pan na zwłokę. Już jadę!

*

Nawet motyle w pewnym momencie przestają machać skrzydłami – z tą myślą Gulczyński po raz kolejny zamknął się w pokoju przesłuchań z Markiem Laskowskim. Tym razem jednak nie miał zamiaru zadręczać mężczyzny pytaniami. Chciał mu jedynie przedstawić zarzuty, które wspaniale komponowały się z poczynionymi przez niego ustaleniami.

– Świadkowie widzieli, jak w noc przed zabójstwem wchodził pan do mieszkania Pikasa i wychodził w środku nocy. Oczywiście odnotowali, że był pan pijany. To niezbicie donosi, że pana bajeczkę o tym, że nie znaliście się z denatem, można roztrzaskać o kant dupy.

– Co nie zmienia faktu, że go nie zabiłem.

– Nie? To dlaczego pan kłamał? Wszystkie poszlaki wskazują na pana. Nie wywinie się pan z tego…

Gulczyński z pewnością dodałby jeszcze coś mającego zbudować nastrój, jednocześnie omijając szczegóły, ale w kieszeni jego spodni zawibrował telefon.

– Halo, kto dzwoni? – zapytał, bo cyfry, które odczytał z wyświetlacza, nic mu nie mówiły.

– To jaaa, Ulka Zimińska. Bierz, kurwaaa, dupę w troki i przyjeżdżaaaj na Rewolucji 1905 roku dwaaadzieścia dzieeeewięć.

Zimińską zaliczał do ciem, czyli nocnych motyli, które nie grzeszą urodą. Tolerował ją. Była grubsza i bardziej owłosiona niż kobiety, które lubił. Dokładnie takie same różnice dzieliły ćmy i motyle dzienne.

– Pijana jesteś? – Nie krył oburzenia. Nie przypominał sobie, żeby wcześniej jakakolwiek kobieta odzywała się do niego w taki sposób. – To nieodpowiedni moment na żarty. Właśnie prowadzę… – Chciał powiedzieć „przesłuchanie", ale przecież to nie miało być przesłuchanie. – To znaczy właśnie gaworzymy sobie

z narzeczonym tej szalonej kobiety, która posądzała nas dziś o branie łapówek.

– Zamknij się i mnie posłuchaaaj. Ja też za tobą nie przepaaadam. Też jestem zła, że naczelnik kazał oddać mi wszystko tobie. Też orgaaanicznie nie cierpię ludzi, którzy wpieprzają mi się w moją praaacę, ale jeśli myślisz, że siedzisz teeeraaaz z mordercą Piotra Wróblewskiego, to się, kuuurwaaa, mylisz!

*

– Wytrzymasz, jesteś twarda. – Głos Aleksandry dochodził do Urszuli z oddali.

Objawy fobii nasiliły się do tego stopnia, że w głowie miała już tylko karuzelę i myśli, że zaraz umrze, jej ciało oblał zimny pot, a język plątał się, jakby wypiła pół litra wódki.

Świadomość, że musi zorganizować wsparcie, była jednak silniejsza niż chęć umierania.

– Kaaażdaaa minuta się liczy. Za chwilę możesz mieć kolejnego truuupaaa. Wróblewskiego zabił morderca Toooomaaaszewskieeeej. Wieeesz czemu? Bo Wróblewski go widział. Zaapaaamiętał jego twarz, tak powiedział psycholożce. Morderca bał się, że go wyda. Zaaa pierwszym razem, na drodze, mu nieee wyszło. Zaaa drugim się lepiej przygotowaaał.

– Morderca siedzi przede mną. – Słowa Gulczyńskiego ginęły w otchłani.

Urszula nie była w stanie prowadzić rozmowy. Odłożyła komórkę na kolana.

– Niech pan jedzie szybciej. Ula, jeszcze tylko trzy minuty. Oddychaj. Wdech, wydech, wdech, wydech. Jeśli ci słabo, to włóż głowę między nogi!

Przed oczami Urszuli zaczęła pojawiać się ciemność. W uszach dzwoniło, a powietrze, które starała się wdychać, nie zawierało chyba ani trochę tlenu. Odpływała.

Ostatkiem sił przyłożyła telefon ponownie do ucha i powiedziała:

– Jeśli maaasz u siebie mordercę, to ciekawe czemu mężczyzna, który twierdzi, że maaa tę pieprzoną broszkę, właśnie spotykaaa się z Bogu ducha winnym człowiekiem. Rewolucji 1905 roku, numer dwadzieścia dziewięć – podała adres, który wymienił Krystian i dodała: – Kod zero. Policjaaant w niebezpieczeństwie.

*

Coś było nie tak. Tego był pewien.

Mężczyzna, który miał problemy z przygotowaniem odpowiedniej ilości gotówki, przyszedł co prawda na spotkanie, ale nie wyglądał tak, jak powinien.

Pognieciona koszulka polo i zbyt luźne dżinsowe spodenki być może idealnie komponowały się z niedbałym zarostem, ale zupełnie nie pasowały do niego jako kolekcjonera.

Być może to szalony kolekcjoner? – pomyślał i się przywitał.

– Witam.

– To z panem wymieniłem się mailami?

Potwierdził kiwnięciem głowy, a potem jego wzrok padł na obuwie kontrahenta. Tenisówki. Zielone w typie converse'ów. Podobne, ale nie oryginalne – to właśnie wzbudziło w nim największe podejrzenia.

Mógł zlekceważyć niedbały strój, ale wiedział, że nadziani ludzie nigdy nie oszczędzają na butach.

– Masz broszkę? – zapytał mężczyzna.

– A ty pieniądze?

– To część, resztę mam w samochodzie.

– Umawialiśmy się…

– Dam ci ją, ale musiałem się zabezpieczyć. Pokaż broszkę!

Dostosował się do prośby. Nie mógł lekceważyć klienta. Miał zbyt wiele do stracenia. Dzisiaj musiał się jej pozbyć. Pozbyć, albo raczej wymienić na kupę kasy.

Nie dał mu jej do ręki. Aż tak nie mógł ryzykować.

– Piękna – szepnął mężczyzna.

Stali na podwórku opuszczonej kamienicy. Odpadający tynk, okna zabite deskami i napis na elewacji „Kiedyś dumnie prężyłam cegły, teraz tylko rozpad mnie gryzie, ale tu znów zakwitnie życie". To wszystko dodawało sytuacji klimatu tajemnicy. Na tym mu zależało.

Obcy, którzy docierali na to podwórko przypadkiem, zazwyczaj łapali się za głowy. Budynek wyglądał, jakby brał czynny udział w wojnie. Ba, jakby wojna nadal trwała.

Na nim nie robiło to już żadnego wrażenia. Znał to podwórko i każdą dziurę w płocie. Wiedział, w którą stronę skoczyć, by się ulotnić w razie nieprzewidzianych okoliczności.

– Pikaso mówił ci, że to broszka z dwudziestolecia międzywojennego? – spytał, niby od niechcenia.

Te byle jakie buty nie dawały mu spokoju. Kupiec trafił do niego podobno bezpośrednio od Pikasa. Postanowił więc sprawdzić, czy tak było rzeczywiście. Kto jak kto, ale Pikaso na pewno wspomniałby potencjalnemu kupcowi, że ważka powstała pod koniec osiemnastego wieku.

Jeśli kupiec go sprostuje, sprawa będzie jasna.

Jeśli jednak przytaknie, będzie musiał zastosować plan B.

– Międzywojennego? – Mężczyzna się zawahał. – Tak, właśnie takie zbieram. Tę kamienicę też chyba powinienem przygarnąć do kolekcji…

*

– To jego samochód! – Stary seat sprawił, że Aleksandra poczuła kolejny wyrzut adrenaliny do krwi. – Niech pan się tu zatrzyma.

Dopełnianie formalności z taksówkarzem odbyło się w ogromnym chaosie. Aleksandra dała mu jakiś banknot, mężczyzna wydał resztę. Nie sprawdziła, ile ma zapłacić ani czy reszta się zgadza. Chciała jak najszybciej dotrzeć do Krystiana i go przytulić.

Kiedy Urszula poczuła, że samochód przestał się poruszać, wyczołgała się z niego i usiadła na chodniku.

– Od razu lepiej – jęknęła, kiedy podeszła do niej Aleksandra. – Świat przestał wirować, a powietrze nie jest już takie gęste. Jednak nie umrę.

– Poczekaj tu, a ja tam pobiegnę.

– Oszalałaś? Nie możesz rozkazywać policjantce! – Urszula dochodziła do siebie. Wstała ostrożnie i rozejrzała się dookoła. – Kurwa, jeszcze nie ma chłopaków.

– A jeśli nie przyjadą? Jeśli ten średnio rozgarnięty aspirant nie potraktował cię poważnie?

Urszula wiedziała, że żaden funkcjonariusz nie zlekceważy kodu zero. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że nagięła przepisy i będzie musiała się z tego wytłumaczyć. To nie ona jest w tej chwili w niebezpieczeństwie, a Krystian Kamiński.

– Przyjadą. Zostaniesz tu i na nich poczekasz. Pokażesz im, gdzie zniknęłam. Powiesz, że pobiegłam na spotkanie z mordercą i że jest tam też cywil, twój narzeczony.

– Jesteś pewna? Może pójdę z tobą?

– Chcesz ze mną teraz dyskutować, czy mamy uratować Krystiana?

– Dobra, czekam na policję. – Niezadowolona Aleksandra przewróciła oczami.

Z każdym kolejnym krokiem Urszula czuła się coraz pewniej. Stawiała stopy na ziemi, a dolegliwości związane z fobią minęły.

Elewację kamienicy do której podeszła, chroniła zielona siatka. Numer dwadzieścia dziewięć stanowiła posesja od lat zaklasyfikowana do renowacyjnego programu „Mia100 kamienic". Od lat stała też w stanie niezmienionym.

„Jebać ŁKS Łódź" – odczytała napis w bramie i przeszła dalej.

Jej oczom ukazał się osmalony budyneczek z zamurowanymi drzwiami i napisem „lepka purpura łódzkich kwiatów". To na tym podwórku można było w czerwcu ubiegłego roku zobaczyć, jak powstaje słuchowisko radiowe o tej samej nazwie. Pamiętała ten projekt realizowany w sto dziesiątą rocznicę rewolucji 1905 roku przez znakomitych aktorów, utalentowanych muzyków i świetnego reżysera.

Dwóch mężczyzn stało przy oficynie po lewej stronie. „Stało" było jednak złym określeniem. Jeden był całkiem wyprostowany, a drugi skulony. Jeden bił,

a drugi był bity.

Urszula nie mogła czekać na wsparcie. Musiała zareagować.

– Policja! – krzyknęła.

Agresor zamarł i sekundę później rzucił się do ucieczki.

*

Urszula straciła orientację. Przeskakiwała ogrodzenia i pokonywała dachy kolejnych garaży. Tempo narzucone przez uciekiniera stawało się nie do zniesienia. Nigdy nie pomyślałaby, że Czacha jest w tak dobrej kondycji fizycznej. Kiedy odwiedziła go razem z Aleksandrą, nie wyglądał na wysportowanego. Sądziła, że bez problemu dogoni mężczyznę w średnim wieku, dla którego jedynym rodzajem uprawianej aktywności fizycznej jest spacer sprzed telewizora do lodówki.

Kolejna prosta. Uciekający przyspieszył.

Urszulę dopadła kolka. Najgorszy wróg policjanta. W trakcie pościgu można złamać nogę, zerwać ścięgno czy wpaść pod samochód. Takie wypadki w pełni uzasadniają przerwanie akcji. Ale ostry ból tuż pod żebrami może być subiektywny. Policjantka usiłowała więc go zlekceważyć.

Od kilku minut odnosiła wrażenie, że jej ciało ma już chyba z dwieście stopni Celsjusza, włókna mięśniowe w udach uległy rozerwaniu, a ból promieniował po całym ciele.

Zrezygnowałaby, gdyby to była jakaś zwyczajna sprawa. Na szczęście świadomość, że w końcu może dopaść zabójcę Renaty Tomaszewskiej dodała jej skrzydeł i pozwoliła na użycie zapasów energii odłożonych na czarną godzinę.

Właśnie wybiła. Czarna godzina. Czarna minuta.

Uciekinier wbiegł w bramę.

Policjantka starała się przyspieszyć, bo wiedziała, że w takiej sytuacji ułamki sekundy mogą zdecydować o straceniu przestępcy z pola widzenia. Wiedziała też, że jeśli nie złapie go w ciągu najbliższych pięciu minut – przegra.

Była szybka i inteligentna, ale kondycyjnie dużo słabsza niż przeciwnik.

*

Gulczyński dotarł pod adres wskazany przez Urszulę niemalże równocześnie z zaalarmowanym patrolem.

Nie przepadał za koleżanką z firmy, ale nie mógł zlekceważyć tego, co mu powiedziała. Gdyby coś jej się stało, gdyby została zabita lub ranna, naczelnik i media rozszarpałyby go na strzępy. Równocześnie.

– Nareszcie! – Do Gulczyńskiego podbiega kobieta.

Widział ją już wcześniej. Nawet kilka razy. Ostatnio dziś rano. Stała obok

awanturującej się narzeczonej Marka Laskowskiego.

Znowu ona? Znowu powiązanie z Laskowskim? Był pewien, że przyjazd do zdewastowanej kamienicy jest jedynie stratą czasu i niepotrzebnym odwleczeniem postawienia zarzutów Laskowskiemu.

– Urszula pobiegła za podejrzanym w tamtą stronę.

– Za kim?

– Nie wiem za kim! Niech pan sobie wyobrazi, że mi się nie przedstawił! Nie widziałam go, bo nie biegli ulicą!

– To skąd pani wie, że pobiegła…

– Tam! – Kobieta wskazała bramę prowadzącą na podwórko. – Tam siedzi mój przyjaciel. To on spotkał się dziś z mordercą Tomaszewskiej i Pikasa. Niech pan jego spyta!

*

– Stój, policja!

Kiedy Urszula krzyknęła, od uciekającego mężczyzny dzieliły ją jakieś trzy metry.

Trzysta centymetrów, kilka kroków, ze trzy oddechy. Bilans końcowy wydawał się domykać.

Urszula wyciągnęła rękę. Musiała złapać mężczyznę i powalić na ziemię, a później skuć kajdankami. Dopiero wtedy będzie miała chwilę, by złapać oddech.

Dwieście pięćdziesiąt centymetrów. Niemalże czuła zapach jego spoconego ciała.

– Fuck!

Do kolki dołączył skurcz łydki. To on sprawił, że na ułamki sekundy zatrzymała się i zerknęła na swoją nogę. Kiedy uniosła głowę, mężczyzny już nie było. Zniknął.

*

– Dobrze, że nic ci się nie stało!

Aleksandra siedziała na tylnym siedzeniu starego seata i głaskała Krystiana po ręce. Wcześniej próbowała się do niego przytulić, ale był zbyt obolały. Z rozbitych warg sączyła się jeszcze krew.

Gdzieś w oddali majaczyły pytania dotyczące tego, skąd wziął się w Łodzi, po co umówił się na spotkanie z Czachą i dlaczego nie powiedział jej o tym ani słowa.

Nie zadawała ich. Teraz o wiele bardziej istotna wydawała się odpowiedź na inne pytanie.

Urszula zniknęła jakieś dziesięć minut temu i nie dawała znaku życia. Za nią pobiegła para policjantów, a aspirant Gulczyński krążył przed opuszczoną kamienicą jak lew.

Zaparkowany w niedozwolonym miejscu radiowóz przyciągał uwagę przechodzących obok ludzi. Co ciekawsi zatrzymywali się i czekali na ciąg dalszy. Obecność policji oznaczała dla nich bonusowe przedstawienie: wyprowadzenie skutego dilera narkotyków albo pijanego żula, za którym być może wybiegnie zrozpaczona kobieta. Teatr za darmo i to w dużo lepszym wykonaniu niż zwykle, bo na ulicy nikt nie posługiwał się wyuczonymi kwestiami. Na ulicach toczyło się prawdziwe życie.

– Złapią go? – Aleksandra odważyła się zidentyfikować i wyartykułować źródło największego lęku.

Była przekonana, że jeśli Czacha ucieknie i jakimś cudem dowie się, że mężczyzna, który chciał go oszukać, jest jej partnerem – wróci, a spotkanie z nim nie będzie miłe.

– Mam nadzieję. – Krystian nie odrywał wzroku od wejścia do kamienicy.

– Dlaczego się z nim spotkałeś?

– Miał broszkę. Tą, którą naszkicował ten twój typ bez pamięci.

– Widziałeś ją? Miał ją dziś przy sobie?

– Tak. Widziałem. Chciałem dotknąć, ale musiał się zorientować, że nie jestem tym, za kogo się podaję.

– Czyli kim? – spytała delikatnie Aleksandra.

Krystian nie zwrócił uwagi na pytanie Aleksandry.

– Myślałem, że już po mnie. Widziałem to w jego oczach. Przerażenie i wściekłość. Boję się pomyśleć, co by się stało, gdyby ta twoja policjantka nie zdążyła na czas… Zestresowałem się jak uczniak. Ostatni raz biłem się chyba w podstawówce. Cholera, uświadomiłem sobie, że nie jestem ani policjantem, ani agentem służb specjalnych. Na filmach wszystko wydaje się dużo łatwiejsze.

Aleksandra chciała coś powiedzieć, znaleźć odpowiednie słowa, by z serca, a nie wyuczonej zawodowej empatii podnieść Krystiana na duchu. Każdy człowiek w obliczu zagrożenia życia zachowuje się inaczej. Jedni walczą, drudzy krzyczą, jeszcze inni zwijają się w kulkę i czekają na swój koniec – jak Krystian.

Takie zachowanie było być może dalekie od lansowanego stylu bycia prawdziwym mężczyzną. Było jednak prawdziwe. Krystian musiał je zaakceptować i zrozumieć.

– Co z nim? – Na horyzoncie pojawiła się Urszula.

Spocona, czerwona jak burak, ale cała. Bez śladu krwi, bez siniaka, ale i bez napastnika.

Aleksandra rzuciła się jej naprzeciw, a kiedy dobiegła do niej i upewniła się, że na ciele wybawczyni Krystiana nie ma żadnych widocznych uszkodzeń, przytuliła ją.

– Krystian jest cały. Trochę obolały i w szoku, ale cały. A co z tym gościem?

– Uciekł mi. Olka, to nie był Czacha, tylko jakiś młodziak.

– Młodziak?

– Spojrzał na mnie, widziałam jego twarz. Jestem pewna. Uciekł mi, skurwiel.

– Urszula! – Stojący po drugiej stronie ulicy Gulczyński podbiegł do koleżanki. – Mają go, mają. Chłopaki zatrzymali właśnie faceta o podanym przez ciebie rysopisie. Przeszukali go. Miał przy sobie broszkę – ważkę.

*

Aspirant Gulczyński ponownie tego dnia siedział w pokoju przesłuchań i ponownie nie mógł oprzeć się wrażeniu, że cały ludzki świat skonstruowany jest na zasadzie podobieństwa do świata motyli.

Takie na przykład pomieszczenie służące do przesłuchiwania zatrzymanych spełniało te same funkcje, co siatka entomologiczna. Wybrany osobnik najpierw podlegał krótkiej obserwacji, a następnie odłowieniu, by przyjrzeć mu się z bliska. Efektem tego procesu było albo wypuszczenie złapanego egzemplarza, albo zamknięcie go w klatce.

– Jak się nazywasz? Gdzie mieszkasz? Lubisz podwórka, co?

Każde kolejne pytanie poprzedzone było ciszą. Zatrzymany mężczyzna milczał. Albo udawał głuchego, albo zdawał sobie sprawę, że każde, nawet pojedyncze słowo może zostać wykorzystane przeciwko niemu.

Nie milczał za to naczelnik. Nawrzeszczał na Gulczyńskiego, kiedy ten wrócił na komisariat z zatrzymanym. Chwilę później zjawił się adwokat Laskowskiego. Też wrzeszczał.

– Kogo mam zawiadomić, że tu jesteś?

Zatrzymany mężczyzna miał na oko jakieś dwadzieścia lat. Ostre rysy, grube brwi i mocno zarysowane jabłko Adama dodawały mu męskości. Ręce miał skrzyżowane na piersi, a bose stopy schował pod krzesłem.

– Co robiłeś przedwczoraj w godzinach wczesnopopołudniowych?

Siedzenie w ciszy odpowiadało Gulczyńskiemu. Nie zamierzał pośpieszać milczącego rozmówcy. Mógł spędzić z nim całą resztę dnia. Gulczyński wiedział jednak, że jeśli wyjdzie z pokoju przesłuchań bez żadnych informacji, naczelnik pożre go żywcem.

– Dlaczego zabiłeś Piotra Wróblewskiego?

Mężczyzna wciąż milczał. Wpatrywał się jeden punkt w przestrzeni, usytuowany gdzieś na podłodze. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Podczas przesłuchania znaleźliśmy przy tobie dwie ciekawe rzeczy. Jak się wytłumaczysz z ich posiadania?

Kolejne pytanie zostało bez odpowiedzi.

– Oczywiście nie musisz się odzywać, ale brak chęci do obrony traktujemy tu

jednoznacznie. Jesteś winny zarzucanych ci czynów. Tak dla formalności wspomnę jedynie, że za chwilę postawię ci zarzut zabójstwa Piotra Wróblewskiego. Miałeś przy sobie jego telefon i broszkę, której był właścicielem.

Taki obrót sprawy przyniósł Gulczyńskiemu niemałą satysfakcję. Po pierwsze, pospieszył na ratunek koleżance z firmy. Po drugie, zobaczył jej zdziwione spojrzenie wpatrujące się w zatrzymanego. To nie zatrzymanego spodziewała się ujrzeć, chociaż potwierdziła, że to jego goniła. Po trzecie, znalezione przy zatrzymanym mężczyźnie przedmioty należące do denata stanowiły poszlaki, które zadowolą każdego sędziego.

Gulczyński zrozumiał już powód milczenia mężczyzny. Brak reakcji na bodźce najwyraźniej spowodowany był reakcją obronną. Mężczyzna domyślał się, że nieważne, co powie, nie będzie w stanie się obronić.

– Mam tu wyniki badań – zablefował policjant.

Rzeczywiście, miał przy sobie teczkę, która mogła udawać wyniki badań. Tak naprawdę badania dopiero zlecił, ale był niemalże pewny ich efektu końcowego.

– W tej sytuacji możesz powiedzieć, jak było, albo poczekać, aż krok po kroku sami do tego dojdziemy. Prawda jest jednak taka, że tylko teraz być może mogę coś ci zaoferować…

*

– Stylowo tu.

To chyba jedyne, co jestem w stanie z siebie wydusić. Hotel, do którego zabrał mnie Krystian, robi wrażenie. Myślałam, że dopiero się zameldujemy, wybierzemy pokój… Zaskoczył mnie. Bez słowa wprowadził do pokoju, w którym leżała jego rozbebeszona walizka.

Mieszka tu przynajmniej od paru dni. Tego jestem pewna.

Nie wiem, dlaczego został w Łodzi, ani dlaczego nie wspomniał mi o tym ani jednym słowem.

Korci mnie, żeby zasypać go pytaniami. Dobra, nie będę się powstrzymywać.

– Jak dotarłeś do tego mężczyzny?

– Tego od broszki? – Krystian rzuca się na łóżko.

Widzę, ile stresu i energii kosztowała go ta sytuacja. Porwał się z motyką na mordercę, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co się może wydarzyć. Dobrze, że jego wrodzona konieczność planowania życia sprawiła, że przed spotkaniem zadzwonił do mnie i poprosił Urszulę o wsparcie. Nie wiem, czy ktokolwiek znalazłby go na podwórku tej opuszczonej kamienicy. Czy zrobiłby to w odpowiednim momencie? Czy nie byłoby za późno?

– Tego.

– Pamiętasz, jak byliśmy u twojego znajomego?

– Pikasa?

– Aha. Zainstalowałem podgląd na jego kompa i rozesłałem maile do osób, z którymi ostatnio utrzymywał kontakt. Oczywiście odbiorcy myśleli, że nadawcą jest Pikaso. Odpowiedzi tymczasem szły do mnie. Nie wszyscy jednak odpowiedzieli, a w wiadomościach nie znalazłem nic ciekawego. Przeglądałem też resztę danych, zrzuciłem je na dysk przy okazji wizyty. Dotarłem do tego, że ten twój znajomy przeglądał fora i portale ogłoszeniowe i wyszukiwał ciekawe antyki. Ustaliłem miejsca, w których bywał i łatwo było mi się za niego podawać. Facet, z którym się dziś spotkałem, odezwał się nagle. Chciał się spotkać z Pikasem. Napisał, że nie ma czasu na czekanie i albo sprzeda ważkę teraz, albo wycofuje się z transakcji. Odpowiedziałem mu, niby jako Pikaso, że mogę skontaktować go z bezpośrednim kupcem, mając oczywiście na myśli siebie. Złapał przynętę. Odpisał od razu. Widać naprawdę nie miał czasu. Uznałem więc, że ja też go nie mam. Postanowiłem zadziałać. Podałem się za klienta i umówiliśmy się na spotkanie.

– Ale po co? Jak ty to sobie wyobrażałeś? Że co? Spotkasz się z nim i wyzna ci prawdę?

– Nie. Chciałem go zobaczyć, sprawdzić, czy ma broszkę, a później pójść na policję. Na szczęście coś mnie tknęło. No dobra, nie będę zgrywał twardziela. Stchórzyłem i zadzwoniłem. Pomyślałem, że ze wsparciem będzie mi łatwiej. Po tym, co usłyszałem od policjantki… Ola, byłem przerażony. Zrobiło mi się słabo, chciałem się wycofać, ale już było za późno… Nie nadaję się na Bonda.

Boże. Że też chłopcy nigdy nie dorastają. Każdy z nich chciałby pokazać światu oblicze superbohatera!

– Wiesz, że to było skrajnie nieodpowiedzialne, niebezpieczne i nieprzemyślane?! – karcę go jak uczniaka.

Niech sobie nie myśli, że ujdzie mu to na sucho. On nie może robić takich rzeczy. Nie może przysparzać mi zmartwień. To on ma być przewidywalną ostoją naszego związku.

– Myślisz, że tylko ty możesz robić niebezpieczne rzeczy?

Flirtuje ze mną. Pobyt w hotelowym pokoju go uspokoił. Nabrał pewności siebie, a strach ustąpił miejsca dumie. Samczemu samozadowoleniu. Bo przecież nie ma nic wstydliwego w tym, że został pobity przez mordercę.

Byle jaki pijak? To porażka, nie miałby o czym opowiadać, ale morderca? Człowiek, który kogoś zabił? Założę się, że to temat na historię, którą jego koledzy będą żyć przez długi czas.

– Chciałem ci zaimponować. Rozwiązać tę zagadkę za ciebie. Ty masz teraz ważniejsze sprawy na głowie, niż ratowanie całego świata. Pamiętasz o dzieciach i wizycie kuratorki?

Chcę burknąć i okazać niezadowolenie – jestem przecież dużą dziewczynką i potrafię o siebie zadbać, ale jego czułość i opiekuńczość szczerze mi zaimponowała.

– Pamiętam. – Wtulam się w niego.

– To dobrze. Nie możesz mi się dziwić, że po twojej poprzedniej akcji w Poznaniu chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje.

*

– Jesteś?!

Widok Marka stojącego w przedpokoju wywołał u Olgi atak radości. Rzuciła się mu na szyję, wykrzykując na zmianę „wiedziałam, że jesteś niewinny!" i „kocham cię!".

Przez chwilę jedynie pozwolił się przytulać i przyjmował jej pocałunki. Ciąg dalszy stał się oczywisty zarówno dla niego, jak i dla niej.

– Słyszałem, że broniłaś mnie jak lwica – powiedział, po czym złapał ją w pasie i delikatnie uniósł.

Oplotła go nogami i przywarła do jego ust. W takiej pozycji dotarli do kuchennego blatu. Szkoda im było czasu na rozbieranie się. Olga zdjęła jedynie majtki i uniosła spódnicę. Marek opuścił spodnie wraz z bielizną.

Powitanie kochanków trwało nie dłużej niż dwie minuty.

– Zaraz wracam. To była dopiero przystawka – obiecał Marek i zniknął w łazience.

Odczekała chwilę i poszła za nim. Stanęła przy drzwiach. Szum wody dyskretnie informował, że Marek wszedł pod prysznic.

Olga zastanawiała się przez chwilę, czy do niego nie dołączyć, ale ostatecznie uznała, że nie będzie mu przeszkadzać. Powinien w spokoju zmyć zapach nocy spędzonej w areszcie.

Poszła więc do sypialni, rozebrała się i położyła do łóżka. Po raz pierwszy od wypadku poczuła się bezpieczna. Wyglądało na to, że wszystko wróciło do normalności.

Sięgnęła po komórkę i wybrała numer Aleksandry.

– To ja – odezwała się, kiedy usłyszała głos przyjaciółki. – Wypuścili go.

– Aha.

W sumie nawet nie wiedziała, dlaczego rozmowę zaczęła od wieści o Marku. Mogła się spodziewać, że nie wywoła to u przyjaciółki większej reakcji.

– Przepraszam. Odbiło mi rano. Postradałam zmysły. Pogubiłam się. Nie wiem, jak mogłam cię oskarżać. To było okrutnie głupie, przyznaję. I proszę…

– Wiesz co? – Ostry głos Aleksandry przypomniał jej twarz, kiedy na wyraźną prośbę Olgi opuszczała apartament Marka.

– Wiem. Jestem idiotką.

– Jedynym środkiem łagodzącym mój ból jest to, że dzień wcześniej miałaś wypadek. Zrzucę więc te twoje obrzydliwe oskarżenia i insynuacje na karb wstrząsu mózgu. Mam jednak nadzieję, że na stałe nic ci się w głowie nie

poprzestawiało, i że podczas wypadku nie pozbyłaś się resztek inteligencji, bo w przeciwnym razie trudno będzie mi się z tobą dalej przyjaźnić.

*

Zza okna dochodziły odgłosy Piotrkowskiej. Specyficzne wieczorne krzyki, głośne rozmowy i śmiechy wymieszane z sączącą się gdzieś w tle muzyką.

Aleksandra leżała w łóżku. Dzień dostarczył Krystianowi tyle wrażeń, że zasnął w jej ramionach jak dziecko. Przedtem próbował z nią flirtować i gładził ją opuszkami palców po szyi, ale oczy same mu się zamykały.

Nie ułatwiała mu zadania. Nie miała ochoty na seks. Świadomość tego, że historia zatoczyła krąg, a jej przeszłość dała o sobie znać, przerażała ją. Przecież Czacha mógł zabić Krystiana – jedynego mężczyznę, któremu odważyła się zaufać po śmierci Gabriela.

Telefon leżący na szafce nocnej wydał z siebie trzy krótkie sygnały oznajmiające otrzymanie wiadomości.

Aleksandra wyślizgnęła się delikatnie z łóżka, zabrała komórkę i udała się do łazienki. Dopiero gdy zamknęła drzwi, zapaliła lampy znajdujące się przy lustrze. Nie chciała, żeby światło obudziło Krystiana.

Usiadła na klapie sedesu. Asekuracyjnie wyłączyła też głos w komórce, by nadejście ewentualnych kolejnych wiadomości nie obudziło Krystiana.

Nadawcą wiadomości była Urszula.

Zdjęcie w wiadomości przedstawiało młodego chłopaka. W pierwszej chwili Aleksandra pomyślała, że Urszula się pomyliła. Być może chciała przesłać fotkę podobającego się jej osobnika przyjaciółce?

– Przesyłam ci fotkę. To poufne. Pamiętaj. Spójrz i usuń. Z komórki, nie z pamięci. To ryj faceta, którego zatrzymaliśmy. Wiem, kurwa, to nie Czacha, ale jestem na sto procent pewna, że to on kopał twojego faceta. Mamy dowody, że zabił Pikasa. Znaleźliśmy też przy nim broszkę Tomaszewskiej – odczytała tekst towarzyszący zdjęciu.

Nic z niego nie zrozumiała. Spojrzała na niego drugi raz. Potem na zdjęcie. Później znowu na tekst.

– Nie Czacha? Morderca Pikasa? Broszka Tomaszewskiej? Przecież to nie ma sensu.

Sens odnalazła dokładnie w chwili, w której wyszeptała „to nie ma sensu". Najpierw prawie niewidoczną nić. Zaczęła układać sobie w myślach wszystkie zgromadzone informacje. Grupowała je, przestawiała, szukała elementu wspólnego. Nić zmieniła się w sznur, a sznur w linę.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że podczas pracy z Pikasem dwukrotnie trafiła na minę. Zachowywał się wtedy dziwnie, jakby chciał ją przed czymś uchronić, jakby łączyło ich coś więcej niż wspólne mieszkanie w skłocie. Jakby

z ust wyrwało mu się zbyt wiele słów.

Dwukrotnie.

Pierwszy raz po wizycie w miejscu, w którym dawniej mieścił się skłot, kiedy mówił o twarzy mężczyzny, którą widział. Drugi, kiedy wspominał o liście wysłanym do niej w dziewięćdziesiątym piątym.

List, o którym wspominał Pikaso, nadal znajdował się w jej torebce. Nie przeczytała go. Zapomniała. Miała ważniejsze sprawy na głowie.

*

Droga Olu,

Piszę do Ciebie ten list, bo nie potrafię powiedzieć Ci tego wprost. Twoje niewinne spojrzenie sprawiało, że zawsze ogarniał mnie wstyd. Myśli uciekały w niewiadomym kierunku, a obawa przed tym, że mnie wyśmiejesz, sprawiała, że odwracałem głowę i udawałem, że jestem zajęty czymś innym.

Pojawiłaś się w skłocie niczym anioł… Wniosłaś słońce, radość i olśniłaś mnie swoim pięknem. Nie będę pisał o Twoich uroczych piegach, niesfornych włosach czy boskim ciele, bo to nie one sprawiły, że się w Tobie zakochałem. Masz, moja droga, niesamowity hart ducha i charakterek, że ho, ho! Jesteś jeszcze młoda, ale już niezwykle inteligentna. Twoje poczucie humoru powala mnie na łopatki. Jesteś szalona, spontaniczna i pełna nadziei na lepsze jutro. Dążysz do celu i potrafisz go osiągnąć. Nigdy się nie zatrzymujesz.

Taka kombinacja cech sprawiła, że moje serce zwariowało. Powiem prosto z mostu, bo dalsze przedłużanie nie ma sensu: Kocham Cię, Ruda!

Wiem, zapytasz pewnie teraz, jak mogłem, kochając Cię, wywieźć na dworzec i kazać wyjechać. To było trudne, dla mnie chyba jeszcze trudniejsze niż dla Ciebie. Zrobiłem to, bo Cię kocham i nie mogłem dopuścić, żebyś…

Po kolei. W piątek poszedłem na łowy. Kociara albo nie zauważała, że systematycznie ginie jej jedzenie, albo udawała, że nie zauważa. Nieważne. Skoro jej to nie przeszkadzało, dlaczego miało przeszkadzać mnie? Wszedłem do jej domu. Zwykle po wizycie w kuchni wychodziłem, ale tym razem mój niepokój wzbudził panujący wszędzie bałagan. Zupełnie jakby ktoś czegoś szukał.

Poszedłem na piętro. Na ziemi leżała martwa kociara. Wycofałem się z pokoju i na korytarzu wpadłem na Czachę. Schodził z drugiego piętra. Syknął, że mam milczeć, bo w przeciwnym wypadku pociągnie mnie za sobą.

Wyszedł z domu pierwszy. Zabójstwo nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

Wróciłem do skłotu i uświadomiłem sobie, że prędzej czy później policja znajdzie ciało, a wtedy przyjdą do skłotu i zaczną nas przesłuchiwać. Nie bałem się o siebie. Potrafię trzymać język za zębami.

Obawiałem się tego, co powiesz gliniarzom. Ty jednak domyślałaś się, że

jedzenie kradnę właśnie tej kociarze. Gdybyś usłyszała, że została zamordowana, i to w dniu, w którym tam byłem… mogłabyś mnie wkopać. Nie miałbym się jak bronić.

Jak miałbym wytłumaczyć, że to nie ja ją zabiłem? Może jeszcze żyła, gdy ją znalazłem? Może powinienem wezwać pogotowie? Normalny człowiek na pewno wezwałby policję.

Od lat nie jestem normalny. Od lat wiem, że policja nie chroni ofiary, że działa schematami, oskarżając najpierw tych, którzy w przeszłości mieli coś na sumieniu. Nie zrozumieliby, że to, że jestem złodziejem, nie oznacza, że potrafię zabić.

Gdybym był innym człowiekiem, powiedziałbym ci, co czuję. Gdybym wiódł inne życie, poprosiłbym, żebyś została ze mną.

Niestety, życie jest brutalną walką o przetrwanie. Przynajmniej dla mnie. Mam nadzieję, że Ty ułożysz jakoś swoje, i że kiedyś, gdy się spotkamy, będziemy mogli spojrzeć sobie w oczy i przynajmniej na chwilę zapomnieć o niewykorzystanych szansach, złych okolicznościach i o tym, że wpakowałem cię do pociągu.

Zawsze będę Cię kochał.

Pikaso

X
sobota

Boże Święty, Ty jesteś ojcem wszystkich ludzi! Czy Ciebie to nie przerasta? Czy nie masz czasem ochoty odepchnąć tych wszystkich grzeszników, którzy ciągle popełniają te same błędy? Skąd czerpiesz cierpliwość i miłosierdzie?

Historia lubi się powtarzać. Tak mówią. Wydawało mi się, że mnie to nie dotyczy. Zrobiłem wszystko, by nie powielić błędów mojego ojca. By dla swojego syna być wsparciem, a nie hamulcem. By dawać mu miłość, a nie ciągłe kary i rady. Starałem się, by wyrósł na człowieka, któremu w życiu będzie lepiej niż mnie.

Lawirowałem na ścieżce rodzicielstwa. Wydawało mi się, że idę w dobrą stronę.

Dziś uczciwie przyznaję się przed Tobą, mój Boże, że popełniłem wszystkie błędy, których starałem się uniknąć, a mój syn poszedł w moje ślady, mimo że robiłem wszystko, by go powstrzymać.

Kiedyś ja uciekłem z domu, a teraz przyszła pora na niego. Czy to przeze mnie? Doświadczasz mnie tak mocno, uderzasz w piętę achillesową, by dodać mi zmartwień? Naprawdę uważasz, że jeszcze za mało wycierpiałem?

Przecież poniosłem za swoje czyny najgorszą z możliwych kar: życie z wyrzutami sumienia, duszą na ramieniu i uczuciem, że czegokolwiek dobrego nie uczynię, i tak nie będę w stanie zmyć tamtej krwi.

Boże! Zrobię wszystko, bylebyś tylko sprawił, by mój syn zawrócił na dobrą drogę. Proszę, spraw, by zrozumiał, co w życiu jest ważniejsze i by wrócił do domu. I daj mi siłę, bym przyjął go bez złego słowa.

Amen.

*

Z samego rana sprawy poszły w złym kierunku, a na plac boju wróciła Urszula.

Z tajemniczą miną poinformowała Gulczyńskiego i Baraniaka, że zna tożsamość zatrzymanego i podzieli się informacjami pod warunkiem przywrócenia jej do prowadzenia sprawy. Naczelnik zrobił się czerwony na twarzy i próbował protestować, ale przekonała go krótka wymiana zdań na

osobności.

Kiedy Gulczyński wrócił do gabinetu szefa, najpierw zobaczył jego nabrzmiałą ze zdenerwowania twarz, a później usłyszał stłumiony głos Urszuli:

– Pamiętaj, masz zbyt wiele do stracenia.

Uwaga skierowana była do naczelnika i najwyraźniej do niego dotarła.

– Urszula – odchrząknął naczelnik – przejmuje dowodzenie sprawą. Będziesz jej pomagał.

Gulczyński westchnął głośno. W gruncie rzeczy od początku sprawa mu nie leżała i z radością by się jej pozbył, ale nie podobało mu się to, że naczelnik oddelegował go do pomocy Urszuli. Była jak jaszczurka pożerająca motyle. Kręciła się wokół niego. Ryła przy sprawie, którą nie powinna się interesować. Próbowała nim manipulować, a kiedy to jej przestało wystarczać, zagrała *va banque*.

– Zatrzymany nadal milczy? – zapytała triumfującym tonem kobieta.

– Milczy.

– Gwarantuję, że dziś wszystko nam wyśpiewa. Najpierw jednak musimy zgarnąć zabójcę Renaty Tomaszewskiej.

Gulczyńskiemu nie podobał się ton głosu Urszuli, sugerujący, że to on powinien biegać teraz z wyciągniętym językiem. Myśl ta obudziła w nim taką złość, że odciął się nawet od świata przyrody, zapomniał o motylach i skupił się na tym, żeby ten podły dzień już się skończył. W taki sposób, wykonując rozkazy świeżo znienawidzonej Urszuli, trafił do samochodu służbowego z nakazem obserwacji Lucjana Mroczka. Urszula oczywiście pojechała w inne miejsce.

W ostatniej chwili na miejsce pasażera wpakował się naczelnik.

– No dalej! Jedziemy! – zażądał. – Muszę mieć ją na oku.

– A co z tym Mroczkiem?

– Wyślij do obserwacji kogoś innego. Albo nie. Olej to!

*

Krystian dopełniał formalności związanych z wymeldowaniem się z hotelu, a Aleksandra przysiadła na kinowych krzesłach. Wiekowy reflektor wycelowany w nią, wiszące na ścianach obrazki z kadrami filmowymi, starodawny gramofon, no i ten rząd siedzeń wyniesionych z jakiegoś opuszczonego kina – to wszystko sprawiało, że goście hotelowi opuszczali to miejsce z żalem i obietnicą, że kiedyś tu wrócą.

Aleksandra też chciałaby wrócić, z tym samym mężczyzną, ale w innych okolicznościach. Zamiast w przytulnym apartamencie przeżyć jedną z najbardziej romantycznych nocy w jej życiu, z niecierpliwością czekała na poranek.

Zdjęcie od Urszuli oraz list od Pikasa sprawiły, że połączyła fakty. Kiedy Pikaso opowiadał o twarzy, od której wszystko się zaczęło, mówił o niebieskich oczach, niewidocznych ustach, grubych brwiach i długim nosie. Podany rysopis skojarzyła z Czachą, bo właśnie takiego go zapamiętała. Z gładką twarzą sprzed ponad dwudziestu lat.

Pikaso nie wspominał o siwiejących włosach, pomarszczonym czole czy wypłowiałych rzęsach. Zobaczyła je wtedy, gdy zapukała do drzwi Czachy. Zobaczyła, ale jednocześnie zlekceważyła różnice, uznając, że ludzka pamięć jest wybiórcza.

Dopiero zdjęcie zatrzymanego młodego mężczyzny, który wyglądał łudząco podobnie do Czachy, wywołało myśl o pokrewieństwie. Poprosiła Urszulę o sprawdzenie, czy Czacha ma dzieci. Okazało się, że posiada syna. I nagle tajemniczy krąg otworzył się, a prawie wszystkie zagadki się wyjaśniły.

– Kochanie? Kochanie!

– Tak? – Ocknęła się z zamyślenia.

– Już wszystko. Możemy iść.

– Świetnie. – Uniosła się zbyt szybko, zapominając, że siedzi na starym kinowym krześle. Siedzisko złożyło się z hukiem, uderzając o drewnianą konstrukcję. – Zawieziesz mnie tam?

*

Urszula z samego rana zadzwoniła do sekretariatu szkoły, by dowiedzieć się, kiedy i gdzie można zastać Lucjana Mroczka. Podała się za studentkę, która ma niecierpiące zwłoki pytanie.

Informacja, że w dniu dzisiejszym Czacha prowadzi wykład w ramach letnich warsztatów, a później wyjeżdża na trzytygodniowy urlop sprawiła, że Urszula dostała palpitacji serca.

Musiała postawić wszystko na jedną kartę, złamać kilka przepisów i kodeks etyki. Najpierw zaszantażowała szefa, później umówiła się z psycholożką na spotkanie przed Filmówką dokładnie o dziesiątej i sama pomaszerowała pieszo, by dotrzeć na czas w umówione miejsce.

Najbliższe dwie godziny miały zdecydować o jej być albo nie być w policji. Na ulicę Targową dotarła błyskawicznie.

Przysiadła na jednej z ławek znajdujących się naprzeciwko wejścia na teren szkoły.

Mogłaby się założyć, że na tych ławkach działo się wiele nieprzyzwoitych rzeczy. Bliskie sąsiedztwo łódzkiej Szkoły Filmowej z jednej strony, a parku Źródliska z drugiej zapewniało idealną aurę do studenckich wyznań miłości, szlochów złamanych serc, dymu papierosowego… i pewnie nie tylko papierosowego.

Zerknęła na zegarek. Była dziewiąta pięćdziesiąt siedem.

– Cześć, gdzie jesteś? – Wybrała numer telefonu Aleksandry.

– Już dojeżdżam. Jak sprawy?

– Wszystko według planu. Chłopcy obserwują kamienicę, w której mieszka Czacha, ja siedzę przy szkole. Myślę, że obiekt powinien się tu pojawić za mniej więcej kwadrans. Chyba że ma w zwyczaju spóźnianie się na swoje zajęcia.

– Świetnie, to ja przyspieszę, musimy tam wejść przed nim.

– Dokładnie, czas zacząć przedstawienie!

*

– Witam państwa serdecznie na zajęciach w ramach wakacyjnego projektu „Filmuję". Wiem, że spotykaliście się już państwo z moimi kolegami, reżyserami i aktorami. Dzisiaj przyszła kolej na tematykę związaną ze sztuką operatorską.

Przez wiele lat przemawiania Lucjan Mroczek wypracował w sobie techniki walki z tremą. Jedną z nich była świadomość, że prawdopodobnie podczas wykładu powie coś nie tak, ale istnieje dziewięćdziesiąt dziewięć procent szans, że nikt tego nie zauważy. A skoro nikt nie zauważy, to nie powinien się tym stresować.

Stres tego dnia był większy niż zwykle, bo właściwie nic nie było tak jak zwykle. Zajęcia, które prowadził podczas roku akademickiego, miały charakter praktyczny i odbywały się w studiu telewizyjnym, hali filmowej lub w plenerze. Uczestniczyło w nich dwanaście osób, bo tyle liczył sobie każdy rok sztuki operatorskiej.

Podczas wakacyjnych warsztatów Filmówka przeżywa szturm napalonych nastolatków. Lucjan zapowiedział, że nie wpuści na plan pięćdziesięciu osób, bo to mija się z celem. Dlatego dostał do dyspozycji salę kinową, a zamiast kamery – pilot do projektora.

– Dziś opowiem wam o przestrzeni. To bardzo złożony element wizualizacji, trudny do okiełznania. Oto przed operatorem kamery stoi zadanie: w jaki sposób pokazać trójwymiarowy świat na dwuwymiarowej powierzchni ekranu, by zachwycić widza? Żeby wszedł w środek opowiadanej obrazem historii i uwierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę?

Sala wypełniona była po brzegi. Lucjan nie skupiał się jednak na słuchaczach – nie miał w zwyczaju obserwować pojedynczych twarzy. Omiótł wzrokiem pierwsze rzędy, a później potraktował poruszające się głowy jako jeden twór. Taki ukwiał wielbiący filmy.

– Słowa-klucze pomagające operatorowi okiełznać przestrzeń to… – Lucjan zawiesił głos. Na początku swojej kariery wierzył w to, że czynny udział słuchaczy w zajęciach pozwoli im przyswoić więcej materiału. Szybko jednak zrozumiał, że poszukiwanie odpowiedzi wśród zgromadzonych to strata czasu

i wybijanie się z rytmu. Studenci zwykle reagowali spojrzeniami utkwionymi w podłogę lub odwracaniem wzroku. – To głębia, płaskość, ograniczenie i wieloznaczność. Głębia, płaskość, ograniczenie i wieloznaczność, zapamiętajcie. Każdy obraz może być przedstawiony w przy użyciu jednego z czterech typów wizualizacji przestrzeni. Z tak zwanym ujęciem przestrzeni głębokiej mielibyśmy do czynienia, gdyby kamera stała w tym miejscu, w którym stoję ja, a obraz przez nią rejestrowany zawierałby was wszystkich. Im dalej jesteście od kamery, tym wydajecie się być mniejsi. Obraz nadal jest dwuwymiarowy, ale stwarzamy poczucie głębi. Gdybyśmy chcieli je pogłębić, powinniśmy pobawić się separacją kolorów oraz położeniem kamery góra-dół.

Słuchacze wpatrywali się w wykładowcę jak w egzotycznego mistrza zen, który opowiada o pogodzie w swoim rodzinnym języku. Lucjan uznał, że nadeszła pora na uruchomienie projektora.

– W celu przedstawienia przestrzeni głębokiej kamera opuszcza się i najeżdża w momencie, kiedy pierwszoplanowy aktor pojawia się prostopadle do płaszczyzny obrazu. Zaraz pokażę wam kilka przykładów.

Projektor rozgrzewał się zbyt długo, ale z opresji tkwienia w ciszy uratowała Lucjana dłoń. Wyciągnięta dłoń sygnalizująca chęć zabrania głosu tkwiła w górze i kołysała się nad głowami żądnymi obrazu.

– Proszę.

Ręka opadła w dół, a słuchacz wstał z miejsca. Lucjan zauważył jedynie, że to kobieta, ale większość jego uwagi zajmowała walka z pilotem. Coś nie działało. Próbował uruchomić wyświetlanie, by zaprezentować kadr z tancerkami, stanowiący przykład ukazania głębi, ale ekran cały czas był biały.

– Chciałam zapytać, skąd pan wie, w jaki sposób ogarnąć przestrzeń kamerą… Jak pan to robi, że wychwytuje te najciekawsze kadry?

Lucjan znał ten głos. Słyszał go niedawno. Był dojrzały i raczej niski. Uniósł głowę i wytężył wzrok. W jednym z ostatnich rzędów stała kobieta. Zbyt stara na studentkę. Zbyt ruda, by jej nie rozpoznać. Gdyby siedziała w pierwszym rzędzie, nie przeoczyłby tej czupryny.

To naprawdę ona? – przemknęło mu przez myśl. *Co ona tu robi?*

Zrobił kilka kroków do przodu, chcąc się upewnić. Jego zbyt pracowita wyobraźnia potrafiła płatać mu gorsze figle.

– Jak wychwytuję najciekawsze kadry? – powtórzył, by zyskać na czasie.

– Tak. Łatwo mówić o kadrach, które są już sfotografowane. Wtedy widzimy na nich i głębię, i wszystkie inne elementy, o których pan wspomina.

Blada cera, piegi na twarzy i uśmiech. Lucjan zyskał pewność. To była Ruda. Nie wiedział, dlaczego przyszła na jego wykład i dlaczego zabrała głos. Nie był nawet pewien, czy w jej pytaniu powinien dopatrywać się jakiegoś podstępu, czy wręcz przeciwnie.

Instynkt wcisnął jednak czerwony przycisk. Panika ogarnęła jego całe ciało.

Nie miał zbyt dużego pola manewru. Nie mógł jej wyprosić, wyśmiać, ani zdradzić, że się znają.

Nie znał zasad gry, w którą właśnie go wciągała. Musiał otworzyć umysł, obserwować rozwój sytuacji i podążać za Rudą. Wyjście przed szereg mogłoby oznaczać sprowadzenie na siebie niebezpieczeństwa.

Szczególnie, że tuż obok Rudej siedziała kobieta. Ją też znał. Kilka dni wcześniej została mu przedstawiona jako przyjaciółka Rudej. To z nią opróżnił całą butelkę gorzały. Z nią rozmawiał i śmiał się całkiem swobodnie, hołdując zasadzie mówiącej „przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciółmi". A teraz zauważył ją i z ledwością dopasował twarz do ciała, bo miała na sobie policyjny mundur.

Akurat dziś wydawało mu się, że nikt za nim nie jechał. Że nikt go nie śledził.

Czarne myśli utrudniały mu utrzymanie uśmiechu na twarzy. Musiał odzyskać kontrolę nad ciałem, uśmiechem i życiem. Jedna ruda baba szukająca guza w towarzystwie swojej przyjaciółki nie mogły zepsuć mu wykładu.

– Zabawa głębią jest świetnym ćwiczeniem dla początkujących filmowców. Przejdźmy jednak do prezentacji.

*

Czacha zachowuje spokój. Stara się mnie lekceważyć, ale chyba zapomniał już, że jestem trudną przeciwniczką. Daję mu chwilę wytchnienia – niech ma szansę dojść do wniosku, że moja obecność na wykładzie to jedynie głupi psikus.

– Co pomaga nam uzyskać głębię obrazu? Naturalne obramowanie, na przykład krzaki na pierwszym planie. Nie w środku, lecz po bokach. Linie, które się zwężają, czyli wszelkie szosy czy rzeki położone centralnie w kadrze. Należy jednak pamiętać, żeby nie dzielić kadru na oddzielne obszary przez mocne poziome lub pionowe elementy. Pamiętajcie, że w niektóre kadry warto dodać trochę tajemnicy czy zaskoczenia…

– Przepraszam! – Tym razem nie czekam, aż pozwoli mi zabrać głos.

Wstaję i korzystam z możliwości, jakie daje mi akustyka sali kinowej.

– Ja właśnie w temacie tajemnicy i zaskoczenia. Jak dodać tajemnicę do zaskakującej sceny? Wyobraźmy sobie przykładowo stary dom, środek nocy, ciszę. Drewniane schody prowadzą na piętro. W pokoju panuje bałagan. Obrazy leżą na ziemi, podobnie jak różowa pościel i martwa kobieta. Staruszka ubrana w białą koszulę nocną, z włosami związanym w kitkę na czubku głowy.

Staram się, żeby nie drżał mi głos. To nie ja mam być poruszona, tylko on.

Bezczelny cynizm kontra wieloletnie milczenie mordercy. Ja kontra Czacha.

Wygram. Widzę, że krzyżuje ręce na piersi. Zamyka się, mimo tego, że na twarzy cały czas utrzymuje ten sam uśmiech.

Muszę przyznać, że jest nie tylko świetnym operatorem, ale i aktorem.

Nie opowiadam przecież o wymyślonym domu, lecz o pokoju, w którym znaleziono zwłoki Renaty Tomaszewskiej. Pomieszczeniu, w którym zabił człowieka. Nie mógł tego zapomnieć.

Urszula pokazała mi policyjne zdjęcie z miejsca zabójstwa kilka minut przed wejściem do sali. Nie znałam królowej kotów zbyt dobrze, ale mijałam ją na ulicy. To wystarczy, by czuć się źle.

Bezwładne, sine ciało kobiety, po której nikt nie płakał. Nikt oprócz wszystkich bezdomnych kotów i kilku milusińskich, których trzymała w domu.

Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie zapomnieć to, co zobaczyłam. Ciało bezbronnej staruszki, która zginęła tak bezsensowną śmiercią.

Nie wierzę, żeby Czacha usunął tę scenę z pamięci.

*

– Jakby pan profesor to wykadrował, by pokazać głębię i tajemniczość? Jak to zrobić, by widz uwierzył, że naprawdę ktoś był tak zdeterminowany, żeby zadusić staruszkę?

– Dlaczego taka mroczna stylistyka? Może dodajmy do tego dzień… Budzące się słońce.

– Nie. Wspomniał pan o tajemnicach, a to jest to, co mnie interesuje.

– Jeśli mielibyśmy dodać klimatu tajemnicy i zaskoczenia, rozpocząłbym od pokazania dużej części ściany z wiszącym na niej obrazem, potem w obiektywie pojawiłaby się szafa…

– Meblościanka. – Aleksandra weszła mu w słowo.

– Najpierw w ogólnym ujęciu, potem zawęziłbym kadr i kazał widzowi przyjrzeć się stojącym na półkach bibelotom…

– Książkom.

Lucjan usiłował lekceważyć uwagi kobiety, ale szczegóły, które przywoływała, wyciągały z najbardziej odległych zakamarków jego konkretne obrazy, o których nie chciał pamiętać.

Stare książki, drewniany regał, który wydawał się ledwo trzymać poziom, pstrokata makatka i globus. Po ponad dwudziestu latach nadal pamiętał wszystko tak dokładnie, jakby bywał w tamtym pokoju milion razy, a ostatni raz… wczoraj.

– Detale w tej chwili nie są istotne. Ważna jest idea. Dążyłbym do tego, by pokazać ciało kobiety jako element wyposażenia pokoju.

– Ciekawy punkt odniesienia. Charakterystyczny raczej dla obiektywnego spojrzenia, na przykład policjanta, który wchodzi na miejsce zdarzenia. On widział już tyle ciał, że jedno więcej nie robi na nim żadnego wrażenia. Ale co gdybyśmy poszli dalej i spróbowali to wszystko skadrować tak, jak widzi to

morderca? Na co powinniśmy zwrócić uwagę?

*

– Dziękuję.

Wykład dobiegł końca.

Lucjan nie potrafił opanować drżenia. Sięgnął do kieszeni spodni po komórkę i zaczął czegoś na niej szukać.

Tak naprawdę niczego nie szukał, ale chciał zająć ręce i oczy. Nie mógł dłużej utrzymywać kontaktu wzrokowego ani ze studentami, ani z Rudą. Chciał pokazać, że jest zajęty i uniknąć sytuacji, w której któryś ze słuchaczy podejdzie do niego i zacznie zadawać pytania dotyczące pracy z kamerą.

Czuł, że znajduje się na skraju załamania i z ledwością panuje nad emocjami. Od ponad godziny udawał, że wszystko jest w porządku, a wykład przebiega zgodnie z planem. To było najdłuższe i najtrudniejsze sześćdziesiąt minut jego życia.

Owszem – omówił niezbędne zagadnienia, ale jednocześnie dziękował Bogu za to, że na temat sztuki operatorskiej wiedział tyle, że mógł mówić o niej także przez sen. Już pierwsze pytanie zadane przez Rudą tak wytrąciło go z równowagi, że gdyby tematem wykładu było jakieś nowe zagadnienie, o którym nigdy wcześniej nie opowiadał, zaciąłby się już na pierwszym zdaniu. Pozostałe pytania były jeszcze gorsze – był pewien, że nie ruszyłby z miejsca, stając się jednocześnie pośmiewiskiem uczestników warsztatów.

Sama konwersacja z Rudą nie była tak bardzo frustrująca, jak konieczność panowania nad emocjami i świadomość, że obserwuje go kilkadziesiąt par oczu. To ona podkręcała nastrój i spiralę jego emocji.

Gdyby rozmawiał z Rudą w cztery oczy, mógłby zapytać wprost, o co jej chodzi.

Na sali kinowej gimnastykował się jak nigdy. Jego umysł wykonywał morderczą pracę. Z jednej strony walczył z wyskakującymi z pamięci obrazami, z drugiej musiał pilnować się, by nie powiedzieć za dużo. Jeśli miał obronić wersję, że nigdy nie było go w domu królowej kotów, to nie powinien wiedzieć, jak wyglądał w środku. Na pewno nie ze szczegółami.

Istniała jeszcze trzecia strona, najciemniejsza – wyrzuty sumienia. To one zaburzały ostrość widzenia i ścigały go, kiedy lawirował między pytaniami.

– Do widzenia.

Pożegnanie, które padło, sprawiło, że Lucjan uniósł wzrok. Ostatni uczestnicy warsztatów opuszczali salę kinową. Rozmawiali między sobą, śmiali się, a jedna z dziewczyn przeżuwała czekoladowy baton.

– Do widzenia – odpowiedział.

To nie dzieje się naprawdę – Lucjan uspokajał się w myślach. *To jakiś*

koszmarny sen. Zaraz się obudzę, to nie dzieje się naprawdę.

Na sali została już tylko Ruda i jej przyjaciółka policjantka. To ona podeszła do drzwi, złapała klamkę i wychyliła głowę na korytarz.

– Poczekajcie, panowie, i nie wpuszczajcie tu nikogo. – Policjantka skierowała prośbę do kogoś, kogo Lucjan nie był w stanie zauważyć.

Aleksandra w tym czasie powoli zbliżała się do Lucjana. Patrzyła na niego, nic nie mówiąc. Uśmiechnął się do niej, chociaż kosztowało go to bardzo dużo energii. Liczył, że odpowie mu tym samym, a później przyzna, że zrobiła mu głupi żart i wszyscy pójdą na wódkę.

Niestety. Jej twarz była poważna.

Rozejrzał się wokoło, próbując zlokalizować najlepszą drogę ucieczki. Gdyby zdecydował się na zajęcia w plenerze albo w hali, miałby przewagę nad Rudą. W sali kinowej nie było ani okien, ani korytarzy, ani drugiego wyjścia. To pierwsze i jedyne najwyraźniej zabezpieczali policjanci.

– Co za niespodzianka. – Przełamał ciszę, która stała się dla niego nie do zniesienia.

Od Rudej i – jak się okazało – uzbrojonej policjantki dzieliły go nie więcej niż dwa metry.

– Zabiłeś ją. Zabiłeś królową kotów – oznajmiła Aleksandra.

Ton jej głosu był zupełnie inny niż podczas wykładu. Straciła pewność siebie. W zamian za to pojawił się smutek, żal i pretensja. Tak, pretensja.

– Zabiłeś królową kotów – powtórzyła łamiącym się głosem.

Oskarżała go z takim zaangażowaniem, jakby zabił jej matkę lub babkę. Jakby wyrządził jej krzywdę mimo tego, że przecież nazywał się jej przyjacielem. Jakby oszukał ją i sprawił największy zawód.

– Nie! To nieprawda.

Chciał jeszcze dopowiedzieć „nie zabiłem królowej kotów", ale te słowa nie chciały przejść przez jego gardło.

– Zabiłeś ją, zabrałeś biżuterię i pieniądze. Dlaczego? Dlaczego musiałeś ją zabić? Co ona ci zrobiła?

Odpowiedział milczeniem. Od tamtego czasu minęło dokładnie dwadzieścia jeden lat. Musiał wytrzymać jeszcze dziewięć, bo tyle brakowało mu do przedawnienia. Obiecywał sobie, że po trzydziestu latach przyzna się, wyrazi skruchę, i w końcu poczuje się lepiej. Uniknie też odpowiedzialności karnej. Wielokrotnie zastanawiał się, czy poradziłby sobie w więzieniu. Zawsze dochodził do wniosku, że nie. Że życie w więzieniu byłoby gorsze od życia w ciągłym napięciu i z wyrzutami sumienia.

– Rafał – głos policjantki wyrwał go z odrętwienia, w które próbował popaść – twój syn trafił wczoraj do aresztu. Próbował sprzedać broszkę, którą wyniosłeś z domu Renaty Tomaszewskiej. Noc w celi sprawiła, że wszystko nam opowiedział. Podał też adres waszego domku letniskowego. Zabezpieczyliśmy

w nim kilka dodatkowych przedmiotów ukradzionych Tomaszewskiej, takich jak srebrna solniczka, zdobiony kubek i bransoleta. Masz prawo milczeć, ale wtedy obaj pójdziecie na dno.

*

Urszula nacisnęła klamkę, pchnęła drzwi i przesunęła się na bok. Funkcjonariusz prowadzący Lucjana Mroczka pchnął go w stronę wejścia. Mężczyzna zrobił kilka kroków do przodu.

Do pomieszczenia weszła jeszcze Urszula i Kajetan. Reszta ekipy została na zewnątrz.

– Rozgość się – powiedziała, chcąc zachęcić Czachę do rozejrzenia się po skąpo wyposażonym pokoju.

Oprócz trzech krzeseł, małego stołu i kamery skierowanej na jedno z krzeseł istniało jeszcze coś, co miało zwrócić uwagę zatrzymanego.

Urszula przez całą noc zastanawiała się, w jaki sposób dobrać się do Czachy, skruszyć budowaną przez lata skorupę i wydobyć przyznanie się do winy. Wykorzystała gromadzoną latami wiedzę z zakresu psychologii wspartą doświadczeniami z setek przesłuchań. Zaplanowała przebieg tego dnia co do najmniejszego szczegółu. Uczestnictwo w wykładzie prowadzonym przez Czachę miało pobudzić apetyt niczym aperitif. Jako przystawkę zaoferowała skucie mężczyzny w kajdanki i wyprowadzenie go z budynku Rektoratu w asyście policji i znajdujących się w budynku pracowników Łódzkiej Filmówki. Daniem głównym miało być przesłuchanie w specjalnie przygotowanej sali.

Czacha stał przy drzwiach i wpatrywał się w podłogę.

– Nie mamy innego pokoju? – Urszula z udawaną pretensją spojrzała na Kajetana.

Policjant pokręcił głową. Raz w odpowiedzi na jej pytanie. Drugi raz, kiedy nie całkiem dyskretnie pokazywała wzrokiem na ścianę z lustrem.

– Trochę tu ciasno. Dobra, im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy. Siadaj! – Wskazała Lucjanowi krzesło.

Przestrzeń została zaaranżowana w taki sposób, żeby siedzący na wskazanym krześle był zwrócony twarzą w stronę lustra weneckiego. Niespodzianka przygotowana przez Urszulę polegała jednak na tym, że przesłuchiwany siedział po innej stronie lustra niż zwykle w takich sytuacjach.

– Dobrze, rozpoczynamy przesłuchanie. Lucjan Mroczek…

– Rafał?! – Mroczek wyprostował się tak energicznie, że krzesło, z którego właśnie wstał, upadło na podłogę. – Rafał? To Rafał!

Urszula nie zamierzała uspokajać zatrzymanego. Wydała dyspozycje, by po kilku minutach od zamknięcia za nimi drzwi, do obserwowanego przez lustro pokoju wprowadzono Rafała Mroczka i zainscenizowano przesłuchanie.

Chłopak usiadł na krześle, a ojciec podbiegł do lustra.

*

Obrzydliwie przeładowany dom stanął przed nim otworem.

Piwniczne okno otwarte, by koty mogły się swobodnie przemieszczać miedzy ogrodem a domem – już to samo w sobie stanowiło zachętę.

Dom był ten sam, ale wyglądał zupełnie inaczej.

Kiedy był tu po raz pierwszy, wszedł do środka frontowymi drzwiami. Wszedł i wyszedł, a później wchodził jeszcze kilkanaście razy. Musiał przynieść do środka sprzęt niezbędny do nagrywana filmu dokumentalnego. Lampy, mikrofony, blendy.

Robił, co mu kazano, ale bez przekonania. Wydawało mu się, że to, co tu się wydarzy, to będzie tworzenie sztuki dla sztuki. Kogo mogłaby interesować jakaś stara baba, która gromadzi w swoim domu starocie?

Przez pierwszą godzinę miał wrażenie, że się dusi. Smród zwierząt żyjących w domu utrudniał mu oddychanie. Dwa psy i nieokreślona liczba miaucących sierściuchów wydalały z siebie zapach nie do zaakceptowania. Pajęczyny na żyrandolach, mnóstwo książek, obrazów i akcesoriów do malowania.

Gdyby to od niego zależało, zamiast upamiętniać ten cały bajzel, podpaliłby wszystko i patrzył, czy dobrze spłonie. Obrzydzały go podłogi, ściany i meblościanki.

Brzydziła go też gospodyni. Zgarbiona, pomarszczona i głośna w obyciu kobieta, której nadal się wydawało, że budzi podziw. Ubrała się w kolorową suknię i obwiesiła biżuterią jak choinka. Czubek też miała jak noworoczne drzewko – zamotane włosy na czubku głowy.

Nie patrzył w kamerę, ale domyślał się, że operator klnie w duchu. W tym domu nic się z niczym nie komponowało, a przepych i nadmiar zwykle nieapetycznie wychodziły utrwalone na taśmie filmowej.

Mam fryzurę na cebulę, przestraszyłam panią Ulę – przypomniał sobie słowa piosenki, którą usłyszał jakiś czas temu w dziecięcym programie telewizyjnym. Podstarzała gwiazda mogłaby ją śpiewać. Nie budziła sympatii.

W pewnej chwili bajzel, w którym przebywał, nabrał zupełnie innego charakteru. Niósł wtedy torbę z kasetami i przypadkowo potrącił stolik, na którym leżały gazety.

Kilka z nich spadło na ziemię. Rozejrzał się wokoło. Był sam. Kucnął, żeby podnieść je i odłożyć na miejsce. Wtedy zauważył, że w jednej z nich schowany jest plik dolarów. Nigdy wcześniej nie dotykał amerykańskich banknotów. Zabrał kilka, żeby poszpanować przed dziewczynami. Resztę odłożył.

Wrócił na plan i zaczął uważnie obserwować dom i staruszkę. Drzwi, zamki, okna, obrazy, biżuteria, gazety. Staruszka była głośna i bezpośrednia, ale

jednak trudno było nie zauważyć, że z trudem radzi sobie z rzeczywistością. Szukała czegoś, o co nikt jej nie prosił, miała problem z odpowiedziami na pytania, a w jednej chwili tak się zdenerwowała, że chciała całą ekipę wyrzucić za drzwi.

– Robicie ze mnie idiotkę! – krzyczała. – Ja sobie na to nie pozwolę!

To wtedy postanowił, że do niej wróci.

I wrócił. Nie głównym wejściem, tylko tym od strony ogrodu. Było ciemno. Oknami z ulicy dochodziły wątłe strumienie światła. Zobaczył dom królowej kotów z zupełnie innej perspektywy. Inaczej grało światło, inaczej układały się krawędzie… tylko smród był ten sam.

Ominął kuchnię i poszedł dalej. Metodycznie sprawdzał pokój po pokoju. Książki, gazety. Wszędzie były pochowane dolary.

Obrazy. Przygotował się przed wizytą. Sprawdził, jacy malarze są w cenie. Nie chciał zabierać ze sobą niczego, co nie dałoby się potem dobrze sprzedać. W ogóle założył, że zabierze najwyżej dwa lub trzy najcenniejsze. Resztę łupu stanowić miała waluta i biżuteria.

Tak naprawdę to, co udało mu się znaleźć na parterze, wystarczyłoby na kilka miesięcy miłego życia. Stwierdził jednak, że tylko frajer wycofałby się w takim momencie. Przecież znał topografię domu, był na piętrach kilka razy. Wiedział też, że królowa kotów sypiała na drugim piętrze.

Materiał nagrywali na pierwszym piętrze, w pokoju, w którym widać było, że staruszka przebywa najczęściej. Tam mogła schować jeszcze więcej zielonych.

Pokonał schody. Cicho, żeby przypadkiem nie obudzić gospodyni. Otworzył drzwi do pokoju.

– To będzie ostatni – szepnął do siebie.

Pamiętał z filmu ustawienie mebli. Na wprost wejścia stała meblościanka. Zaczął od jej przejrzenia. Latarkę włożył sobie do ust, bo dwiema rękami wygodniej było mu wyciągać szuflady.

Niespodziewany dźwięk sprawił, że odwrócił się przez lewe ramię. Wiedział, że to zwykle przynosi pecha, ale nie miał czasu do stracenia. Słupek światła z latarki padał na kanapę, na której leżała różowawa pościel.

– Co do jasnej cholery?! – Ochrypnięty głos kobiety wymusił na nim bardzo szybkie podjęcie decyzji.

*

Renatę Tomaszewską obudził hałas. Właściwie to nie był hałas, ale coś jak szum czy szuranie.

Starych drzew nie powinno się przesadzać – pomyślała, nie otwierając oczu. Zgadzała się z tym powiedzeniem. Po skończeniu osiemdziesięciu lat stała się niemalże jego wyznawcą, a jako „przesadzenie” traktowała każdą, nawet

najmniejszą zmianę. Tak jak dzisiaj.

Słońce tak mocno nagrzało dach, że kiedy położyła się do łóżka w swojej sypialni na drugim piętrze, nie miała czym oddychać. Duchota była okropna, a temperatura powietrza nie pozwalała na przebywanie w sypialni. Powietrze wciągane przez nos wydawało się wręcz parzyć.

Renata usiłowała lekceważyć panujące warunki. Uchyliła okno, ale powietrze w pokoju nadal stało. Nie mogła otworzyć okna szerzej, bo mieszkające z nią koty zawsze gotowe były do władowania się na parapet, a czasem nawet skoków z wysokości.

Po kilku minutach leżenia na kołdrze pomyślała, że dokładnie tak samo jak ona musiała czuć się Rozalka, siostra Antka, tytułowego bohatera noweli Bolesława Prusa, kiedy umieszczono ją w rozpalonym piecu.

Podjęcie decyzji o przeniesieniu się do innego pokoju okazało się niezbędne. Renata zgarnęła pod pachę pościel i ze złością zeszła piętro niżej. Wybrała pokój z rozkładaną kanapą. Nie rozłożyła jej jednak. Nie chciało jej się. Przykryła ją tylko prześcieradłem.

Uchyliła okno, położyła się i odetchnęła. Tu było dużo lepiej.

Długo przewracała się z boku na bok i walczyła z myślami. *Starych drzew się nie przesadza* – ta wracała najczęściej. Wszystko jej tu przeszkadzało, mimo że przecież nadal była w swoim domu. Psy zostały w sypialni na drugim piętrze, ale koty musiały być zdziwione pojawieniem się ich właścicielki na poziomie, który nocą był tylko ich.

Przysypiała i budziła się, i znowu przysypiała. Mała zmiana wywołała w niej nerwowość. Zupełnie jakby spała w obcym miejscu. Czujność nie pozwalała organizmowi na wypoczynek.

– Sz… s… sz….

Syczenie wyrwało ją z płytkiego snu.

– Co do jasnej cholery?! – krzyknęła.

Uznała, że to pewnie koty zaczęły biegać między stojącymi na ziemi obrazami. Chciała je przestraszyć i sprawić, żeby poszły bawić się gdzie indziej. Kochała kocią naturę, ich niezależność, ostrożność i dumę, z którą stawiały każdy krok, ale teraz potrzebowała kilku godzin nieprzerwanego snu.

– Wynocha mi stąd! – Uniosła głowę z poduszki i spojrzała w stronę, z której wydawało jej się, że dobiegały szmery.

Zamiast kotów zobaczyła wycelowany w nią strumień światła.

Ktoś był w jej pokoju. Ktoś obcy? Z latarką? Dlaczego?

– Wynocha! – powtórzyła i zerwała się z łóżka.

Jej oczy powoli przyzwyczajały się do panujących w pokoju warunków. Z ciemności wyodrębniły wyprostowaną męską postać, która na ramieniu trzymała otwarty plecak.

– Co tu robisz? – spytała najgłośniej jak potrafiła.

Liczyła na to, że psy śpiące na górze usłyszą jej głos, przybiegną i zaczną szczekać.

Nie przyjmowała gości w środku nocy – mężczyzna posługujący się latarką musiał być intruzem. Złodziejem, który zamierzał odebrać jej dorobek całego życia.

Dwa kroki, które zrobiła w jego kierunku, musiały wyrwać go z odrętwienia.

– Zamknij się! – syknął, pchnął ją mocno w stronę kanapy i wrócił do przeglądania książek.

Nie! Nie mogła pozwolić, żeby złodziej panoszył się po jej domu, żeby traktował ją jak idiotkę i zabierał jej pieniądze.

– Zostaw to i wynoś się! Słyszysz?! Wynoś się!

Nie zareagował. Renata zmuszona była do podjęcia decyzji. Mogła grzecznie czekać aż wyjdzie sam, albo go do tego zmusić.

Wybrała to co zwykle. Walkę. Zmieniał się tylko cel.

Walczyła przez całe swoje życie. Walczyła o prawo bycia sobą, kolorowym ptakiem w szarej Polsce. To było wycieńczające zadanie. Wyróżnianie się z tłumu traktowane było przez wiele osób jako objaw choroby psychicznej.

Walczyła o zrozumienie, że kobieta nie jest wybrakowanym produktem, nie jest gorszą wersją mężczyzny. Szarogęsiła się w teatrze na każdym kroku, pokazując, że jest bardzo dobra w tym, co robi. Podejmowała męskie decyzje i parła do przodu niczym czołg.

Walczyła o akceptację, gdy odkrywała, że zajęta myślami o roli, wyszła z domu w pantoflach.

Walczyła też o miłość. W tym nigdy nie była dobra. Tłumaczyła sobie, że może wyprzedza czasy, że współcześni mężczyźni boją się walczących kobiet.

Teraz musiała zawalczyć o swoje terytorium i pokazać, że starość nie oznacza, że człowieka można traktować jak idiotę.

– Oddaj to, złodzieju! – Wyciągnęła rękę w stronę plecaka. – Oddaj, bo w przeciwnym razie zgnijesz w więzieniu!

Stał na tyle blisko niej, że mogła przyjrzeć się jego twarzy.

– Znam cię! Zniszczę cię, jeśli nie wyjdziesz z mojego domu w ciągu minuty!

Chyba nie tego się spodziewał. I dobrze. Nigdy nie robiła tego, czego wymagali od niej inni.

– Dzwonię po policję! – oznajmiła, kiedy zobaczyła, że intruz nie zamierza się ruszyć. Skierowała się w stronę drzwi. Aparat telefoniczny znajdował się w korytarzu na parterze. Żeby do niego dotrzeć, musiała pokonać schody. Poruszała się energicznie jak na osiemdziesięcioośmioletnią kobietę. Złodziej był jednak od niej dużo młodszy. Wiedziała, że nie wygra z nim w wyścigu do telefonu.

– Zostaniesz tu! – zaprotestował.

– Nie będziesz mówił mi, co mam robić, chłopcze!

Nie odpowiedział, ale nie zniósł też jej wyniosłego tonu. Rzucił się w jej stronę. Przepełnione agresją ciało przydusiło kobietę do podłogi. Nie czekała na ciosy, które zacznie wymierzać. Robiła wszystko, by go podrapać, by włożyć palce w jego oczy, by sprawić, że chociaż na chwilę zmniejszy się jego przewaga.

*

– Rafał!

Lucjan Mroczek położył rękę na szybie, jakby chciał dotknąć siedzącego po drugiej stronie syna.

Policjant, który wszedł do pokoju przesłuchań razem z młodym Mroczkiem, położył na stole zdjęcia i kij bejsbolowy.

Ani Urszula, ani Kajetan, ani tym bardziej Czacha nie słyszeli, o czym rozmawiają mężczyźni w drugim pokoju, nie trudno jednak było się tego domyśleć. Policjant pokazywał kolejne zdjęcia przesłuchiwanemu. Rafał odwracał wzrok, kręcił głową, odpychał fotografie od siebie.

Lucjan nie musiał domyślać się, co jest na tych fotografiach i do kogo należy kij bejsbolowy. Oderwał wzrok od syna i spojrzał na Urszulę.

– Błagam. Nie róbcie mu krzywdy.

Kobieta milczała, a przesłuchanie za ścianą trwało. Rafał wyglądał na przerażonego. Kulił się, pocierał rękoma twarz, odsuwał się od stołu.

– On jest zbyt młody… – głos Lucjana zadrżał. – Zbyt delikatny.

Patrzył w lustro weneckie, za którym siedział jego syn i… widział siebie. Rafał zdarł z niego całą skórę. To nie on powinien oglądać zdjęcia zmasakrowanego ciała Pikasa. Nie on powinien słyszeć o królowej kotów.

Gdyby Lucjan dał się złapać w dziewięćdziesiątym piątym roku, to osoba stojąca za weneckim lustrem widziałaby dokładnie to samo, co on teraz. Przystojnego blondyna, który tylko udaje twardziela.

– To ja powinienem tam siedzieć.

– Myślisz, że gdybyś usiadł tam – Urszula wskazała palcem pokój przesłuchań – zaraz po zabójstwie Tomaszewskiej, to twojego syna ominęłaby noc w areszcie? Noc… a może i część życia?

Lucjan właśnie stał nad przepaścią. Przez tyle lat udawał, że nic się nie stało. Zbyt wiele tłumił w sobie uczuć – tych dobrych, ale i przede wszystkim tych złych. Noc spędzona na zastanawianiu się, gdzie jest jego syn, sprawiła, że od samego rana chciało mu się płakać.

Zawoalowane oskarżenia, które padały podczas wykładu, publiczne upokorzenie go poprzez wyprowadzenie ze szkoły skutego kajdankami i widok dręczonego syna… Szalę goryczy przelały jednak dopiero ostatnie słowa policjantki.

Ona wiedziała.

Wiedziała i czekała, aż będzie gotowy, by wyznać prawdę.

– Nie wiem. Boże, już nic nie wiem. Syn nie może płacić za grzechy ojca! Dajcie mu spokój. Powiem wszystko!

*

Młody Mroczek wrócił do celi, a na jego miejscu usiadł ojciec.

Kajetan Gulczyński czuł podniosłość tej chwili. Zupełnie jakby zdobył wyjątkowy okaz motyla, który płynął do niego tygodniami. Pokonywał trudności, został zatrzymany przez celników, być może nawet trafił w złe miejsce, ale właśnie do drzwi jego mieszkania zapukał listonosz i wręczył mu przesyłkę z motylem, którego będą zazdrościć mu inni.

Wraz z Urszulą uczestniczył w przyznaniu się do winy Lucjana Mroczka. Za ścianą, przy lustrze weneckim stał szef i jeszcze kilku wyższych stopniem śledczych. A on – dotychczas niewyróżniający się niczym przeciętny aspirant – występował w roli drugoplanowej.

W roli głównej obsadzono Urszulę, która z niesamowitą psychologiczną gracją pogłębiała stan przesłuchiwanego i słuchała jego zeznań z niesamowitym spokojem.

– Jestem zmęczony, bardzo zmęczony. – Lucjan Mroczek płakał. Z jego oczu wypływały łzy, a on się ich nie wstydził. Wylewał ich coraz więcej, tracąc przy tym oddech. – Tyle lat od tego uciekałem, tyle poświęciłem, tak bardzo się starałem. Nie było jednak dnia, żebym o tym zapomniał. Tak, to ja zabiłem królową kotów. Przyznaję się. Boże, dziękuję Ci za ten dzień. Dzień, którego chciałem uniknąć, a przecież przyniósł mi ulgę.

– Opowiedz mi o zabójstwie królowej kotów. – Urszula zamieniła przesłuchanie w sesję terapeutyczną. W tonie jej głosu nie było ani grama agresji, wyższości czy policyjnej dominacji.

– To była stara i bogata baba. Włamałem się do jej domu, bo chciałem ją okraść. Kiedyś już u niej byłem i zauważyłem, że przechowuje w gazetach dolary. Zacząłem pytać tu i ówdzie i okazało się, że to jej zwyczaj. Chowa pieniądze, a później o nich zapomina. Pomyślałem więc, że skoro zapomina, to po co te dolary mają tak leżeć? Przygotowałem się do włamania. Uznałem, że skoro zdecydowałem się ponieść ryzyko, to wezmę coś więcej niż tylko kasę. Biżuterię, jakiś obraz. To miał być łatwy skok. Ale coś poszło nie tak. Podsłuchałem, że śpi zawsze na ostatnim piętrze swojego domu i że zwykle idzie spać chwilę po północy. Uznałem, że poruszanie się po parterze i pierwszym piętrze będzie bezpieczne. Niestety. W pokoju na piętrze trafiłem na nią. Gdyby spała mocno albo udawała, że śpi… wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale nie! Królowa kotów ruszyła do walki. Ja tylko się broniłem. Musisz mi uwierzyć. Chciałem, żeby przestała krzyczeć. Usiadłem na niej okrakiem i zatykałem jej

wrzeszczące usta. Najpierw rękami, a później poduszką. Nie chciałem jej zabić. Naprawdę nie chciałem… Najgorszy był ten moment po wszystkim. Przestała się bronić, w pokoju zapanowała cisza, a ja zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem. Ze złości, w ramach zadośćuczynienia, zgarnąłem jeszcze leżącą przy łóżku biżuterię, między innymi tę pieprzoną broszkę. Przestraszyłem się, nie chciałem iść do więzienia. O tym, że byłem w domu Tomaszewskiej, wiedział tylko Pikaso, ale przecież nie złapał mnie za rękę. Mogłem wykpić się historyjką, że to nie ja ją zabiłem. Poza tym byliśmy tam tylko we dwoje. Jeśli on powiedziałby, że to ja zabiłem, ja zeznałbym, że to on zrobił. Słowo przeciwko słowu. Wiedziałem, że będzie wolał siedzieć cicho, gdy policja zacznie szukać zabójcy. Uznałem, że łatwo wykpię się z całej tej akcji, jeśli zniknę. Wróciłem do moich bogatych rodziców. Na szczęście okazało się, że nie zgłosili jeszcze mojego zaginięcia.

Kiedy wszystko się uspokoiło, a może kiedy uspokoiłem swoje nerwy, najpierw wydałem kasę, a później nosiłem się z zamiarem sprzedaży biżuterii. Na szczęście bóg nade mną czuwał. Przeczytałem w gazecie, że jest kilka charakterystycznych przedmiotów, które zginęły z domu Tomaszewskiej. Ukryłem je więc w domku letniskowym, który od zawsze należał do mojej rodziny.

– Ale wszystko wróciło niedawno…

– I to ze zdwojoną siłą. Spotkałem Pikasa na mieście. Wpadł na mnie i zaczął zadawać dwuznaczne pytania. Myślałem, że zapomniał o tamtym zdarzeniu, ale nie. Dopytywał o biżuterię należącą do kobiety, którą zamordowałem. Którą zamordowałeś, dokładnie tak powiedział. Wpadłem w panikę, nie wiedziałem jak reagować. Bronić się czy go olać? Dwa dni później na mojego akademickiego maila przyszła wiadomość, w której domagał się trzystu tysięcy złotych za milczenie. Wkurzył mnie tym szantażem. Myślał, że znalazł sobie jelenia! Sam działał zawsze na granicy prawa. Nie był bez winy, nie mógł więc rzucać we mnie kamieniami. Zacząłem go obserwować. Ustaliłem, gdzie mieszka. Umówiłem się na przekazanie kasy i potrąciłem go. Myślałem, że to wystarczy, żeby przekręcił się na tamten świat. Uszkodzone auto odstawiłem na posesję przy domku letniskowym, zdjąłem blachę, by nikt nie skojarzył uszkodzeń. Skoro byłem już w domku, sprawdziłem skrytkę. Nie znalazłem w niej broszki. Spanikowałem. Dziewięć lat brakowało mi do przedawnienia. Dziewięć głupich lat, po których mógłbym sprzedać broszkę i powiedzieć, że sorry, tak wyszło.

– Twój syn… – Urszula podrzuciła zeznającemu Mroczkowi kolejny wątek.

– Był tak samo uparty jak ja. Jak ja dawniej. Tylko my mieliśmy dostęp do domku, więc podpytałem go. Okazało się, że znalazł skrytkę i zabrał z niej broszkę. Wytłumaczyłem mu, że to pamiątka po prababci i że musi zostać w schowku. Nie słuchał mnie. Kłócił się ze mną dokładnie tak samo, jak ja kłóciłem się ze swoim ojcem. Prosiłem, błagałem, żądałem, żeby mi ją oddał.

– Powiedziałeś mu o Pikasie i postanowił ci pomóc.

– Jak pomóc?

– Zabił go, żebyś był bezpieczny.

– Nie, nie, to jakieś koszmarne nieporozumienie! Nie, Rafał nikogo nie zabił… to ja. Musiałem dokończyć to, co zacząłem.

*

– Twój ojciec wziął twoją winę na siebie.

– Ojciec? Winę?

Rafał nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Miał z ojcem na pieńku, więc raczej spodziewał się, że gdy ten dowie się o jego pobycie w areszcie, prędzej każe mu w nim zgnić, niż wyciągnie pomocną dłoń. Po chwili jednak uświadomił sobie, że przyznanie się do winy to o wiele więcej niż pomocna dłoń.

– To miło z jego strony – dopowiedział – ale on nawet nie znał Pikasa.

– Znał. – Policjant nie dawał za wygraną.

– Niemożliwe. On z takimi ludźmi nie utrzymywał kontaktu. Rozmawiał tylko z wykształconymi. Innymi gardził.

– W takim razie powiedz, jak było. Krok po kroku. Chyba że chcesz, żebyście oboje zgnili w więzieniu.

– Mówiłem już przecież.

– Ale nie mnie – warknął gruby mężczyzna bez munduru, widocznie wyższy stopniem od towarzyszącej mu pary, aspiranta Gulczyńskiego i zaciekle goniącej Rafała po ulicach Łodzi policjantki.

– Znalazłem broszkę w naszym domku letniskowym. Była tak ukryta, że pomyślałem, że jest dużo warta. Potrzebowałem kasy. Poszedłem na pchli targ, ale tam chcieli dać mi za nią grosze. Wystawiłem więc ogłoszenie w necie. Odpowiedział na nie facet. Spotkaliśmy się dwa razy. Pierwszy raz na mieście, wtedy tylko obejrzał broszkę. Drugi raz u niego w mieszkaniu. Był tam jeszcze taki facet, co się znał na kamieniach. Potwierdził autentyczność broszki. Oczy im się zaświeciły. Chcieli wziąć ode mnie ją na aukcję, a zapłacić dopiero, jak zostanie sprzedana. Podobno zawsze tak robią, podpisują na to jakieś kwity, ale za wycofanie broszki przed aukcją pobierają kary, a ja nie chciałem nic płacić. Chodziło mi tylko o kasę. Wiedziałem też, że istnieje prawdopodobieństwo, że ojciec zorientuje się, że zawinąłem mu broszkę i będzie kazał mi ją oddać. Musiałem więc sprzedać ją szybko. Pikaso zgodził się odstąpić od zasad i zająć się sprzedażą broszki bez umowy. Zaproponował nawet, że od ręki zapłaci mi połowę sumy, którą podał rzeczoznawca. Nie zgodziłem się. Myślał, że znalazł naiwniaka.

– Dlatego go zabiłeś.

– Nie zabiłem go. Umówiliśmy się, że załatwimy to bez podpisywania umowy.

On upłynni broszkę, a ja zgarnę kasę.

– Kiedy spotkałeś się z Pikasem po raz pierwszy?

– Nie pamiętam dokładnie. Jakieś trzy, może cztery tygodnie temu. Ale to wszystko za długo trwało. Ojciec zrobił się nerwowy. Trudno było mi z nim wytrzymać. Wrócił do swojego hobby, naprawy starych samochodów. Zaczął sypiać w domku letniskowym i musiał zajrzeć do schowka, bo zrobił mi awanturę, że broszka zniknęła.

– Co mówił?

– Nic. Tylko krzyczał. Że to ważna sprawa, że nie rozumiem. Kazał mi ją oddać. Zaczął przeszukiwać moje rzeczy. Musiałem ją upłynnić. Jakoś to się zbiegło z mailem od Pikasa, w którym prosił o kontakt, bo miał nowe szczegóły. Okazało się, że może skontaktować mnie bezpośrednio z kupcem. Spotkałem się z nim, ale coś mi nie grało, bo gościu w ogóle nie kumał, co kupuje. Nie miał przy sobie kasy… Pomyślałem, że Pikaso mnie wystawił. Wkurzyłem się i zacząłem bić faceta. To wtedy właśnie pani zobaczyła mnie po raz pierwszy.

– Znaleźliśmy przy tobie aparat telefoniczny, który należał do denata.

– Mówiłem już, że telefon pożyczyłem od ojca. Znalazłem nowy telefon w szufladzie w kuchni. Pomyślałem, że ojciec kupił pewnie jakiś używany w necie.

*

– Chciałem uniknąć sytuacji, w której jego szantaż mi zaszkodzi. Śledziłem go, a w bocznej uliczce odchodzącej od Piotrkowskiej złapałem go pod ramię i wciągnąłem na podwórze. Kij bejsbolowy wziąłem z pokoju syna. Zadałem nim kilkanaście ciosów. Kiedy upewniłem się, że Pikaso nie żyje, zabrałem mu komórkę i wróciłem do domu. W historii połączeń znalazłem numer mojego syna. Połączyłem fakty. Rafał chciał sprzedać broszkę Pikasowi. Ten skojarzył, że broszka pochodzi z domu Tomaszewskiej. Znał królową kotów, która nosiła ją codziennie wpiętą w bluzkę. Przez Rafała dotarł do mnie. To złośliwość losu. Kiedy Rafał się urodził, cieszyłem się, że wszyscy mówią, że jest do mnie podobny. Urósł i okazało się, że zdarł ze mnie skórę. Byłem dumny, że wygląda dokładnie tak jak ja w młodości. Podejrzewam, że to podobieństwo sprawiło, że Pikaso szybko domyślił się, że ma do czynienia z moim synem. Wymyślił sobie, że wyciągnie ze mnie kasę. Żeby to było jasne. Żałuję, że zabiłem tę starą babę, ale nie żałuję Pikasa. Sam się prosił o taki koniec życia…

*

– Cześć, to ja. Dojechałaś już?

Kolejna łódzka przygoda za mną. Tym razem mieszkałam w luksusowym

apartamencie, ale i tak nie uniknęłam sytuacji trudnych i niebezpiecznych zarazem.

– Tak, zdążyłam się już rozpakować.

Rozpakować i rozpaczliwie zatęsknić za dziećmi. Bez nich ten dom jest taki pusty, a moje życie nie ma sensu. W Łodzi starałam się trzymać myśli o dzieciach z tyłu głowy, pomagały mi w tym bodźce zewnętrzne. Ale nie, tego nie będę jej mówić. Urszula nie ma dzieci, nie zrozumie.

– Aleksandra, chciałam jeszcze raz przeprosić cię za niefortunny początek naszej znajomości i podziękować za wszystko, co zrobiłaś.

– Nie ma sprawy. Opowiadaj! Pękł?

– Tak jak przewidziałyśmy. Chłopaki z zespołu poszukiwań celowych wielokrotnie mówili mi, że ludzie, których poszukują, często przyjmują ich z ulgą… bo mają dość tej ucieczki, życia w napięciu i ciągłego oglądania się za siebie.

Nasz plan się powiódł. Czasem człowiek jest dla siebie największym wrogiem. Urszula trajkoce jak przekupa. Cieszę się z nią, ale z drugiej strony chciałabym zostawić Łódź za sobą.

– Naczelny jest mi wdzięczny i chyba na razie płazem ujdzie mi ten szantaż, ale ja tego tak nie zostawię, Olka. Znajdę więcej wykorzystanych przez niego kobiet i pójdziemy z tym… jeszcze nie wiem, czy do mediów, czy do szefa wszystkich szefów. Obleśny komendant dostanie za swoje.

Dzwonek do drzwi. Podchodzę do wizjera. Być może Krystian wrócił już ze sklepu. Zaoferował, że wypełni moją lodówkę. Nie protestowałam. Zwłaszcza, że za chwilę rozpoczniemy nasz romantyczny weekend w pigułce… Znając go, to pewnie wróci z kwiatami i świeczkami, które rozłoży w łazience. Właściwie to wspólna kąpiel jest tym, czego mi brakuje.

– Urszula, przepraszam cię – widzę zniekształconą twarz bliźniaczki mojego zmarłego męża – ale muszę już kończyć.

Odkładam telefon na szafkę i otwieram drzwi. Ilona wygląda inaczej niż zwykle. Potargane włosy, niewidoczny makijaż, niechlujne ubrane? Czy to naprawdę ona?

– Musimy porozmawiać – wyznaje i wchodzi do mieszkania, jak zwykle nie czekając na zaproszenie.

– Ale… – Staram się jej zagrodzić drogę i nie dopuścić, by dotarła do salonu. Wychowywała się tu, więc zawsze czuje się jak u siebie w domu. Jeśli rozsiądzie się w fotelu, będę miała problem z wyrzuceniem jej.

– Rozstałam się z Pawłem. Nie mam gdzie mieszkać, a ty zajmujesz moje mieszkanie. Musisz się wyprowadzić. Jak najszybciej! Dwa, trzy dni mogę przeczekać w hotelu, ale później wprowadzam się tu i lepiej, żeby cię już nie było.

posłowie

Akcja „Niebezpiecznej gry” zapewne toczyłaby się w Poznaniu, gdyby nie ekipa pozytywnie zakręconych ludzi z „Mysterious Room”. Zaprosili mnie do Łodzi i wtedy okazało się, że są takimi samymi świrami stojącymi jedną nogą w nierealnym świecie jak ja.

Czytelnicy, którzy śledzą mnie na Facebooku, zdecydowali w głosowaniu, że w nowej książce ma się pojawić Łódź. Nie miałam więc wyjścia i wysłałam Aleksandrę Wilk na wycieczkę do miasta marzeń.

Dzięki przewodniczce Monice Gajek świat przeze mnie opisany nie ogranicza się do ulicy Piotrkowskiej. Poprosiłam Monikę, by pokazała mi brudną Łódź, tak też zrobiła, a ja z tych brudów wybrałam najbardziej interesujące i dodałam do tego zachwyt, jaki wzbudzili we mnie łodzianie.

Dzięki pomocy „zabytkowego” pracownika Wytwórni Filmów Oświatowych, pana prezesa Jacka Schmidta, udało mi się zlokalizować miejsce, w którym kiedyś funkcjonował podobno pierwszy łódzki skłot.

Krzysztof Brzezowski z Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, TV i Teatralnej im. L. Schillera w Łodzi poratował mnie informacjami i zdjęciami, dzięki którym finał wygląda tak jak wygląda.

Postać mężczyzny z amnezją pojawiła się dzięki mojemu Jackowi, który od kilku lat powtarzał, że idealnym motywem rozpoczynającym kryminał jest postać niepamiętająca, kim jest.

Tematykę związaną z ratownictwem medycznym przybliżył mi Tomek Chudziński, kolejny człowiek kochający swoją pracę. Sztukę opowiadania o amnezji opanowałam dzięki pomocy psychologa Wojtka Domagalskiego, który okazał się bardzo konkretnym i uporządkowanym specjalistą. Braki wiedzy w temacie hipnozy uzupełniałam przy pomocy Jakuba Mikusa.

Pokaźny wątek dotyczący śledztwa z przeszłości wpadł na mnie przypadkiem. Odezwała się do mnie policyjna profilerka i wspomniała o pewnej starej sprawie, w której zabójca nadal jest na wolności. Przyjrzałam się jej, na pierwszy rzut oka wydała mi się banalna, ale im więcej szczegółów poznawałam, tym bardziej byłam przekonana, że to jest właśnie TA historia. Gdzieś wśród nas żyje osoba, która pozbawiła życia niesamowitą staruszkę…

Czy zapomniała już o tym? A może wciąż dręczą ją wyrzuty sumienia?

Najtrudniejszym etapem prac nad „Niebezpieczną grą" okazała się sztuka. Związane jest z nią tabu, a kilka prób dotarcia do osób znających się na rzeczy skończyło się fiaskiem. Nikt nie chciał odpowiadać na niewygodne pytania. Nie mam w zwyczaju łatwo odpuszczać, więc w końcu udało mi się dotrzeć do ludzi, którzy zaufali mi i przekazali mnóstwo informacji.

Dziękuję Jackowi Powałce za wskazanie odpowiedniej lektury, Joannie Kotomskiej za umożliwienie kontaktu z pracownikami firmy Desa Unicum, Martynie Listkowskiej za prezentację i odpowiedzi na pytania, a Romanowi Kaczkowskiemu za sugestie, że powinnam pisać raczej o obrazach, nie o biżuterii. Zostałam jednak przy swoim, bo motyw obrazów w polskim kryminale został już wyeksploatowany. Przede wszystkim jednak dziękuję specjalistce od biżuterii, Beacie Paluch, która zasypała mnie zdjęciami broszek w kształcie ważek i informacjami, które okazały się niezwykle cenne, nie tylko dla mnie.

Jak zwykle zamęczałam pytaniami policjanta kryminalnego. Krzysiek – chylę czoła, pamiętając, że przecież to Ty zwykle jesteś facetem od zadawania pytań.

Podziękowania należą się także wydawnictwu Czwarta Strona. To ekipa ludzi pozytywnie zakręconych, z którymi współpraca jest przyjemnością.

Czas postawić ostatnią kropkę w mojej dziesiątej powieści. Dziękuję Wam, drodzy czytelnicy, za uwagę i polecam się na przyszłość.

Joanna Opiat-Bojarska

Fot. Beata Cichecka

Joanna Opiat-Bojarska

Autorka poczytnych serii kryminalnych, których tempo zabiera czytelnikom oddech, a montaż scen i przełomy w akcji dają niesamowicie filmowy efekt. Dociekliwa, pomysłowa i bezkompromisowa. Ukończyła ekonomię w Poznaniu, lecz niech nikogo nie zwiedzie jej wykształcenie. Kryminał w wykonaniu ekonomistów święci tryumfy na całym świecie, czego przykładem są powieści Jo Nesbø czy Camilli Läckberg.

Wie, jak przekuć porażkę w sukces. Pasję pisania odkryła dzięki przebytej chorobie. Dziś nie boi się już niczego – ani tematów tabu, ani najbardziej wymyślnej zbrodni. Opracowała wzór na najlepszy kryminał: realizm, emocje i zwroty akcji. Wzór na Joannę Opiat-Bojarską.

W lutym 2016 r. ukazała się pierwsza część serii z psycholog Aleksandrą Wilk, elektryzująca *Gra pozorów*.

polecamy:

Jeśli jakiś autor dostał w Wielkiej Brytanii nagrodę roku za najlepszy kryminał, to znaczy, że mamy do

czynienia z fachowcem wysokiej klasy. I to jest przypadek Sarah Hilary, której powieść „W obcej skórze" wydaje się znacznie ciekawsza od superbestsellera „Dziewczyna z pociągu". (…) Marnie Rome wydaje się jedną z najciekawszych bohaterek we współczesnej literaturze kryminalnej i zapewne jeszcze do nas powróci.

– Mariusz Cieślik „Wprost"

spis treści

I. Czwartek
II. Piątek
III. (Sobota)
IV. Niedziela
V. Poniedziałek
VI. Wtorek
VII. Środa
VIII. Czwartek
IX. Piątek
X. Sobota
Posłowie

Joanna Opiat-Bojarska
Polecamy